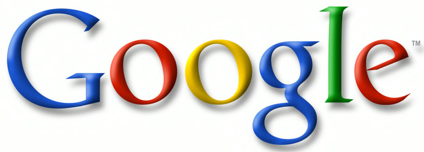
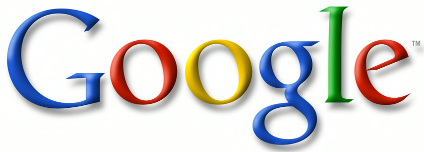



Google


LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

N° 62

[illegible]

Z CHARKOWA

LISTY
Z KRAKOWA.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

LISTY
Z KRAKOWA.

NAPISAŁ

JÓZEF KREMER,

Tom Piérwszy.

(WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI.)

Wydanie drugie poprawne i pomnożone.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1855.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy.—Wilno, 22 Kwietnia 1855 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

LIST I.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów.— Stanowisko całéj osnowy.— Usprawiedliwienie formy.

Krakow — w Jesieni 1841 r.

W ostatnim liście twoim, piszesz mi drogi przyjacielu mój, że sprawy powołania twojego i codzienne zatrudnienia tak ci czas zajęły, że, mimo nawet szczéréj chęci twojéj, brakło swobody, byś się mógł rozczytać w tém wszystkiem, czego się dorabia świat nam spółczesny w dziedzinie wiedzy i umiejętności; a gdy przęcież nie jesteś obojętny na to wszystko, co się w świecie duchowym dzieje, więc wzywasz mnie, bym w listach moich do ciebie rozpisywał się nad jaką treścią naukową, przedstawiając ci jéj obraz wedle dzisiejszego stanu umiejętności, a zarazem nie szczędził moich własnych uwag nad przedmiotem przezemnie obranym. Zapewniasz mnie, że radbyś czytał listy takowe, bo w nich znalazłbyś jakiś odpoczynek i rozerwanie umysłu znużonego sprawami powszedniemi życia, a zarazem nabrałbyś choć ogólnego wyobrażenia o

stanowisku dzisiejszém jednéj z nauk, które tak zacnie dziś się rozwijają. Zostawujesz mi nawet wszelką wolność, i co do wyboru saméj treści i co do rozciągłości jéj, ale nawzajem żądasz jedynie, abym pisując do ciebie miał nieustannie na pamięci, że choć lubisz nauki, wcale atoli nie liczysz się z powołania do ludzi uczonych, że naukowość bynajmniéj nie jest zadaniem życia twojego; a tém samém wymagasz po mnie, abym zastósował pisanie moje do usposobienia twojego. Słowem pragniesz, żeby sposób mojego wykładu mniéj miał na celu ścisłość umiejętną, jak raczéj aby był roztoczeniem choć w lżejszéj formie ogólnych prawd, przyjętych już dziś przez celnych pracowników w pewnéj gałęzi wiedzy ludzkiéj.

Chętnie odpowiem tym życzeniom twoim, ale wyznaję ci otwarcie, że swoboda, którą mi nadajesz co do wyboru przedmiotu samego, niepospolitą właśnie stanowi dla mnie trudność. Jakoż uważ, iż co do saméj osnowy wybór nie jest tak łatwym; bo jakże bogate jest koło wiedzy ludzkiéj! pełno jest tam przedmiotów, o których z pewnością przewidzieć możesz, iż za zbliżeniem się naszém okażą nam cały urok skarbów swoich i sowito wynagrodzą łożoną dla nich pracę. Wiész dobrze, iż z umiejętnościami tak się dzieje, jak z zacnymi ludźmi, im dłużéj z nimi pożyjemy i głębiéj ich poznamy, tém téż serdeczniéj ich kochać i cenić umiémy.—Nie dziw tedy, iż długo się z sobą ważyłem rozbierając pilnie naturę każdéj treści, a przytém i własną nieudolność moją.

W téj wątpliwości jednak pomogło mi nakoniec i rozpatrzenie się we własnéj osobie twojéj; a lubo jak

mi powiadasz, nie jesteś z powołania naukowym człowiekiem, widzę przecież w tobie obszerny i wszechstronnie ukształcony rozum i uczucie głębokie i trafne, będące owocem wrodzonéj szlachetności duszy, a długiego nad sobą i światem myślenia; pragnę przeto przedstawić ci tego rodzaju osnowę, coby sobą dotknęła całą treściwość rozłożystego twego umysłu i zająć zdołała wszystkie strony ducha twojego.

A lubo wypadało mi przedewszystkiém policzyć się z własnemi siłami i zapytać się, czyli wystarczę przedsięwzięciu takowemu — wszakoż przeważyła wszystkie wątpliwości nieskończonych dla mnie powabów myśl, iż właśnie przedmiot takowy zawiąże tysiące nitek i stosunków między twoim umysłem i moim, i że za pośrednictwem treści takowéj zetknąć się zdołamy we wszystkich punktach ducha naszego. Nadzieja ta tém głębszego dla mnie nabierała znaczenia, gdym zawsze był zdania, iż jest wielkiéj wagi korzyścią dla piszącego, aby czytelnik nie sądził o nim z ułomków jego istoty, ale poznał go we wszystkich gałęziach umysłowości jego.

Wypadało mi tedy taką znaleźć treść dla pracy mojéj, którаby w jednym spólnym środku zebrała całą czynność ludzką i była niby ostatecznym wypadkiem i summą życia naszego tak duchowego jak materjalnego; a takowym przedmiotem są, wedle mojego zdania, *sztuki piękne*. W nich zjawiają się jakby kwiatem wszystkie pierwiastki żyjące i pracujące od wieków w duszy człowieka, w nich obaczysz na oczy wszystką treść człowieka, ale oblaną wdziękiem nadświatnym. Jakoż w sztukach pięknych człowiek składa całego sie-

bie, im powierza najdroższe serca swojego uczucia, i wiarę swoją i nadzieję, i tęsknotę swoją; a co jest dla duszy dopiéro jakiémś jasnowidzeniem, toć mistrz przeistacza na dzieło piękności; w tych to dziełach jego znajdziesz i cały dobytek prac naukowych, i prawdy z wiary płynące, i zasady z filozofji i doświadczenia czerpane; te dzieła równie wyraźnie wyjawiają nam i jasne i ciemne ludzkiego rodu chwile, i wszystkie koleje ciągle zmieniającéj się historyi jego, jak i dzieje Natury, toczące się od początku stworzenia przekazaném im kołem; wszystko co jeno człowieka obchodzić może i co porusza głębiny duszy jego, wszystko to wyraża się w dziełach sztuki pięknéj. Dla tego téż one są tém wielkiém ogniskiem, jakie Bóg światu rozpalił, i do którego chodzą grzać się wszystkie wieki i narody i wszyscy ludzie bez względu na różnice powołania, wieku, płci i położenia towarzyskiego.

Czy się zaś piękność okaże w dziełach architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki lub poezyi, zawsze one będą najpowabniejszym wieńcem żywota umysłowego, a poświęcenie im pracy swojéj, tyle zaiste ma uroku, ile też i zasług.

Zamierzając sobie atoli zabrać się piórem około sztuk pięknych, daleki jestem od myśli, abym był godnym robotnikiem a sługą w téj winnicy pańskiéj; rozumiem jednak, iż świetność przedmiotu samego udzieli mi trochę poświaty swojéj, i że ta drobna praca moja pożyczy sobie od osnowy saméj cząstkę jéj wartości.

Wiem również, iż lubo mała liczba prac naukowych przetrwać zdoła czas swój i spłynąć puścizną na późniejsze pokolenia, inne zaś choć toną w zapomnie-

niu i do imienia nawet giną w ogromnéj powodzi prac ludzkich, przecież każda w swoim szczupłym zakątku i w skromnym obrębie, choćby tylko przez chwilę czasu swojego działała, nie jest zupełnie straconą i nie żyła zupełnie daremnie na świecie, i choć atomem przyczyniła się do ogólnéj budowy czasów, zwłaszcza gdy była w poczciwości podjętą i w dobréj wierze odprawioną. Mogę tedy rościć sobie nadzieję, że i ta drobna robota moja stanie za grosz wdowi w wielkiéj sprawie oświecenia. Bo gdy się sekundy złożą, zrodzą wieki, a ziarnka granitowego piasku wydźwigły turnie tatrzańskie.

Spodziewam się tedy, iż przed sądem twoim pobłażanie znajdę, a to tém więcéj, gdy, jak wiész dobrze, tak mało mam poprzedników w literaturze naszéj (*). Jakoż ze wszystkich sztuk pięknych jedna prawie Poezya, sama jaśniejąc u nas tak pełnym, tak świetnym kwiatem, znalazła przeważne komentarze i zasłużonych prawodawców swoich. W téj więc stronie piśmiennictwa naszego nie jedno piękne imie świéci; przewiduję, iż tu lub ówdzie zejść mi się z niémi wypadnie, a w takim razie jak jawnie i rzetelnie wypowiem, gdy sam innego będę zdania, tak nawzajem z wielkiém serca zadowoleniem będę korzystał z prawd, które inni na pewnych utwierdzili podwalinach, i choć wątłemi siłami przyczynię się do wzmocnienia prawdziwych wyobrażeń o piękności, które już w powszechnéj literaturze stanęły. Myślę bowiem, że jak samo przeczenie

(*) Przypominam czytelnikom, że te wyrazy były pisane 12 lat temu; od tego czasu pojawiły się wielce znakomite, a nawet systematyczne dzieła o Estetyce, które zaprawdę są zbogaceniem niepospolitém literatury polskiéj.

obcych zdań może być sprawą lada czyją, tak ten duch przeczenia i ciągłego niweczenia jest iście *złym duchem*.

Z tych tedy powodów rozumiem, iż każda praca literacka winna przypierać do całéj budowy spółczesnéj jéj naukowości, boć każda jest niby listkiem wyrosłym na drzewie ogólnéj wiedzy swojego stulecia. Każdy zaiste człowiek jest synem wieku swojego; wiek, w którym on żyje, jest dla niego jakby planeta przekazany mu od Opatrzności na mieszkanie; z nim razem odprawia biegi koło słońca i świata wszechnicy, na nim się rodzi, żyje i kości swoje składa. Pragnąc więc, aby i ta praca moja nie była czémś zupełnie odrębném a li o sobie stojącém, wręcz i wyraźnie pisać ci będę choć nie tak ze stanowiska, toć przecież na stanowisku spółczesnéj nam filozofii, używając myśli jéj zasadniczych za kanwę, na któréj roztoczę obrazy tego, czego sam doszedłem myśleniem, rozmową ze znawcami sztuki, wpatrywaniem się własném w arcydzieła piękności, i co mi nastręczyła literatura estetyczna ostatnich lat tak bogata w znakomite badania, a nawet korzystać będę z prac mistrzów nauki w innych dzielnicach wiedzy ludzkiéj, a mianowicie o ile takowe zostają w jakiemś pokrewieństwie z treścią téj przedsięwziętéj pracy mojéj.

Nie tracąc zatém osobistéj niezawisłości, będę korzystał z dzisiejszego stanu literatury, a tak stając na pracach poprzedników zachowam też własne piętno moje. Albowiem jak pomijanie dobytków umiejętnego świata i chętka rozpoczynania nauki od siebie jest bez wątpienia zarozumiałością i śmiesznem zuchwalstwem, tak

i wyrzeczenie się własnego ugruntowanego przekonania jest rzeczą nie godną myślącego człowieka.

Tak już będącemu z samym sobą w zgodzie względem treści mojéj, chodziłoby mi jeszcze o formę dla téj treści; lecz ty sam szczęśliwym instynktem wiedziony nastręczyłeś mi formę listów. Jestem wprawdzie przekonany, iż praca systematyczna, a będąca niby całością organiczną i plastyczną w sobie, byłaby iście najgodniejszym kształtem dla zamierzonéj osnowy mojéj, ale widzę równie, iż forma takowa ani mnie ani tobie nie byłaby na rękę. Pismo bowiem tego rodzaju z góry zaraz wymaga osobnego zakroju swojego, aby samo poczęcie, pochód dalszy i ukończenie, stworzone niby jednym odlewem, składało się jakby w posąg pełny w sobie harmonii i co do treści i co do umiejętnego wykładu. Aby zaś pokusić się o doskonałość takową, trzeba być bardzo pewnym sił swoich, i naprzód wiedzieć, iż się ją ukończyć zdoła; gdy tymczasem przewidzieć się nie da, czy ty zajęty sprawami codziennego życia będziesz záwsze miał sposobność potemu, byś ściśle poszedł za wątkiem osnowy takowéj, i jak długo ona będzie godną uwagi twojéj; również i ja, mogąc jedynie na dorywku pisać, nie wiem czyli będę miał zawsze dość swobody i siły potemu. Jak ty bowiem spodziewasz się znaleźć w téj pracy mojéj rozerwanie umysłu, tak i ja w niéj szukam ochłody i orzeźwienia myśli z powszedniego zatrudnienia; książka zaś systematyczna byłaby i dla ciebie i dla mnie pełną grozy pracą. Zresztą sam wiész, jak trudno utrzymać jedność harmonijną w saméj zewnętrznéj formie, i jak wielce wykład zawisł od chwilowego natchnienia i rozmaitéj życia pogody.

Z tych wszystkich powodów przeto zgadzam się zupełnie na formę listów; z czego obiecuję sobie jeszcze inne mnogie a dla mnie bardzo ważne dogodności, bo nie tylko otworzy się miła dla mnie sposobnosć częstych z tobą stosunków, ale też będę mógł pisywać do ciebie w każdéj chwili i pod różném nastrojeniem umysłu; nie zawadzi bowiem choćby i każdy list miał inną barwę swoją. Nadto forma listów nadaje mi prawo skréślenia ci wprost, co mi przy sposobności myśl i serce pod pióro przyniesie, a nie spuszczając z oka głównego celu mojego, będę mógł czynić wycieczki w przedmioty będące w związku ze sztukami pięknemi; tym sposobem zdołam wedle upodobania tak długo rozwijać rzecz całą, póki tobie do czytania ochoty a mnie do pisania swobody nie zabraknie.

Nie oznaczam ci téż dla tego liczby listów moich, może ich będzie bardzo długi szereg, może ich liczba będzie bardzo szczupła; ilekolwiek zaś nakréślę, zawsze złożą jakąś całość ukończoną w sobie, a zaczynając od najogólniejszych zasad teoryi, zapuszczę się w coraz bliższe szczegóły sztuki całéj. Unikając rozrywania materyi, postaram się aby każda ważniejsza osnowa całkowicie, ile możności, w jednym liście objętą była; będą tedy listy nierównéj obszerności, a obojętną jest rzeczą, choćbym niekiedy i przestąpił miarę właściwą listom zwyczajnym.

Otoż widzisz cały zamysł mój; upraszam tylko, abyś sobie nie robił zbyt pochlebnych dla mnie nadziei. Jeżeli zaś te listy upodobanie twoje zjednać sobie zdołają, toż zechciéj z twéj strony wyjawić zdanie swoje

o méj pracy. Wiem, iż w końcu zawsze się zgodzimy; boć tak najczęściéj bywa, jeżeli różność zdania pochodzi ze szczerego zamiłowania prawdy, nie zaś z chęci pustéj utrzymania się przy swojém, a spór, poczciwie i w dobréj wierze wiedziony, kończy się zawsze z korzyścią dla rzeczy saméj i z podwyższoném poważaniem wzajemném.



LIST II.

Ogólny widok na sztukę.

Stan dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury.— Zjawiska nam spółczesne dowodzące budzącéj się miłości do sztuki.— Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchownienia się czasu.— Sztuka ma cel swój sama w sobie.— Sztuka jest ogniwem łączącém świat duchowy z cielesnym.— Historya sztuki jest obrazem rozwijania się duchowéj potęgi ludzkiego rodu.— W świecie chrześcijańskim sztuka straciła wagę swoją.

Wśród zgiełku codziennego życia, wśród kłopotów i kłopotków powszednich, i zabiegów, i wrzawy świata, bieży nam czas cały i wiek nasz. Niby falą płynie trud za trudem, praca ściga pracę, a wśród tego zamętu i hałasu nie dosłyszysz i wołania wyższéj natury człowieczéj i szlachetniejszéj istoty swojéj. Niekiedy atoli odezwie się w głębiach piersi znienacka ten głos, tak silnie, tak potężnie i cudownie zarazem, że już umilkną w duszy wszystkie nizkie chęci i pragnienia, i pierzchną niby mgły nocne przed wschodzącą jutrzenką.— Wtedy nieśmiertelna istota ducha naszego, dawno zapomniana, znów zadzwoni niby pieśnią anielską i obudzi chęci, uczucia i myśli do innéj należące dziedziny.— Rzekłbyś, że matka, dawno zmarła, nawiedziła w szarą godzinę tęskniącą sierotę; bo chwile takowe uświęcają

nas do wyższego powołania i wzywają, byśmy wstąpili w głąb' siebie i zbadali do dna wiekuistą istotę naszą.

Zaprawdę, i narody całe, i stulecia, i części świata takie mają chwile, taką stronę żywota swojego. Patrz na naszą mądrą i doświadczoną Europę, zdawałoby się zrazu, iż rękodzieła, papiery, handel, przemysł, weksle, kredyt, koleje żelazne, para, banki i roje corocznych a coraz świetniejszych wynalazków, przygłuszyły wszelkie życie duchowe; że wśród hałasu tego, wśród gonitw niezmordowanych za zarobkiem, przepomniano o wyższych celach człowieczéj istoty. Jeżeli zaś głębiéj zapuścisz oczy w ten żywot spółczesnego nam towarzystwa, wyświeci się jasno, iż właśnie podniesienie materyalnego bytu jest potężną pobudką umysłowego przebudzenia; a jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną i starą jak świat, iż jedynie w zdrowém i silném ciele silna téż i potężna dusza przemieszkiwać może, tak nie podlega wątpieniu, iż ułatwienie w zaspakajaniu potrzeb cielesnych, jest warunkiem koniecznym zwrócenia myśli do nadzmysłowych rzeczy.

Przemysł materyalny jest ciałem społeczności umysłowéj. Dowodem tego jest przeszłość cała. Marzenia tysiącoletnie staréj Azyi, dzieje poranne człowieka w Grecyi, i prace harde i pełne majestatu dawnego Rzymu, i wysilenia następnych dziesięciu wieków płowieją w obliczu dziwów obecnego nam świata. Bo jeżeli niegdyś człowiek pasując się z sobą i żywiołami, pełnym boleści mozołem pracując ciężko na to życie swoje, nie miał ani siły po temu, ani swobody, by się wzniósł ku wiekuistemu pochodzeniu ducha i wypiasto-

wał niebiański pierwiastek jego; dziś już we wieńcu swych cierpień i chwały ociera czoło krwawym znojem zlane, widzi, że nowe zaranie dnieje nad przyszłością jego; żywioły poddały mu się w panowanie, zaprzęgły się na jego miejsce, pracują na niego. A nabrał tém potężniejszego hartu, gdy dawna walka z potęgami natury wyćwiczyła siły jego, wzmocniła ducha i wyrobiła go w sobie. Gdy zaś najgłówniejszym warunkiem fizycznego świata jest przestrzeń, bo każda rzecz materyalna miejsce jakieś sobą zajmować musi, więc téż przestrzeń była najpotężniejszym oporem, który tęn świat materyalny stawiał dotychczas zwycięztwom umysłowym człowieka. Ale dziś ta trudność przemożona. Para uskrzydla podróże, morzem i lądem zniesione oddalenie, wielka spółeczność ludzi, rozstrzelona w kraje osobne i dzielnice świata, rozdrobiona w ludy daleko od siebie mieszkające, czuje się być znienacka zbliżona do siebie; miasta, rozsypane na setki mil, już sąsiadować z sobą będą, a za handlem rzeczy materyalnych trop w trop pójdzie zamiana najkosztowniejszego towaru, bo udzielanie i nabywanie wzajemne pojęć i cywilizacyi umysłowéj. Niebawem tedy ród ludzki będzie miał za wspólny dom swój Ziemię całą, a za ojca jedynego Boga na niebie, a tak zaiste spełnią się obietnice najpiękniejsze i zwiastowania Chrześcijaństwa na świecie.

Nie dziw tedy, iż przy wzmożeniu się potęgi materyalnéj ludzi, wśród wartkich łoskotów przemysłu, będzie korzystać koniecznie i część umysłowa człowieka, i rychléj lub późniéj zajmie godne siebie stanowisko. Bo nawet, im głośniejsza zewnętrzna wrzawa

i ruchawsze zabiegi świata, tém téż silniejsza potrzeba schowania się w sobie i otulenia się sobą samym. Téj prawdy dowodzą zjawiska, które się wszędzie czuć dają. Pomijając już owe ciche ale liczne prace rodzące się w samotnéj izbie uczonych, i umiejętności po Akademiach, co z katedr dla szczupłéj liczby wybrańców płyną; nie wspominając już o mnóstwie dzieł, co choć może nie zawsze głębokiém ale zaiste coraz przystępniejszém dla wszystkich korytem wylewa się na świat, wspomnę o jednéj tylko oznace silnie ockniouéj dążności umysłowéj: jest to owo wszędzie dostrzedz się dające zasmakowanie publiczności europejskiéj w roskoszach sztuk pięknych. Były wprawdzie wieki słynące wielkimi mistrzami w pewnéj gałęzi sztuk, na których stulecie nasze zdobyć się nie może, a przecież od czasów staréj Grecyi nigdy wielka publiczność nie zajmowała się więcéj estetyczném wykształceniem jak dziś. Nasz wiek nie dałby umrzeć Cerwantesowi z głodu, ani Tasso nie byłby zmuszony, jak niegdyś, pożyczyć sobie w Paryżu talara jednego, ani Coreggio umarłby pod ciężarem miedzi zapłaconéj mu za arcydzieło jego; a dawneż to czasy, gdy Schiller, chirurg batalionowy, mdlał w lesie z nędzy i czczości?

Dziś prawdziwy geniusz dorobi się zawsze wieńców i nagrody należnéj, bo podstawa jego szczęścia i chwały jest szeroka, bo nią jest ukształcenie i sąd publiczności całéj; już dziś dla artystów niéma owego dawnego znaczenia łaska lub protekcya osób przeważnych, zawsze niepewna i chwiejąca się. W naszych czasach nie mają się o co troszczyć Vernety, Lipińscy, Suchodolscy, Thorwaldseny; żadna więcéj niełaska lub intryga nie podkopie

ich sławy, ani przyszłości nie roztrąci. Wszystkie prawdziwe talenta do uznania swojego przychodzą.

Powiesz może, iż zajmowanie się publiczności sztuką piękną dowodzi raczéj powierzchownego lubownictwa niż znawstwa, że wśród tłumu powołanych mała liczba odbiera święcenie na kapłaństwo do świątnicy sztuki, że u większéj części sztuka piękna zastępuje jedynie miejsce zabawy, lub służy próżnéj chęci wystawności. Nie chcę temu przeczyć; niechaj się atoli święci czas taki, kiedy już szlachetniejsze roskosze choćby dla zabawy poszukiwane będą; niechaj się, powiadam, święci czas taki, w którym wystawność i zamożność domu okazuje się raczéj kosztownym posągiem, cudnéj piękności obrazem, lub smacznie budowanym domem, niżeli, jak to dawniéj bywało, tłuszczą służby próżnującéj lub szarańczą pasibrzuchów. Zbytek okazujący się w dziełach piękności jest zbytkiem ze wszystkich najszlachetniejszym.

Już to nawet i Schiller powiedział, iż łatwiéj poznasz, czém kto jest i co wart, z tego, jak się bawi, jak z tego, nad czém pracuje. I bardzo słuszne wedle mnie jest to orzeczenie, gdyż najczęściéj każdy pracuje, bo musi, a zawsze bawi się, jak chce. Świętem uroczystém dla Grecyi były igrzyska; tam obok siły i zwinności cielesnéj okazywano potęgę i zwinność umysłową. W obliczu całego zgromadzonego ludu, wieszcze uderzywszy w lutnie śpiewali pieśni swoje bogom i wielkim ludziom na cześć; historycy czytali dzieje, pełne chwały ludu, który ich słuchał, a lud ten dawał im oklaski i wieńce. Przeciwnie w onym Rzymie trzeba było mordów i rzezi na krwawéj Arenie, by zabawić naród, co się panem świata uczynił. Hiszpanów, owych

katów całych ludów Ameryki, roskoszą jest walka z rozjuszonym bykiem. W średnich wiekach nie zawsze skręcano sobie karki na turniejach dla rozrywki, ale znano i inne roskosze; dość ci będzie przypomnieć Truwerów, Minstrelów, Minnesengerów, i owe *Jeux floraux* i *Corte d'amore*, których ślady w Tuluzie do dni naszych się przechowały. Otoż każdy wiek i naród ma swoje smaki będące piętnem jego. Nigdzie tak dobitnie, jak przy zabawie, nie odróżnisz barbarzyńca od ukształconego człowieka.

Mógłbym ci zaiste przytoczyć wiele zjawisk, będących dowodem, że w czasie nam spółczesnym, kłuje się zewsząd miłość do sztuki pięknéj. Nie rozwodzę się nad tak świetném, a może nawet i przesadném powodzeniem po świecie mistrzów muzykalnych, ani nawet nad wychowaniem dzisiejszém, w którém zwykle za ważny pierwiastek uchodzi nauka muzyki i rysunku; nie będę ci też prawił o wystawach publicznych rzeźb i obrazów, ani o licznych już stowarzyszeniach w celu opiekowania się sztuką piękną, a szerzących tak szczęśliwie wśród saméj publiczności zajęcie się dziełami sztuki; pomijam już te wszystkie tak ważne oznaki, bo lubo one, jak i inne podobne im sprawy, mają wielkie znaczenie swoje, uważam atoli, że daleko silniejszą wróżbą ocknienia się powszechnego zmysłu dla sztuki, jest kilka innych pojawów, będących tak charakterystyczną cechą naszych czasów. Pod tym względem zwracam baczność twoją na chęć tak wyrazistą upięknienia natury, która, w około otaczając człowieka, jest jakby ciałem każdego narodu. Teraz po wielu stronach Europy, mianowicie w Niemczech zawiązały się

stowarzyszenia i komitety, mające, jak same orzekły, na celu «upięknienie ojczyzny» swojéj. Więc pomagają naturze własnego kraju. Komitety, wybrane z ludzi kochających ziemię ojczystą a z estetyczném wykształceniem, zajmują się stworzeniem pięknych, naturalnych pejzażów; więc stroją w kwiaty, w krzewy miejsca jałowe, ułatwiają przystęp do widoków pięknych, sprowadzają stare drzewa, by ubrać brzegi jakiegoś jeziora lub rzeki, opiekują się biegiem potoków, budowaniem zgrabnych mostków, torują ścieżki wdzięcznym zakrętem, zakładają chodniki, przeistaczają pustkowia, cierniem i chwastem zarosłe, na łąki lub gaje i t. d. Ale trudno wyliczyć tutaj te wszystkie prace, które niby tak drobne a przecież zmieniają fizyognomią całéj okolicy, przeistaczając ją na pejzaż jakby idealny, który tém jest wdzięczniejszy, że rzeczywiste parki, założone koło miast, dworów i pałaców wiejskich, nie kończą się znagła, znienacka, ale zwolna i niepostrzeżenie przechodzą w pejzaż przyrodzony kraju. Wyznasz, że to staranie około piękności ziemi ojczystéj nagradza się już samo przez się użytkiem rzetelnym, który na mieszkańców spływa; ale nadto te wdzięki, nadane ziemi ojczystéj, uszlachetniają i człowieka, mieszkającego wśród uszlachetnionéj natury. Zwracam jeszcze teraz uwagę twoją na zjawisko, równie ważne, bo na owe wystawy po krajach europejskich, w których, obok wyrobów przemysłowych, umieszczone są dzieła sztuki właściwéj. Rzemieślnik, rękodzielnik, fabrykant przypatrując się pracom własnego powołania, widzi zarazem dzieła artystyczne, a tak uczucie piękności form, choćby nawet bez wiedzy jego, przenika w duszę jego, i w niéj roz-

poczyna magiczne pracowanie swoje. Tym trybem, choć zwolna i niepostrzeżenie, roboty ślusarskie, garncarskie, złotnicze, kotlarskie, stolarszczyzna i kamieniarka nabierają form wdzięcznych, artystycznych. Coraz przeto silniéj a silniéj rodzi się chęć do ornamentyki, czyli do sztuki umiejącéj stroić i zdobić narzędzia, sprzęty, wprost do powszedniego użytku, do potrzeb codziennych przeznaczone. Ta sztuka zdobiąca, łubo tutaj jest tylko przydatkiem, lubo tedy nie istnieje jeszcze dla siebie i o sobie, lubo nie jest usamowolnioną i *wyzwoloną*, lubo dopiéro jest sztuką nadobną, toć przecież jest jakby ogniwem pośredniém między prostém rzemiosłem a sztuką właściwą. Obejdzie się podobno bez długich rozpraw nad głębokiém znaczeniem tego kierunku przemysłu i rękodzieł; nie potrzeba zaiste szerokich wywodów, by wyświecić wpływ, jaki ten kierunek wywiera i na wyrabiających te przedmioty, i na tych, którzy je kupują dla użytku swojego. Jakoż praca tego rodzaju około rzemiosła uszlachetnia się i uzacnia, a tém samém, nabierając coraz wyższego, duchowego znaczenia, uzacnia i tych, którzy się nią trudnią — a tak co piękne i urocze wnika w wielką część pracującego ludu. Bo jak piękność form wykształca i podnosi uczucia, tak praca rąk nabiera wyższego znaczenia, a na krwawy trud rzemieślnika spływa uświęcenie z góry. Granice, do tych czas wydatne, a niby nieprzebyte między rzemiosłem a sztuką właściwą, łagodnieją; a zatém i przejście z warsztatu do pracowni artystycznéj łatwiejsze,— majster przeistoczyć się może na mistrza! Przypominam ci Wieki Średnie, gdy i artyści składali cechy swoje, podobnie jak rzemiosła — w tych czasach też

niejeden rękodzielnik przeszedł na artystę (np. Benvenuto Cellini, Piotr Vicher). Przywiedź sobie na pamięć wyroby z owych czasów: te klucze zdobne, okucia, zamki misterne, artystyczne, te stare prasy, szafy, w snycerstwo ubrane, lichtarze, dzwonki, dzbany, puhary, zbroje bogato wyrabiane, te kamienne odrzwia w gałęzie i kwiaty, hafty na szatach i t. d. Wszak dziś, mimo wyraźnéj dążności do form estetycznych, wiele nam jeszcze brakuje, zanim wyrównamy średnim, wiekom pod względem użycia form i kolorów. Przypatrz się sukniom naszym, czyliż może być coś szpetniejszego jak te ubiory nasze! do czego podobne te ich barwy! im sukno mniéj podobném do jakiegoś koloru, więc im brudniejsza jego farba, tém modniejsze. Trzeba wyznać, iż i pod tym względem kobiéty wyższe są od nas szczęśliwym instynktem swoim i co do formy, i co do barwy stroju swojego.

Z drugiéj strony i ci, dla których się wyrabiają tak artystyczne sprzęty, zyskują niezmiernie wiele. Zważ bowiem że sama kosztowność materyału (np. złota, srebra, palisandru, hebanu) bez artystycznych form, jak jest dowodem zamożności domu, tak zarazem jest smutném świadectwem barbarzyństwa właściciela. Wyznaj że to życie nasze powszednie tak zwykle bywa biedne i prozaiczne, że się trzeba bronić całemi siłami od suchót duchowych, od zjałowienia serca i fantanzyi; prawda, że do tego celu niepomału pomagają i muzyka w domu, kilka dobrych obrazków na ścianie, kilka książek i może ogródek, a choćby nawet dojniczki z kwiatami na oknie — ale przecież forma estetyczna sprzętów, które nas w około otaczają, których codziennie używamy,

wpływa daleko jeszcze silniéj choć nieznacznie na całe usposobienie psychologiczne nasze. Patrzmy, jakże wiele potrzeb cielesnych jest nam spólnych ze zwierzętami! Wypada nam tedy koniecznie jakoś się uwolnić od téj spólności z jestestwami bezrozumnemi, wypada nam zaspokojenie tych potrzeb jakoś uduchownić, zidealizować; a to się dzieje w części przez nadanie formy estetycznéj sprzętom, narzędziom, których używamy właśnie przy zaspokojeniu tych potrzeb zmysłowych. Możemy się pochwalić, żeśmy się nauczyli już wiele w tym względzie od starożytnego świata; wyraźnie już widać, że nie darmo patrzymy się na owe prześliczne formy lamp, wazonów, puharów, samowarów wykopanych w Herkulanum i Pompei (*).

A prawiąc o oznakach wróżących rozbudzenie się miłości do sztuk pięknych, czyliż można pominąć zewsząd już kłujące się prace literackie, mające sztuki piękne za przedmiot swój; a mówiąc o takich pisarzach, czyliż można przemilczyć o ogromnych zasługach M. Grabowskiego i Kraszewskiego? Obaj ci zacni ludzie nie tylko słowem ale czynem, nie tylko teoryą ale praktyczném jéj zastósowaniem tyle już dokazali dobrego, że patrząc na ich usiłowania każdy człek poczciwy całém sercem zawoła: szczęść wam Boże na téj drodze! A gdy (o czém nie wątpię) czynność ich i staranie wywarły najszczęśliwsze skutki na koło, do którego stanęli w osobistych stosunkach, tak znów ich pisma rozchodzą się w najdalszą dal przenikając wszystkie war-

(*) W muzeum burbońskiém w Neapolu pokazują nam samowar znaleziony w gruzach pompejańskich, podobny z kształtu do samowarów naszych (z kominkiem), ale forma jego niorównie estetyczniejsza, strojna i zdobna.

stwy czytelników. Ta siejba uczciwa pewnie nie przeminie bez bogatego plonu. Uprzedzam cię, że być może, iż przeczytawszy np. Grabowskiego pisma, znajdziesz niekiedy zdania, co niezupełnie okażą się w zgodzie ze zdaniami, które tu i ówdzie znajdziesz w tych listach moich. Aleć to nie wiele zawadzi, bo też nie mogę mieć pretensyi, abyśmy już wszyscy jednemi i temi samemi oczyma zapatrywali się na rzeczy; niéma też nic nudniejszego jak jednostajność zdań; onaby dowodziła raczéj strupienia umysłów, a nie życia rozwijającego się w całéj pełni swojéj. Różność stanowiska pokazując rzecz z różnych stron niezaszkodzi nigdy, a byle każdy sumiennie imał się pracy i wedle sił swoich, ile tylko może najlepiéj uiszczał się z roboty wziętéj na siebie, toć pewnie błogosławieństwa mu nie zabraknie, a praca jego nie pójdzie na niwecz. A obok Kraszewskiego i Grabowskiego godzi się też uczciwie i z poważaniem wspomnieć o pp. Rastawieckim i Przeździeckim, tudzież o innych szanownych pracownikach, którzy w ostatnich latach tak szczęśliwie zajęli się w różnych kierunkach robotą około sztuki pięknéj!

Witajmy tedy z całém sercem czas podający na miejsce grubych wesołości sztuki piękne. Przy wyraźnéj dążności świata do ukształcenia i uduchownienia istoty swojéj, spodziewać się téż należy, iż i u nas znikać zaczną owe zabawy barbarzyńskie, wypływające niby z potrzeby nastrojenia nerwów i napięcia umysłu, a szafujące minutami i godzinami jakby zdawkową monetą życia. Co aby się jak najrychléj stało, daj Boże!

Zasmakowanie w sztukach pięknych jest zawsze wróżbą uduchownienia się czasu i piérwszym szczeblem po-

znania najwyższych prawd, bo sztuki piękne dopiéro przez zmysły na nas działają. Porusza cię rzeźba, obraz, budowanie; toć przecież to są rzeczy, co twój wzrok, co zmysły uderzają, a przez tę zmysłową formę świeci istota duchowa. Oczyma posągu lub obrazu spogląda na nas świat nadzmysłowy; architektura, ciosami i cegłą cuda sprawiając, jakby pieśnią przejmuje duszę; wszak i tony muzyki są brzmieniem zmysłowém, bo do słuchu zmierzoném; ale harmonia, ale melodya, którą się tony te wiążą, zrodziły się w głębiach duchownych i do ducha płyną; a cóż dopiéro rzec o Poezyi, co potęgą wyobraźni i czarem języka łączy w sobie urok wszystkich sztuk zarazem. Sztuki odziewają prawdy żywotne piękności szatą. A co nam Filozofia podaje w trudnych i jedynie abstrakcyą dościgłych rozumowaniach, sztuki piękne tchem swéj potęgi przetwarzają na ciepłe i pełne życia istoty. Ztąd Göthe gdzieś powiada, że prawdy zstąpiły nagie z nieba na ziemię, a sztuki sprawiły im sukienki. Lecz z tego wszystkiego już poznać możesz, że w każdém dziele sztuki dwa zaiste różne schodzą się pierwiastki: jeden zmysłowy, materyalny,—drugi duchowy, będący prawdą nieskończoną. Piérwszy dla zmysłów przystępny, drugi tylko dla samego ducha widza lub słuchacza istnieje. Pojmowanie takowe istoty sztuki jest główną piastą całego przyszłego rozumowania naszego, a dostatecznie późniéj udowodnioném zostanie.

Jeżeli więc w życiu całego naszego rodu piękność jest tak wielkiéj wagi pierwiastkiem, warto, byśmy też całą myślą naszą zanurzyli się w ten świat i poznali najskrytsze tajemnice jego. Zanim atoli zapuścimy się w ten bliższy rozbiór przedmiotu naszego, przedewszyst-

kiém radbym jedynie w téj chwili uprzątnąć niektóre wątpliwości, jakieby ci się zrazu nasunąć mogły. Potrzeba, żebyśmy je na wstępie samym z siebie zrzucili, niby juki dalszy pochód nasz opóźniające.

Powyżéj rzekłem, że dwa są pierwiastki w dziele sztuki, że w sztuce duch, prawda nieskończona, wciela się w postać zmysłową, i że dla tego właśnie piękność artystyczna jest pierwszą nauczycielką człowieka, roztwierając mu państwo duchowe i objawiając mu prawdy najwyższe. Być atoli może, że się łatwo nie zgodzisz na samo wyobrażenie takowe o piękności i powiesz, że przecież daleko prostszą drogą do nauczenia prawdy jest gołe rozumowanie, nieodziane w żaden przystrój, że ono rychléj do celu prowadzi i wyraźniéj nam wskazuje, o co w życiu istotnie chodzi, niż wszelkie piękności dzieła, w których niekiedy i bardzo trudno dopatrzyć się prawdy; że sama prawda nie z ułudy lecz z prawdy się rodzi, bo człowiek nie pieszczotami piękności, ale cierpką pracą dokupuje się przekonania swojego; słowem, że sztuki nie są wcale właściwym środkiem do celu. Otóż ten zarzut nie tylko tobie ale każdemu z razu mimowolnie do myśli przyjdzie, skoro się wspomni o wielkiém znaczeniu piękności.

Lecz ten zarzut byłby wtedy zupełnie słusznym, gdybym twierdził, jakoby nauczanie prawd najwyższych było celem sztuk pięknych, bo w takim razie nauka ścisła, umiejętność gruntowna mogłaby zaiste zastąpić sztuki i byłaby daleko właściwszym środkiem do celu. Obaczymy już w inném miejscu dokładniéj, że oswojenie człowieka z prawdą nieskończoną, wiekuistą, jest

zaprawdę skutkiem sztuk pięknych, spływającym na umysł nasz, lecz nie jest ich celem.

Odrzuć przedewszystkiém myśl, jakoby sztuka piękna miała jakieś cele krom siebie, i jakoby była jedynie środkiem do osiągnienia jakiegoś dobra, będącego czémś innem jak pięknością. Sztuka ma cel swój sama w sobię, sobie saméj jest celem i końcem, do którego zmierza. Tak jak i wszystkie prawdy niczyją nie są służebnicą, ani środkiem do osiągnienia obcych im celów, lecz same z siebie mają wagę i znaczenie swoje. Czyliż cnota, dla tego jedynie ma wartość wysoką, iż zradza wewnętrzny duszy pokój, że jest podwaliną towarzyskiéj budowy i źródłem szczęśliwości człowieczego rodu? Czyliż najwyższym celem wychowania młodzieńca jest to, aby się, jak mówią, dobrze wydał w towarzystwie, zaradzał sobie w przyszłości w każdéj potrzebie i znalazł w naukach sposób dalszego utrzymania swojego?

Czyliż prawdy matematyczne dla tego istnieją, aby służyły za ćwiczenie gimnastyczne rozumowi i miały zastosowanie w miernictwie, astronomii i przemyśle? Ktoby tego był zdania, mógłby równém prawem powiedzieć, iż miliony gorejących światów na niebie jedynie dla tego są stworzone, by nam ustroić i rozświecić ciemność nocy, by namiot niebieski rozbity nad ziemią wyszyć gromadami gwiazd błyszczących, na ozdobę mieszkania naszego. My mieszkańcy na téj drobnéj ziemi mieliśmy istotnie takie zarozumienie o sobie, bo, podobni do źle wychowanego dziecięcia, mniemaliśmy, iż wszystko dla naszéj zabawy i pożytku jest stworzoném; a nawet aż do Kopernika świat mniemał, iż te

tłumy ciał niebieskich, wraz z naszém słońcem, pędzą kołowrotem koło ziemi naszéj, jakoby około środka i pani swojéj; a było to nawet bardzo szczęśliwie, że gwiazdy tak są wysoko zawieszone, bylibyśmy może ich się naparli, by się z niémi pobawić i popsuć je w końcu. Zaledwie już mędrkowie się nie pytali, dla czego zamiast owych gwiazd nie mamy kilku księżyców ziemi dodanych, boćby przecież piękniéj nam noc oświéciły i bogaciéj nam ustroiły niebo, niż owe słońc miryady, których małą tylko część gołém okiem dojrzeć można, a których nieskończonéj chmary choćby najlepszym teleskopem człowiek na wieki nie dostrzeże.

Do podobnież krzywych rezultatów prowadzi fałszywe stanowisko i krótkowzrokie zapatrywanie się na rzeczy. Bo jako kwiat na iglicy niedostępnych Alpów dyszy zapachem i świeci barwą, choć niewidziany nigdy od oka ludzkiego, kwitnąc jedynie Bogu samemu na chwałę, tak i gwiazdy mają cel swój w sobie, i dla siebie są stworzone, a nie służą naszéj drobnéj ziemi. Co innego zapewne jest twierdzić, iż gwiazdy stroją niebo nasze, a co innego, iż one dla saméj ozdoby tylko istnieją. Podobnie i zasady matematyczne są i były prawdą, choćby i nie było rodu ludzkiego, któryby je poznał; mimo to nie przeczę, że matematyka jest bez wątpienia ważnym wielce środkiem pedagogicznym do wychowania młodzieży, i że jako środek ma cel niby poza granicą własną, bo tym celem jest głównie wyćwiczenie abstrakcyjne myśli młodzieńca. Zresztą któżby zaprzeczył ważne wielce przysługi, które przyniosła Matematyka innym umiejętnościom a mianowicie życiu spółecznemu w zastósowaniu techniczném swojém!

Gdy zaś już same przedmioty natury (np. kwiaty, gwiazdy) lub nauki mające właściwy sobie, więc ograniczony zakres (np. matematyka) nie mogą być wyłącznie uważane za środek do jakiegoś celu, cóż dopiéro rzec o prawdach wiekuistych, nieskończonych! one właśnie dla tego są, bo są. Wszak cnota jest prawdą wiekuistą, o sobie stojącą, bez względu na skutki zbawienne z niéj płynące; człowiek powinien być zacnym i poczciwym, dla tego że jest człowiekiem. Tak i sztuka piękna, dla tego stoi sama o sobie, dla tego ma cel sama w sobie, że w niéj tkwi pierwiastek wiekuistości, a człowiek tworzy dzieła sztuki, bo duch jego jest wiekuistym. Gdyby potrzeba jeszcze dowodów o nieśmiertelności ducha ludzkiego, możnaby rozpocząć również wywody takowe od jego potęgi stwarzającéj piękności, i od upodobania, którego doznajemy patrząc się na dzieła takowe przez mistrzów stworzone. Ta bowiem twórczość i to upodobanie rodzi się z potrzeby oglądania wiekuistości, choć odzianéj jeszcze materyą; a ta potrzeba, ta tęsknota właśnie dla tego w nas przebywa, iż wiekuistość żyje w duchu naszym, że on sam jest nieśmiertelnym.

Jeżeli zaś sztuki piękne są jedynie środkiem do czegoś innego, słowem jeżeli wchodzą w obcy sobie zakres, jak to widzimy, iż malarstwo, rzeźba, architektura, zdobi sprzęty domowe, stroi ogrody, szaty, łącząc się ze stolarszczyzną, haftami, strojem mieszkań i t. d. toć wtedy przestaje być sztuką istotną, o któréj mówię, ale jest jedynie sztuką zdobiącą, nadobną, jest przystrojem. Przecież my tu jedynie o sztuce wyzwolonéj, to jest usamowolnionéj od wszelkich pobocznych celów rozprawiać mamy.

Jeżeli tedy, jakeśmy wyżéj powiedzieli, sztuka piękna wyraża prawdę we formie zmysłowéj, przystępnéj dla wzroku i słuchu, toć już widzisz, iż ona służąc do uzmysłowienia prawdy, sama sobie służy i siebie samą ma za cel, bo ona sama jest prawdą, ale wyjaśnioną w sposób materyalny; jest oną jednym z kształtów, który prawda na siebie przybiera, tak np. znów filozofia jest również prawdą, ale już we formie bezbarwnego rozumowania. W niéj duch świéci bez pośrednictwa materyi i zmysłów, świéci czystym wieczności promieniem i przemawia wprost o sobie i o wielkiém przeznaczeniu człowieka. Sztuka piękna zaś, łącząc świat cielesny z wiekuistym, jest pośrednicą między niebem i ziemią; opuściła dla nas rajską dziedzinę, a przywdziawszy na się cielesność śmiertelną, dzieli z nami i znikomość i biédy nasze, by nas w czarnych pocieszyć chwilach, zabawić swojemi kwiatami, i przytulić do siebie, niby dziécię płaczące. Gdy atoli świat zmysłowy łatwiejszy jest do pojęcia niż czysto rozumowy, więc téż sztuka piękna wcześniéj była nauczycielką ludzi niż Filozofia.

Nim się ród ludzki mocą samego rozumu dobił prawd o niebie i ziemi, o życiu i śmierci, o wieczności i naturze, wcześniéj o nich zamarzył, ucząc się czytać z dzieł piękności jakby z książki obrazkowéj, w nich przeczuwając wielkie przeznaczenie swoje. Dla tego téż poeci, wieszcze, bardy byli piérwszymi nauczycielami narodów, tudzież piérwszymi ich kapłanami i filozofami.

Od wieków sztuki, religia i filozofia w ścisłym z sobą były związku, rosnąc na wspólnym sobie gruncie prawdy. A że pojmowanie różne prawdy i różny spo-

sób jéj uzmysłowienia wynika z najgłębszéj duszy świątnicy i z całéj treści człowieka, więc téż historya sztuki jest wiernym obrazem owéj wewnętrznéj historyi rodu ludzkiego.

Jeżeli cały ród człowieczy, co od wieków niepowrotnie płynie niby rzeką do wieczności morza, uważać będziesz za jedną osobę, znajdziesz to samo pracowanie się jego nad sobą, te wolne ale pewne postępy rozwijania się duchowego, co w pojedynczym człowieku. Tu jedna tylko zachodzi różnica, iż ród ludzki nie umiera nigdy; a choć i on ma mroźne i głuche zimy i długie nocy swoje, co szeregiem wieków jakby grobem przywalają świat, aleć gdy otrętwienie śmiertelne przeminie, doczekuje się znów wiosny swojéj, a każda wiosna silniejsza i piękniejsza cudniejszym buja liściem, i nową świetniejszą epokę w historyi rozpoczyna. Każda epoka odradza się nowym pierwiastkiem, którym żyje i oddycha, a ten pierwiastek jest różny wedle różnego stopnia ukształcenia, który ród ludzki w pewnym właśnie czasie zajmuje.

Tak więc i sztuka koniecznie różne a różne kształty na się przyjmuje. Patrz na dzieje staréj Azyi, co to jest zarazem wschodem i słońca i ducha człowieczego, spostrzeżesz wszędzie, iż tu historya przeżyła dziecięce lata swoje. Nie wdając się jeszcze teraz w głębsze dowodzenie i nie zapuszczając się w te dzieje, przypomnę ci pokrótce, co nam stary Herodot o téj Azyi, o tym Egipcie prawi, owe koleje fantastyczne losu Psametyka, sny starego Astyagesa, owego króla Rampsenita żeniącego dowcipnego złodzieja z córką swoją, pierścień Polykratesa, Zopyra i płaszcz jego purpurowy,

Babilon, Niniwę, Semiramidę. Rzekłbyś, że te gawędy Herodot gdzieś na wieczernicach ruskich posłyszał; są to gadki, jak je to niańki lubią dzieciom bajać; jakoż zawsze téż uważałem, iż ta pierwiastkowa historya bardzo do smaku małym pacholętom przypada i z wielką jéj chciwością słuchają. A lubo Azya i historya jéj dziś jeszcze podobna jest do jakiejś długiéj a świetnéj bajki, lubo przypomina powieści, opowiadane przez Arabów przy samotném ognisku w głuchocie pustyni, wszakoż jest to już nowe życie Azyi, nowe jej wydanie. Azya Mahometańska wielce się różni od owéj Herodotowéj, bo w téj tylko istotnie widać ducha człowieczego niby w powiciu; tu fantazya samopas bujając, na poły we śnie i na poły na jawie o sobie przemawia; ztąd tutaj sztuki są jakby wymarzone nocą widziadła; poezya, choć pełna treści, jest potrzebą natury saméj, i bezprzytomnie brzmi z pełnych piersi, jakby pieśń słowika z wonnych krzewów róży.

Jeżeli spójrzysz na mappę, widzisz, jak z ogromnego pnia Azyi wyrasta niby konarem Europa; tak i duch europejski jest uszlachetnionym szczepem na starém drzewie azyatyckiéj historyi. Dla tego jeżeli odwróciwszy się od dawnych Indyów, Assyryi i Persyi spojrzysz na Grecyą, uderza cię przeobrażona już do dna postać rzeczy. Jest to piérwsza historya europejska, a wita ją téż powiew ducha Europy zwiastującéj tchem swoim wielką świata przyszłość. Lubo i historya Grecyi ma swoje powieści i cudotworne podania, wszakże one łączą się z mitologią, i należą jedynie do pierwotnéj historyi.— Bohatérowie Homerowi: Herkules, Egeus, Tezeus, Dioskury, są równie jakby Lech, Czech, Krakus

i Wanda przypomnieniem z lat dziecięcych, ale nie wchodzą w dojrzalszy żywot Grecyi.

W Grecyi umysł człowieka stał się młodzieńcem, podróśł, serce się wzdęło w piersiach, świat w koło zagrał poezyą i całym cudem ułudy. Był to naródpoeta, lud-artysta; umysł tu bowiem już przeczuwał prawdę wiekuistą, ale nie zdołał jéj jeszcze pojąć, jaką jest sama przez się. Lud grecki za nadto był jeszcze zmysłowy, by prawdy te w całéj ich grozie i powadze przyjął; uzmysłowił je więc i sprowadził do dziedziny materyalnego świata, słowem pojął ją jako sztukę piękną, i dla tego właśnie całe życie Greków, ich tętno, ich istota wskróś jest estetyczną. Tak, kogo anioł muzyki z milionów wybierze, i przystępując do kolebki śpiącego niemowlęcia, ucałowaniem na kochanka swojego poświęci, już wtedy szczęśliwego wybrańca przyszłe życie z dźwięku i harmonii splecione, a nim on dorośnie, już wszystkie uczucia, myśli, pragnienia swoje, cierpienia i roskosze na tony tłómaczy, wszystko mu jest pieśnią i w melodyą się składa, a co słowami objawić nie zdoła, wylewa muzyką. Tak i Greków kochaniem, ich duszą, ich żywiołem była piękność; ku niéj to wszystko kierowali, ona była najwyższém ich powołaniem. Ani przed nimi, ani téż po nich żaden naród nie był im w tym względzie podobny. Mądrość ich filozofów, najgłębsze tajemnice natury i serca człowieczego, skrytości ziemskiego i tamecznego życia uwite są w obrazy ich mitologii pełne cudownego uroku i rzewności, a tak i do rozumu i do serca i do zmysłów przemawiały. Marmurowe ich bogi, tak ciepłe i czarowne, tak pełne spokojnego majestatu i wspaniałéj

wesołości, tak dumne i tkliwe zarazem. W nich uczucia całéj Grecyi, jéj duch skamieniał. Greków olimpijskie igry, ich uczty, ofiary, były poetyczne; u nich nawet morza i skały, gaje i krynice, drzewa i potoki, bóstwami były ożywione, co poufaląc się z ludźmi cieszyli się i smucili z nimi. Ów Jowisz potężny, skinieniem brwi niebem wstrząsający, zstępował z wysokiéj stolicy swéj, kochał się w córach Ziemi i napełniał olimp komerażami o sobie. A że z góry idzie przykład, więc też mieszkańcy ziemscy, na wzór niebian, z wadami swemi i swawolą byli poetyczni, pełni dobrego smaku. Czyliż może być, powiédz, genialniejszy hultaj i poetyczniejszy *roué* niż ów Alcibiades? Jakąż to są lichotą ci nasi dzisiejsi panowie *mauvais sujets*, owe źle udawane Lowellassy i biédne kopije Donżuanów; są to jedynie bezmozgłe karykatury plastycznych hulaczów greckich. Ich nawet nie stać, by hultajami byli.

Wodzowie Greków, ich prawodawcy, ich wojny i bitwy, ich życie i skonanie były żywemi epopejami. Widzisz owe popiersie przesłane nam ze starych lat, ową cudnéj piękności głowę?—Patrz, jak utrefione starannie włosy, jak broda spada bogactwem kędziorów, jak ta przepaska strojnie wieńczy czoło; zrazu rzekłbyś, iż to jakieś dandy Ateńskie, ale wnet gdy zważysz pełne szlachetności zarysy i ów profil Grecki, a potężne Jowiszowe czoło i mądry zakrój oczu, zgadniesz, iż w głowie téj zrodziły się błyskawiczne myśli, co oświeciły świat. Jest to Plato, ów boski Plato, który piérwszy rozum i myśl na tronie osadził i wyrzekł, iż jest pokrewieństwo między duchem człowieczym a nieskończonością wiekuistą, która nie ma końca ani początku. On to jest

najprzezroczystszym wyrazem Greka. W dziełach jego mądrość odziana w obrazy uroku pełne. Filozofia jego jest jakby pieśnią o wieczności i zacności człowieka, jestto Filozof-Poeta. A ów Alexander, co to niby Macedończyk ale przejęty i party duchem greckim, na czele garstki awanturników przeskakuje hożo Hellespont, z Iliadą w kieszeni rzuca się na Azyą i chce sobie zawojować świat, i zawojował go; bo macedońskiego bohatéra nosił przez świat duch Hellady i pragnienie podobania się Grekom, których przecież się był panem uczynił; oparł się o Indus, obudził drzymiącego Brahmę, a wróciwszy do Babilonu umiera tam młodzieńcem przehulawszy noc. Życie jego rozlegało się jak pieśń po całym obrębie ziemskim i przeminęło jak pieśń. Zaledwie zgasł, a już z całego jego państwa, wielkiego jak świat ówczesny, nic, nic wcale potomności nie pozostało, prócz wieńca chwały i sławy imienia: prawdziwa nagroda żywota Poety!

Ale widzę, żem się zbyt rozbujał i zawcześnie o Grekach wspomniał; wiész atoli dobrze, iż trudno o nich na zimno rozprawiać; skoro w ich dzieje, w ich życie zajrzysz, toć się zdaje, jakbyś do dawnych i drogich przyjaciół zajechał; tak tu miło, tak każdemu dobrze, iż się o rozstaniu ani myśli. A pisząc o sztukach pięknych, jakże nie mieć ciągle téj Grecyi przed oczyma? Bądź tedy przygotowany, że ci ją bardzo często wprowadzę jeszcze w listy moje.

Lecz też Greków epoka, ich powołanie koniecznie się skończyć musiało z wyższém dojrzeniem umysłu; z upływem stóleciów zmieniła się postać rzeczy, umysł się zbogacił nowym a coraz wyższym dorobkiem prawd.

Wyjawiał się inny czas. Bo skoro myśl człowieka się wzmogła i nabrała potęgi, wyrosła téż z form piękności, jakby ze szat swych młodzieńczych. Szczupłe koło prawd rozumowych starego świata mogło się jeszcze wyrazić sposobem zmysłowym. A póki duch człowieczy był latoroślą, wystarczała mu forma sztuk pięknych, jak kwiatowi wystarcza słabe choćby strojne naczynie garncarskie; ale gdy latorośl owa urosła w potężną sosnę północy, rozsadziła naczynie wbijając korzenie w głąb serca ziemi i rozpinając konary namiotem nad połową świata. Tém drzewem olbrzymiém była *Wiara Chrześcijańska*. Sztuka piękna przestała być wszystkiém dla człowieka, zmalała, jak maleje światło kagańca przed jasnym wschodem słońca. Już nie pod zmyśleniem pełném ułudy, ale wprost słowami Syna Bożego płynęła prawda, dreszcz wieczności przejął ziemię całą,—nowy się rodził świat, a zrodziła go wśród boleści własnego skonania światowładna *Roma*. Dech żywota, którym Bóg natchnął człowieka stworzonego z prochu ziemi, był zarazem tchem prawdy wiekuistéj, co była w nim *od początku*, ale teraz dopiéro dostąpiła prawa swojego. U Greków była jedynie jeszcze przeczuciem, teraz stała się pewnością serca. Wiekuistość cofnęła się z zewnętrznego świata, opuściła materyą, a wstąpiła, jakby do świątnicy swojéj, do wewnętrznych serca tajników i zagrała tam wiarą, miłością, nadzieją. Pod światłem i ciepłem Religii urosła téż silnie i Filozofia, któréj dziś najwyższą jest chwałą, że jest chrześcijańską. Bo nie mieszając rzeczy niebiańskich i ziemskich, wyznać powinieneś, że nigdy filozofia nam spółczesna nie byłaby dostąpiła tego doskonałości stopnia,

gdyby jéj nie był ogrzał i oświecił promień prawd Religii; choć nabytek, co nam przyszedł łaską i objawieniem, wcale różny jest od zasad zdobytych mocą samego rozumowania człowieka, jak to obaczymy w innym liście, w którym nam przydzie rozprawiać o różnicy wiary i filozofji (*). Tak jak kwiat rozrosły swoją pięknością choć jest czémś innėm, niż to niebo, co mu śle rosę swoją i promień słońca swojego, wszelako kwiatu piękność bez tego Nieba się nie obejdzie. Gdy tedy u Greków jedyną i najwyższą formą wyrażania się prawdy, jedyném ogniskiem całéj ich istoty były sztuki, my zaś, obok sztuki pięknéj, mamy jeszcze wyższe nierównie formy, bo wiarę objawioną i Filozofią; nie dziw tedy, że i dla nas piękność sztuki nie jest już tém, czém była dla Greków. Dla nich ona była kochanką, dla nas jest przyjaciółką. Grek, porwany pięknością pełną majestatu Jowisza Fidiasowego, padał przed nim na kolana; u nas nie sama piękność obrazu lub rzeźby nas przejmuje, ale znaczenie wielkie i święte, jakie on mieć może dla nas. Stajesz przed dziełem sztuki, przed budowlą, rzeźbą, malowidłem, uderzy cię potok muzyki, poezyi; wtedy wśród roskoszy, wśród rozgrzania uczuć króluje rozum i rozsądek; nie stracisz przytomności swojéj, ale o obrazie, o téj kompozycyi, lub poezyi sądzić będziesz. Sąd ten o dziełach sztuki jest głównėm piętnem czasu naszego i jego prawem.

Artyści tedy już nie powinni więcéj poniewierać zdaniem publiczności, wszak oni dzieła swoje nie dla siebie, ani dla małego kółka artystów tworzą; sztuka

(*) Porów. List VIII.

przestała być hieroglifem tajemniczym. Dla tego téż godzi się, by artyści obzierali się na istotę wewnętrzną i na bicie serca publiczności, dla któréj pracują. A lubo Madonny Rafaela, Laokoon, i Rekwiem Mozarta i Hamlet tchną duchem nieprzeżytéj nieśmiertelności, lubo będą celem czci wszystkich wieków i uwielbieniem wszystkich narodów bez względu na ich pochodzenie; przecież znów cała tajemnica geniuszu, np. Verneta jest ta, iż trafił w samo tętno Francyi. Z tego téż powodu mogłeś przypatrzyć się galeryom Włoch, Niemiec i Francyi, a przecież bawić z upodobaniem przed jakiém weselem wiejskiém Stachowicza i cieszyć się chwackiemi figurami krakowskiego ludu, mimo mnóstwo niedostatków, jakie zaiste słusznie temu mistrzowi zarzucają.

Patrząc się na to wszystko, com ci tu popisał, spostrzegam, żem się dotknął choć z wierzchu wszystkich prawie główniejszych przedmiotów mających być treścią listów moich; wyznaję, iż większa część tych twierdzeń nie obejdzie się bez dowodów następnych, niechaj jednak tymczasem zostaje, com skreślił; nie zawadzi, byśmy z początku zaraz porozumieli się względem istoty przedmiotu naszego.



LIST III.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

Rozmaitość pierwiastków duchowych i ich walka, stwarza doskonałość. Różne zdania co do saméj drogi prowadzącéj do piękności. — Czas głuchy w sobie i bez treści wierzy w same jedynie prawidła.— Prawidła stojące li na wzorach przeszłości.— Tow. Przyjaciół Nauk War. w r. 1812.— Prawidła opierające się na abstrakcyjném rozumowaniu z pomijaniem wzorów.—Natchnienie.

Jest to stara a tylekroć powtarzana pieśń, iż człowiek zawisł między dwoma wręcz przeciwnemi światy, a życie jego ciągłą jest walką dwóch pracujących się z sobą pierwiastków. Bo w głębinach duszy dwojaka mieszka potęga, co, jakby igła magnesowa, dwie odwrótne wskazuje strony. Niekiedy, gdy zamieci życia i burze zatrzęsą duchem i do dna poruszą istotę naszą, owa igiełka zadrga w sobie, oscyluje, miesza położenie swoje; ale zaledwie wichry przeminą, a jużci znów ona nieruchoma staje, jednym biegunem pokazując jakby zimną północ powinności i prawd rozumowych, a drugi zwracając tęsknie do południa ciepłych serca uczuć. Człowiek wiecznie na rozstajnych drogach, a dwa różne od siebie anioły, już od kolebki jego, dwie różne mu otwierają życia ścieżki. Szczęśliwy, kto obie dą-

żności w jedną zlać zdoła całość i w jedną je stopi harmonią.

Wszakże to rozdwojenie istoty naszéj, nie tylko uczuć się daje, gdy idzie o zacność żywota i wartość naszą moralną, lecz, przechodząc w głąb całéj treści naszéj wewnętrznéj, dotyka wszystkich dążności, pragnień i czynności naszych. Nie ma rzeczy, nie ma celu życzeń i myśli, coby się nie zmieniały wedle pierwiastku, który w nas przeważa. Świat się w oczach mieni wedle wewnętrznego nastrojenia duszy, a najczęściéj widujemy go nie we własnych barwach jego, ale powlekamy go kolorami naszego natchnienia. Meta, do któréj tak każdy człowiek w szczególności, jak i cały ród ludzki biegnie, jest prawda; tu zawieszone wieńce jego chwały, a prawda właśnie jest wyrobieniem się wzajemném przeciwległości takowych.

Żywot téż historyi jest ciągłém przerzucaniem się z jednéj ostateczności w drugą; bo ta walka przeciwległych sobie żywiołów stanowi duszę dziejów świata, są to główne sprężyny ruchu pracy człowieczego rodu i warunkiem koniecznym udoskonalenia jego. Spojrzyj na historyą każdego narodu, co nie utonął w motłochu mniéj znaczących państw i wypłynął na wierzch historyi, a wszędzie obaczysz, iż podwaliną jego wielkości jest poprzednia walka wrogich sobie żywiołów. Każda umiejętność, każda nauka, każda prawda, tém więcéj ma wagi, im silniejsze i cięższe było pasowanie, którém okupioną została. Najwyższe szczyty wiadomości ludzkich i najniższe jéj doliny doznały rozdwojenia tego.

Nie dziw tedy, że i sztuki piękne różnie osądzane były, wedle różnego stanowiska zapatrywania się na nie.

Ta dwoistość, walcząca w sercu człowieka, dała często znać o sobie w sporach estetycznych, a wyjawia się ona już przedewszystkiém odwrótnością dwóch potęg przeciwległych: bo z jednéj strony posłyszysz tłumne głosy, iż prawidła pewne i niezachwiane są głównym warunkiem rozkwitania sztuki i nieomylném jéj zbawieniem; z drugiéj strony wznoszą się zdania poniewierające wszelkiemi ustawami, twierdzące, iż piękności cyrklem mierzyć nie można, iż rozum nie ma prawa wdzierania się w dziedzinę smaku, iż pod zimnym tchem rozsądku najpiękniejsze kwiaty uczuć naszych omdlewają i marzną. Otóż te dwie ostateczności podzieliły estetyków na dwa wrogie sobie obozy.

Wyznajemy że sztuki piękne, wypływając z ducha ludzkiego, są dziełem jego, do niego należą, podlegają tedy sądowi jego; duch, tworząc dzieła piękności, ma przecież prawo stanowić ustawy tym dziełom swoim. Ani te szranki nie mogą mu być szkodliwe ani ubliżające, bo on je sam sobie naznacza. Nawzajem znów przyznasz, iż gdy na świecie pusto i głucho, gdy umysł wyludniony z myśli i uczuć, gdy czczość ciemna spada na serca, wtedy najczęściéj rodzą się reguły, ustawy i prawidła pisane; nauka rzuca się na dzieła lepszéj przeszłości i pragnie w nich dociec tajemnic rodzenia się tych wszystkich uroków, które podziwiać jeszcze może, ale których już stworzyć nie zdoła. Co zeszłe wieki w spadku zostawiły, to teraz rozbiera, wyprowadzając z nich ustawy postępowania w sztukach pięknych. Sekcya ciała następuje po śmierci. Tak się rzecz ma w piękności dziełach, tak we wszystkiéj czynności umysłowéj. Póki Rzym żył życiem świeżem, we-

wnętrzném i rodzimém, póty też kodeksów nie potrzebował; prawa zwyczajowe, ustawy, rosnące niby w obliczu jego, tętniały jak krew własna w życiu narodu; ale gdy się wyrodził, odbiegł od siebie i samego siebie zapomniał,—uronił i wiadomość ustaw swoich. Wtedy w 1000 lat po onych ustawach 12 tablic, trzeba było Justynianowi z ułomków, ze szmat przeszłości, ułożyć ów ogromny kodex, ono *Corpus Juris;* robota łatana, preparat anatomiczny, tutaj Rzym dawny w spirytusie przechowany; ale w nim jeszcze widać geniusz onego ludu prawnika-żołnierza. Z tych biédnych okruchów, ze sztuk potrzaskanych świéci duch starego Rzymu, a księga dawnych prawników była testamentem jego, poczém dokonał — i umarł. A do dzisiejszego dnia jedzą ją prawnicy, krzepiąc nią od półtora tysiąca lat dowcip swój.

Podobnie téż w czasie ubogim dla literatury, pracowniki skrzętne, bibliografy spisują jak po umarłym inwentarz całego majątku naukowego, nie przepuszczając żadnemu szpargałowi i wydzierając dziedzictwo toczącym molom. Po śmierci wielkich wodzów światoburzców zjawia się najwięcéj dzieł, map i planów strategicznych. Tak najczęściéj po praktyce następuje teorya. Jakoż zawsze téż uważać możesz, iż starce hulaszcze, przegoniwszy resztki i osiadłszy na mieliznie, najchętniéj smakują w rozmówkach w stylu Pawła Kocka. Słabsze i bez ładu głowy lubią téż dla porządku poliniować sobie godziny dnia każdego, i wziąść w rubryki żywot swój i wszystkie swoje sprawy, by nie zginęli w powszednim natłoku czynności swoich. Kto ma istotną przytomność w duszy i porządek w głowie, obej-

dzie się bez tych rubryk i szufladek, i bez nich z ładem dopełni spraw swoich, rzetelnie spłaci się z powołania swojego i skwituje się z długu życia.

Gdy Pindar, Eschylus, Sofokles i Aristophanes, i wszystkie one gwiazdy greckiéj poezyi, schodzili z nieba Hellady, a noc zapaść miała nad Grecyą, Arystoteles potężną myślą spuścił się do głębin tych skarbów, dobywając z nich, jakby lite złoto, ustawy dla potomnych wieszczów. Gdy znów Rzym zabił Grecyą, gdy ciężką i niezgrabną ręką złupił ją z kosztownych dzieł sztuki, a nauczywszy się frazesów greckich myślał, że już sam Grekiem się stał, wtedy i on chciał mieć filozofią i poezyą swoją. Wtedy biédny Cycero, choć drżącém piórem i choć z poprzedniém przeproszeniem, zaczął im prawić pochwały nauk, filozofii, wykładać zasady prawa i wymowy, zbiérając myśli z greckich ksiąg. Zasady cnoty obywatelskiéj były spisane w jego dziełach, ale dawno już umarły w życiu, a Rzymianie, ten lud najpraktyczniejszy, nie mając własnéj poezyi, puścili się tropem Greków. Wówczas Horacyusz, chcąc rodaków barbarzyńskich oswoić z pięknościami sztuki, skleił im naukę o sztuce poetycznéj; a było to właśnie wtedy, gdy Vitruvius, jakby przewidując zwalenie się przybytków i świątnic Grecyi, napisał księgi swoje o architekturze i porządkach.

Patrz, co się dzieje kilkunastu wiekami późniéj we Francyi. Tu w 16m stuleciu już oddawna były zgasły czasy średnich wieków. Bayard, ten ostatni rycerz, skonał we krwi swojéj, modląc się do rękojeści pałasza swego w kształcie krzyża złożonéj; a Franciszek Iszy pod Pawią poznał, że rycerskość więcéj nie popłaca, i

odpokutował tę pomyłkę swoją w niewoli madryckiéj. Nastał na miejsce dawnéj budowy tumów gotyckich styl *renaissance*, a zuchwałe pomysły Michała Anioła miały się już dostać w niezgrabne ręce następców, i przeradzać się zwolna w smak *rokoko*. Nie dziw téż że i pieśń romantyczna oniemiała.

Jużto ów Clement Marot, przybrawszy na się szaty dworu Franciszka I., czcił gładkie a mądre panie, wielbił ze szczęściem Dianę de Poitiers i królową Małgorzatę Nawarry, obsypywał je wonnemi różami swych pieśni; choć atoli był tak romansowym poetą, nie był wszakże już romantykiem: bo lubo świetnym i lekkim motylem oblatywał poezyi kwiaty i damy dworu króla swojego, jednak skrzydełka jego lśniały klejnotami i złotem wieszczów greckich i rzymskich; był to klassyk w całym rynsztunku swoim. Chociaż, na wzór dawnych lat, lutnia jeszcze niekiedy większą dawała cześć niż liczne grody i zamki, a kto jeno mógł, przebiérał na lirze; i nawet ów posępny i żelaznéj woli kardynał Richelieu składał także jak mówią wiersze i chętnieby się był do Atalii Rasyna przyznał; literatura atoli traciła zwolna rodzinne życie swoje, chwytając obce od kilkunastu wieków zamarłe wzory, i uroniła resztki własnego ducha, co w niéj tętniał i żył. W braku treści swojskiéj wszystko przetworzyło się na formę, a dla tego ustawy i prawidła tém potrzebniejsze się stały. Sztuka, poezya, winna rodzić się z potrzeby wewnętrznéj, z tęsknoty nieskończonéj ulżenia sercu, w któréj wiekuista prawda o sobie znać daje we formie uczucia i poczucia; dzieło sztuki jest żywym kwiatem wyrastającym z głębin piersi ludzkich; kwiat obcy na zewnątrz

do serca przypięty zwiędnieje, bo mu braknie uczuć swojskich i soków rodzimych — jedynie kwiat robiony, sztuczny, obejdzie się bez właściwéj sobie ziemi. W takich czasach obcych i zwiędłych kwiatów, lub kwiatów robionych, sztucznych, na miejsce sztuki staje sztuczność: i takim to czasem była właśnie epoka, gdy wystąpił Boileau z przepisami i regułami. W nim jeszcze treść i wielka poprawność języka; lecz wzorem przytém jest wymuskanego stylu i kałkułu; znać, jak drży, by jakąś śmielszą myślą nie zgrzészył przeciw konweniencyi. Myśli jego, od stóp do głów utrefione, chodzą jakby w sznurówkach. Sztuka się wynarodowiła i zwiędła, bo, odcięta od soków własnéj ziemi, obojętniała coraz więcéj na treść, stała się formą, łupiną. Poezya dramatyczna przemienić się musiała w sztukę retoryczną. Literatura bez iskry wewnętrznego życia szklannemi oczyma patrzała się na naród, co już był bez głębi duchowéj, nie zradzała się w świętych tajnikach natchnienia, ale lęgła się w głowie; w téj tedy literaturze wszystko było wyrachowaném. Patrząc jak autor tragedyi ówczesnéj obliczył każdy akt, każdą scenę, każdy efekt, jak roztropnie rozwięzuje sobie trudności, jak kombinuje, jak sobie zagrywa i odgrywa nawzajem, zdałoby się, że widzisz wyćwiczonego mistrza grającego wista z dziadkiem. Dużo w téj literaturze jest iście rozumu i prawideł, a nic wcale natchnienia.

Tak bez końca mógłbym ci wynajdywać przykłady dowodzące jawnie, iż zawsze, albo przynajmniéj często, czas prawideł jest czasem biédnym dla nauk i sztuk, i że wszystkie reguły nie zdołają ożywić umarłego już ducha. Pocóż atoli mamy tego szukać przykładów po

obcych, gdy mamy tu pod ręką najtrafniejszy, bo swojski. W epoce tak jałowéj dla literatury, jak epoka księstwa Warszawskiego, zdarzyło się, iż w roku 1812 na wniosek księdza Staszyca Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk uchwaliło: iżby dobrze było, aby raz na zawsze spisać sobie prawidła wszystkich rodzajów poezyi, «aby (odpisuję dosłownie) smak dobry ustalić i zdrową ugruntować krytykę.» Książka ta nie miała nic mieć nowego, ale jedynie uznane już zasady w jasnym porządku wystawić, «podać niewzruszone sztuki przepisy». Myśl ta prawie powszechnie trafiła w rym, bo cóż wygodniejszego, jak mieć taki receptarz pod ręką, gdzieby jak na leguminy, blamanże i konfitury, można znaleźć przepisy i sposoby robienia dobrych hymnów, słodkich sielanek, i smacznych tragedyi. Wzięto się tedy co żywo do roboty. Członkowie lubujący w poezyi rozebrali różne jéj gałęzie między siebie, prace ich miały być niby przygotowawcze i materyałem do owéj książki. Na Franciszka Wężyka padła kréska, by prawidła tragedyi napisał. Ciekawy téż jest bardzo sąd Towarz. Przyjaciół Nauk o pracy Wężyka, a napisany— nie wiém z pewnością przez kogo. Mam ten akt przed oczyma udzielony mi uprzejmością Wężyka, datowany 2 Maja 1814. A iście jest to ważne źródło historyczne do ocenienia wyobrażeń ówczesnych, bo one tu nam płyną niby z piérwszéj ręki. Dzieło całe, jak widzisz, miało być posągiem doskonałym i wiecznotrwałym, którego osobne części mieli wyrabiać artyści różni, każdy osobnym swym dworem, wedle własnego pojmowania rzeczy i smaku swojego, a potém dopiéro te części miały być złożone w jeden posąg-potwór. Ani

ci się będę rozwodził nad całą treścią téj odpowiedzi towarzystwa, dość na tém, że praca Franciszka Wężyka odrzuconą została, a to z pięciu powodów, z których ci tylko trzy wymienię; wystarczą, jak myślę. Naprzód *powód piérwszy:* «iż autor, mówiąc o drama»tycznéj poezyi, wspomniał jedynie o tragedyi i kome»dyi, pomijając inne rodzaje *a mianowicie operę. Po»wód drugi:* że wzorami autora więcéj byli, jak się »zdaje, pisarze angielscy a mianowicie Shakspeare, o »którym nie można do młodzieży powiedzieć: *haec vos »exemplaria nocturna versate manu, versate diurna.* »*Powód trzeci:* że autor nadto pozwala powstawać prze»ciw uznanym już powszechnie prawidłom, do czego »z uszczerbkiem dobrego smaku pisarze niemieccy ob»szerne już i pochopne otworzyli pole». Wyznaj, iż gdyby dziś ktoś znający się na rzeczy z takiém zdaniem się odezwał, jużby nikt nie wątpił, iż sobie żartuje z ludzi. I rzeczywiście ta nagana jest najpiękniejszą pochwałą, jaką Towarzystwo P. N. dla rozprawy Wężyka wymyślić mogło.

Któżby w téj odpowiedzi poznał to samo towarzystwo, co w kilka lat późniéj, tak głęboko przejąwszy się powołaniem swojém, tak wielkie zasługi położyło w literaturze naszéj, zajaśniało wieńcem tak świetnych imion i stało się zaszczytem czasu swojego!

Widzę jednak, żem się już nadto rozpisał, mówiąc o prawidłach wydobytych ze wzorów, z sztuki przeszłéj, i niby z tego, co już jest na placu, bo znajdziesz inny jeszcze rodzaj prawodawców powyższym tak zupełnie przeciwny, jak ogień wodzie. Ci bowiem wpa-

dają w odwrótną zupełnie zasadę, zarzucając wszelkie wzory poprzednie i prawidła z nich płynące. Co przed nimi stworzyły wieki, nie ma żadnéj u nich powagi, nie chcą widzieć wielkich dzieł sztuki, któremi geniusze całéj przeszłości uposażyły świat; chcą z gołego rozumowania, z pojęć abstrakcyjnych wysnuć ustawy stałe i niezmienne dla sztuk pięknych. Rzecz jasna, iż trzymając się w sferze czystego i abstrakcyjnego rozumu, stanowić mogą jedynie zasady ogólne, nie wdając się wcale w szczegóły. Bo proszę cię, jakim tu sposobem z ogólnego rozumowania wywieść, ile aktów ma mieć tragedya ?.... dla czego nie jeden tylko, dla czego nie sześć lub więcéj? albo jak ze samych pojęć rozumowych wskazać warunki doskonałego obrazu lub rzeźby? A mówiąc takim ogólnym trybem o kolumnach w architekturze, uczyć oni cię będą, aby one ani zbyt cienkie, ani zbyt grube nie były; powiedzą nawet, jakie wrażenieby uczyniły popełnione w tym rodzaju błędy, ale ci nie oznaczą w liczbach stosunku grubości kolumn do ich wysokości, bo jakżeby z rozumowania samego taka dokładność wypłynąć mogła? W takowe szczegółowe objaśnienia nasi teoretycy nie wdają się wcale; dla tego ich zdania o dziełach sztuki są zupełnie ogólne, są to formuły i pewniki. Im nie chodzi bynajmniéj o to, aby wykazać prawdę zamkniętą w jakiém dziele sztuki pięknéj, ani nawet określić, czém ta prawda jest w sztuce, bo uważają jedynie, czém jest prawda sama w sobie wzięta. I nie przeczę, że rozumowanie takowe może być bardzo prawdziwe, ale do celu nie prowadzi, bo zastosowania nie ma. Podobnie można być wielkim teoretykiem prawa, znać doskonale historyą prawodawstwa

wszystkich narodów cywilizowanych, i przesiąknąć prawem rzymskiém, jak genialny Savigny w Berlinie, rozumować nad ustawami jak Montesquieu, a przecież nie umieć jeszcze napisać pozwu, lub poradzić sobie w najzwyczajniejszym wypadku. Nie przyjąłbyś zapewne obiadu zgotowanego na najpewniejszych zasadach chemii, a nawet wedle najdoskonalszéj książki kucharskiéj przez człowieka, który nigdy w kuchni nie postał. Można być wielkim teoretykiem lekarzem, a nie wiedzieć jak sobie począć przy łóżku chorego. Niechajże ktoś pływa, jeździ na koniu lub rąbie się wedle książki, nie mając żadnéj w tym względzie wprawy!

Takowe teorye estetyczne mogą dać ogólne i trafne nawet wyobrażenie, ale odstępują nas, skoro istotnie przyjdzie wykonać dzieło sztuki, wymagającéj koniecznie wprawy i nałożenia się, a przedewszystkiem wrodzonéj twórczéj potęgi. Że teoretycy tego rodzaju tu i ówdzie u nas się plączą, poznasz ze zdań ogólnych, z ckliwych frazesów ustnych i pisanych, jeżeli chodzi o ocenienie czyli to poematu, czy posągu, muzyki, obrazu, gry scenicznéj i t. d. choć te pięknie brzmiące formuły są nawet najczęściéj bez rozumowania i oznaką czczego umysłu.

Przeczytawszy to wszystko, com ci dziś napisał, powiész, że to są dawne rzeczy, bo od wieków ludzie już wiedzą, że do sztuk pięknych potrzeba i natchnienia i prawideł, że się jedno bez drugiego nie obejdzie; i że znów prawidła, jak nie powinny opiérać się na samych tylko wzorach i obcéj powadze, bez własnéj samoistności rozumu, tak i nawzajem nie powinny być rozumowaniem gołém bez wdania się w szczegóły, nastręczo-

ne nam pracą wielkich mistrzów. Przyznaję, że to są dawne zasady wypływające już nawet z gołego rozsądku, ale cóż, kiedy w rzeczywistości widzimy, iż mało kto tego zbawiennego środka się trzyma; wszędzie i zawsze znajdziesz postępowanie wręcz mu przeciwne. Jestem przekonany, iżbyśmy mniéj mieli maroderów, pozostałych z owéj wojny mniemanych klassyków i tak zwanych romantyków, gdyby sobie jakoś do serca wzięto te pojęcia z samego wynikające rozsądku. Małoż to jest ludzi rozumiejących, iż byle przypatrzyć się jak inni robią, nabyć wprawy, potém już można samemu siąść do pracy; byleby schwycić na uczynku Corneliusa, gdy maluje, albo Thalberga, gdy palcami przebiera, a już można zostać wielkim malarzem, wielkim pianistą: jedno ci panowie zapomnieli, iż sztuki piękne nie są rzemiosłem, i że czego innego jeszcze wymagają jak wprawy i mechanicznego wykonania, że potrzeba uświęcenia z góry, promienia z nieba, — natchnienia.

Ale nierównie liczniejszy do dziśdnia jest naród tych, co rozumieją, iż natchnienie samo, zwłaszcza w poezyi, zupełnie wystarcza, iż się obejdzie bez wzorów, że wszelkie naukowe przygotowania są zbyteczne, że byleby wydać, co w sercu żyje i pracuje, toć już się zostaje wielkim wieszczem. Dziwnie téż to zdanie przypada do smaku tym, co sądzą, iż bez ślęczenia, jak powiadają, nad książkami, bez wielkich nauk, można być człowiekiem rozumnym, dowcipnym i bardzo przyzwoitym w świecie. Ci panowie niezmiernie się boją, by się nie stali przypadkiem, jak mówią «erudytami», coby nie było zgodném z ich powołaniem; ale niechaj się uspokoją, uczoność nikogo nie łowi, ani erudycya na

nikogo nie poluje. Nie ma tedy żadnego dla nich niebezpieczeństwa, bo muzy są to harde panie, bardzo zadzierające noska; bardzo i bardzo trzeba się o nie starać, bardzo się im zalecać, by były na kogoś łaskawe; co nie lada tam komu się zdarza. Przecież takowe zdanie ma legiony zwolenników swoich, bo cóż milszego, jak nie pracować, i młodość, jakby lazaroni jaki, spoczywając na gruzach wielkiéj przeszłości w *dolce farniente* przepędzić, wiosnę życia swojego przehuczeć szumnie bąkiem, lub przeziéwać ją na przypiecku tatusinym; a przedewszystkiém być wolnym od téj «nudnéj i niepotrzebnéj łaciny». Ludzie tacy pożywają i trawią dnie i lata żywota swojego, jak gąsienica pożywa liście i gałązki drzewa, które plugawi.

Jeżeli przyszły wieszcz nie spójrzy wstecz za siebie i nie potoczy w koło wzrokiem na świat, co go czarownym otacza wieńcem; jeżeli obojętny na prace olbrzymie przeszłych stuleciów, co niesłychaną boleścią, wśród krwawego potu, znosiły na barkach swoich ciosy do ogromnéj budowy, na któréj stanął wiek nasz; jeżeli mądrość lat tysiąców, opłacona tylu trudami i takiém pasowaniem się milionów ludzi, będzie dla niego głuchą i wymietną łupiną; jeżeli nie trawił samotnie cichych nocy sam na sam z Bogiem i książkami, gdy świat inny wyższy wylewa na prace błogosławieństwo ducha; toć iście na nic się nie zda i natchnienie i zdolność, jakie z urodzenia może otrzymał. Bo gdy w duszy głucho i pusto, gdy rozum, w sobie biédny, nie wyrobił sił z siebie, toć i nie będzie prawdziwego natchnienia ale odurzenie szału; talent będzie się zataczał nie umiejąc panować nad sobą, ani o swéj mocy

nie stanie, bo z ducha bez treści żaden się téż wątek nie wysnuje.

Mylą się ci, co fundując się w zupełności na swym zapale, na owém tajemniczém miotaniu się ducha, rozumieją, iż to, co w nich robi, prze, już ich do sztuki uświęca, i byleby iskra talentu zaświeciła w człowieku wewnętrznym, już zajmie sobą całego ducha i buchnie płomieniem geniuszu. Wszak Göthe tak słusznie wyrzekł: «Sztuka jest sztuką! kto jéj nie przeniknął do dna myślą, nie będzie nigdy mistrzem!»

Gdy w nowéj Europie poezya stargała dawne swoje pęta, wtedy wezbrała i zerwawszy brzegi swoje, rozlała się széroko i rozswawoliła się do woli, nim znów wróciła do karbów prawdziwéj piękności. U nas to nieco póżniéj nastąpiło, ba! ta epoka się u nas dziś jeszcze niezupełnie skończyła. Tu i ówdzie widzimy jakieś pieśni, poezye, pełne surowizny uczuć i myśli, wichrem szału oderwane od ziemi, co podrzeźniając wielkiemu przykładowi, unoszą się niby nad rzeczywistością, a choć same z siebie nie mają polotu, przecież same nazywają się orłami; zaiste są to orły, papiérowe latawce, uwiązane na sznurku i puszczone z wiatrem ręką dziecka z fary. Im więcéj nieładu w myślach, im więcéj sprzeczności, im mniéj rozsądku, tém niby mocniejszy zapał i szał. Lada kto woła: *est Deus in Nobis,* ale tym *Deus,* tém bóstwem dającém mu natchnienie nie jest zaprawdę Apollo, ale niższy jakiś bożek.— Rzekłbyś bowiem, czytając takie płody, iż tym panom wieszczom krynica kastalska na Węgrach płynie, i że to natchnienie ich jest natchnieniem greckich Bachantek, nie laurowym ustrojonych wieńcem.

Powiedzą mi może, iż praca nad umiejętnością i czytaniem autorów odebrałaby im właściwe ich piętno i mogłaby zatracić indywidualność, odznaczającą ich od innych; jeżeli jednak ta indywidualność charakteru ma jakąś wartość, toć też nie zaginie i nie utonie w pracy, ale zawsze na wiérzch wypłynie; a jeżeli przeciwnie, nie obroni się obcym wpływom i przewadze wielkich wzorów, toć niechaj jéj nie żałują, boć zaiste nie ważyła wiele, a szkoda niezbyt bolesna. Cóżby sądzili o wartości moralnéj jakiéj pani, niechcącéj bywać w świecie, by nie naraziła słusznie *reputacyi* swojéj?

Jednym z główuych warunków każdego artysty jest ukształcenie naukowe. A im wyraźniéj duch w sztuce jakiéj z siebie się rozwija, im jaśniéj wyświéca istotę swoją wewnętrzną, tém bogaciéj naukami uposażony być winien. Tak muzyka jest właśnie tą sztuką, w któréj on najmniéj jasno o sobie przemawia; w niéj jakby hieroglifami tonów za mgłą jeszcze i pod zagadką uczucia swe rodzi; dla tego téż sztuka ta mniéj niż wszystkie inne wymaga udoskonalenia umysłowego; z téj przyczyny téż ona już w młodym wieku może być do wysokiego stopnia doprowadzona, gdy władze rozumowe zamknięte są jeszcze w pączku. Wszak widujemy nawet ludzi z miernemi zdolnościami dowcipu, a jednak odznaczających się mistrzowstwem w muzyce.

Ale architekt, co patrząc się na wielkie pomniki świata, przez nie niby wgląda w serce wieków i narodów; ale rzeźbiarz, do którego marmurowe bohatéry i bogi o piękności przemawiają, nie obejdą się bez nauki. I malarz, choćby był niepospolitego talentu, bez wiadomości i nauk utworzy jedynie idealizowane kopie na-

tury, a najwyższego kwiatu swéj sztuki, bo malarstwa historycznego i religijnego, nigdy nie osiągnie. A cóż dopiéro powiedzieć o poezyi używającéj nie tonów, nie marmurów lub barwy, ale najduchowniejszego narzędzia, bo mowy, do wyrażenia tego, co wre i kipi w duchu!

Atoli o wszystkich pierwiastkach i potęgach, które się znaleźć winny w mistrzu, we wieszczu, mówić będziemy w osobnych listach, w których téż ten przedmiot tak ważny dokładniéj rozbierzemy. Tutaj powtórzmy sobie wypadki ostateczne niniejszego listu naszego. Zaiste gołe prawidła, czyli one będą czerpane z wielkich wzorów przeszłości, czyli będą wprost wyrozumowane z zasad filozoficznych, będą tak niedostateczne jak usposobienie przyrodzone, jeżeli nie będzie wykształcone zapatrywaniem się na dzieła sztuki, które nam po zmarłych wiekach zostawili arcymistrze piękności. A przedewszystkiém zdaje się być potrzebą, zwłaszcza u nas konieczną, aby zwrócić uwagę młodych artystów i uczniów, by nie ważyli sobie lekce udoskonalenia rozumowego, co z prac naukowych płynie; umiejętności niechaj będą piérwszą jego geniuszu kąpielą; gdy się na nich wyrobi, zaprawi, uszlachetni, już i silnie urosną skrzydła natchnienia jego. Gdy pozna, co się wielkiego na Ziemi i na Niebie święci, gdy przeczuje, co na dnie ogromnych wydarzeń tętni i żyje, gdy zawsze pozna godzinę na wielkim zegarze świata, a przybytek myśli jego zbogaci się całą treścią wieków; wtedy, jeżeli istotnie przeznaczony na wieszcza, przyjdzie chwila, co jakby grom Boży spadnie na duch jego, i tam tysiące świateł na chwałę Nieba zapali.



LIST IV.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyalnego nad duchem.— Sztuka nie jest kopiowaniem natury.—Wielkie dzieła natury, Tatry.—Stosunek rzetelny sztuki do natury.— Dwa pierwiastki koniecznie objęte w każdém dziele sztuki.— Różnica między prawdziwemi dziełami sztuki, a dziełem będącém naśladowaniem natury.— Wrażenie, jakie te ostatnie na nas czynią.— Zofiówka — figury woskowe, udawanie zwierząt.— Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebierania w dziełach sztuki.— Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukrytą dla sztuki.— Przykłady—Przestrzeń niebios.— Puszcze piérwotne i ich cuda.— Natura przedpotopowa.— Piękność natury i piękność sztuki.— Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie téj natury jest ogromnéj wagi dla ducha człowieka.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowém.

W Grudniu 1841.

Znów tedy wróciła zima, owa stara niańka północy, by naturę znękaną skwarem i wysileniem lata po dawnemu ukołychać do nocnego spoczynku; pokryła ją czarnych chmur namiotem i, niby prawiąc jéj czarodziejskie Arabii powieści, obsypała smutne drzewa, jakby kwiatem grudniowym, srébrną bielą szronu; ich kity wysadziła całém bogactwem wschodnich klejnotów, dając im za tło ciemne nasze niebo, by tém piękniéj błyszczały i za-

grały brylantem w mroźném słońcu naszém. Bając nam żarty o wiośnie, rysuje na szybach okien gałązki, gaje, tak dziwnéj, czarownéj i drwiącéj postaci, jakby widma powojów i palm amerykańskiéj puszczy—z innego świata goście. Na miejsce dnia życia, nastąpiło państwo martwe kryształów i ślepych żywiołów walka; a kiedy noc roztoczy się królestwem swojém, już téż wtedy zima w całéj swéj poezyi; jakby sny śpiącéj natury ciągną się po ziemi i plątają różnokształtne mary bałamutnéj mgły; wszystko śni i drzémie; niebo samo tém jaśniéj czuwa i tak świetnie, tak pilnie gwiazdami swojemi na nas patrzy, iżbyś rzekł, że to oczy wielkich ludzi z dawnych lat, co z wiekuistości na Ziemię poglądają i onéj strzegą.

Im ciszéj atoli w około nas, im samotniéj w naturze, im w głębszém uśpieniu świat fizyczny, tém potężniéj budzi się życie wewnętrznego człowieka: świat duchowy, wycofnąwszy się z zewnątrz w siebie, jakby w ognisku gromadzi wszystkie promienie swéj potęgi, aż rozgoreje w sobie i cichym płomieniem myśli zaświéci.

Im silniéj się duch wzmoże, tém już słabsze ma nad nim świat zmysłowy panowanie. War namiętności traci siły przy jasném przebudzeniu się rozumu. I ludy bowiem dzikie, idioty i dzieci, powodowane jedynie naturą zwierzęcą, stoją jakby w kole zaczarowaném zmysłów, oddane na oślep ich przemocy; sam tylko wzrost i ukształcenie umysłu zdoła zaklnąć te czary, i usamowolnić człowieka z pod ich władzy. Człowiek natury tak jest obrzydliwym, jak człowiek zepsuty; tamten idzie wprost za jéj chucią, ten ją przekręca i majaczy.

Peszeres maluczkiego ducha, mieszkający jakby wygnaniec świata na szarym końcu Ameryki, tak jest przerażającym i smętnym widokiem, jak paryżanin z czasów Regencyi; tamten niby sfinx zagadkowy natury, na poły zwiérzem, nie przeczuwa nawet jeszcze wysokiéj zacności człowieka, ten ją już zapomniał, przemarnił i w karykaturę obrócił. Ani stan dziki natury, ani stan zepsucia, choć tak różne są od siebie, nie sprzyjają bynajmniéj rozwojowi sztuki pięknéj.

Są przecież w dziejach ludzkich czasy, w których sztuka jest tylko naśladowaniem natury i prostém jéj kopiowaniem. To zjawisko miewa atoli różne powody w ludzkiéj historyi. Najczęściéj rodziło się w epokach wolnych wprawdzie już od pierwotnéj dzikości, w których wszelako życie duchowe, wewnętrzne, idealne mniéj było rozwinięte, a natomiast życie zmysłowe, zewnętrzne, praktyczne przeważało w świecie; w takich czasach nastaje definicya, że sztuka piękna jest naśladowaniem natury. Jakoż po dziś dzień tu i ówdzie ta definicya uchodzi jeszcze za prawdziwą, lecz już z innych powodów; bo jeżeli w najnowszych czasach odzywają się głosy, nakazujące artystom kopiować naturę, toć to poszło stąd, że zaledwie przeminęła epoka, w któréj sztuka, poniewierając formami natury i zdrowym rozsądkiem, paczyła czyste formy piękności. Nie dziw tedy, że świat, ze wstrętem odwracając się od tych gwałtów dokonanych w państwie sztuki, rzucił się w objęcie przyrody i jéj się zupełnie powierzył. Tak przeto upowszechniło się zdanie, jakoby najwyższą zaletą artysty było naśladowanie natury. Lubo zaś one czasy jałowych form przeminęły, zostało przecież to zdanie; przechodzi z ust do ust, mając obieg

między ludźmi, jak owa stara wytarta moneta, co choć już bez wewnętrznéj wartości swojéj, ma przecież jeszcze wiarę nałogową ludu, boć się jéj mało kto bliżéj przypatrzył.

Już nawet z ostatnich dwóch listów moich wypływa, iż sztuka, będąc najpiękniejszym kwiatem samodzielnego ducha, z głębi istoty naszéj wyrasta, musi tedy być czémś więcéj, niż prostém puszczeniem się śladem natury. Przecież mniemanie takowe ma tak licznych stronników swoich, iż mi pozwolić zechcesz, abym nieco obszerniéj tę całą rzecz rozebrał. Jakoż jasne porozumienie się wzajemne, co do pojmowania stosunku sztuki do Natury, jest najważniejszym warunkiem całego dalszego wątku naszego.

Nikt nie przeczy, iż sztuka piękna była nauczycielką ludów i karmicielą wysokich myśli i uczuć prawdziwie człowieczych; gdyby tedy ona była prostém natury naśladowaniem, rzecz jawna, iżby same dzieła natury były potężniejszym środkiem do tego celu, niż dzieła sztuki. Na cóż byśmy więc mieli tworzyć z całym mozołem i poświęceniem naszém to, co już przyroda sama tak sutą, tak wielką odmierzyła nam miarą. Czyliż mogłaby już praca być mniéj pożyteczna i mniéj potrzebna?

Odwiedźno te nasze Tatry, zapuść się w serce tych olbrzymich grodów natury, a wnet odstąpią myśli porównywające sztukę i przyrodę. Pożegnaj społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinie, porzuć sioła i kołyszące się błogosławieństwem zbożne łany, a wstąp na ostrze Łomnickiéj iglicy, na najwyższy szczyt Krępaku, wspinając się po piętrach coraz wznioślejszych, przedrzyj się przez wszystkie szczeble coraz biédniej-

széj, coraz niższéj roślinności. Przebywszy bory ciemnéj sosny, wyżéj dosięgnij krzewów karłowatéj brzozy, wyżéj jeszcze granice najwznioślejszych polan, zostaw następnie pod sobą państwo czarnéj kosodrzewiny o rozkręconych warkoczach, następnie ostatnie smugi traw zielonych, a staniesz w smutnéj ojczyznie gładkich i suchych mchów i pierwotnych porostów, kędy poczyna się grobowe samowładztwo martwego kamienia. Wkoło dźwigają się stos na stosie gruzy ogromnych bałwanów granitowych—głuchego zniszczenia obraz. Roztworzą ci się zewsząd niby ulice, niby labiryntne budowania, place i ściany roztrzęsionego miasta Gigantów, a wszędzie cisza śmiertelna, jakby u grobu natury. Ni tu kwiatek zabłyśnie, ni listek zaszeleści, wszelki głos tu zamarł i został gdzieś w głębi. Od czasu do czasu tylko usłyszysz martwy i trupi łoskot; jest to skała granitowa, co, urwawszy się z posady swéj, w podskoki szalone podbijając się niby rykoszetem, coraz chyżéj pędzi, i warcząc przepada w otchłaniach; porywa w swym polocie do okropnéj podróży tłumy skalnych ułomów, góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumionym grzmotem — i znów ucichła. Znowu natura w koło oniemiała, a ta cisza, niby zimną ręką śmierci, okryła serce; bo to milczenie głębokie straszniejsze niż głos grożących piorunów na ziemi. Spinaj się wyżéj a wyżéj po urwiskach stérczących i stromych upłazach, aż cię kołem obstąpią, niby straszydła niebosiężne, szczyty bure Tatrów, syny innéj natury, co je zrodziła wśród mąk i cierpień ziemia nasza, i wśród wywrotów całéj świata dzielnicy. Te szczyty zrosłe u dołu kotliną czarną, pokryte śniegów płachtą niby

koszulą śmiertelną, bo tu skonanie wszelkiego żywota, i ciemno wiecznie i wiecznie zimno. Gdy po długiéj fizycznéj pracy, po twardszym jeszcze trudzie duszy, staniesz wreszcie na samém ostrzu łomnickiém, swiat nowy, dziwny i straszny obejmie cię sobą. W głębiach pod tobą przeciągają chmury i pokryły sobą ziemię całą niby morzem nieprzejrzaném, a miotane oddechem wiatru, igrają falą i wzdymają się jakby oceanu wody. Turnie stérczą z chmur, jak wyspy wśród łona powodzi.

Wrychle wiatry tu i ówdzie przedarły obłoków oponę, a po przez te szczeliny, jakby przez okna, widzisz w przepaści płatami świat zielony, roskoszny. Teraz rozstąpiły się chmury, spadła zasłona ze sceny stworzenia, a już jakby mappą na dnie otchłani roztaczają się całe kraje, narzucone tkanicą, srebrną siatką rzek; zdala, na rąbku północnym widokręgu, świéci się stary Kraków nasz. Kréchy ciemniejsze, tu i owdzie rozsypane, znaczą porozrzucane szmatami bory, a w kropki i plamki bezkształtne spłynęły mieszkania ludzi, sioła i miasta. Wszystko w głębi pozostało, i życie ludzi, i ok morskich gromady, i kosodrzewiny, i zwierzęta i rośliny, i trop dzikiéj kozy i gniazda tatrzańskich orłów, i wszystko przepadło w toni głębokiéj, przepadło życie i śmierć, radość i żal, śmiéchy i westchnienia. Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim; sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły cię sobą; tam Ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezdno błękitów niebiańskich. Dech wiekuistości powiéwa ochłodą, a przeczucie nieśmiertelnéj istoty twéj wzmaga się w piersiach, i tysiączne, dotychczas drzémiące w duszy, głosy budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tu-

teczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, — niby wieki całe rozdzielają cię od dnia wczorajszego. Zdaje ci się tutaj, jakbyś już przebył chwilę skonania twego i odprawił już tę najcięższą i ostatnią pracę, i jakbyś tu teraz ocucił się z długiego snu grobowego, i przez wspomnień srzężogę patrzał się na lata twoje upłynione na ziemi, co jéno słabo jeszcze brzmią w sercu niby głosy dalekiéj muzyki. Wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad Ziemią, niby dymy ofiarnych kadzideł; posyła je świat ku Niebu jako modlitwy dziękczynienia i zrękowiny swoje z Bogiem.

Mamyż się jeszcze w myśli postawić na śniéżnych czubach wiekuistéj Himalai, czy na lodowych Andów lub Alpów rogalu? kędy atmosfera rzadka, misterna, niezafarbowana więcéj błękitną barwą, ale gdzie na miejsce lazurów niebiańskich już czarny i ciemny eter rozpostarł się na oném przestworzu wiekuistém świata, a twarz słońca i gwiazdy wszystkie palą się czerwonym ogniem?

Jeżeli człowiek, zapomniawszy o wątłych siłach swoich cielesnych, pracowaniem fizyczném zechce się mierzyć z olbrzymią potęgą natury, już też stanie się podobnym do owych nieszczęśliwych podupadłych na rozumie i wystawionych tak po mistrzowsku w onym obrazku Hogartha, kędy biédak jeden, marząc na jawie i położywszy sobie szpargał starych nót na głowie, rozumie że jest wielkim kompozytorem. Tam znów drugi, w łzawym obłędzie, zamknięty w ciasnéj ciemnicy, nagi, drżący od zimna, wyschły w szkielet, przykuty łańcuchem, siedząc na garści słomy, trzyma patyk w ręku, a opasał

sobie zwiędłe czoło papiérem, marzy że jest królem, cesarzem, i żąda poszanowania i czci.

Tak się też dzieje, jeżeli sztuka wypuści z pamięci prawdziwe powołanie swoje, i jeżeli się pokusi pracowaniem cielesném naśladować naturę, zawsze w takich razach spaczy się w sobie i skręci. Jeżeli zaś sztuka pamiętać będzie, że jest pierworodną ducha córą, że ona z nadgwiazdnych światów ród swój wiedzie, jeżeli rozgoreje zacném uznaniem siebie, już wtedy urośnie w olbrzyma, przerośnie naturę i wszelkie jéj sprawy. Bo zaprawdę, drogi przyjacielu mój, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z ducha płynące. Zaiste, wysokie są Alpów i Tatrów przyczoła, ale wyżéj sięgają zacne człowieka sprawy. Gwiazdy goreją chwałą Boga na Niebie, ale piękniejszą Jego chwałą są czyny wielkich ludzi na Ziemi; wszak te jak i tamte z łaski Bożéj się dzieją. Bóg promieniem swéj wiekuistéj mądrości, przeświecając świat materyi, zapala go życiem jestestw milionów; ale gdy przejmie sobą ono najwyższe i ostatnie dzieło swoje, bo ducha człowieczego, wtedy już promień światłości Jego, jakby słońce przez pryzma kryształowe puszczone, zajaśnieje złotemi barwami tęczy, i odradza się w duchu człowieka nową wspaniałością, bo zaświéci *wiarą, pięknością i mądrością.* Co człowiek zacnego i wielkiego sprawi, sprawi to błogosławieństwem nieba.

Przedewszystkiém atoli chciéj rzucić okiem na istotę sztuki i istotę natury, a już stosunek ich wzajemny i ich różnice na jaw wystąpią. Jeżeli bowiem sztuki piękne są myślą i córami ducha naszego, wcielonego w materyą, już jasno znać, iż świat fizyczny dostarczać

winien sztuce osnowy swojéj, i niby materyalnéj przyodziéwy. Pożycza on jéj dźwięku, tonów, marmurów, ciosów, metalów, barwy, a nadewszystko pożycza kształtów jestestw przyrodzonych, zjawisk i scen swoich; a sztuka, używszy tych materyałów, występuje z dziełami architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki i poezyi. Temu przeczyć nie można, ale tę prawdę wzięto mylnie za drugą i pomieszano ją z zasadą, jakoby sztuka piękna naśladowała naturę. Bo co innego zupełnie jest wyjawiać pracę duchową sposobem zmysłowym, a co innego brać sobie za wzór ostateczny jestestwa w naturze istniejące. Co więcéj, jeżeli mowa w sztuce o naśladowaniu natury, tedy można mieć tylko na oku rzeźbę i malarstwo; bo te niby pożyczają sobie kształtów z natury tworząc kształty ludzkie i zwierzęce, okolice, knieje i wody, niebo i skały, chociaż i tutaj posąg i obraz jest czémś więcéj niż gołém naśladowaniem natury, jak obaczymy poniżéj. Ale jakże zrozumieć, iż architektura i muzyka naśladuje naturę? czémże mają być te nasze grody i tumy, ich sklepienia wsparte na słupach gotyckich; czyliż, jak niektórzy rozumieją, przypominać one mają puszcze i święte gaje, owe piérwsze przybytki dzikiéj Europy? — Bądź pewien, że one były jakby gąbką wymazane z ludzkiéj pamięci w czasie, gdy stawiono Mynster strasburski lub nasz kościół Maryacki. Jakiż głosy w naturze ma naśladować muzyka? czyliż ona udaje może wichru gawory w drzewach, ptaków szczebiotanie, lub ryk rozhukanych bałwanów? — sam wiész, jak dziecinne i małéj wartości są te kompozycye, co to tonami udają to bitwy z hukiem dział, to burze z piorunami, grzmotami, dészczem i innym przydatkiem.

tury, a najwyższego kwiatu swéj sztuki, bo malarstwa historycznego i religijnego, nigdy nie osiągnie. A cóż dopiéro powiedzieć o poezyi używającéj nie tonów, nie marmurów lub barwy, ale najduchowniejszego narzędzia, bo mowy, do wyrażenia tego, co wre i kipi w duchu!

Atoli o wszystkich pierwiastkach i potęgach, które się znaleźć winny w mistrzu, we wieszczu, mówić będziemy w osobnych listach, w których téż ten przedmiot tak ważny dokładniéj rozbierzemy. Tutaj powtórzmy sobie wypadki ostateczne niniejszego listu naszego. Zaiste gołe prawidła, czyli one będą czerpane z wielkich wzorów przeszłości, czyli będą wprost wyrozumowane z zasad filozoficznych, będą tak niedostateczne jak usposobienie przyrodzone, jeżeli nie będzie wykształcone zapatrywaniem się na dzieła sztuki, które nam po zmarłych wiekach zostawili arcymistrze piękności. A przedewszystkiém zdaje się być potrzebą, zwłaszcza u nas konieczną, aby zwrócić uwagę młodych artystów i uczniów, by nie ważyli sobie lekce udoskonalenia rozumowego, co z prac naukowych płynie; umiejętności niechaj będą piérwszą jego geniuszu kąpielą; gdy się na nich wyrobi, zaprawi, uszlachetni, już i silnie urosną skrzydła natchnienia jego. Gdy pozna, co się wielkiego na Ziemi i na Niebie święci, gdy przeczuje, co na dnie ogromnych wydarzeń tętni i żyje, gdy zawsze pozna godzinę na wielkim zegarze świata, a przybytek myśli jego zbogaci się całą treścią wieków; wtedy, jeżeli istotnie przeznaczony na wieszcza, przyjdzie chwila, co jakby grom Boży spadnie na duch jego, i tam tysiące świateł na chwałę Nieba zapali.



LIST IV.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyalnego nad duchem.— Sztuka nie jest kopiowaniem natury.—Wielkie dzieła natury, Tatry.—Stosunek rzetelny sztuki do natury.— Dwa pierwiastki koniecznie objęte w każdém dziele sztuki.— Różnica między prawdziwemi dziełami sztuki, a dziełem będącém naśladowaniem natury.— Wrażenie, jakie te ostatnie na nas czynią.— Zofiówka — figury woskowe, udawanie zwierząt.— Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebierania w dziełach sztuki.— Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukrytą dla sztuki.— Przykłady—Przestrzeń niebios.— Puszcze piérwotne i ich cuda.— Natura przedpotopowa.— Piękność natury i piękność sztuki.— Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie téj natury jest ogromnéj wagi dla ducha człowieka.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowém.

W Grudniu 1841.

Znów tedy wróciła zima, owa stara niańka północy, by naturę znękaną skwarem i wysileniem lata po dawnemu ukołychać do nocnego spoczynku; pokryła ją czarnych chmur namiotem i, niby prawiąc jéj czarodziejskie Arabii powieści, obsypała smutne drzewa, jakby kwiatem grudniowym, srébrną bielą szronu; ich kity wysadziła całém bogactwem wschodnich klejnotów, dając im za tło ciemne nasze niebo, by tém piękniéj błyszczały i za-

innych świetnych talentów; tak maluje nasz *Głowacki* Tatry. Dzieła ich tém się różnią od prac mających li za cel wierne oddanie natury, iż jak te są prosto widokiem okolic *(vue—veduta),* tamte raczéj są widokiem w duchu samego mistrza. Patrząc się na widoki malowane, zajmuje nas nie mistrz ale rzecz, ale przedmiot, to jest okolica, którą obraz wystawia, i najczęściéj nie pytamy wcale o malarza; w onych zaś dziełach mistrzów mniéj, albo wcale nie zajmuje nas przedmiot, bo obraz wyobrażać może kilka biédnych krzaków, potok z mostkiem i kilka krów, ale podziwiamy mistrza.

Podobnie widzieć możemy najpyszniejsze wydanie historyi naturalnéj z wybornemi wizerunkami zwierząt, ptaków, kwiatów; te wizerunki będą nas o tyle obchodziły, o ile wiernie naśladują naturę, o ile nas ta natura sama zajmuje, a w robocie chwalić może będziemy czystość i dokładność technicznego wykonania. Ale gdy ci *Hondekoeter* lub *Snyders* maluje zwierzęta i ptastwo, gdy staniesz przed malowanemi kwiatami *Jana Breughel* lub *Racheli Ruysch*, porwany będziesz nie już przedmiotami, które ci mistrz przedstawia i ich treścią, ale genialnością jego. Powód tego bardzo jasny, bo obrazy w historyi naturalnéj i one widoki rzeczywistych okolic mają za cel jedyny oddać ci naturę jaką jest, więc też ona tutaj jest przedmiotem, który cię głównie zajmuje; a odwrotnie *Poussin, Claude Lorrain, Hondekoeter*, roztwierając ci tajniki własnego ducha swojego, używają tylko natury za środek, za kanwę. Tu nie chodzi o treść, ale o sztukę mistrzów wyjawiającą się tym przedmiotem. Dla tego téż ich roboty do sztuki pięknéj należą; obrazki zaś w historyi naturalnéj i widoki

nie należą do dzieł sztuki, są one tylko pomocą dla nauk, nie są pojmowaniem natury artystyczném, ale naukowém, prozaiczném.

Kto zrozumieć nie może, co to jest pojmowanie artystyczne natury i jak wielka różnica między poetyczném a prozaiczném zapatrywaniem się na okolice, niechaj tylko się zakocha, a iście zaraz pozna różnicę tę; natura nagle się dla niego przeobrazi, uduchowni. Wszędzie, gdzie kochanie swoje widywał, gdzie miłość jego chodziła i natura się zmieni i odzieje się światłem i barwą duszy jego; jakże mu będą gaworzyć drzewa, rozmawiać potoki, świecić niebo, a krzak każdy, drzewo każde odzieje się poezyą; świat w około ożywi się «lekkim gnomów i sylfidów narodem; zrozumie ptaków pogadanki, mienienie się złotych promieni w liściach zielonych, zgadnie postacie fantastyczne obłoków, podsłucha cichy sen księżyca drzémiącego na pagórach», będzie miał oczy i uczucia artysty. A kto tego wszystkiego sam jeszcze nie doświadczył, niechaj tymczasem, nim na niego kréska przyjdzie, przeczyta, jeżeli może, owe tęsknoty pisane i drukowane młodych naszych poetów, z których jeden radby być wazonikiem na *jéj* oknie, drugi w ciekawéj miłości firanką u *jéj* łóżka, a trzeci jakimś bladym promieniem księżyca na *jéj* podłodze, lub kanarkiem w klatce, i Bóg wié nie czém.

Jeżeli nie może być powołaniem sztuki, aby była kopią natury, wypływa z tego, iż wszelkie udawanie natury trąci śmiésznością i wzbudza wstręt i obrzydzenie. Do czego zaś kuszenie się takowe i podrzeźnianie natury prowadzi, już to najlepiéj poznasz nie tak z dzieł sztuki, jak z innych prac ludzkich, mających istotnie

udawanie natury na celu. Dość ci będzie przypomnieć one skały na taczkach zwiezione, one groty wysadzone muszlami, i kaskady sztuczne, jeziora, któremi to niby zdobili ogrody swoje, a podobno, jak słychać, jeszcze tam gdzieś zdobią. Podrzeźnianie takowe natury jest zawsze ckliwe i zdradza wielkie barbarzyństwo myśli; bo jeżeli roboty takie są drobiazgowe, wzbudzić mogą uśmiech; jeżeli poczynione na wielką stopę, wzniecają wstręt, nie wyjąwszy Zofijówki, tak Trembeckiego zachwycającéj; bo czy małe, czy wielkie są takowe dzieła, brakuje im właśnie tego, coby ich urok stanowiło, to jest, iż są dziełem rąk ludzkich, a nie natury. Lecz co więcéj, im bardziéj się zbliży dzieło człowieka do natury, im ją wierniéj kopiować zdoła, tém téż przykrzejsze będzie wrażenie, jakie sprawi na umyśle naszym. Wizerunki i portrety, trafione z najdokładniejszą wiernością, są nawet obrzydliwe w tém podobieństwie swojém.

Wstąp do galeryi choćby najwyborniejszych figur woskowych, a znajdziesz tu wypukłości form jak w rzeźbie, i barwy rozmaitość jak w malarstwie; obie te sztuki są tutaj zjednoczone, a przecież obie razem zrodziły tylko ironią życia i śmierci: są to drwiny z umarłych i z żywych zarazem. Czém one są istotnie, najtrafniéj poznasz, przypatrując się wrażeniom, jakie czynią na dzieciach i osobach mniéj nawykłych do podobnych widowisk. Z jakąż nieśmiałością, z jakiémże skrępowaniem duszy i wyrazów przypatrują się tym sławnym politykom, wodzom, autorom i rozbojnikom; widzowie znajdują się jakby pod wpływem nocnéj zmory. Rzekłbyś, iż tu upiory różnych narodów i wieków zbiegły

się na jakieś sejmy swoje. Nie jest też milszy on szereg konnych królów angielskich ustawionych w korytarzu Toweru, lub ona woskowa królowa Elżbieta, przechowywana w szklanych kuferkach po różnych miejscach Londynu, lub kurfirszty saskie w zbrojowni drezdeńskiéj; lecz te wszystkie mają przecież jeszcze znaczenie pamiątki; czém inném także są preparaty anatomiczne z wosku, bo tu nie chodzi o piękność, o estetyczność, ale o naukę będącą głównym ich celem.

Może w téj chwili przychodzą ci na myśl owe figury drewniane średniowiekowego snycerstwa a pomalowane barwami, i przypominasz mi może arcydzieło naszego Wita Stwosza na wielkim ołtarzu maryjackiego kościoła w mieście naszém, co również łączy snycerstwo z malarstwem, a przecież nietylko nie wzbudza wstrętu, ale jest najwyższego wdzięku obrazem? Chętnie wyznaję, że ta grupa świętych postaci, stworzona ręką genijalnego mistrza, jest pełna najwyzszéj a rzewnéj piękności, że patrząc się na te figury, jakieś dziwne nadziemskie tchnienie idzie na lud, co tu pokoleniem po pokoleniach składał cześć Boga-Rodzicy, modląc się do niéj z serca i powierzając jéj głębokie duszy tęsknoty, boleści i nadzieje swoje. Na to chętnie się zgadzam; ale bo też jest ogromna różnica między widokiem figur woskowych a tém dziełem starego mistrza; w niém zaprawdę powiewa dech chrześcijańskiéj sztuki: lecz o téj sztuce i o téj pracy obszerniéj jeszcze powiemy w innym liście, gdy nam wypadnie bliżéj rozebrać istotę romantycznych stuleciów.

Są ludzie mający osobliwą zdolność i ochotę udawania zwierząt; naśladują np. pianie kogucie, ryk by-

dląt, miauk koci, ruchy wiéwiórki i t. d. Za piérwszą razą udawanie takie może rozśmieszyć, ale później stanie się ckliwém. Dla tego póki będziesz naprzykład przypisywał istotnie pianie kogutowi, głos ten nie będzie miał nic w sobie przykrego, skoro się atoli przekonasz, iż to człowiek pieje a nie kur, wnet sprzykrzysz sobie te sztuki i zechcesz się czém rychléj uwolnić z ich sąsiedztwa. Dla czego widok małpy i jéj obyczajów taki sprawia nam wstręt, którego do innych zwierząt nie czujemy wcale? oto właśnie dla tego, iż ciało małpy przypomina człowieka, gdy tymczasem dusza jéj jest zwierzęca w całéj bezecności swojéj, jest to wydrzeźnianie i paskwil na naturę ludzką. Nie dziw iż genialny Retsch, rysując scenę do Mackbetha Shakspearowego, użył małpich postaci do maszkarów szatańskich. Kto zechce mieć wierną kopią natury, może tego dokazać prostą technicznością bezduszną; niechaj sobie zdejmie maskę gipsową z umarłego lub z żywego człowieka podającego się téj operacyi; może go téż chemia zastąpić, niech tylko daguerrotyp nadstawi naturze, a złowi ją żywcem jakby rybę w saku. Wiész dobrze, iż po wynalezieniu téj machiny, tak bogatéj w skutki, byli tacy, co obaczywszy mikroskopową dokładność jéj płodów, już radzi byli zaśpiéwać wieczne odpocznienie malarstwu, nie zważając właśnie, iż daguerrotyp zabił tylko kopiistów a nie istotnych malarzy, jak wynalazek druku zabił przepisywaczów a nie autorów.

Najtrafniejszy wizerunek jakiejś twarzy, wymuskany z największą dokładnością i pracą, z udaniem każdego włoska, nieskończenie mniejszą ma wartość, jak kilka zarysów wielkiego mistrza, pociągnionych węglem

na ścianie, lub genialne skice Piotra Michałowskiego. Niedawno widziałem prześliczny zbiór rysunków Rafaela; zarysy niby z niechcenia tylko piórem i tuszem rzucone, a jednak tam widzisz improwizacyą ducha gorejącego ogniem bożym. Na jednym zwłaszcza półarkuszu jest kilka pomysłów do obrazu Madonny. Znać jak dusza mistrza natchniona rośnie, wzmaga się w sobie, każdy pomysł zradza następny, pełniejszy, bogatszy, formy coraz przejrzystsze, świętsze i wolniejsze od powłoki zmysłowéj; rzekłbyś, iż, gdy je Sanzio kreślił, słuchał pieśni niebiańskich, co na skrzydłach cherubinowych spuszczały się z gwiazd na ziemię; a były te śpiéwy coraz silniejsze, bliższe a bliższe, aż ogarnąwszy powodzią harmonii duszę jego, uniosły go z sobą ku Niebu, kędy przez rozsunioną obłoków oponę ujrzał oblicze Królowéj Nieba Boga-Rodzicy.

Tak wszędzie i zawsze znać, iż sztuka jest córą ducha, w najwyższych chwilach jestestwa jego poczętą, a nie zaś niewolnicą form narzuconych jéj od natury.— Zważ atoli, że z téj prawdy, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, bynajmniéj nie wypływa, jakoby ona mogła ważyć lekko sobie przyrodę i cały ten piękny Boży świat, co nas w koło otacza jakoby dramatem stworzenia. Wszak są rodzaje sztuki, których właśnie istota na tém zawisła, aby kształty natury zidealizować i unieść je w dziedzinę piękności. Takim rodzajem sztuki jest malarstwo i rzeźba, a nawet pod pewnym względem i poezya. Te to sztuki właśnie winny dokładnie poznać naturę, zrozumieć głębokie jéj tajemnice, pojąć jéj ruchy, życie i tętno. Bo jeżeli w sztuce prawda ma się powlekać kształtami przyrodzonemi, potrzeba téż,

żeby te formy nie były spaczone, ani kłamliwe, ale winny być rzetelne, to jest takie, jakie istotnie znajdują się w naturze. Jeżeli np. w obrazie mistrz, z braku zgłębienia natury, chybi w perspektywie, kolorycie, anatomii, w rozdzieleniu światła i cieniów i tym podobnie,— toć takowe uzmysłowienie, same błędne będąc, nie zdoła godnie odpowiedzieć prawdziwości myśli. Treść czyli myśl wewnętrzna dzieła, sztuki, samą prawdą będąc, winna téż mieć formę prawdziwą; dla tego więc mistrz, chcąc wydać myśl swoję pod formą zmysłową, znajdzie zawsze odpowiednią formę w naturze, bo jestestwa natury, jak i myśl prawdziwa, spólne mają źródło, — obie płyną z najwyższego rozumu.

Jeżeli zaś wiek jaki lub naród nie dobił się jeszcze prawdy, jeżeli nie ma jeszcze jasnéj i ukończonéj w sobie wiedzy, jeżeli sam nie jest jeszcze świadom ducha swego, wtedy téż myśli jego nie są prawdą, ale urojeniem; nie znajduje więc dla nich w świecie rzeczywistym, w naturze, form odpowiadających, ponatwarza postaci fantastycznych, dziwolężnych; świadkiem tego są owe rzeźby potworne bożyszczów indyjskich, owe wielorękie i wielogłowe poczwary, których nie ma w naturze, a które tak są kłamstwem jak jest kłamstwem myśl, którą one uzmysłowić mają. Przeciwnie u Greków, gdy myśl się wyrobiła, więc też wyrażała się we formie prawdziwéj, bo w postaci jestestw rzeczywiście istniejących w świecie, zwłaszcza w postaci człowieczéj. Inne formy zaś fantastyczne należą u nich do wyobrażeń pierwotnych i mają znaczenie symboliczne tylko.

Zechciéj zresztą zważyć, iż gdyby jedynie o naśladowanie natury chodziło, jużby było zupełnie obojętném,

jakiby był przedmiot natury do naśladowania wzięty; byleby tylko był dobrze udany, jużby téż i dzieło było doskonałe. A przecież na to się nikt nie zgodzi, owszem każdy żądać będzie, aby mistrz przebierał i, co piękniejsze w naturze, za wzór sobie uważał. Otóż w żądaniu takowém już są dwie rzeczy zamknięte, na które uwagę twoją zwracam: naprzód, żeby w takim razie wszystko od wyboru przedmiotu zależało, który może być bardzo rozmaity; powtóre, żądanie takowe zawiéra już i wyznanie, iż nie wszystko w naturze jest piękném i że tedy nie cała natura godna naśladowania; nareszcie, że i sąd o piękności przedmiotów do umysłu należy, że tedy duch człowieka w sobie ma próbiérz i miarę piękności, a tak mimowolnie już przyznana jest w sztukach wyższość ducha nad przyrodą. Jeżeli zaś człowiek w sztuce pięknéj ma wybiérać co jest najwznioślejszém w naturze, wypływałoby znowu ztąd, iżby winien być w takim stosunku do natury, aby właśnie najogromniejszą jéj stronę, najwyższą jéj potęgę w całéj świéżości jéj uroku poznać mógł. Ale rzecz zupełnie przeciwnie się ma, bo właśnie najbogatsze skarby piękności przyrodzonéj albo są z trudnością przystępne dla sztuki, albo téż na zawsze zasłonione przed śmiertelnemi oczyma ludzi. Jeden rzut oka na naturę wrychle nas o tém przekonać zdoła.

Człowiek, ciałem swém z prochu do ziemi przykuty, zdolen jedynie marzyć o przestworach niebiańskich, bez końca, początku i granic jak wieczność, kędy światów, słońc i planet tłumy bieżą niby pochodnie Boże po czarnym eterze, czerwonym jaśniejąc płomieniem. Na skrzydłach wyobraźni jedynie zdoła przelatywać to

Królestwo Niebieskie, mijać tych gwiazd oceany, póki ziemia nasza wraz z księżycem swym nie zleje się w jedną świécącą kroplę, póki zupełnie nie utonie atomem w przepaści niebios. Nie daremnie to już Plato marzył o muzyce światów, o harmonii sfer. Ale pocóż rzucać się w te myśli zawroty? albożto nasz własny planeta, owa matka ziemia, nie stroi się w klejnoty cudownego uroku, ale tak odsunione od świata i sztuki pięknéj, że tylko trafem szczęśliwym ktoś tam z Europy zabłądzi. Spojrzyjmy na one zwrótnikowe puszcze, ogromne, wiekuiste, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinnosci, wywołana potęgą wilgoci i upałów, tak tu świéża, dziewicza, silna i młoda, jak w piérwszéj chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicestwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura, niewidzianéj u nas siły, jakby kościołem Bożym obejmie cię do koła. Paprocie, znane naszéj ciemnéj i biédnéj północy jako mdłe i nikłe trawy, i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy wysmukłéj i poetycznéj formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym splotem w ciemną strzechę, co nie przebita słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłodze, a pnie drzew niby lekkie śmiałe kolumny podpierają borów strop. Tu nie ma próżnego miejsca; krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedne drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamo-

żność przyrody, w całéj mocy i uroku, cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacya tak dzielna, iż zewsząd kipi bujnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące ciżbą wiją się wężem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierzchołów na wierzchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi linami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoją. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdém drzewie jest tych kwiatów bez liczby, różnych kształtów i różnéj barwy; bo odmienne z natury swojéj pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach i, wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące niby czarem nad ziemią wzniesione. Scena ta cudownego powabu zaludniona jest gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, jakby się skąpały w złotém świetle słońca, a roje płoche różnogatunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub chuśtając się po rozwieszanych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, albo witają go pociskami gałęzi lub orzechów kokosowych; gdzieś znów z daleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia wylany jest na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wieczném natury weselem. Lecz gdy uragany się rozszaleją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszczą i ogniem

błyskawicy zajmie się niebo i zajaśnieje pożarem siarczystym, puszcza uchwycona we wichru objęcie miota się z nim, pasuje i szarpie; wtedy chmury ciężkie, czarne, pękną z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby katarakt huk. W lesie kołysanym burzą — jeszcze sucho, jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo i otworzy nawalnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drżąc do nor — powszechna trwoga, bo życie lęka się szału żywiołów, a ślepe potęgi natury są zawsze wrogiem organicznéj przyrody.

Tu, do téj czystéj krynicy stworzenia, niechaj chodzą malarze i wieszcze, by odświéżyć ducha swego w téj naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszém zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacyi, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona, niewycieńczona na siłach, bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia, przeczekawszy wieki w spokojnéj swobodzie, padają nareszcie nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń; zagrzebują je jakby w grobie gęste i stare mchy, latorośle młode i ławy grube liści, długim lat szeregiem złożone. Gdzieniegdzie tylko stérczy z ziemi konar zuchwałém ramieniem, dając znać, iż w téj dzikiéj i wolnéj przyrodzie śmierć włada. Tu jednak śmierć odradza się żywotem tysiącznych postaci, roztula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiące pieśni śpiéwaków skrzydlatych.

Ale tych cudów natury my tu w Europie nie znamy; u nas ona podeszła, zaledwie zachowała zarysy swéj dawnéj piękności, a nim cywilizacya rozłoży się w tych tam błogich stronach, już téj natury więcéj nie będzie. Nim sztuki zatkną tu panowanie swoje, wprzód rolnik zaorze ziemię, a siekiera wyprzedzi pęzel. Natura niknie przed cywilizacyą, jako przed wyższą od siebie potęgą, świat fizyczny korząc się ustępuje duchowemu; wszak i ten ma swoje kwiaty, ale kwiaty co nie więdnieją nigdy, i wieńcem niezatartéj chwały stroją skronie człowieczego rodu: temi wiecznotrwałemi kwiatami są piękności dzieła. Tak natura, dotknięta śmiertelnym ciosem od ręki człowieka, jakby konając uczy go jeszcze, by z przybytków własnych piersi swoich dobył piękności wzorów: ona umierając uczy, by dzieła jego, nieśmiertelności przekazane, nie były wizerunkiem martwym jestestw, co same są marne i przemijające.

Czyliż cała przeszłość ziemi naszéj, cała historya jéj żywota nie jest dobitną i głośną nauką, iż natura w najsilniejszym ogromie swéj wielkości obojętną jest na oko człowieka, i że ona podziwienia jego nigdy nie miała na względzie; bo właśnie gdy planeta nasz odprawiał młody wiek swój i burzył się dzikich sił potęgą, sztuka piękna nie zaznała go jeszcze.

Słuchaj, co mówią geologowie o onych lat tysiącach, co upłynęły niepowrotnie do wieczności łona; rzekłbyś, że ci plotki prawią, gdy na zasadach pewnych, na faktach niezaprzeczonych wysnuwają cały wątek przemian i wywrotów, jakie przecierpiała Ziemia, nim te części świata nasze, te twierdze lądów osiadły osta-

tecznie na węgłach swych. I księgi święte nawet wspominają o powodziach ziemię trapiących, a tak jakby pieczęcią wierzytelności potwierdziły głębokie prace, bystre badania umiejętności czasu naszego. Zapuść się w głębiny ziemi, rozświéć te jéj tajniki ukryte przed światłem dnia białego; odważ te warstwy skalne, co jakby wiekiem kamiennym późniejsze przywaliły stulecia; tu jakby w podziemnym grobowcu znajdziesz hieroglifami wypisane dawne dzieje świata: myśmy się już teraz nauczyli czytać hieroglify te. Zanurzając się w głębie ziemi patrz, jak te ławy i warstwy skalne jedne na drugich rozpostarte, niby karty kronik ziemskich, a znów po kilka lub po kilkanaście ich stanowią osobne gruppy, oddziały, niby tomy oddzielne, z których każdy do innéj wielkiéj epoki czasu należy; wody je w długim i w bardzo długim przeciągu osadziły. Te ławy skalne atoli tu i owdzie pękły, rozwarły się, zesunęły i podniosły się w górę; tam znów są pogruchotane, wykręcone, a sprawcami tych wywrotów i nieładu pokładów były massy roztopione ogniem podziemskim, co z głębin wykipiając gąszczem rozpalonym cisnęły się w górę, gruchocząc, podźwigując, rozrywając i przeginając ławy dziełem wód będące. Te massy wrzące ostygły, stężały w ciągu wieków; są to bazalty, porfiry, gnejzy, granity stérczące grodami Alpów, Tatrów i gór olbrzymich Ziemi naszéj, i stanowią jakby jéj wzrąb i wiązanie. Tak, na rozkazanie Boże, ognie i wody były budownikami kształtów ziemskich, jako je dziś widzimy, a dzieje rodzenia się ziemi są pełne boleści, okupione śmiercią całego świata jestestw żyjących. Srożenie się dzisiejszych wulkanów, trzęsienie

ziemi dające się uczuć po przez pół oceanów przestrzenie, i owe podnoszenie się lądu Szwedzkiego na ogromnéj przestrzeni od Kalmaru do Torneo odbywające się do dziś dnia pod oczyma naszemi, toć wszystko jest niby drobiazgowe porównanie z gwałtami, jakich doznał niegdyś planeta nasz przez podźwiganie się onych skał ogniowych.

Przemiany te i wywroty wszystkich kształtów lądów ziemskich, przetwarzania takowe po kilka razy się powtarzały, a była ta tragedya świata z wielu — z wielu bardzo aktów złożona. Lądy, tracąc dno pod sobą, zapadały się w głębiach, a posada oceanów wyparta, wysadzona do góry, zalewała powodzią suchę ziemską; tak lądy stały się trzonem mórz, a dna oceanów lądem i zniknęło wszystko, co było żywe. Ale gdy wody się rozbiegły, a ziemia powiewiem ciepłym wyschła, wtedy ustroiła się znów w łąki, knieje ciemne, trzciną i kwiatem dziwnego rodzaju, a na téj scenie nowi okazali się mieszkańcy nowego i dziwnego kształtu, a po grobowéj ciszy natura zabrzmiała z całych piersi nową żywota pieśnią; aż gdy znowu na nią koléj przyszła, wszystko przepadło w żywiołów zamęcie, i znów mór padł na żywot wszystek, i znów dziki szum i grzmot rozhukanego morza zagłuszył wszelki żywota głos i sobą pochłonął, a wszystko, co na suszy było, pomarło. Ale duch Boży unaszał się nad wodami, i zawarte są źródła przepaści i okna niebieskie, a zahamowany jest dészcz z Nieba i wróciły się wody z wierzchu ziemi idąc i wracając się. Nowe zaranie zajaśniało nad światem i obudziło umarłe życie, a natura znów przywołała jestestwa wszystkie do wielkiéj żywota uczty.

A jaka musiała być ta natura i to życie, już łatwo zgadniesz przypatrując się onym zabytkom w puściźnie z dawnych lat nam zostawionym, bo ona stara kośnica, ziemia nasza, pełną jest szczątków i resztek zwierząt i roślin. W głębi, do tysiąca stóp poniżéj posady morskiéj, znachodzimy w kamień obrócone kości zwierząt ssących, a nawzajem na szczytach alpejskich, na kilka tysięcy stóp wysokich, złożone są zabytki muszli, ślimaków i innych jestestw morskich. Gdy w Irlandyi znachodzą róg jeleni na 5 łokci długi, a 300 funtów ważący, Pan Ehrenberg, professor berliński, znów dowiódł drobnowidzem, iż w jednym granie trypli znajduje się 187 milionów zwierzątek mikroskopowych, które niegdyś żyły. Tak tedy cała kula była życiem hożém i pełném siły, z którém porównana dzisiejsza, choćby uważana w onych puszczach zwrótnikowych powyżéj ci wspomnianych — jest martwą i głuchą. Ale też pod wiecznymi lodowcami i nigdy nie topniejącemi śniégami podbiegunowéj trupiéj strefy, odkrywamy skamieniałe reszty organicznego świata, będące téj saméj istoty, co dzisiejsze nasze zwrotnikowe, mogące się tedy udawać tylko wśród spieków i waru ciepła. W zimnéj północy Europy i Azyi znachodzimy kości krokodylów, słoniów i lwów, mających ojczyznę swoją wśród skwarnéj strefy, gdzie nigdy nie ma zimy.

Nie mówmy, iż te cząstki spławione zostały falą oceanów, boć sposób, w jakim one pogrzebane są, jawnie świadczy, że w tych samych miejscach zginęły, kędy je znajdujemy. Weź np. one reszty palm i paproci w sąsiedztwie bieguna północnego znalezionych, a obaczysz, iż wszystkie ich cząstki, nawet najmister-

niejsze, jako kwiaty i kity, w całości zachowane są; coby przecież być nie mogło, gdyby były falą z pod równika aż pod biegun przyniesione. Z tego raczéj rośnie pewność, iż cała kula ogrzana była skwarem, ciepłem pochodzącém właśnie od tych podziemnych ogniów, co z głębi przygrzewając roślinom i zwierzętom czyniły świat do szklarni podobnym, a wilgocią nasycona atmosfera, bujna i nowa ziemia, dodawały aż do zbytku siły i przesycały sokami świat żyjący. Natura zwłaszcza kochała się w płodach dziwacznych i igrała fantastycznemi, pełnemi swawoli kształtami. Ni tu miejsce, ani czas potemu, żebym się miał nad tym światem tak osobliwym rozszerzać, pozwolisz tylko, bym ci kilka tych jestestw jakby na próbkę przedstawił; będą dostateczne, by okazać biédotę naszéj dzisiejszéj Natury w porównaniu z pierwotną jéj wielmożnością. Geologowie złożyli te zwierzęta doskonale z kości, jakby z mozajki, a genialnie wysnuli wątek ich obyczajów i naturę.

Była epoka ziemi, mówią geologowie, osobliwie obfita w płazy, a były one olbrzymie, bo z kościotrupów znać, iż miały do 100 stóp długości. Czyliż ci wspomnieć o onym ichtyosaurusie długim do 30 stóp, co to był na poły rybą, na poły jaszczurem, a łączył w sobie kształty zupełnie różnych od siebie zwierząt, bo kręgi rybie, głowę jaszczurczą, płetwy wieloryba, ogon tęgi, ogromny, w paszczy 180 zębów krokodylich, oczy tak wielkie, jak głowa męzka, a tak sztuczne, że mu do wszystkiego służyły. Gdy je ścisnął lub na wiérzch wysadził, miał z nich wyborne mikroskopy i widział co najdrobniejszego, a gdy je roztworzył, zamieniał je na te-

leskopy i dostrzegał najodleglejszych przedmiotów? Wiész, że ten ichtyosaurus zjadał spółczesnego mu towarzysza wód plesiosaurusa, podobnego jemu dziwaka: ten miał 12 stóp długości, tułów i ogon jakby u zwierza ssącego, pletwy wieloryba, zęby krokodyle; nurek to był wyborny, bo miał płuca ogromne i silne, szyję długą jak wąż, legiwał sobie znać w trzcinie nad wodą, kędy strzelał głową na wszystkie strony za mniéj silnemi zwierzętami; zaiste jednak nie dostał placu ichtyosaurusowi. Czyli może wolisz onego osobliwszego pterodaktyla, co to był pół ptaka, niby nietopérz, ale ogromnéj wielkości, a miał w paszczy 60 zębów krokodylowych, a oczy nadzwyczajnéj wielkości, bo zapewne w nocy polował, co mu to ze skrzydeł wychodziły niby palce, zakończone długiemi szponami, nogi tylne tak silne, iż złożywszy skrzydła wygodniéj na nich stać mógł, a u nóg między palcami były błony do pływania. Otóż o nim to Buckland, sławny geolog angielski, powiada, że miał wszystkie zalety szatana w Miltonie, bo mógł, gdy mu się podobało, latać po powietrzu i z niego spadać na zwierzęta, pływać po wodach i chodzić dowolnie po lądach. O tych ogromnych żółwiach, hyenach, lwach, tygrysach, słoniach i t. d., z którémi porównane nasze dzisiejsze nikną i są drobną fraszką, ani ci już wspomnę.

Lecz Natura pierwotna nie tylko w kościach skamieniałych zostawiła nam po sobie dziedzictwo, ale obwijając swoje przedpotopowe muszki i robaczki bursztynem, lub mrożąc biegunowém zimnem ciała potworów, udarowała nas niby pamiątkami dzieł swoich. Dawnoż to, jak przy ujściu sybirskiéj rzeki Leny, kry

przywiozły z pod bieguna zwłoki pierwotnego zwierza; trzy lata leżał sobie nietknięty, bo lody broniły przystępu, aż nareszcie zdobył go przecie naczelnik tam mieszkających Tunguzów. Był to mammut w całéj zupełności, bo z ciałem, kośćmi i sierścią, jak gdyby przed kilku dniami zmarły. Tunguzom zdawało się, że najstosowniéj uczczą ten stary ułomek zapomnianego świata, skoro jego mięsem nakarmią psiarnią. Coć się i stało. Tym sposobem owo zwierzę, świadek zaiste potopu, przechowany pod opieką wiecznych mrozów przez tyle tysięcy lat, skończył tak mizernie karyerę swoją i dopełnił przeznaczenia swojego. Szczęściem szkielet prawie cały i szmaty skóry, uratowane na czas przez uczonego rossyjskiego, znajdują się dziś w muzeum petersburskiém. Ba! ale po cóż nam Leny, blizko nas, bliziuteńko znalazłbyś podobnych Tunguzów.

Jeżelim ci się może zbyt rozpisał o owych zwierzętach kopalnych i o owych dziwolężnych potworach, alem sobie do takich zboczeń wyrobił przywiléj u ciebie, a uczyniłem to zaiste nie dla tego, aby mogły być wzorem piękności, bo téj pretensyi nie mógł mieć zapewne ani on pterodaktylus lub plesiosaurus i towarzysze ich, ale miałem raczéj na celu okazać bujność, siłę i fantastyczność nieprzebraną natury owéj. Ledwie najśmielsza wyobraźnia zdoła w myśli skreślić sobie, choćby słabym zarysem, on żywot, co wrzał na łonie pierwotnych epok czasu naszego. Również ogromne a nawet ogromniejsze i fantastyczniejsze jeszcze było państwo roślin, bujające w promieniu słońca a ocieplone dojmującym skwarem własnego planety. A jeżeli świat zwierzęcy właśnie dla bujności téj natury porannéj wy-

paczał się we formy dziwaczne, toć zaiste ta sama potężność sił przyrodzonych stwarzała świat roślinny najwyższéj piękności; w niéj, jak myślę, estetyczność przyrody pojawiała się w całym blasku zamożności swojéj. I być inaczéj nie mogło—naprzód zbudowały się góry, doliny, twierdze i morza i cała natura nieorganiczna; późniéj wybujała przyroda państwem roślinném, późniéj świat zwierzęcy nabrał kształtów doskonalszych, a gdy już dom był gotowy, wtedy zjawił się dopiéro sam pan téj natury—człowiek. O téj roślinności pierwotnego świata my już w dzisiejszéj epoce wyobrażenia nie mamy, spółczesne nam lasy i bory choćby zwrotnikowe są słabym tylko odcieniem téj młodéj potężnéj natury. Dowodzą tego puszcze całe skamieniałe, w głębiach ziemskich zamknięte lub schowane na dnie morza, a nadewszystko one ogromne ławy i kopalnie węgla kamiennego, nie będącego niczém inném, jak przeobrażonemi zabytkami borów pierwotnych; a strojne i pełne kokieteryi kwiaty, kity, gałązki niby malowne, zdobią jakby pokojowe obicia paryzkie ściany kopalń węglowych, wysadzają ich stropy wieńcami i gałązkami prześlicznych i cudnych rysunków. Te puszcze zwęglone, te olbrzymie drzewa i bogactwo skamieniałych roślin są zwiędniałym wiankiem weselnym staréj matki ziemi naszéj. Lecz czémże był człowiek w onych świata epokach? Otóż wśród tych zwłok, wśród stosów kości, co jakby cmentarzem zasypały skorupę kuli naszéj, dotychczas nigdzie a nigdzie nie znaleziono kości człowieczych. Czyliż wierzyć, mówi Cuvier, że człowiek nie patrzał jeszcze na te przeobrażenia się świata?

Nie wdając się w zaciekania pod tym względem, to

przecież pewna, że tych epok nie zaznała historya człowieka, i że je tém mniéj sztuka zaznać mogła. Natura w chwilach, gdy była olbrzymich sił i rozwijała całą potęgę panowania swojego, była zupełnie obcą dla pamięci człowieczego rodu. Bo natura stroi się sobie i Bogu na cześć, ona obejdzie się bez człowieka, ona sama sobie jest celem i samolubnie w siebie się patrzy. Ale piękność sztuki jest rozmową duchów, jest uroczystością weselną, w którćj niebo i ziemia odprawują śluby swoje: a na to święto a wesele wezwani współbracia wszyscy, współbracia w duchu. Sztuka piękna, łącząc czarem swéj potęgi w jedno wielkie koło wszystkie jestestwa nieśmiertelnością natchnione, jest hasłem i językiem wszystkich narodów i wieków. Cześć i zamiłowanie piękności jest spólném sercem świata, z niéj jakby krew rozdziela się ciepło i życie na wsze jestestwa rozumne i na stulecia wszystkie. Sztuki piękne samotne, bez współczucia, nie miałyby wagi: one są wspólnym udziałem świata całego; wszak, gdy zabrzmią srebrne struny jednéj liry wylewając się śpiewów potokiem, już i milczące jéj siostry zadrgają w sobie i z cicha szepcząc zawtórują wiekuistéj pieśni. Życie sztuki jest zupełnie duchowe, przybrane jedynie w materyi szaty i na wzajemności stoi. Natura zaś sama jest materyalna tylko i obchodzi się bez wzajemności i współczucia.

Widzisz tedy, iż ze wszystkiego, com powyżéj rzekł, wypływa głównie ta prawda, że człowiek, choćby nawet chciał, nie jest mocen naśladować naturę; wszak nawet mistrz, czyli raczéj kopista najskrupulatniejszy nie zdoła udać ani jednego listka tak dokładnie, aby już

nie było różnicy między jego kopią a rzeczywistym listkiem; a w końcu pytamy, na coby nam się zdała sztuka cała, gdyby jéj chodziło jedynie o naśladowanie niewolnicze, o kopie tego, co już posiadamy rzeczywiście w naturze, w oryginale, bez wszelkiéj pracy.

Zważ jeszcze, ta niemożność wiernego kopijowania natury sama już przez się okazuje, że sztuka inne ma powołanie, że ona nie powinna naśladować natury. Natura choć tak wielka, tak wspaniała, jest doczesności córą: na jéj jestestwa biją przypadki tutecznego świata, żadne z nich nie zdoła się rozwinąć z całą swobodą, z całą pięknością swoją; na każdém z tych jestestw ciąży jakby klątwa pierworodnego grzechu, niedostatek i biéda ziemska i śmierć. Nakoniec chciéj baczyć: każde jestestwo natury, choćby się jakimś szczęśliwym trafem rozwinęło swobodniéj, piękniéj, przecież i w tym tak nadzwyczajnym razie będzie tylko wyobraźnikiem swojego rodzaju, swojego gatunku, a tém samém wyjawi tylko jedno ogniwo całego łańcucha natury, jeden jéj ułomek; dzieło zaś sztuki pięknéj jest całością, a całością w najwyższém znaczeniu, bo w niém przebywa duch wiekuisty, nieskończony. I to jest różnicą najogromniejszą zachodzącą między dziełem sztuki a jestestwem przyrody, i to jest powodem, dla którego sztuka nie może i nie powinna być naśladowaniem natury. Do téj prawdy jednak, tak ciężkiéj wagi, często jeszcze powracać będę: co tutaj wyrzekłem, niechaj w téj chwili nam wystarczy.

Lecz równie obaczymy na inném miejscu dokładniéj jeszcze ogromną wartość, jaką ma dla mistrza zapatrywanie się świeże, miłości pełne, na naturę; tutaj tyl-

ko powiemy, że gdy mistrz ma łączyć w jedność świat duchowy ze zmysłowym, więc z przyrodzonym, niechaj otworzy duszę swoją i serce zjawiskom zmysłowego świata, niechaj skąpie serce w zdroju wiecznie świeżym uroków natury, a wzmoże się uczuciem, a spotęguje się natchnieniem, i obroni się wszelkiéj niemocy mogącéj spaczyć myśl i zapatrywanie się jego na świat.

Miłość do natury i jéj pojawów stanie się dla każdego człowieka, i mistrza i nie mistrza, jednym z aniołów stróżów, co go wiodą przez życie i świat, dodając otuchy i pociechy wśród chwil smętnych i opuszczonych na pielgrzymce jego żywota.

Wszak duch nasz i natura zarówno wyszły z twórczéj dłoni Bożéj; czyliż więc się temu dziwić, że te ciche tony mądrości, te mistrze wszech światów, brzmiące w jestestwach przyrody, budzą téż w sercu naszém spokrewnione im muzyki. Duch nasz tedy znajduje w pojawach zmysłowéj natury odpowiednią sobie symbolikę. Co w duchu jest myślą, uczuciem miłości, nadzieją i wiarą, to on widzi przed sobą w przestrzeni, w téj biednéj martwéj naturze, lub w senném życiu bezduchowego świata. Niechaj tedy młodzieniec każdy pozna tę naturę, niechaj wiedza jego spina się po wszystkich jéj szczeblach, począwszy od atomku, co igra w eterach promienistych, począwszy od zawiązku błyszczącego kryształka, co buduje ścianki swoje około niewidomego punktu niby serca swojego, od żyjątka, co jest dopiéro punktem drgającym; a niechaj się ta wiedza posuwa coraz wyżéj, na coraz wznioślejsze natury przyczoła, aż się nie zatrzyma przed postacią człowieka!— Gdy tu wiedza badawcza stanie, już ona nawyknąwszy

do wznoszenia się od stopnia do stopnia, uzna że i ta postać doczesna człowieka, choć pełna uroków, choć ostatniém natury słowem, nie jest przecież ostatniém słowem Królestwa Bożego, a myśl, zdjęta tęsknotą nieskończoną, urośnie w skrzydła wiekuiste, rozepnie te skrzydła swoje, i jakby ptak wędrowny uniesie się w inne światy, w światy duchów, kędy już nie omdleją skrzydła, kędy nie umierają kwiaty, a serce nie zapłacze boleścią!

Gdy młodzieniec pokocha z całego ciepłego serca tę naturę, i zrozumié mowę martwych kamieni i skał, gdy pozna żywoty robaczków brzęczących po ziołach, i orłów tatrzańskich loty, gdy się nauczy mowy lasów ojczystych co mu prawią tajemnice w gaworze swoich drzew,—gdy się nauczy witać po imieniu te kwiaty, co mu rosną po łąkach ojczystych, i po mogiłach i grobach; gdy zdoła czytać w tych hioroglifach, co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków, lub w mglistych postaciach gór na widnokręgu; gdy młodzieniec całą naturę zamknie w sercu swojém, już ta natura odda mu stokrotnie te miłości jego; ona ostudzi palące biedy życia i ukoi zadane od ludzi sercu rany, ona mu będzie księgą do nabożeństwa, na któréj zamodli się duch jego Panu. Ta miłość do natury będzie młodzieńcowi obroną od myśli niedobrych i utwierdzeniem w cnocie. Szepty borów stron rodzinnych, kwiaty na grobach ojcowskich, co słuchały uczuć młodocianych, gdy w głębi duszy swojéj zaślubił się zacności i prawdzie, będą mu talizmanem przez życie chroniącym serce od skazy.

Lecz znajomość natury i jéj spraw ściśle spokrewniona z estetycznémi zapatrywaniem się na naturę

(ob. wyżéj). Tajemnice przyrody, to jéj życie ukryte, ciche, stanie się dla młodzieńca artystyczności zarodem. Bo miłość jego do téj przyrody bożéj wleje w te jestestwa stworzone ducha, ożywi je ciepłem własnych uczuć, uczyni z nich piękności dzieła, bo przebaczy niedostatkom jestestw natury i uzupełni je, nadając im wdzięki własnéj duszy swojéj. Co biedne i ułomne w rzeczywistości, to on dojrzy jakby jasnowidzeniem wzniesione do uroków nadziemskich, a ciężkie, grube tuteczne zjawiska staną się przejrzyste, niby przeświecone własnym duchem, staną się lekkie, eteryczne, bo uskrzydlone lotem własnych uczuć jego. Tak każde jestestwo, co jest ułomkiem świata, w oczach człowieka z duszą ciepłą zmartwychwstanie wdziękiem i stanie się własnéj jego wiekuistości prorokiem.

Prawda, że usposobienie różnych ludzi tak jest różne, że nie każdy zdoła równie snadno ubrać sobie świat promieniem i barwą własnéj duszy, ale przecież każdy z nas winien, ile go stać, nawyknąć zawczasu do zapatrywania się estetycznego na naturę (*). Wszak dziś zwykle młodzież uczy się rysować; nie przecząc bynajmniéj tym korzyściom, które powszednio przypisują téj nauce, myślę atoli, że najwyższa korzyść, która z niéj płynie, jest zaiste ta, że ona przyucza młodzież, jak ma mieć oczy otwarte na ten piękny Boży świat, jakto wi-

---

(*) Niepomału do tego celu pomogą studia estetyczne natury i wczesne zwrócenie uwagi choćby na najdrobniejsze szczegóły świata fizycznego, jak tego dokonał wielce znakomicie autor dzieła *Estetyka czyli Umnictwo Piękne* w Tomie II. Petersburg 1854 — obejmującym piękności natury we wszystkich pojawach. To dzieło uwalnia mnie od rozszerzania się nad tą osnową.

dziéć wszystkie szczegóły i zrozumieć najciehsze mowy, któremi przemawia stworzenie każde. Mniejsza już, że późniéj, gdy go życie obejmie grozą i powagą swoją, rzuci ołówki i pęzle swoje; wprawa nabyta do poglądu na naturę zostanie mu na zawsze, na życie całe, jemu będzie w koło natura prawić i śpiewać, on zrozumie jéj mowy i pieśni, on dojrzy piękności, które nastręczy świat natury; te piękności płynąć będą tysiącznym strumieniem w duszę jego, tysiącznym zdrojem, co odświeży, odmłodni uczucie jego. Natura będzie mu królestwem i państwem pełném wesela i najczystszych roskoszy, a gdy tak spotężeje na duszy i sercu, wtedy się może stanie, że i na niego przyjdzie chwila zachwycenia i że z miłośnika natury dźwignie się w mistrza. Ale choćby kochanek przyrody i nie był artystycznéj piękności wybrańcem, toć przecież dla siebie będzie mistrzem, i w naturze, w któréj się rozmiłował, obaczy postaci i obrazy ducha swojego, wśród świata materyalnego obaczy własnéj nieskończoności spojrzenie, wśród nizin tutecznych zajaśnieje mu błyskawicą wiekuistość!

Słuchaj — w téj chwili, gdy to kreśliłem, dzwony rozlegają się po nocy i głoszą światu, że sam Bóg zstąpił z Majestatu, stał się człowiekiem. Dziś wigilia Bożego Narodzenia,— a dzwony jakby muzyką rozpływają się falami po świecie chrześcijańskim, jedne drugim niosąc uroczystą wieść, że słowo, co było na początku u Boga, stało się ciałem i zamieszkało między nami, a

gwiazda, zwiastuna Boża, zaświeciła nad biédną strzechą człowieka. Świat zadrżał w sobie zbawienia hymnem i poznał, że materyi państwo doszło końca swojego, że nie ma więcéj znaczenia i wagi, a ciało i natura jest tylko jeszcze naczyniem nieśmiertelnego ducha, co nie ginie na wieki.



LIST V.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów.—Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącemi w stosunku do sztuki pięknéj.— Różnica ich od innych trzech zmysłów.— Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki.— Przeważanie strony zmysłowéj w sztuce dowodzi jéj poniżenia.— Czas malarzy *Huet* i *Boucher*.— Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki.— Wielkie znaczenię świata zmysłowego, Skon.— Czasy poniewiérania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne.— Piérwsze czasy chrześcijaństwa.— Symboliczność.—W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe.— Allegorye — Shakspeare i Leonardo da Vinci — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu.— Podział sztuki pięknéj na różne jéj rodzaje.

Słowem wiekuistém stworzenia całe natury państwo wywołane z nicestwa łona, by o Bogu świadectwo dało. Proszku atom, co drga i krąży wirem w słonecznym promieniu, i gwiazd wojska, co chodzą po rozpostarciu niebieskiém, niby wieczności zegar, odmierzając światu, jakby minuty i godziny, upływające wieki całe i lat tysiące, i dębu przyszłego ogromność zwinięta jak w myśli twórczéj w ciasnéj łupinie żołędzi swéj, i wszystka dusza żyjąca, którą ziemia wydawa, i wszystko, co jeszcze żywe w powietrzu, we wodach, i na lądach, stworzone jest każde wedle rodzaju swojego. Ale w środku wszechnicy jestestw postawiony człowiek, sam

jeden stworzony na wyobrażenie Stworzyciela i Ojca na niebie, dla tego doskonałość i potęga wszystkich jestestw, gromadzi się w cielesności jego, niby w ognisku spólném; a jak słońce poranne świéci wspaniałością swoją w rosy kropelce drżącéj na listku, tak w duchu człowieka świéci iskrą wielkość i majestat Boży.

Gdy Bóg stworzył świat i widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre, stworzył i człowieka; a w oblicze jego tchnął dech swój, by człowiek poznał i zrozumiał ten świat. Poczém sam przywiódł wszystkie jestestwa przed człowieka, aby obaczył jakoby je nazwać miał i panował nad niemi.

Otóż te są zrodzenia Niebios i Ziemi, tak pełne grozy i wielkości zarazem, objęte w Piśmie Ś., w onéj księdze wszystkich ksiąg, co po wieki wszystkie będzie prawdą. A tak więc z prosta i tak głęboko oznaczony już na zawsze stosunek człowieka do fizycznego świata. Prawo nadawania imion rzeczom stworzonym jest upoważnieniem rozumu naszego do zgłębiania dzieł stworzenia; a nadanie panowania nad światem zmysłowym dowodzi przewagi duchowéj człowieka nad dziełami przyrody. Prace zaiste umiejętności przyrodzonych ten mają jedyny sobie cel, by pojąć i zgłębić istotę wszech stworzeń i podbić sobie naturę całą. Jest to przywiléj człowieka, nadany mu od początku, a nikt mu go nie odbierze. Obeszłoby się tedy bez sofizmów i dowcipnych teoryi w tym względzie, i bez onych westchnień a pokornych lamentów, że człowiek pojąć nie zdoła tajemnic Natury; odsłoni on nie ochybnie te wszystkie, na których mu tylko zależyć może—*Sapere aude!*

Jestestwa zmysłowe są myślą twórczą powleczone,

jakby skorupą, materyą głuchą, a do téj skorupy przystęp mamy przez zmysły: one są tedy sługi duchowe, znoszą przed nas świat fizyczny, niby osnowę dla myśli, podają one nam rzeczy tak, jakiemi się z wierzchu być wydają z całą ich plewą; rozum zaś dochodzi, czém one są w sobie i co ich treść a istotę stanowi, w czém są do siebie podobne, lub w czém znów różne mimo pozornego podobieństwa lub różnicy ich. Dochodzi ich wewnętrznego połączenia i wzajemnego ich na siebie działania i téj pierwotnéj mysli stworzeń, co jest dnem wszech rzeczy i, że tak rzekę, ich duszą, i co jakby iskra galwaniczna, ręką Boga puszczona, płynie i drga przez cały łańcuch jestestw aż do ostatniego ogniwa, którém jest człowiek. A ta téż zawsze będzie różnica między pojmowaniem rzeczy ludzkiém a zwierzęcém. Zwierzę bierze świat fizyczny li zmysłami samemi, dbając o to jedynie, czém rzecz jest dla niego; człowiek pojmuje rzeczy, czém one są same w sobie, i jak one się mają do siebie nawzajem. Dla tego téż większa lub mniejsza bystrość zmysłów w pojmowaniu natury nic nie stanowi wcale, bo pod tym względem człowiek wielu zwierzętom ustąpić musi pierwszeństwa; ale téż brak doskonałości zmysłów wynagradza narzędziami, które sobie wymyślił, a duszą swoją przenika wskróś ich istotę. Branie przeto jestestw przyrodzonych li ze saméj ich zewnętrznéj strony, ze saméj ich formy zmysłowéj jest bałwochwalstwem, jest światłobożeństwem, jest oddaniem czci fetyszom, kłanianiem się światu materyalnemu.

Z drugiéj strony atoli również jest prawdą, że gdyby umiejętność chciała naturę pojmować samą czystą

myślą, samém gołém abstrakcyjném rozumowaniem, gdyby sobie rościła lekkomyślnie prawo wyrokowania o zjawiskach przyrody z zamkniętemi oczyma, niby na pamięć wedle widzimi się swojego, jużby przestała być umiejętnością, byłaby marzeniem pustém, bezważném. Taka nauka zaiste niedobrałaby się nigdy wewnętrznego znaczenia jestestw stworzonych. Umiejętność winna pamiętać, że choć każde zjawisko przyrodzone jest tylko powłoką, łupiną myśli twórczéj w niém zamkniętéj, toć przecież właśnie ta myśl jest powodem, że to zjawisko się pojawiło, ona jest jego prawem, to zjawisko jest tedy odpowiednie téj myśli, w niéj ukrytéj wielmożnéj choć cichéj. Dla tego te zjawiska, ta niby zewnętrzna łupina jest właśnie hieroglifem téj myśli wewnętrznéj, jéj wyrazem. Niechaj tedy umiejętność nauczy się czytać hieroglify takowe, niechaj przypatrzy się pojawom zewnętrznym a pilną, niezmęczoną pracą czyni spostrzeżenia a doświadczenia, niechaj pozbiera naprzód fakta, a wnet ten świat widomy, dotykalny, wyspowiada nam duszę swoją i roztoczy jakby najskrytszą treść sumienia swojego.

Jeżeli zaś tak się rzecz ma z przedmiotami natury, jeżeli tutaj dwie są potęgi, bo zmysłowa jedna a nadzmysłowa druga, cóż dopiéro rzec mamy o dziełach piękności! bo i w nich schodzą się również dwa światy, ale oba są spotęgowane, oba występują wolne od ułomności ziemskiéj. Wszak rzekłem już w liście przeszłym że jestestwo rzeczywistéj natury choćby szczęśliwym trafem rozwinęło się wyższą pięknością nad inne tegoż samego rodzaju jestestwa, toć przecież ono będzie jedynie doskonalszym wyrazem tego rodzaju swojego,

będzie tylko wyjawem myśli tego rodzaju, który atoli sam jest tylko ogniwkiem jedném w całości natury. Gdy jednak ten sam przedmiot będzie przez sztukę zrodzony, już wtedy on obejmie w sobie nieskończoność, a rodzaj, który się w nim wyrazi, stanie się tylko czémś podrzędném, będzie tylko przyborem chwilowym, w którym się pojawia ducha naszego wiekuistość. Ta strona widoma, zmysłowa, będąc przybytkiem gościa z innego świata, wyjawi tę treść swoją wiekuistą, niebiańską, bo piękność nie z ziemi zrodzoną, — tak strona ziemska widoma, materyalna, stanie się duchem widomym, a duch, będący treścią dzieła sztuki, uzmysłowi się w postaci.

A więc dzieło piękności, będąc ślubem między niebem i ziemią, duchem i materyą, ma dwie strony, które zarazem przemawiają i do zmysłów twoich i do wiekuistego ducha, a tém samém wypływa, że wyłączna przewaga jednego z tych dwóch pierwiastków zrodzi i w samém dziele sztuki spaczenie, tudzież wykrzywi zapatrywanie się na te piękności dzieła.

Zaiste, stanowisko li zmysłowe w sztukach nie popłaca: jest niestosowne, krzywe i bywa zawsze oznaką jałowizny serca i dzikości lub zepsucia umysłu. A przecież znajdziesz takich czcicieli fetyszów na różnych stopniach społeczności towarzyskiéj, a co więcéj, zostawione są ich ślady liczne w historyi sztuki. Są ludzie, dla których sztuki piękne o tyle wartości mają, o ile im zmysły głaszczą: architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka i poezya, są dla nich bawidłem zmysłów; pojmują iście oni tak sztuki, jak pojmuje botanikę kózka objadająca rzadkie rośliny i kwiaty. Kto jest zdania,

iż sztuka dla zmysłów stworzona, znać, że nie ma ich spełna, bo zmysłów, jak wiadomo, jest pięć, a dwa z nich tylko, bo wzrok i słuch, mają styczność z dziełami sztuki pięknéj. Gdyż inaczéj, pan Jan Marya Farina w Kolonii, co od wieków wyrabia te swoje wódki wonne, lub jaki przesławny restaurator paryzki, albo jaki siodlarz doskonały, lub gancarz, byliby również artystami, jak Bethowen, Canova lub Overbeck i Byron. Porównywając następnie one dwa zmysły, będące w stosunku ze sztuką, widzimy, iż one właśnie ze wszystkich są najszlachetniejsze, i są li teoretyczne, bo nie naruszają wcale ani zużywają przedmiotów swoich.

Na arcydzieła architektury, rzeźby i malarstwa patrzą się narody długim szeregiem wieków, a onych dzieł tém patrzeniem nie ubyło wcale, o ile ich żywioły nie pojadły, albo świętokradzka ręka nie dotknęła: trwają na cześć rodowi człowieczemu i stoją na podziwienie wszystkich stuleciów, tak pełne jeszcze piękności i okazałości, jak w pierwszym dniu zrodzenia swojego. Od wieków lud krakowski oblega ołtarz maryacki, one arcydzieło naszego Wita Stwosza; od wieków to grono świętych postaci króluje w tym przybytku swym, a duch ich, jakby gość z innego świata, rozrzewnieniem spływa w serca wszystkich pokoleń, co jakby fale morskie tłumem przychodziły tu z kolei swéj, by na tych stopniach krzyżem leżéć, modlić się i wypłakać żale swoje przed dziejami Matki dziewicy. Słodkie i wzniosłe duchem Haydena harmonie, poruszały już serc tysiące i zatętnią jeszcze w duszy tysiąców, i nie zaginą one, i nie braknie ich nigdy, jak nie braknie słońca, co ociepla i oświéca z każdém zaraniem istot miliony. A jak

na początku swojego stworzenia nieśmiertelne morze, tocząc z hukiem bałwany swe, grzmiało i grało niby organy w świątnicy Natury, tak Homerowe pieśni, wypłynąwszy ze strun lutni starego wieszcza, grzmią i grają jeszcze z dalekich lat, po przez burze wieków i państw zwaliska.

Dzieła sztuki pięknéj, przyniesione do duszy słuchem i wzrokiem, są jakby światło i atmosfera; wszyscy się niémi cieszą, a przecież ich nie ubywa; każdy w nich roskosz znajduje, nie czyniąc tém uszczerbku drugim, choć je każdy całkowicie i w zupełności posiada. Gdy tymczasem owe trzy inne grube zmysły nie lubią żadnéj spólności, bo one z natury swéj trawią i zużywają przedmiot swój. A jak woń jest rozkładem ciała pachnącego na atomy swoje, zatém wietrzeniem, znikaniem jego, tak przedmiot miły smakowi rozpłynąć się piérwéj musi i rozłożyć na cząstki. A jak i z obiadów nietrwała pociecha, a najmilszy i najcieplejszy ogień kominkowy gaśnie i wypala się, tak téż najdoskonalsze karło się zużywa. Zmysł albowiem smaku, powonienia i dotykania są szczéremi samolubami, bo poświęcają rzecz przedmiotem ich będącą, a to dla tego, iż wprost i bezpośrednio stykać się muszą z tym przedmiotem przemawiającym do smaku, powonienia, lub miłym w dotykaniu. Trzy téż zmysły te nie mają żadnego stosunku z dziełami sztuki pięknéj. Przeciwnie, wzrok i słuch przez pośredniki tylko są w związku z przedmiotami, a tymi pośrednikami jest światło i atmostera. Atmosfera, ten płyn czysty, lekki niby oddech kuli ziemskiéj, służy muzyce i mowie; dźwiękiem poruszone powietrze zadrgawszy w sobie jakby falami

wody rozpływa się daléj i daléj, nim uderzy w słuch. A światło, ono dziwne jestestwo, nieważkie, w mgnieniu oka zalewające niebiosy jasności oceanem, jest jakby krynicą życiodawczą natury i niby odblaskiem Bożego spojrzenia. Światło należy na poły do cielesnego, na poły do duchowego świata; dla tego téż jest pośrednikiem między światem fizycznym a najzacniejszym zmysłem, boć oczy są nieśmiertelnego ducha ogniskiem i słońcem śmiertelnéj powłoki naszéj. Trafnie téż powiedział ów Leibnitz, iż światło tylko dla człowieka istnieje, on je sam jeden widzieć zdoła, zwierzę widzi tylko oświécone przedmioty. Słuch i wzrok są zmysłami nieskończoności; wzrok roztacza się po ogromie gwiazd i światów wszechnicy, jak duch nurzy się w głębinach własnéj swojéj istoty; a słuchu potęga, do melodyi i muzyki zwrócona, słyszy w niéj nieskończoności mowę, rozumié w niéj westchnienia lat, które dawno już przeszły, pociechy i żale wieków, co się dopiéro kiedyś zrodzić mają: bo muzyka jest kwiatem urosłym na przeszłości grobach, a wyjawiając zarazem co w sercach dnieje, staje się przyszłości wróżą. Dwa tedy te zmysły, słuchu i wzroku, są jedynie godnemi pośrednicami między duchem człowieka a dziełami sztuki.

Gdyby nam jedynie o przyjemność zmysłową chodziło, sztuki piękne wcaleby były bezużyteczne i zupełnie niepotrzebne, boć rzeczywiste przedmioty silniéj do zmysłów przemawiają, aniżeli wszystkie pięknéj sztuki dzieła. Kobiéta żywa, choćby tylko zwyczajnych powabów, więcéjby miała uroków, niż owa Wenus Tycyana w Trybunie florenckiéj; a choćby sam Franciszek Snyders wymalował pobitą zwierzynę, mniejszejby była

wartości, niż rzeczywiste zające i sarny, zwłaszcza rozłożone już na półmisku. Dla tego cześć tym, co jawnie i poczciwie, bez obłudy, ogłaszają się wielbicielami roskoszy ziemskich, nie chowając smaków swoich pod pozory uczuć estetycznych. A znajdziesz wszędzie zwolenników zdania takowego, chociaż się ukazują pod różną formą. Gdy biédacy mieszkający pod biegunem uważają tran za szczyt ziemskiéj szczęśliwości, mażą nim usta drewnianych swych bożyszcz; u nas w strefie nieco cieplejszéj, a zatém oświeceńszéj, nie jeden w braku bałwanów struganych sam sobie tę cześć oddaje, zbiérając wszystkie promienie swéj myśli w ognisku kuchenném, i myśląc jedynie nad tém, jakby się tu najsmaczniéj uraczyć, co przecież nierównie jest dowcipniejszém i zacniejszém niż ów śmiészny obyczaj ciemnych Grenlandczyków i Samojedów.

Rzecz jawna, iż bez zmysłów nie byłoby i sztuk pięknych, noc głucha, ciemna, niema, pokrywałaby świat do koła; mimo to jednak, słuch i wzrok nie są bynajmniéj dostateczne, aby być mistrzem w sztukach pięknych, a nawet by w nich smakować. Piękność estetyczna, samemi zmysłami pojęta, jest to księga pisana w nieznanym nam języku i obcemi głoskami. Widzimy jedynie kréski czarne i znaki, ale niezdołamy zrozumieć słów, ani pojąć myśli autora. Niema nawet wątpliwości, iż gdyby ogień wyższy, niebiański, nadzmysłowy, przyświécający nam, wygasł, jużby człowiek, zostawszy szczérem jestestwem zmysłowém, zrównałby się ze zwiérząt czeredą. Zaiste, właśnie ta wyższa natura człowieka uszlachetnia nawet i samą tę zmysłowość jego. Jakoż slepy instynkt płciowy zwiérząt uza-

cnia się w nas miłości płomieniem i dusz współczuciem; nawyknienie ich do legowiska i nor jest u człowieka świętém kraju swojego miłowaniem; ta troskliwość samic dla młodych, przeniesiona w ludzką sferę, staje się macierzyńską miłością, co w dzieciach swych nie tylko krew krwi swéj widzi, ale nawet rosnącą nadzieję spółeczności całéj. Ta miłość matki, gromadząc się niby w dziecięciu swojém, wylewa się zarazem na cały ród człowieczy.

Sztuki piękne mają iście stronę zmysłową swoją i nią są zwrócone do strony cielesnéj człowieka. Część materyalna sztuki jest tedy jednym z dwóch koniecznych jéj pierwiastków, jest ona jedną połową jéj istoty, a drugą, jakeśmy już powtórzyli, jest jéj żywioł duchowy. Jeżeli sztuka przerzuci się cała w stronę cielesną, służąc niskim chęciom człowieka i gorszéj jego połowie, już téż to będzie oznaką upadku spółeczności i próchnienia podwalin towarzyskich. Szczęściem, w naszych czasach i w naszych tu stronach znajdziesz jedynie jeszcze na pokątnych śmieciach towarzyskich smak w bezecnych obrazkach, w wierutnych wierszach, powieściach lub wszetecznych tańcach; nie wznoszą się one nigdy w sferę poczciwego wychowania, ani się nie ośmielają nigdzie na jawie okazać. Nie zawsze atoli tak bywało, owszem całe wieki i wszystkie klassy ludzi kąpały się w kole rozbestwionych obyczajów. Świadkiem tego jest sama sztuka we Francyi w ciągu upłynionego stulecia. Już na czasy Ludwika XIV. jakaś wrzkoma wielkość padła jakby puchlina, blada, rozdęta, a w środku pusta i bez treści. Dymy kadzideł i pochlebstw jakby nad cnotą umarłą osłaniały nędzę i bié-

dotę tak umysłową jak i materyalną, a bohatéry ówczesnéj historyi na szczudłach komedyanckiéj wielkości lśniły kłamliwym szychem i przystrojem teatralnym. I sztuka, przywdziawszy na się liberyą, poszła służyć zepsutéj chuci, a dzieła jéj stały się ornamentem i floresem zdobiącym czczość i próżność czasu; tak sztuka spadając coraz niżéj a niżéj, pod onemi paniami przeważnemi, a bezecnéj pamięci, zewszeteczniała do szczętu. Voltaire dowcipem Mefistofelesa już tchnął na świat. Ów Krzysztof Huet, Franciszek Boucher wrzkomy malarz gracyi, bezwstydnym pęzlem robili obrazy jakby dla bezmocéj straży serajowéj, a pomagał im téż późniéj Parny wraz z kompany swymi, plugawiąc wielki talent wyuzdanną poezyą. Aż nareszcie w końcu stulecia, przed samém rozpoczęciem najstraszniejszego dramatu historyi nowoczesnéj, cała społeczność, jakby opojona ślepym zmysłów zapustem, rozszalała się zawrotnym tanem i chichotała nad własnym swym grobem. Był to jakby ów obraz Holbeina, gdzie strojne panie, i kmiotek, i wojownik błyszczący, i starzy i młodzi, i bogacze i żebraki hasają kołem w tańcu ze śmiercią, mając w każdéj parze ohydne szkielety. Ale powiéw z cmentarza chuchnął na ich tany, a do drzwi i do okien onego festynu pukały i pchały się, jakby blade i trupie straszydła, zgrozy ostatnich lat 10ciu dogorywającego wieku, ciągnąc za sobą widma długoletnich wojen i pobojowisk krwią zbroczonych, pokrywających kośćmi jakby całunem śmierci, ćwierć wieku i świat cały.

Mógłbym ci bez wielkiego mozołu wskazać, jak zawsze zepsucie obyczajów zradza wyradzanie się sztuki pięknéj; bo piękność prawdziwą jedynie czyste serce i

szlachetny wiek pojąć może, nie wstępuje ona nigdy do piersi występkiem znieważonych.

Tak, gdy człowiek znidzie z tronu zacności swéj i własnego majestatu się wyrzekając sponiewiéra pochodzenie swoje, już samowolnie w materyi ciężkie panowanie się oddaje. Pierworodny syn stworzenia teraz natury jeńcem, co jéj panem być miał. Jak muszla biédna, w głębiach morskich do skały przykuta, i jedynie przez pomrokę wód oceanu oświécona słabym słońca promieniem, zradza w swém łonie drogich pereł skarby, nieświadoma sama ich wartości, tak człowiek w ciemnicach materyi zamknięty, głuchy na głos wewnętrzny, co mu o wieczności przemawia, nie wié, że we własnych serca przybytkach nosi rodzące się całe światy i całe niebo gorejących gwiazd.

Ale w duchu jest prawdy pierwiastek, a prawdy na wieki trwanie i żywot jéj tak silny i potężny, że choć chwilowo przyćmi płomieniem, przecież wnet znowu sam z siebie się rozpali, a duch, jakby z długiego snu przebudzony, zerwie się i znów zwróci oblicze ku wiekuistéj ojczyznie swéj. Wszak niekiedy i zimne wichry i niewczesne śnieżnice opóźnić mogą powrót wiosny i życia w naturze, a ziarno powierzone ziemi, w sobie stulone, martwe i głuche drzémie długo w swym grobie pod skibą; ale gdy przecież słońce idzie niewstrzymanie swym wiekuistym szlakiem po niebie, tedy wcześniéj lub późniéj do zmartwychwstania pobudzi ono ziarno, by ku słońcu się wzniosło i rozkwitło naturze na ozdobę i chwałę: — podobnież pokolenia i narody całe mogą przemarzyć długie lata żywota swojego we więzach materyi i w niemoralności kale, ale nie zdołają

nigdy na zawsze zetrzeć z siebie piętno nieśmiertelne swéj zacności, bo wszechmocna jest siła, co człowieka wzgórę pędzi. Jak młode orlę, pisklęciem zamknięte w skorupie, instynktem parte przeczuwa już i skrzydła swoje i szczyty alpejskie i eterów wysokości, tak i dusza, ściśniona zmysłów powłoką, marzy o rajskich ogrodach, o obłokach złocistych, co żeglują po niebie, o śpiéwach anielskich chórów, aż zerwie ciężkiéj materyi okowy, rozepnie skrzydła swéj potęgi, a unosząc się do ostatniéj bladéj gwiazdy stworzenia, w krainie wiekuistéj piękności zdobędzie swe laury. Wtedy i sztuki się uszlachetnią i odrodzą się świéżością swych uroków, jak bogini miłości poczęta w przejrzystych błękitach morza.

Sztuki piękne, te posłannice Nieba, jakby dziewicze westalki, strzegą świętego ognia uczuć, co gorejąc płomieniem godności człowieka bronią by ród ludzki nie upadł w zapomnieniu siebie. A gdy zepsucie serca jak dżuma ziemię zaleje, gdy godność zniknie i poczciwy obyczaj vymrze w ludziach, a zimna noc myśli i uczuć zalegnie świat, wtedy jeszcze poezya, jakby harfa eolska u gwiazd zawieszona, tknięta powiewem lepszych światów, zakwili pieśnią żałoby i tonami rzewnéj harmonii nad upadkiem człowieka zapłacze, a tony jéj płyną a płyną, coraz daléj, coraz wyżéj, aż pod Boży tron, gdzie zmiłowanie znajdują.

Ale człowiek ma i inną stronę istoty swéj: w nim tkwi pierwiastek materyalny, jest on ziemskiém jestestwem, a zmysłów hoża siła w nim robi i wre, i rzeskiém tętnem płynie mu żywota potok. Radość i uciechy uśmiechają się i pląsają w koło, jakby swawolne grono za-

czepnych rusałek, a z rajskich krain tchnie na ziemię życia wesele i rozdmuchuje, jakby kwiatów pączki, serca wszystkie roskoszy współczuciem; boć to kwiatów dzieje są i serca dziejami. Kwiaty roztulają swe liście jakby miłości łożem, a w każdym kwiecie kołysze się śpiący geniuszek, a w każdém sercu drzémią uczuć roje, niby skrzydlatych bożków drużyny. Powódź roskoszy zalewa sobą świat cały, gotując niby łaźnię ochłody wszech stworzeń strudzonym milionom. Opatrzna wiekuistości łaska przystroiła nam powabem przemijającą gospodę ziemską, a obok cierniów doczesnego świata, zasadziła drugie Edenu ogrody, co rodzą złote jabłka uciechy, a przybrała w wonne róże męczeńską palmę żywota. Skwary i spieki, i pracowania dnia każdego, kończą się poezyą wieczora, co pocałowaniem swojém rozpalone czoło pielgrzyma chłodzi; a z niebieskich wysokości po promieniu księżyca zstępuje gromada aniołów, co jakby kwiatami obsypuje łoże jego złotém marzeniem i ułudą sennych obrazów, i śpiéwają mu z cicha w duszy pieśnią pociechy, a głos ich tak słodki, jak słowicze pieśni.

Bóg stworzył życie i świat, tak piękne i jasne jakby dzień wiosenny, w serce zaś człowieka wlał miłość tych uciech ziemskich, a dając duchowi nieśmiertelnemu ciało i zmysły, zaślubił go doczeŝnie ze światem tutecznym, z naturą, aby już roskosze, otaczające człowieka różno-kształtną postacią, znalazły drogę do serca jego i odgłos w przybytkach duszy, i aby nawzajem każde drganie wewnętrznych stron ducha, każdy z ich tonów miał w zewnętrznym świecie głosy wtórujące ich harmonii. Nie poniewiéraj uciechą ziemską, co pełnym i

kipiącym puharem natura ci na wzmocnienie podaje. Tkanka tysiącznych złotych nitek wiąże człowieka ze światem i doczesnością; dla tego téż tak twardą, tak tęskną, jest ostatnia chwila rozstania się z tym żywotem, z tym tak pięknym, tak jasnym światem; ztąd téż skonanie jest arcydziełem człowieka. Posłuchaj opowiadania tych, co stojąc przy łożu umiérających, uczyli się od śmierci mądrości, podsłuchując ostatnie pożegnalne akkordy ulatującego życia z ułomków zagadkowych wyrazów, i wypatrując wieczność z zarysów twarzy biednego pracownika. Na skinienie bladego śmierci anioła rozsuwają się jakby na przegląd obrazy z przeszłego całego żywota; żywi i dawno zmarli, świéże i stare czasy splatają się w jeden wieniec, aż gdy światło w oku i duszy zgaśnie, gdy już nie dochodzą łkania otaczających przyjaciół, gdy wszystko ucichło, gdy płomień gromnicy nie oświéca więcéj śmiertelnego łoża zlewając się tylko jeszcze w jeden punkt czerwony, gdy już łamie się doczesność z wiecznością, wtedy omdlewają i zmysły, ale zarazem najogromniejsze sceny natury, żegnając niby wędrowca idącego ku wieczności, roztaczają się w duszy jego. Zda się, iż oceanu nieskończoność śpiéwa mu cześć piorunnym głosem swych fali, że skrzydła wichrowe unoszą go w tryumfie po przez bezdna przestrzeni bez końca i początku, że gwiazdy i słońce obiegają go w koło, jakby świetny orszak ślubny odprowadzający oblubieńca wieczności do nowego mieszkania.

Nie poniewiéraj uciechami ziemi, ani waż sobie lekko stronę materyalną człowieka, bo do niéj właśnie przemawia pierwiastek cielesny dzieł piękności. Potę-

ga zmysłów jest właśnie podwaliną uczuć naszych; skoro ona się dopali, już i uczuć siła więdnieje, a człowiek zbliża się do podeszłości swojéj i wstępuje pod panowanie zimnego rozumu i siwego rozsądku.

Jest francuzkie przysłowie: «*si jeunesse savait, si vieillesse pouvait*», ale najgorzéj podobno, jeżeli ani jednego ani drugiego nie będzie, jeżeli młodość przemija bez kwiatów, a jesień życia bez owoców. Gdy się kilka lat żywota na jeden rok złoży, gdy zmysłowość dogoreje jak kaganiec, nic prócz skorupy glinianéj nie zostawując, gdy cwałem przebieżone młodości życie, wtedy młody bankrut idzie na emeryturę, żeniąc się. Czyliż dziwno, iż zamiast rzeskiéj życia ochoty znajdzie przesycenie i niesmak? nie zna, co rozczarowanie, bo nie zaznał ułudy młodości, wszystko strupiało. Po ladajakiéj wiośnie życia idzie bezmozgła starość; świat w koło spłowiał, stracił barwy i ciepło swoje. Z takiemi to w pokrewieństwie bywa, a nawet się z nich najczęściéj rekrutuje owa druga klassa ludzi, co choćby młodzi jeszcze, na wszystko otrętwiali i niezdatni do pracy i do zabawy, co to ani do tańca ani do różańca. Sam zysk pieniężny, jakby galwaniczna iskra, pobudza jedynie ich duszę do automatycznych ruchów. Zgniłe sapiska — nie znają, co poświęcenie, co miłość i nienawiść, niezdolni do występków i cnoty, samoluby drobiazgowe. Oni na świecie nic dobrego, nic już i złego nie zrobią.

Dante powiada, iż gdy niegdyś piekło odwiedzał, spotkał tę gawiedź zaraz na wstępie do podziemnego państwa. Odepchnęło ich Niebo, pogardziło piekło, bo ni miłosierdzia ni sądu nie warci. Jęczą straszliwie,

pragną losu odmiany, lecz oni nadziei śmierci nie mają i zostawieni są przy tém ślepém ich życiu, tak pełném nikczemności i podłoty. Szatany nawet nimi się brzydzą, nie chcą ich męczyć, szpetne muchy tylko, osy i plugawe robactwo pastwi się nad nimi — ale — *Non ragioniam di lor; ma guarda e passa!*

Brak spółczucia w rzeczach ziemskich zjawia się i inną wręcz odwrotną postacią; niekiedy bowiem, lubo już rzadziéj, dusza, od doczesności odwrócona, ku rzeczom niebiańskim tęskni, wygnana z raju, nie dotknąwszy nawet owocu poznania ziemskich roskoszy; świat i wesołe koło jestestw jego nie ma dla niéj powabu. Najczęściéj nastrojenie takowe znajdziem u kobiét.—Twarz, jakby rzeźba z marmuru ukuta, nie zmienia się nigdy, zawsze ta sama, czyli na balu czyli w kościele, na herbacie lub przy konfesyonale, a świat cały i boleści jego i uciechy, czarne i jasne chwile przeszły po tém obliczu nie zostawując śladu swéj bytności, a spojrzenie patrzy gdzieś tam w nieskończoności dal. Zdarza się, iż nowe stosunki życia sprowadzają znów myśli na ziemię, a uczucia małżonki — matki zbliżą ją do rzeczywistości, ocieplą, rozświécą samotne duszy ognisko; niekiedy zaś istota takowa jest wiecznie obca, wiecznie gościem na ziemi; dla niéj na świecie nie ma sztuki pięknéj;—jéj życie jest długiém konaniem.

Jeżelim powyżéj dawał ci na przykład czasy historyi, w których przeważał pierwiastek zmysłowy w sztuce, tak téż i nie brak czasów, gdy znów połowa jéj duchowa, zbyt górę biorąc, pomijała się z przeznaczeniem prawdziwém piękności. Spójrzyj na piérwsze dziejów chrześcijańskich koleje;—był to czas pełen okropności i

zgrozy. Rzym wśród złotych pałaców swoich, postawionych na łzach i krwi całego ówczesnego świata, umiéra śmiercią zbrodniarza. Jak wyrzuty gorączkowe sumienia, mszczące zabójstwo tylu w około narodów i państw, trapiły go bunty żołnierstwa wyuzdanego, uliczne mordy, szalone fantazye niecnych cezarów, ze swór puszczone chucie, rozbestwienie, głupota i okrucieństwo. A czego akta kryminalne pojedyńczych złoczyńców dowodzą na małą stopę, owe roczniki krwawe Rzymu okazują jawnie i na wielką skalę, iż okrucieństwo krwi chciwe łączy się zawsze z przemyślną chucią i ochotą rozzwierzęconą do lubieżności. Ale więcéj niż wszystkie nieszczęścia domowe i publiczne, więcéj niż wszystkie zbrodnie i strachy zewnętrzne, dojmowała światu owa nieszczęśliwość wewnętrzna, owa czczość okropna i głuchota gnieżdżąca się w sercach wszystkich. Nie było ufności ani w życie, ani w świat, ani w ludzi, ani w Bogów, wszystko było głuchém i pustém; człowiek w samego siebie stracił wiarę, a mroźne, rozpaczy pełne powątpiewanie, rakiem wżarło się w życie społeczne. Nie było więcéj Bogów w sercu, a posągi ich w świątnicach były już beztreściwą ozdobą, głuchą formą. W Panteonie, w onéj wszechbożnicy, stały pstrém kołem greckie, egipskie, perskie, rzymskie, azyatyckie i wszystkie narodów zabitych bogi, ale czcze i bez znaczenia, nikt w nie wierzył, były to teraz jakby martwe zwłoki umarłych ludów, z których uleciał duch.— Rozpacz powszechna rozlała się mrozem. Olimp cały skonał, a serce człowiecze stało się pustym Olimpem, zgliszczami zgorzałéj świątnicy.

Przeszłość zapadła w wieczne zapomnienie, przy-

szłość była bez znaczenia, każdy dzień był osobną w sobie jednostką nieznającą, co to wczoraj, co jutro; zacność człowieka zatracona już była w języku, jak od dawna zapomniana w rzeczywistości. Zdawało się, iż słońce, opatrzne oko Natury, wygasło, a czarne zmory północą spuściły się na ziemię. Niekiedy tylko w téj ciemnicy głuchéj jakiś człowiek wyższy zaświécił fosforycznym blaskiem, jakby błędne światełko nad grobem wszego życia i przeszłości całéj, i znów zgasł niepoznany jak błędne światełko.— Ale wśród gruzów ogólnych i zwalisk szczupła drużyna, nieznajoma światu, kopała fundamenta dla przyszłych pokoleń i dla wszystkich czasów: budowniki nowego świata, nie liczne grono chrześcijan odwróciło oczy od ziemskiéj niedoli i bezcześci ludzkiéj, podniosło w górę źrenicę, kędy na obłocznych wysokościach zaświéciło godło krzyża; a duch pocieszyciel, zesłaniec wieczności, przyświecał zakładzinom nowéj Historyi. Wówczas to człek, własnéj istoty zmysłowéj i natury cielesnéj się zapierając, a uważając królestwo swoje nie z tego świata, obrzydził sobie wszystko, co było pogańskiego, odrzucił precz od siebie zmysłowość, pogardził piękności formami. Piękne kształty sztuki, niby potępieńce, nie okazały się na jawie; taka to była cała sztuka ówczesna. Postać Zbawiciela nawet przedstawiała się w niepięknym zarysie; rozumiano, iż jéj świętość znieważyć może piękność zmysłowa, zaniedbywano z umysłu cielesność wszelką. Chodziło tu nie o powłokę ale o wewnętrzne znaczenie; myśl, będąca jądrem i duszą rzeczy, sama tylko miała wartość; rozebrano ją ze wszelkich szat, ztąd téż sztuka stała się symboliczną: krzyż, baranek, kotwica,

palma zwycięztwa, gołąbek, grona winne i winna macica, siedém świéczników zabrały miejsce sztuki. Poźniéj dopiéro znaczenie takowe uzmysłowiło się więcéj. Zbawiciel występował w postaci dobrego pastérza i we formach mających coraz więcéj a więcéj uzmysłowienia.

Ten charakter początkowéj sztuki utrzymał się późniéj w sztuce bizantyńskiéj; jéj piętno jest symetryczność architektoniczna, w któréj jedna strona obrazu odpowiada drugiéj; każdy nawet fałd sukni, każdy jéj załomek, każda gwiazdka zdobiąca szatę, każdy promień ma inny odpowiedni z drugiéj strony twarzy; wizerunek składa się z dwóch połów zupełnie do siebie podobnych, jak tego przykład masz na wizerunku Najświętszéj Panny Częstochowskiéj. Tu, i w obrazach cerkiewnych greckiego wyznania, wyraźnie znać, iż zmysłowa natura wziętą została w karby przez świat duchowy; jest ona nie usamowolniona wcale, ale ściśniona i zmuszona, bo tu nie o nią chodzi, lecz o wewnętrzne znaczenie.— Jest to tedy sztuka, w któréj strona zewnętrzna materyalna jest zaniedbana.

Podobnie i architektura, przyciśniona posępnością czasu swojego, odrzucała wszystko, coby przypominało zmysłów ułudy i wesołe wejrzenie świątyń pogańskich. Znajdziesz to piętno zwłaszcza w budownictwie bizantyńskiém; tu znać, iż myśl chrześcijańska upodobała sobie kształty powagi pełne, działające na serce, a przypominające królestwo niebieskie. Tą myślą nacechowana jest i rzeźba ówczesna, okazująca się zwłaszcza w ozdobach strojących główne drzwi kościołów: znajdziesz figury przypominające żywot Maryi Panny i Zbawiciela i męki jego, połączone w dziwnym splocie z fi-

gurami fantastycznych zwierząt i poczwar niby w piekle wylęgłych; to wszystko ima się labiryntném powiązaniem, a jednakże, razem wzięte, tworzy jednę harmonijną całość. Przecież okres ten miał i swoją odpowiednią poezyą: wylewała się ona z wnętrznych krynic serca, nie dbając na kształt powierzchowny; były to wiérsze długie, bez wyraźnéj miary, bez rymu. Poniewieranie wszelką formą zewnętrzną, wszelką budową będącą jakby cielesną stroną poezyi, jest piętnem pieśni ówczesnych. Chowam się na późniéj z bliższym rozbiorem wieków onych i ich sztuki, wszelakoż i ten powierzchowny rzut oka wystarczy, by poznać, iż treść wewnętrzna duchowa jest wszystkiém, że pierwiastek umysłowy przeważa nad stroną fizyczną sztuki.

Przewaga atoli pierwiastku duchowego, rozumowego, ukazuje się jeszcze pod innym trybem, zwłaszcza w sposobie sądzenia o dziełach sztuki. Ludzie, którym zmysłowość zgasła, przystępując do dzieł sztuki, uważają je tylko za płody czystego rozumu. Rozum jednak jest właśnie potęgą ustawodawczą w nas; jego pojmowanie, jego sposób brania rzeczy są ogólne, a jego właściwym sposobem wyrażania się jest mowa, jest język, nie zaś formy cielesne, będące zupełnie czémś szczegółowém, oznaczoną jakowąś istotą.

Kto tedy pojmowanie czysto rozumowe, zdania rozsądkowe w sztukę wprowadza, wtłacza je w zupełnie niewłaściwą formę, a rezultat podobnego postępowania nie będzie, ściśle mówiąc, ani do sztuki, ani do rozumu należeć, będzie to allegorya. Widzisz to w rzeźbie, to na medalach, to na malowidłach figury wyrażające Sprawiedliwość, Odwagę, Umiejętność, Zemstę i t. d.

albo znów figury mające znaczenie kraju jakiego np. Francya, Bretania, Bawarya i t. d. wszystko to jest pojęciem ogólném. Jakoż nawet i poeci w wieku przeszłym wprowadzali uosobione namiętności, używając ich zwłaszcza za sprężyny poruszające epopeją: tak np. *Voltaire*, wodzący na on czas réj w całéj Europie, wprowadza to Niezgodę, to Jędze, to inne pojęcia rozumowe w swoje poezye, a za nim poszli inni, a nawet i u nas pełno tego jest przykładów. Przecież figury takowe zawsze są czémś zbyt ogólném, a zatém głuche w sobie, czcze i zimne, ani do rozumu, ani do uczuć nie przemawiają. W podobnych tedy rzeźbach, medalach, trudno niekiedy zgadnąć, co one znaczyć mają, bo niewiedziéć czém się różnić ma figura Francyi od osoby wystawiającéj Bretanią, jaki wyraz twarzy ma je różnić od siebie; ratuje się tedy godłami symbolicznemi, jakie są: waga, miecz, zawiązane oczy, kotwica, statek, róg obfitości i t. d., ale to wszystko jest niedostateczne, trzeba koniecznie, jak pod rysunkami dzieci, podpisywać co jakie ma mieć znaczenie.

Właśnie téż ta jest różnica między poetycznością i allegoryą, iż jak allegorya zaczyna od myśli ogólnéj czyli rozumowéj i dla niéj szuka kształtu szczegółowego odpowiedniego, tak odwrotnie poezya tworzy sobie kształty rzeczywiste, a skoro te już są utworzone i staną, wtedy z nich wyczytać można myśl ogólną. Patrz, figury jakiemi są np. Macbeth i lady Macbeth, Romeo i Julia, Hamlet, są rzeczywistemi ludźmi, pełne prawdy, krwi i życia w sobie; zdaje się, iż widzisz lub czytasz los dziejów prawdziwych, które się rzeczywiście stały, a przecież z nich wyprowadzić możesz teoryą mądrości,

pełną myśli ogólnych, roztwierających ci całą otchłań serca człowieczego i malujących barwami żywemi nie tylko tajniki duszy Macbetha, Hamleta, Julii i t. d., ale w ogólności tajniki duszy ludzkiéj. A zaiste *Shakspeare*, tworząc w duchu te figury, nie myślał może nawet o ogólném i filozoficzném ich znaczeniu; kréślił zapewne tylko *Macbetha*, *Julią*, *Hamleta*, a tu bez wiedzy jego, z ducha tego wypłynęła głęboka mądrość, myśli ogólne, będące prawdą po wszystkie wieki. I dla tego *Shakspeare* nie jest wyłącznie poetą angielskim, on jest własnością kuli ziemskiéj i chwałą wszystkich ludzi i wieków. Albo patrz na Wieczerzę *Leonarda da Vinci*, tak jak ją pojął i wyrytował *Morghen* w trzechletniéj pracy życia swojego: ugrupowanie figur, położenie ich rąk, wyraz każdéj twarzy mógłby być treścią całéj książki filozoficznéj;—a więcéj tam iście złożonych jest prawd wziętych z historyi duszy człowieka, niż w niejednéj psychologii. Figury, stworzone przez *Leonarda*, a pojęte przez *Morghena*, są rzeczywistemi ludźmi, ale z nich wypływają myśli ogólne, pojęcia dające się zastosować do całego rodzaju człowieczego, do całéj gry tajemnéj serca jego. Tacy niechaj się święcą malarze i poeci!

Że pojęcia rozumowe i myśli ogólne nie mogą być przedmiotem sztuki, okazuje się najtrafniéj z przeczucia całych narodów. Patrz, ani Żydzi, ani Turcy nie mają obrazów; przyczyna prosta, bo Bóg, w którego oni wierzą, nie uwidomił się im nigdy, jest Bogiem niewcielonym, niewidomym, jest pojęciem ogólném, myślą czysto rozumową, nie mogącą być oddaną w cielesnéj postaci sztuce właściwéj.

Kto jedynie zdolen samym czystym rozumem rze-

czy pojmować i na pojęcia, na rozumowanie sobie tłumaczyć, niechaj ćwiczy się w matematyce; wszak w algebraicznym rachunku znaki alfabetyczne jakąkolwiek wielkość znaczyć mogą, treść ich szczegółowa jest zupełnie obojętna, wypadkiem jest zawsze jedna i taż sama formuła. Tu rzecz sama i pojmowanie jéj jest zupełnie umysłowe. Ani téż przeczę, iż środki takie, jak znajomość perspektywy, rozmiarów, oświécenia, anatomia, techniczność wykonania, wiadomości archeologiczne, znajomość indywidualności mistrzów, ich żywota, czasu, w którym żyli, historya sztuki, są ważną pomocą, a nawet piérwszą zasadą oceniania wartości jakiego dzieła sztuki, ale przecież same jedne nie wystarczają.

Kto z zimnym rozbierającym rozsądkiem przystępuje do dzieła sztuki, bez wyższego natchnienia, rozkrawając jak umarłego najwyższe dzieła ducha, kto na miejsce wrzącego serca przyniesie zimny jedynie rozsądek, już podobny jest do owego, co widząc piękność kobiécą w całym swym uroku i czarach, rozbierze sobie jéj powaby anatomicznie i chemicznie. Będziesz się unosił nad urokiem jéj kształtów i harmonią jéj ciała, nad «śnieżną bielą ramion i łabędzią szyją», lub zachwycony staniesz patrząc w te oczy tonące, «niby w wilgotnym ogniu», toć on powié nam, iż kształtna kibić jéj pochodzi od normalnego kształtu jéj szkieletu i kości, które jak u każdego człowieka składają się z 33,17 materyi chrząstkowéj, 53,14 fosforanu wapna, z resztą jest w nich trocha glinki, trocha soli kuchennéj i t. d. A to piękne ciało, toć jest połączeniem włókna mięsnego, białka, pierwiastku extraktowego i t. d.; a owa białość i delikatność skóry pochodzi po prostu z tego, iż muskuły

mięsne są rzadziéj utkane i mają trochę więcéj białka w sobie, zresztą na 100 części jest tam przeszło 50 części wody, drugie 50 znów zajmują inne pierwiastki, które ci najsumienniéj wyliczy; a krew, co, jakby tchem ducha, rumieńcem na twarzy wykwita, o tajnikach serca przemawiając, jest taka sama zupełnie jak nasza męzka, z tą tylko różnicą, że u kobiét na 100 części jest 2 części więcéj wody, a 2 części mniéj kuleczek krwistych; a owe bogate kędziory, któremi «Sylfidy igrają», ba! toć to jest niedokwas żelaza, manganez, siarkan wapna, krzemionka; a czyli te włosy są płowe, czarne, ciemne, toć to tylko zależy od większéj, lub mniejszéj ilości niedokwasu żelaza. Tak ci w tygielku rozbierze wszystkie uroki, wszystkie powaby, co cię czarują; rozsmaży i rozłoży na drobne pierwiastki, złożyć ich tylko nie umié, co za szkoda!

Kto z myślą zimną rozbierając niby chemicznie przystąpi do pojmowania piękności w dziełach sztuki, nigdy jéj nie obaczy; z przed oczu świętokradzkich mu uleci w inne światy, w inne krainy, kędy ją godniéj czcić i kochać umieją.

Widzisz przeto, że gdy dzieło piękności jest ześlubieniem się dwóch światów, bo ducha a materyi, idealnéj a zmysłowéj natury człowieka — nieba a ziemi — więc też sztuki piękne przemawiają do dwoistéj istoty człowieka, tak dziwnym, tak nadświatnym urokiem wiążą i czarują serce jego; ono jeszcze na ziemi a widzi w piękności świat nadziemski rozwarty; to serce biedne człowieka jeszcze się trawi, jeszcze się pasuje z doczesności mocami a w dziełach sztuki woła na niego głos z nadniebnéj ojczyzny. Przecież widziałeś ró-

wnie powyżéj, że właśnie dla dwóch tych pierwiastków, żyjących równém pełném życiem w sztuce, już żaden z nich nie powinien sobie rościć prawa do wyłącznego panowania ani w sercu widza, ani w samém dziele piękności.

Wszak tutaj już zapewne sama ci się nasuwa myśl, że gdy z jednéj strony zmysły nasze są różne, więc i z drugiéj strony różnie do zmysłów naszych mają się przedmioty zewnętrzne, materyalne, a tém samém znowu widzisz, że same dzieła sztuki różnie działać będą na zmysły nasze, a zatém różnie przemówią do duszy człowieka; one wprawdzie wszystkie proroczyć będą o wiekuistości naszéj, ale każda niby właściwym sobie językiem. To prawda! Właśnie atoli też w téj rozmaitości tkwi zarazem rozmaitość rodzajów sztuki. Zdaje mi się, że tu przeto będzie na porze wspomnieć ci choć przelotem o tych jéj rodzajach, zatem o jéj podziale, a tém samém o wzajemném zachowaniu się tych różnych sztuk do siebie. A radbym téż rzecz tę całą wesprzeć właśnie na tém, com wyżéj powiedział.

Rzekliśmy sobie bowiem dopiero, że sztuki piękne nie odnoszą się bynajmniéj do wszystkich zmysłów naszych, ale że tylko dwa zmysły, bo wzrok i słuch mają przystęp do dziedziny sztuki, a zatém same przez się nam wypłyną dwa główne rodzaje piękności, z których jeden przemówi do wzroku a drugi do słuchu. Może się atoli na taki podział nie od razu zgodzisz, mówiąc, że on oparty jest li na naszym organizmie, więc na usposobieniu samego tylko człowieka, a że przecież człowiek, patrzący na dzieła sztuki, jest tylko jedną stroną, a drugą stroną jest natura, jest świat rzeczywisty, z któ-

rego mistrz bierze osnowę dla dzieł swoich. Wymagasz tedy, by nasz podział sztuki na różne jéj rodzaje był wzięty raczéj z istoty saméj téj rzeczywistości zewnętrznéj.

Chciéj atoli zważyć: gdy człowiek jest ostatniém słowem stworzenia i najwyższym szczytem rzeczywistości, więc już jest prawdą, co tyle razy powiedziano, że w nim zbierają się wszystkie promienie stworzenia, że on jest sam małym światkiem dla siebie, a z tego wypływa, że byleś jego istotę rozwinął, znajdziesz w niéj wszechstworzenie, więc i ową rzeczywistość zewnętrzną. Z tego znać, że co jest prawdą dla jego istoty, będzie też prawdą dla téj rzeczywistości. Inaczéj téż być nie może. Ten sam Ojciec niebiański, który stworzył świat, stworzył téż człowieka; więc człowiek i duch jego z jednéj strony a ten świat rzeczywisty, z drugiéj, choć różne od siebie, nie mogą być różnorodne. Ale z tego wszystkiego wynika, jak widzisz, że podział sztuki pięknéj, oparty na różnicy wzroku i słuchu, więc na organizmie człowieka, znajdzie téż zastosowanie swoje i w rzeczywistości zewnętrznéj.

I tak w istocie jest.

Jakoż chciéj zważyć — cała natura zmysłowa, cały rzeczywisty świat ulega dwojakiéj ustawie, bo albo zjawiska jego istnieją w przestrzeni, i w niéj zajmując pewne miejsce, pewne rozmiary, mają zatém swoje ograniczenie w przestrzeni, i swój koniec i początek; albo téż te jestestwa uważane być mogą jako istniejące w pewnym czasie, jako mające tedy swoje granice, bo swój początek i swój koniec w czasie. Tak samo dziać się winno i z dziełami sztuki, które istnieją w rzeczywi-

stości; jedne z nich istnieją w przestrzeni a drugie przemijają w czasie. Otóż widzisz — te, które istnieją w przestrzeni, odnoszą się zarazem do wzroku, bo przestrzeń jest państwem zmysłu tego — a te, które mają istnienie swoje w czasie, odnoszą się do słuchu. Widzisz tedy, iż zasada naszego podziału odnosi się również do człowieka i do rzeczy saméj. Jeżeli tedy zgadzasz się już na taki pogląd, chciéj jeszcze bliżéj zemną rozpatrzyć rzecz całą.

Baczmy — każde dzieło sztuki, które widzimy mocą światłości, które tedy istnieje w przestrzeni, ma swoje wymiary jak przestrzeń sama, ma przeto długość, szerokość i wysokość, ma ciężkość jako materya istniejąca w téj przestrzeni, jest tedy czémś materyalném i istniejącém jakby zewnątrz naszego ducha. Odwrotnie dzieło sztuki, odnoszące się do słuchu, istniejące w czasie, traci niby materyalność swoją; bo jest rzeczą niepodobną dojrzyć takiego dzieła lub się go domierzyć lub doważyć; więc ono istnieje już jakby w duchu naszym, niby wewnątrz nas, boć i nasze uczucia, myśli, wyobrażenia także odbywają się w nas następstwem czasu. Znać zatem, że dzieło sztuki, płynące w słuch nasz, jest czémś wewnętrzném, gra i drga w duchu naszym.

Jest przeto jakiś dualizm w świecie piękności; ale choć dualizm każdy jest zawsze życiem i podnietą, działaniem i oddziaływaniem, toć przecież każdy winien się zawsze zestroić harmonią w jedność; z tego zaś właśnie wróżyć sobie można, że się znajdzie trzeci rodzaj piękności, w którym spłyną sztuki przestrzeni, to jest odnoszące się do wzroku i światła z jednéj strony, a sztuki słuchu czyli czasu z drugiéj strony — będzie to przeto

nowy rodzaj sztuki, w którym poślubi się miłością zewnętrzny i wewnętrzny świat.

Zanim jednak obaczymy, jak się nam ziszczą te wróżby o tym trzecim rodzaju sztuki, obaczmy najprzód rozwój tego rodzaju sztuk, które do wzroku i przestrzeni należą, a następnie dzielnice téj sztuki, która się do czasu, do słuchu odnosi.

Rzecz jasna, że tutaj stanie na reju ten rodzaj sztuki, który nietylko w przestrzeni istnieje ale nawet ze saméj przestrzeni się rodzi, a który właśnie jak przestrzeń sama ma za osnowę materyą. Pytamy, cóż się rodzi ze saméj przestrzeni? To wiemy już z matematyki, z geometryi, których dzielnicą jest właśnie przestrzeń. Z przestrzeni powstaje punkt, linia, płaszczyzna prosta i krzywa, figury więc różne: trójkąty, prostokąt, koła, łuki, elipsy, sześciany, kule, piramidy i t. d. Zgadujesz przeto już że sztuką tą rodzącą się z przestrzeni jest Architektura; nadto Architektura, równie jak przestrzeń, ma do czynienia z massą ciężką materyi.

Przecież znowu właśnie dla tego że Architektura z przestrzeni się rodzi, więc i ona stwarza sobie własną przestrzeń artystyczną, ona buduje sobie świat osobny, w sobie zamknięty. Wszak i przestrzeń natury, ta przestrzeń Boża, jest dziełem Bożéj architektury, w niéj święci się budowanie i matematyka aniołów, co wodzą światy i słońca i księżyce. Przestrzeń wszech światów, toć jest dom widzialny dla duchów, który sobie wystawił Pan. Ale dla jestestw zmysłowych, dla oka zmysłowego, doczesnego, ten dom a przybytek Pański nie jest ogarniony; my tylko widzimy tysiące gwiazd, tysiączne ich roje, co świecą w tym domu; a choć te

światy wszystkie przez nas widziane są tylko może jakiémś zakąciem przybytku Pańskiego, toć i one przecież są dla naszéj biédnéj mysli istnym zawrotem. Spójrzyj przez teleskop choćby na planety, jak one wędrują zdobne w księżyce, w pierścienie, po przez bezdenne, ciemne przestworza Boże, a lęki i trwogi padną na serce twoje. Stąd człek architektoniczną sztuką buduje sobie całość, którą może ogarnąć, buduje po swojemu przybytek, odgradzając go od zewnętrznego istnienia, a tak stwarza świat osobny dla siebie. Osnowa zaś surowa, którą mu dostarczą natury ciosy i belki, metal i marmury, jest mu tutaj materyą; on przezwycięża jéj nieużytość i ciężkość. Materya surowa krystalizuje się w dzieła człowieka.

Stanął tedy już przybytek, — kolumny i łuki, sklepienia i strop patrzą się na człowieka świąteczno, uroczysto: ale przybytki puste, głuche, brak im mieszkańca, coby równie jak przybytek był zrodzony w niebie piękności. I stanął na podnożu gość olimpijski, stanął w cudnéj postaci marmurową bielą odziany; on cichy, niemy, a przecież z niego przemawiają głębie duchowe! Tego gościa z nadgwiazdnéj wysokości sprowadziła skulptura na ziemię, by zamieszkał w piękności swojéj dom, co mu przygotowała architektura jéj siostra.

Lecz gdy architektura z cyrklem w ręku mierzy i waży i liczy, gdy się posługuje, jakby czeladzią, matematyką i jeometryą, rzeźba nie zna, co cyrkiel, co matematyka, tych powierzchni na jéj posągu nie obrachuje już żadna matematyka, tutaj nie pomoże żadna jeometrya! Gdy architektura liniami swojemi, grą swoich powierzchni, harmonią swoich linii, jest dopiéro przeczu-

ciem, symboliką treści głębokich a nie przebudzonych w duchu, w rzeźbionym posągu już nie przeczucie ducha, już nie symbolika jego ale on sam, sam duch osobiście występuje, choć odziany ciałem, to przecież ciało nie jest ciałem od doczesności pożyczoném, ale samo jest uwidomionym duchem; tutaj ducha niby dotknąć się możesz. Gdy oko nasze, patrząc na arcydzieła architektoniczne, mierzy jego stosunki, i liczy, patrząc się zaś na posąg dotyka się go niby wzrokiem; czucie, zmysł dotykania przeniosł się w źrenice. Gdy architektura mocuje się z ciężkością materyi, podpierając jéj brzemię, w rzeźbie postać sama na sobie ciąży, sama się na swoich członkach podpiera. Gdy architektura buduje w sobie zamknięty świat, niby artystyczną Przyrodę, artystyczne otoczenie, w rzeźbie już duch jest usamowolniony od natury, posąg ze wszystkich stron obrobiony stanął samodzielnie, jest wyobrażeniem wyzwolenia z pod potęg przyrodzonych. Dla tego płaskorzeźba, nie oderwawszy się od tła swojego, patrzy na nas jako jedynie ozdoba architektury, jakoby jéj przystrój. Bo właśnie rzeźby powołaniem jest aby wymiary, aby formy rzeczywiście istniejące w naturze znalazły się równie doprawdy i w dziele rzeźbioném, lubo już uduchownione pięknością nadziemską. To powołanie skulptury jest zarazem jéj szczęśliwym światem a zarazem jéj kółkiem zaklętém, z którego już ona wystąpić nie zdoła. Ale właśnie dla tego pojawia się na ziemi nowa sztuka, która już tych form i wymiarów rzeczywistego świata nie przenosi naprawdę w dzieło swoje, ale wdzięczną ułudą mami wzrok; sztuka, która, będąc ukochaną córą państwa idealnego, zmyśla świat czarodziejski,

w nim udając wrzekome wymiary, oddalenia, formy wklęsłe i wypukłe, cienie i światła, słowem udaje to wszystko magią swoją, co jest w rzeźbie rzeczywistością rzetelną. Wszak ta sztuka dla tego właśnie, że tak cudnie zmyśla i łudzi, pozwala sobie udawać téż oddalenia kilkomilowe i wymiary tak ogromne, że te przestrzenie jéj już są nieprzystępne dla rzeźby, co jest tak prawdomowną, szczerą i rzetelną. Domyślasz się że tą sztuką nową jest malarstwo. Właśnie to ona przemogła przestrzeń, bo jéj prawdziwa przestrzeń jest płaszczyzna, a jéj wymiarem jest tylko sama długość i wysokość obrazu, a przecież tu są wszystkie wymiary rzeźby, co więcéj, jak rzekłem, ona zmyślając perspektywę, majaczy i mami i łudzi. A jéj rószczką czarnoksięską jest pęzel, a gieniuszki, co jéj służą, zaklęte są w jéj farbach na palecie; sztuka malowania przemogła przestrzeń, przemogła więc i ciężkość i materyą samą. Patrzysz na jéj postaci urocze, widzisz—to Olimpy rozwinięte, to bitwy i krocie wojowników, to miasta i grody i skały, to niebo, obłoki i morza i puszcze. Ona, gdy nierada tobie, zwinie te światy swoje; zamknie w swojéj tece i zastępy wojenne, i skały i morza, puszcze i kraje wielomilowe. Sztuka malarska majactwem lubém tak sobie poczęła, iż co widzisz w jéj dziele, to nie jest rzeczywistością, to nie jest materyą zewnątrz istniejącą, ona raczéj przebywa w tobie, we wnętrzu twojém, we widzu; ty patrząc na jéj dzieła patrzysz oczyma ducha twojego, patrzysz idealnie! Ale z drugiéj strony potrzeba ci przecież i oczu zmysłowych, potrzeba aby obraz malowany istniał obok ciebie, przed tobą; potrzeba, aby ten obraz istniał w przestrzeni. Te jéj przestrzenie ma-

lowane choć ułudne nie są tedy jeszcze ostatniem przemożeniem przestrzeni. Wtedy gieniusz piękności natęży siły swoje by przezwyciężyć i te ostatki przestrzeni, by zwalczyć te ostatki zewnętrznego świata; on cofa się w siebie, zatęskni za nadgwiazdnym światem, za ojczyzną swoją, i w tęsknocie anielskiéj przemówi muzyką — muzyką, któréj barwy, któréj cienie i światła są tony, akkordy, melodye i harmonie! Cóż zostało teraz z przestrzeni? — drganie struny, narzędzia muzycznego, drganie, co jest drżeniem w przestrzeni, odbywającém się w czasie. Tutaj oczy zmysłowe przygasły, słuch stanął na ich miejscu, tutaj przestrzeń, owa rzeczy materyalnych macierz, starta! A tak muzyka jest drugim rodzajem sztuki pięknéj; ona buduje sobie światy we wnętrzu duchowém, ona buduje sobie własne światy, własne przybytki z promieni swoich dźwięków, ona z akkordów stwarza postaci rzeźbione, ona maluje melodyą. Posłuchaj jéj mowy, mowy muzyki, a z kośnicy historyi wystąpią dzieje umarłych ludów i przesuną się orszakiem tryumfów przed oczami serca twojego, a ujrzysz jako dźwigną się góry nieba sięgające, i zaszumią puszcze proroctwem dalekich jeszcze lat, morza zaśpiewają hymny a gwiazdy tanem światlistym zawtórują ziemskim śpiewom, akkordem nieskończonym. Toć wszystko obaczysz, gdy fale muzyki pełnym nurtem wpłyną w duszę i przyniosą ci wieści z innych światów.

Muzyka cała jest sztuką wewnętrzną, jéj domem rodzinnym jest uczucie serca; serce wróży muzyką, ona tedy równie jak architektura jest sztuką symboliczną, jéj ciosami są tony, jéj budowaniem harmonie i melo-

dye. Muzyka wprost wpływa w serce, ona nie przechodzi przez myśl, jéj wdzięki nie ubierają się w słowa, w wyrazy; co muzyka szepnie nieśmiertelnemu duchowi, tego już nie wypowiesz mową wyraźną, jasną; muzyka jest świata zagadką, wyrocznią, w któréj przemawia Pan; jéj tajemne orzeczenia serce tylko słyszy, a wytłumaczyć je tylko zdoła sama jedna Poezya. Co w muzyce jest sennėm jasnowidzeniem, to w poezyi staje się jawem.

Jak poezya łączy się z muzyką i płynie jéj tonami, tak téż ona, występując samodzielnie, jest sztuką istnącą o sobie. Bo samo przez się poezya jest muzyką, jéj rytmy i rymy są harmonią i melodyą, ale jéj treść już nie jest więcéj zagadką symboliczną, bo duch, innych światów syn, sam tutaj przemawia wprost o sobie, więc téż wątkiem jego, osnową jego są już nie ciosy budowne, nie marmury rzeźb, ani farby lub światła, ani tony lub dźwięki; jego osnową i wątkiem a narzędziem jest mowa. A przecież poezya maluje i stawia ci przed oczy i bohaterów i bogów posągiem rzeźbionym, ale te jéj posągi mówią, rzuszają się życiem i krwią; ona rozwija jakby dla wzroku obrazy natury, i śpiewa i weseli się i płacze w sercu muzyką swoją. Ona ogarnia też przestrzeń światłem promiennėm oblaną, ona drga w sercu niewidomie niby podziemny nurt, wiekuistości zdrój; ona objęła miłością zewnętrzne i wewnętrzne światy. Słowem, ona w harmonią zestraja wszelki ów dualizm sztuki, o którym powyżéj mówiłem, bo ześlubia te jéj rodzaje z sobą, które do przestrzeni, więc do oczu się odnoszą, ze sztuką, która jest córą czasu, i dla słuchu stworzoną. Ona tedy jest trzecim rodzajem sztuki.

Przecież właśnie znowu dla tego, że Poezya jednoczy w sobie oba poprzednie rodzaje sztuk, stąd już wypłynie, że ona sama rozdzieli się w sobie na rodzaje różne, z których jeden będzie wyobraźnikiem onych sztuk światła i wzroku, stwarzających zewnątrz siebie, bo w przestrzeni, dzieła swoje, a drugi rodzaj poezyi odniesie się przeważniéj do wnętrznych przybytków duchowych; trzeci zaś, jak przewidujesz, będzie sam powiązaniem obu piérwszych rodzajów poezyi.

Zgadujesz zapewne, że wedle tego, com dopiero rzekł, naprzód pojawi się tu poezya niby plastyczna, malownicza, która zwróciwszy źrenicę duchową na zewnątrz, widzi Boże i światowe dzieje, patrzy na sprawy natury i historyi człowieka. Jest to epopeja, sielanka, powieść i tak następnie, a gdy ona wyśpiewa te zewnętrzne światy, gdy głos jéj rozbiegnie się po pokoleniach i stuleciach, wtedy duch piękności zwróci oko swoje na wewnątrz, i co potęg, co mocy żyje w piersiach człowieka, to wypłynie strumieniem, potokiem, rzeką lirycznéj poezyi, i zagrzmi Hymnem, Psalmem Bogu, i uwielbi Odą wielkie czyny wielkich ludzi na ziemi. Albo nakoniec poezya stanie się dramaturgią. Tu jak w epopei widzisz postaci przed sobą, widzisz ich dzieje na ziemi; ale co one mówią, toć jest wylewem ich duszy, co czynią i działają, toć jest wyrazem onych mocy tajemniczych, co pracują w ich wewnętrznych przybytkach, tych mocy, co prą i robią w piersiach ich do działania porywając.

Tak tedy zlekka rzuciłem ci zarysy podziału sztuk pięknych; prawda, że te zarysy są zbyt lekkie, prawda, że możnaby innym jeszcze trybem uszykować cały po-

czet tych cór olympijskich; wyznaję, że w téj chwili nie wiem nawet, czylibym się tego samego trzymał szyku, gdyby mi kiedyś wypadło w przyszłym jakim szeregu listów moich przypatrzyć się zosobna każdemu z tych rodzajów sztuk — ale w takim razie przyszłoby nam téż ściśléj ugruntować podział cały. Wszak dotychczas estetycy nie mogą się zgodzić w téj mierze! Myślę atoli, że podział i systematyzowanie wzajemne sztuk pięknych trybem, jak to uczyniłem powyżéj, zupełnie nam nateraz wystarczy, a to tém więcéj, że jest i łatwy i zrozumiały. Trzymając się naszéj myśli, która w nim przewodniczy, zdołasz bez trudności każdy z tych rodzajów sztuk rozdzielić znów na podrzędne rodzaje; co więcéj, bez mozołu poznasz, jako w tym systemacie wypadnie umieścić i inne pojawy, które równie do dziedziny sztuki i bardzo słusznie policzone bywają. Tak np. zważ taniec,—rozumie się, że nie ten, który w życiu powszedniém tak się zwykł nazywać, ani ów co zwykle w baletach trąci sztuką łamaną,—a wyznasz, że taniec w najszlachetniejszém znaczeniu uważany, znajdzie i w naszym systemacie łatwo umieszczenie swoje. Bo taniec jest wcieleniem piękności linii w ruchy ciała, a te właśnie odbywają się zarazem w przestrzeni i w czasie (takt, rytm). Tak tedy taniec jest jakoby przejściem ze sztuk istniejących w przestrzeni do sztuki żyjącéj w czasie, bo do muzyki; on równie przejmuje wnętrze człowieka jako też jest zewnętrznym pojawem; on jest rzeźbą żywą i muzyką widomą, harmonią niemą a symboliką wymowną uczuć człowieka. Albo sztuka ogrodnicza! O ile takowa zasadza się na udaniu natury, jéj dolin i strumieni, jéj gajów, i tak o

ile ona niby stwarza naturę wolną a przecież pełną wdzięku, o tyle graniczy z malowaniem pejzażów; o ile zaś buduje szpalery i strzyże, o tyle zaiste staje się pokrewną Architekturze: rzekłbym, że w pierwszym razie jest natura sztuczną, w drugim sztuka naturalną. A cóż dopiéro powiedzieć o sztuce dramatycznéj! podobno łatwoby nam przyszło okazać, jak to ona jest wykwitem całego grona sztuk pięknych. Miłoby mi było, gdybym ci kiedyś mógł wyłożyć ogromne znaczenie téj sztuki i pierwsze choć najogólniejsze jéj zasady. Ale tutaj niema ani miejsca ani czasu po temu.

Zwróć tylko uwagę na całą osnowę przebieżoną w liście niniejszym. Okazało ci się jawnie, jako mniemam, że dwa pierwiastki wręcz odwrotne, bo świat duchowy i zmysłowy spływają w jedność w sztuce pięknéj, a tém samém że przewaga jednego z tych pierwiastków paczy zawsze cudne piękności formy. Tak tedy wyjawiła się nam naprzód prawda, że same zmysły nie wystarczą, by ująć piękność w całém niebiańskiém jéj znaczeniu, i że z drugiéj strony sama myśl, wyrzekająca się doczesności, spinająca się po wierzchowinach hardych lecz zimnych i lodowych, wysoko wzniesionych nad życie ciepłe, pełne krwi i tętna, wyrzeka się dobrowolnie rozkoszy płynącéj dla ducha z piękności artystycznéj.

Tym prawdom przypatrzyliśmy się z przeróżnych względów, a nakoniec widzieliśmy, jak ten właściwy stosunek świata materyalnego i duchowego w sztuce, staje się sam zasadą podziału sztuki na różne jéj rodzaje. A wszędzie pojawiła się nam prawda, że sztuka piękna zaiste jest zjednoczeniem dwóch światów, bo doczesności i wiekuistéj prawdy, zmysłów i ducha.

Dusza, Psyche, o motylich skrzydłach, słonecznego bóstwa córa, jaśnieje w swéj piękności nadziemskiéj, ale świat tylko cześć niebiance oddawać umié, a nikt ze śmiertelnych nie ośmiela się jéj kochać rzewną miłością. A smutnie i tęskno płyną godziny samotnéj Psychy; ale Amor, ziemskiego kochania i najwyższych uroków bóg, sam miłością ku niéj goreje i dla oblubienicy nieśmiertelność od Pana Olimpu wyprosił, a cały Olimp zestąpił na ziemię i uwieńczył zaślubiny niebiańskiéj ze ziemską miłością. Sztuka jest tą historyą miłości Amora i Psychy, zlaniem się w jedność zmysłowego i duchowego świata.



LIST VI.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszéj.— Uczucia nie mogą być prawidłem sądzenia o rzeczach, ani skazówką postępowania naszego.— Nie mogą tedy stanowić prawdy w sądzeniu o dziełach sztuki.— Uczucia są właściwym sądem w sprawach zupełnie osobistych.— Sztuka nie ma celu wzbudzania uczuć religijnych, ani moralnych.— Uczucie piękności czyli smak nie jest dostatecznym sędzią, ani twórcą dzieł sztuk pięknych.— Pojmowanie piękności przez Platona.— Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłém uważanego.— Smak estetyczny — styl.

Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce.—Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki.— Indyana Pani Sand.— Stanowisko dzisiejszych romansów francuzkich.— Powołanie rzeczywiste piękności.— Harmonia rozumu i uczuć.

Gdy Dante przy grzmiącym głosie swéj lutni pieśnią potężną zaśpiéwał o piekle, czyscu i niebie, o aniołach i szatanach, już, jakby na pobudkę ostatecznego sądu, zerwały się Włochy, złożone jeszcze barbarzyństwa snem, a roztwiérając nagle oczy, ujrzały zarazem purpurowy świt swéj sztuki w malowanych Giotta obrazach. Poranie nowego życia rozlało się po niwach i gajach Italii. Wtedy i promyk jeden świéżéj jutrzenki padł na skromny domek w Arezzo, kędy się chował młody *Spi-*

nello. Zawrzała w nim dusza, zakipiała namiętnością:— był to Włoch w całém znaczeniu; co w sercu zatliło, rozgorzało płomieniem ponurym i buchło na jaw, odbijając się, niby w duszy zwierciadle, w zuchwałych i pełnych grozy figurach pęzla jego. Wnet rozbiegła się sława młodego malarza, a starzy i pacholęta, kobiéty i mężczyzni rozprawiali o jego dziełach, podziwiając te śmiałe, butne i namiętne kształty jego; a dziwna téż w tych postaciach żyła potęga i dziwne téż o nich chodziły wieści. Czyliż on może puścił się w tropy Dantego ku progom Lucyfera, podpatrzył piekielnego gospodarza i z pod boku jego wyniósł sobie na świat wzory dla swych figur?—Bądź jak bądź, zawsze jakaś siła tajemnicza w nim parła i do pośpiechu napędzała, bo choć pęzel jego lotem błyskawicy ścigał myśli i uczucia mistrza, nie mógł im dostać, ani wystarczyć gwałtownemu pochodowi duszy jego. A lubo z równą szybkością wypadały z pod ręki Spinelli i mnichy i światowe damy, swięci, cesarze i papiéże, i choć wszystko już stawało się obrazem, o czém zaledwie pomyślał; przecież z głębokiéj otchłani gorącéj wyobraźni jego coraz nowe a nowe wylatywały kształty; zaczęte, na pół dokończone rzucał, chwytając następne, bo nie miał pokoju w sobie, i coś, jak powiadano, w nim paliło. Ale w końcu Spinello, pragnąc by przecież w mieście rodzinném zostawił ślady żywota swojego, zabrał się do wielkiéj roboty w kościele S. Maria degli Angioli: upadek i strącenie aniołów pysznych było treścią téj pracy.— Łatwo sobie wystawić możesz gromadę złych duchów, co urosła z pęzla jego. Główną atoli figurą obrazu, i słusznie, był sam szatan robiący niby honory piekła; a za-

wziął się też na tego wroga naszego rodu Spinello, i w taką brzydotę go przystroił, jak tego jest godzien. I udało mu się — ba, obaczysz, iż mu się udało na jego biedę aż nadto: posłuchaj tylko cierpliwie.

Zbiegała się tłumem cała okolica, by tę sławną szpetność podziwiać, a strach brał patrząc na nią; i nikt już w obecności tego obrazu nie śmiał głośno przemówić, by licha nie budził; — kto spojrzał, to i truchlał. A panie wszystkie przyznawały, iżby nigdy się nie spodziéwały, by zwodziciel mógł być do tego stopnia brzydkim; a może też nie jedna i nie jeden pocieszał się myślą, iż znów djabeł nie tak straszny jak go malują. Rzecz cała byłaby się może na tém skończyła, i z samym djabłem byliby się może oswoili, bo najtrudniéj zacząć, a już resztę jakby znalazł. Boć i sami panowie Francuzi nas uczą: Ce n'est que le premier pas qui coûte. Ale cóż się stało? — tak wiele o tym djable gadano, rozprawiano, szeptano, iż jakoś wieść o malowidle Spinelli doszła komerażem do piekła i ubodła do żywego stronę interesowaną. Niewiedzieć, czyli djabeł był istotnie na starość w jakichś jeszcze pretensyach, czyli się obawiał wyraźnéj straty i bankructwa na kredycie, i mądrze u siebie zważył, iż zwodziciel, o którym wszyscy wiedzą że szpetny, i licha nie wart: o to wszystko nie pytaj, ja o tém wiedzieć nie mogę, ani chcę wiedzieć, bo zresztą nie lubię się w takie tam rzeczy mieszać. Koniec końców, wszystko się skrupiło na biédnym Spinellu. Słuchaj.

Jednéj nocy, gdy księżyc, niezmordowany od wieków kochanek i towarzysz Ziemi naszéj, po swojemu ją kółkiem obiegał, i tak służąc pani swojéj dowodził, że

miłość na starość nie rdzewieje; gdy przy poetyczném świetle jego Italia kąpała się w srébrnych toniach obu mórz swoich, co niby dwaj cavaliere servente z obu stron grą swych fali śpiéwały jéj serenady swoje, a ona wiecznie młoda, wiecznie cudna, ustrojona wiankiem gajów i kwiatów, tchnęła pod ciche gwiazdy woń swoją, oddając niebu, co od nieba wzięła; Spinello — gdy się to wszystko działo, spał sobie snem prawego, o niczém złém nie myśląc. Aż tu nagle staje przed łóżkiem jego osobiście djabeł, od stóp do głów w téj saméj postaci, w któréj go był odmalował Spinello w kościele degli Angioli; miał kubek w kubek ten sam wyraz fizyonomii, te same maniery, ułożenie i t. d. słowem, oryginał był, jak to mówią, z miny i czupryny tak podobny do owéj swéj kopii, jak dwie krople wody. A nuż tedy żale i chryje, nuż wyrzuty; a tyś taki, a ty owaki, gdzieś ty mnie tak szpetnym widział, co ja tobie winien, po co ty mnie na despet malował, co ja ci kiedy złego zrobił, ty mi psujesz reputacyą i t. d. i t. d. i t. d. do widzenia się! Przebudził się Spinello kąpiąc się w mroźnych potach, a w mózgu kipiało; czoło miał zimne, a głowę w płomieniach—ot, dostał pomieszania zmysłów, nie długo umarł, i na tém się skończyło.

Otóż widzisz, drogi mój bracie, czém dla tego nieboraka był djabeł, tém zupełnie dla nas pospolitych ludzi są najczęściéj własne serca *uczucia;* kto się na baczności nie ma, kto ich potędze rość w sobie pozwoli, kto je w sobie na oślep wychowa, toć wnet ich będzie miał własnymi wrogami, stanie się ich ofiarą i będzie zabity od nich, lub przynajmniéj zaszwankuje na ro-

zumie. Uczucia własne dźwigają się często w olbrzymie złowrogie demony, które się stają naszéj zguby przyczyną; co się w sercu zrodziło wywołuje moce w świecie zewnętrznym, a te moce biją na nas i karzą za to, żeśmy pominęli ogólny Boży zakon władnący światem i gruntowali sprawy nasze wyłącznie na własnego serca natchnieniu kłamliwém.

A istotnie rzecz dziwnie się ma i z uczuciami i z tém powszedniém odwoływaniem się do nich. Zwyczajnie własne uczucia na świadectwo biorą w rzeczach, do których je najmniéj zastosować można; a znowu tam, gdzieby wypadało sięgnąć do przybytku własnego serca i zapytać li samego głosu uczuć, tam najczęściéj radzą się zimnego rozsądku: paczą tedy i rozsądek, i znieważają uczuć świętość. Gdy zaś najpospoliciéj przy sztukach pięknych zwykło się wiele i suto rozprawiać o uczuciach, racz tedy ze mną trochę bliżéj ich istotę rozebrać, mając atoli zawsze na pamięci, że ja tu mówić będę o uczuciach samych przez się, a nie będących pod wpływem wyższych władz i ukształconéj woli. Dla uniknienia wszelkiego nieporozumienia wolę ci już z początku oświadczyć, czego przy końcu listu tego dowiodę, że jak człowiek bez uczuć jest głuchą, bezjędrną łupiną w świecie moralnym, tak téż przyznaję, iż w świecie estetycznym uczucia są głównym pierwiastkiem; bo gdzie nie ma uczuć, tam nie ma mistrza, tam nie ma sędziego sztuk pięknych, tam nie ma sztuki wcale.

Ale wyznaj, że téż trudno znaléźć coś tak zmiennego, tak przemijającego jak uczucia same, jeżeli one nie staną pod rządem rozumu i nie poddadzą się zasadom prawdy. Rodzą się one w nas ciągle, i ciągle się

przeobrażają, przychodzą nam z nienacka, niewołane, i niespodziéwanie występują z ziemi, jakby z pod podłogi teatralnéj widziadła i strachy; lęgną się w nas mimowolnie, bez najmniejszego wpływu naszego; jedna chwila bywa tu stanowczą. Ten lub ów, co wstał sobie spokojnie z rana, kładzie się wieczorem mając nienawiść, troskę, lub miłość w sercu: a co gorsza, przez nie, jakby przez żółte, bure, lub różowe szkiełka na świat spoziéra. Uczucia tak mało od nas zależą, jak rumieniec na licu, jak iskra w oku, jak łza boleści, lub barwa włosów, jak sen i marzenia nocne, jak łagodniejsze lub mocniejsze pulsu bicie — serce nie sługa.

Czyli się kto z tkliwszém lub twardszém sercem rodzi, to ani jego zasługą, ani winą; ani téż o to chodzi, jakim się kto rodzi, ale jakim się własną pracą uczyni. Nie ma ludzi lichszych jak ci, których cała pochwała, że mają dobre serce: bo najczęściéj to dobre serce znajdzie się i przy braku charakteru, honoru i ścisłego dopełnienia powinności swoich, i przy słabéj głowie, rozwiązłości i złych obyczajach. Ludzie tacy nie dają żadnéj rękojmi swojego postępowania, a najczęściéj i sobie i innym stają się zguby przyczyną. Najwyższym dowodem wartości człowieka jest walka z wadami przyrodzonemi serca, aby na miejscu przemiennych uczuć zbudować w sobie charakter. Ludzi bezmozgłych najczęściéj tém bronimy, iż mimo tego i owego, co uczynili, mają przecież dobre serce. Podobnie téż ludzie wskróś sentymentalni nigdy nie zdobędą się na dzielne i potężne czyny; dusza ich pełna woni, niby fiołek w zaciszy, wyzionie zapachem swe życie niezaznane, ciche i wiotkie. Jest to wielka różnica między człowiekiem

sentymentalnym a człowiekiem, jak to mówią, mającym sentymenta.

Uczucia, mieszczące się w piersiach naszych, są skutkiem i ostatecznym wypadkiem nieprzeliczonych wpływów. Cały przeszły żywot nasz, towarzystwo, rodzaj wychowania, miejsce kędy kolébka nasza stała, obrazy rozwieszone na ścianach ojczystego domu, czarne i jasne chwile dziecięctwa naszego i cała ta nasza młodość brzmi głosem przeciągłym, długim, aż w późne lata życia. Nawet bieg szybszy lub powolniejszy krwi, różny temperament, wszystko, czegośmy sami się wyuczyli, albo czego nas świat nauczył przedewszystkiém usposobienie psychyczne od natury wzięte...... słowem, summa nieskończonéj liczby przypadłości, które bynajmniéj od nas nie zależały, stworzyły te uczucia, które się w piersiach naszych mieszczą. Muszą tedy uczucia być tak przypadkowe, jak i okoliczności, które je zrodziły. A ponieważ wypadki i wydarzenia takowe w każdym człowieku są inne a inne, więc téż każdy człowiek ma inne uczucia i inne nastrojenie serca swojego. Ale co więcéj, w jednym i tym samym człowieku nawet one ciągle się mienią, wiecznie przeobrażają. Spojrzyj w serca własnego ciemne otchłanie, w ten świat dziwny, niezgłębiony, w to gniazdo bezokich marzeń, zagadkowych potęg; ztamtąd, jakby z zamglonego oceanu, wznoszą się w różno-kształtnych fantastycznych formach, niby widma wywołane czarnoksiężnika słowy, tłumy uczuć różnego języka, różnéj twarzy, a każde w imieniu innéj namiętności przemawia, każde inną wprowadza sprawę przed sąd rozumu, każde ku swéj stronie kieruje życiem naszém: a rozum, wśród téj wrzawy nie-

swornéj, przesłyszy niekiedy i słuszności głosu. Uważ, iż nawet nigdy jedno uczucie samo w nas się nie odezwie; owszem, gdy jedno w serce uderzy, budzi całe akkordy spokrewnionych z sobą uczuć, podobnie gdy się dotkniesz jednéj struny w muzyczném narzędziu, już dźwięk jéj obudzi inne, posłyszysz jéj tercyę, kwintę i oktawę.

Nieustannie coś w sercu naszém się zradza, porusza, mówi, a lada zdarzenie, lada zjawisko na nas działać może; spadający listek wieczorem jesiennym, umiérający kwiat, pięknych oczu spojrzenie, niebo jasne, promienne lub szare i smutne, pieśń z dawnych lat, miejsce niegdyś widywane i ukochane, niebo w gwiazdy strojne, gawory dzwonów znane z lat dziecięcych — i tysiące nieprzewidzianych małych i wielkich wypadków przestrajają w mgnieniu oka duszę naszą.

Sama wieku różnica, rozmaitość pory dziennéj lub rocznéj, przeszłość, przyszłość i teraźniejsze chwile w innych barwach zjawiają się oczom duszy naszéj i inne w nas budzą uczucia. Lata, co jeszcze drzémią w przyszłości łonie, podobne do młodości i wiosennego zarania, gdy wschód purpurowy goreje gromadą obłoków złocistych, a w każdéj rosy kropelce źwierciedli się niebo, błyszcząc nam jakby tysiączną nadzieją; przeszłość zaś jest znów jakby wieczorem jesiennym, niby podeszłością wieku naszego: przedmioty rzucają długie cienie na obraz świata; smutne, zimne mgły pokrywają życie ziemskie, aż gdy księżyc powodzią drżącego światła zaleje doliny, już téż drzewa, góry, krzewy i skały tracą barwy swoje, i są tylko jakby widmami siebie samych. Południe życia, strzelając z góry promieniem swoim, dojmuje upałem pracownika téj ziemi; czło-

wiek w znoju wieku średniego trudzi się z chwilą teraźniejszą i pasuje się z nią i walczy, zapomniawszy na życia swojego wschód, a często nie pomni, że słońce żywota ku zachodowi się skłania. Tak uczucia nasze coraz inne przybiérają kształty, a serce ciągłym niby jest kalejdoskopem, za każdém poruszeniem w inne się przemienia postaci.

A już teraz myślę, iż mi przyznasz że uczucia, powstając w nas i niknąc bez woli naszéj i przyczynienia się naszego, muszą téż być w każdym człowieku inne, i nawet w każdym znów, wedle różnéj chwili, wedle trafu, różne; a z tego znów zrozumieć możemy, iż one są rozmaite: złe i dobre, zacne i nikczemne, że nas tak do wielkich i szlachetnych czynów prowadzą, jak hańby i zbrodni stają się przyczyną. Przyjaźń, miłość, poświęcenie za prawdę, bojaźń Boża, obyczaj poczciwy, również mają w sercu ojczyznę swoją, i również z uczuć pochodzą, jak zdrada, nienawiść, mordy, cudzołostwo, kradzież, zazdrość, kazirodztwo i wszeteczność wszelka, o tém i Pismo Ś. świadczy. Wstąp-no do więzień karnych, kędy mieszka występek i rozpacz, a najczęściéj znajdziesz, iż zarodem złego, owym ciemnym aniołem, co zwraca człeka od drogi prawego żywota i wabi ku złemu, były źle pilnowane serca uczucia.

Uczucia są to owe czarownice, co na głuchych i pustych wrzosach, wśród wichru, burzy i bitwy spotykają Makbeta i w serce jego, nadpsute pychą odniesionego zwycięztwa, niby jadu krople wpuszczając, pochlebną i zdradliwą przepowiednią wzniecają w nim żądze panowania i chciwość korony: a droga do tronu wiedzie go przez mordy i zdrady. Puginał-widmo wabi

Makbeta po przez noc do komnaty śpiącego Dunkana, a sam morderca siebie pyta, czyli krwawe zabojstwa narzędzie jest piekła widziadłem, lub dziełem podstępnych zmysłów? Shakspeare jest mistrzem w malowaniu uczuć stojących na zdradzie człowiekowi. Dla Otella znów zazdrość serca w postaci Jaga staje się szatanem jego. Uczucia złe dojrzéwając bowiem w piersiach przybiérają te lub owe kształty, kuszą i do grzechu pociągają. Wié o tém Hamlet; głucho i pusto w sercu jego, rozpacza o ludziach, o sobie, o wieczności; patrzy na świat niby na wielki grób, a w serce własne jak w cmentarz, kędy pochował i miłość, i nadzieję, i ułudy i wiarę swoją; skrzepnął w sobie, bo powątpił nawet o matce własnéj. W tém duszy nastrojeniu podejrzenie ostatnie, najwyższe, zjawia mu się w bladém widmie ojca: ale Hamlet i jemu nie dowiérza i sam sobie powiada, że duch ten może być zawodnym piekła posłannikiem, by go ułudą zwieść i wtrącić do zbrodni.

Jeżeli tedy zaprzeczyć nie możesz, iż uczucia są czémś niepewném, przypadkowém, a często złego powodem, toć już widzisz, iż one nie mogą być sędziami spraw naszych, owszem, iż one same należą pod sąd rozumu. A jak tedy niebezpiecznie jest zaufać im, tak jest ubliżeniem godności człowieka uważać to za prawdę, co nam, jak uczucia, znienacka i niewiedzieć zkąd przychodzi.— Człowiek, by bez krzywdy swéj wiekuistéj istoty cokolwiek za prawdę mógł uważać, winien być przy zakładzinach jéj i znać jéj fundamenta.

Nie rozumiem tedy, jakiém prawem w rzeczach pełnych grozy i powagi, w sprawach ogromnego dla wszystkich ludzi znaczenia, można się do uczucia swo-

jego odwoływać; a jednak tak się dziać zwykło. Bo czy to jest mowa o wydarzeniach historycznych, o wielkich figurach w życiu rodu ludzkiego, lub o prawie, stosunkach towarzyskich, sztuce pięknéj i podobnych sprawach, toć najczęściéj słyszymy, iż ktoś sobie uczucia własne za sędziów bierze, i z nich tworzy sobie zdania. Ale rzecz jasna, iż zdanie takowe jest li ważném dla niego samego, dla innych nie ma żadnéj wartości. Tu na nic się nie przyda, choć kto, kładąc rękę na sercu, sentymentalnie zawoła: «ja tak czuję!» bo choćby tém nawet jakiś efekt sprawił, nikogo przecież nie przekona: a wykrzykniki takowe są nierównie łatwiejsze, niż dowody na rozumowych zasadach oparte.

Człowiek, gruntujący zdanie swoje na własnych tylko uczuciach, opiéra się tylko na powodach zupełnie osobistych, więc przypadkowych które innych ludzi nie obchodzą wcale; a gdy czerpie li z siebie samego zdanie, nie z rzeczy, o któréj sądzi, więc téż to jego zdanie będzie prawdą osobistą tylko, a nie rzeczywistą: bo, czyniąc uczucia swoje najwyższym sędzią o rzeczy, nie pyta czém ona jest sama w sobie, a zatém czém być winna dla innych, tylko, czém ona jest dla niego. Nie przypuszcza żadnéj dyskussyi, żadnego dowodzenia, ani za, ani przeciw: bo gdzie dyskussya i dowody, tam i rozumowanie, a uczucie nie wdaje się w rozumowania; jest, bo jest. Kto tylko w uczucia wierzy, żąda tedy ślepéj wiary, bezwarunkowéj ufności, ma pretensyą, aby to, co wyrzecze, miało dogmatów wagę; a przecież zdania takowe mają tylko piętno urywkowych prawideł, nie mogących się nigdy związać w systematyczną całość, bo do téj potrzeba zasady rozwiniętéj z rozumo-

wania. Estetyk, wierzący tylko w uczucia własne, na świat patrzy się z piętra, i radby mieć w swoim kraju niby propinacyą wyłączną na zdania i sąd o rzeczach i ludziach.

Są zaiste stosunki ludzkie, w których każdy samego jedynie uczucia radzić się musi i powinien, w których samo serce rozstrzyga. Zakochał się kto i żeni się, toć już słucha samego swojego uczucia, boć to jest jego własna sprawa, i zupełnie ma słuszność nie dbać o zdanie i perswazye innych. Lecz byłby człowiekiem nieznośnym i śmiésznym, gdyby nas zniewolić chciał, byśmy i my te wszystkie owe zalety, przymioty i powaby w jego oblubienicy widzieli, które on w niéj spostrzegł. Któż bierze za złe rodzicom, gdy w swych dzieciach widzą dowcip, rozsądek i urodę, i jakieś nadzwyczajne upatrują zdolności, których się inni ludzie w nich, choć przy najlepszéj woli, dopatrzyć nie mogą. Dla ciebie ów ogromny dąb, pod którym siadywał dziad twój i ojciec, jest księgą świętą nieprzebranych marzeń słodkich i wspomnień drogich — gdy tymczasem obcy człowiek w myśli oblicza, ileby z onego dębu było fosztów, i po czemuby ich łokieć sprzedać można. Z tego téż powodu uczucia zwykliśmy zamykać w cichych tajnikach duszy, rzadko je komu otwiérając, by świętokradzką ręką nie znieważono téj świętéj kaplicy w piersiach naszych, by zimném dotknięciem nie zmrożono nam ciepłego drgania serca. Nie dziw tedy, że téż miłość lub przyjaźń zdradzona tak pali i boli.

W sprawach przeto zupełnie osobistych, zupełnie do nas należących, uczucia są właściwym sądem; wyprowadzone zaś z tego koła nie znajdują się więcéj na miej-

scu swojém. Przewaga bowiem jakiego uczucia w człowieku tak miesza i mąci wyobrażenia o rzeczach, tak je majaczy, iż jest w niższym stopniu zupełnie tém, czém obłąkanie umysłu. Dla téj też przyczyny górowanie uczucia jakiego najczęściéj do obłąkania prowadzi. W stanie takowym umysł zwrócony przedewszystkiém ku jednemu przedmiotowi, (fiksacya), nie zdoła uporządkować wyobrażeń swoich, ani naznaczyć każdemu właściwego miejsca, wszystkie z sobą miesza; dla tego choroby umysłowe słusznie pomieszaniem się nazywają. Rzeczy dla duszy w tym stanie będącéj nie są istotnie tém, czém są rzeczywiście, ale czém się umysłowi schorzałemu być wydają. Najtrafniejszém też leczeniem jest staranie, by człowieka z tego osobistego stanowiska jego, niby z kółka zaczarowanego, wyprowadzić a wystawić go na działanie świata zewnętrznego, rzeczywistego, czyli, jak powiadają, by go rozerwać, zająć rzeczami istotnemi.

Bo też świat zewnętrzny, zwłaszcza natura, jest właśnie tą prozą, toczącą się zawsze i wszędzie drogą rozumu; i świat nie pyta się wcale, czém on się temu lub owemu człowiekowi wydać może, ale uczy rozumu każdego, kto się do niego nie stosuje, bo uczy, aby zapatrywanie się osobiste swoje zamienił na zdanie z rzeczy pochodzące, na pojmowanie rzeczywiste. Otóż patrz, szanowny pan Don Quichot z Manchy, choć sam miewał zajączki, wiedział przecież, jakby je leczyć w drugich. Gdy piękna panna Altisidora, niby rozgorzała ku niemu nieukojoną miłością, zuchwały rycerz z Manchy nie zdołał płacić wdzięcznością i wzajemnością uczuć, bo siebie na wieki był oddał nieporówna-

néj Dulcinei z Tobozy. Przejęty jednak litością, rad był sentymentalnéj Altisidorze podać niezawodne lekarstwo na ową serca chorobę. Jednego tedy wieczora, gdy, wróciwszy od księztwa do komnaty swéj, usłyszał głosy niewieście w ogrodzie zamkowym pod oknami swemi, dorozumiał się w okamgnieniu, że to ona nieszczęśliwa ofiara: bierze tedy gitarę i, wedle świadectwa biografa swojego, trochę chrapliwym ale wcale nie przykrym głosem zaśpiéwał pieśń, którą sam był na ten przypadek ułożył, choć nie wiem czyli dość grzeczną dla owéj damy. Dość na tém, że jéj radzi, by się zatrudniała jak najwięcéj, unikała próżniactwa, żeby doziérała kuchni, patrzała gospodarstwa, i zapewnia że szycie, hafty, dziérgania, druty, doglądanie ogrodu, ciągła czynność, są wybornemi środkami na miłość zbyteczną. Pamiętasz może, że po téj radzie, tak niby rozsądnéj, sam biédny rycerz nasz odbywa walkę z kotami, które mieni być złośliwemi czarownikami. Bo tak bywa wśród nocy przyćmionéj duszy; niekiedy myśl strzeli, jakby błyskawicą, dawną potęgą swoją, by potém znów zapaść w sen i w marzenia na jawie. Tak masz, na wstępie do domu obłąkanych w mieście naszém, napisane węglem na ścianie tąż samą nieszczęśliwą ręką i tuż przy sobie: *Deus est ens musicale, mléko piekło papa.*

Mimo tego, iż tak mało na samych uczuciach fundować się można, przecież jest zdanie powszechne prawie, iż sztuki piękne jak z jednéj strony ze samego uczucia mistrza płyną, tak też znowu w same tylko uczucia widza i słuchacza uderzać winny: że zatém ich głównym celem jest wzruszanie serca, pobudzanie uczuć, wzniecanie namiętności, a z tego znów, iż uczucia są

właściwymi sędziami sztuk, i że wedle nich wyrokować można o dziełach piękności; bo jeżeli sztuki piękne dla uczuć pracują, więc też uczucia najtrafniejsze zdanie o nich mieć zdołają. Tutaj zaraz z góry możnaby uczynić tę uwagę, iż ze wszystkich sztuk pięknych właśnie muzyka jest tą, która zdaje się być najwięcéj uczuciową, bo istotnie najwięcéj ze wszystkich do uczuć przemawia — a przecież, pytam się, słysząc naprzykład kompozycyą jaką muzykalną, czyliż tylko samego uczucia mistrza w niéj szukać będziemy, i czyliż dość jest, aby słuchający miał tylko uczucie samo, a nic więcéj? Cóż dopiéro rzec o malarstwie, architekturze, o rzeźbie lub poezyi? Nie ma nic łatwiejszego jak wołać, że sztuki powinny nas poruszać, wzbudzać uczucia, rozgrzać je sobą i t. d. Ta rada atoli jest tak ciemna i niezrozumiała jak uczucia same. A zresztą jakież to uczucia one wzruszać powinny? Dajmy na to, iż nam naprzykład odpowiedzą: że sztuki mają wzniecić uczucia religijne, zamiłowanie cnoty, pogardę występku, słowem, że podnieść i uszlachetnić winny uczucia moralne. Takie wyjaśnienie rzeczy nie wystarcza wcale, bo nam miesza cel religii i moralności z celem sztuki pięknéj, a tu właśnie wszystko na tém zależy, by oznaczyć, czém jest sztuka, co ona ma właściwego sobie, żeby ją odgraniczyć od uczuć religijnych i moralnych. Taka definicya przenosi zupełnie sztuki na grunt im wcale obcy.

A jak zaprzeczyć nie możesz, iż religia i moralność sama w sobie jest prawdą i sama o sobie stoi, nie potrzebując od nikogo pomocy, obejść się zatém może i bez sztuk pięknych,—tak z drugiéj strony zechcesz przypomnieć sobie, żeśmy już w drugim liście zgodzili się

na to, iż sztuki piękne nikomu nie służą, nie mają obcych celów, i same sobie są celem: nie służą tedy i moralności. Nie ma płytszego sądu o sztukach pięknych, jak zdanie powtarzane aż do znudzenia często: iż ten lub ów obraz, posąg, poezya, romans nie jest niby moralnym. Sąd taki jest czczy. Ludzie, którym brakuje podniety wewnętrznéj do uczuć moralnych, niechaj nie narzekają na sztuki piękne, ale na wychowanie, jakie odebrali. Dzieła sztuki pięknéj wcale nie mają powołania, by zastąpiły naukę wiary lub zasady poczciwe, skoro w sercu nie ma ani wiary, ani zacności. Sztuki wcale nie mają celu, by pomagały rozszérzeniu moralności w świecie, to do nich wcale nie należy. Powieść, malująca ohydną barwę zbrodni w celu jedynie by była odstrachem od złego, chybia powołania swojego, zbacza ze swéj drogi, bo jéj cel jest jedynie artystyczny. Po architekturze, po muzyce, po rzeźbie nawet nikt nie wymaga, by miały cel moralny; jedna tylko poezya budująca, grająca, malująca wyrazami, ma mieć jeszcze cel dobrego obyczaju, choć ona ani mniéj ani więcéj nie jest sztuką jak architektura lub muzyka. Powieści pisane dla dzieci mają zaiste głównie na baczności kształcenie serc młodych; ale téż powieści takowe nie należą do sztuki pięknéj, lecz do pedagogiki, do liczby książek wychowaniu poświęconych. Jest rzeczą nawet dość komiczną, jeżeli ludzie późniejszego wieku chcą się jeszcze budować i polepszać z dzieł, które dla rozerwania swojego czytają; wszak już oni dawno powinni byli skończyć sprawę ze sercem i rozumem swoim i wiedzieć stosunki swoje do Boga, bliźniego i siebie samych. Rozprawiania o moralności dzieł sztuki

pochodzi z pomieszania wyobrażeń o rzeczach zupełnie różnych. Czyliż sztuki piękne mają być rozprawą o moralności, czyliż one mają mieć w końcu dodany sens moralny jak bajeczki Krasickiego? — a zresztą, któż z nich tę moralność wytłumaczy?— czyli tu nie wszystko zależy od sposobu uważania tego, który je tłumaczy?— W jedném i témże samém dziele, wedle stanowiska różnego, wiele dobrego i wiele złego widzieć można. Posłuchaj, co w towarzystwie mówią, gdy przy herbacie rozprawiają o moralności jakiego romansu lub dramatu; rzadko znajdziesz dwa zdania zgodne w tym względzie.

Nie przeczę iż dzieło sztuki każde, byleby było doskonałe, na wartość też wewnętrznego człowieka wywrze wpływ swój potężny i zagrzeje miłością tego, co jest moralném, wielkiém, prawém i świętém. Bo sztuki tak są prawdą i tak z zacności człowieka płyną, jak moralność, cnota i wiara; nie mogą one być tedy im przeciwne, ani w sprzeczności z sobą: są to ściany jednego i tego samego brylantu, gorejącego tylko różnemi barwami ognia swojego. Co innego atoli jest powiedzieć, iż z dzieł sztuk pięknych wypływa moralność i zacność, a co innego, iż one tylko dla téj moralności i cnoty bytność swoją mają, i że one dla moralności są środkiem tylko. Przypuszczam iż istotnie sztuki piękne winny mieć na celu obudzenie uczuć szlachetnych, wielkich i zacnych; czyliby na tém moralność tak wiele zyskała? — mniemam, że nie wiele: bo moralność nie stoi na uczuciach, nie na zapałach tylko, ale raczéj na przekonaniu, na jaśnéj wiedzy powinności świętych człowieka, na łamaniu się z sobą, jeżeli potrzeba, a nawet

na zmuszeniu swych uczuć, by się zastosowały do tego, cośmy w sobie za prawdziwe i godne nas uznali.

Zaiste sztuki piękne nie służą żadnemu celowi obcemu za środek; ich celem jest właśnie piękność sama. Ich celem nie jest ani rozbudzenie uczuć religijnych ani moralnych, ich celem téż nie może być nauczanie ani wiedza żadna; sztuki piękne są wolnemi córami potęgi niebiańskiéj, która zamieszkała w sercu człowieka.

Rzekłem już w inném miejscu, że człowiek w sztuce uzmysławia wiekuisty pierwiastek ducha swojego; ten pierwiastek w nim robi i prze, niewoli to do własnéj twórczości artystycznéj, to do podziwiania dzieł mistrzów i skąpania ducha swojego w zdroju piękności. Człowiek nie może niemieć sztuki, ona jest najwyższym wykwitem ducha jego; sztuka jest zarazem i rękojmią i wypływem nieśmiertelnéj jego istoty. Dla tego też właśnie sztuki piękne pojawieniem swojém uszlachetniają, uzacniają uczucia człowieka; dla tego właśnie stanęły obok cnoty, obok religii jako zacne jéj sprzymierzeńce. Atoli to uszlachetnienie, to wzniesienie ducha ludzkiego przez sztuki piękne jest ich skutkiem, ale nie jest ich powodem ani celem.

Widzisz tedy że cel, narzucony sztukom pięknym, jest świętokradztwem na nich dokonaném, więc dla tego sztuka, uczyniona służebnicą obcych jéj celów, mścić się będzie na mistrzach zniewagi swojéj, skręcając i pacząc ich dzieła, jakby na urągowisko ich talentów.

Patrz jak mdłe najczęściéj są np. wszelkie poezye mające na celu nauczanie; poemata dydaktyczne nie są nigdy ani prawdziwą nauką, a rzadko bardzo prawdziwą poezyą. Wszak dążności «praktyczne» Rzymian,

mające we wszystkiem cel utilitarny na oku, stały się klątwą ciążącą na ich sztuce; wszak ta praktyczność ich przedewszystkiém stworzyła ową poezyą rzymską dydaktyczną, co świeci i błyszczy, migoce się jakby wysadzona w drogie kamienie: w niéj znać pilne, wytrwałe wykonanie, ale najczęściéj brak im natchnienia. Bo też inaczéj być nie może! Wszelkie dzieło-sztuki, do którego się zabiera mistrz z zamiarem osiągnienia jakiegoś celu ubocznego dla piękności, wszelkie dzieło sztuki, przedsięwzięte z zamiarem rozszerzenia jakiejś dążności ubocznéj między ludźmi, nie będzie nigdy arcydziełem piękności. Bo gdy mistrz ma na oku cel jakowyś, już tém samém dobierać winien środki stosowne do osiągnienia zamierzonego celu, i wiąże te środki i kombinuje je z sobą, i waży je i mierzy i stosuje. Takie postępowanie atoli jest już sprawą chłodnéj rozwagi, rozumowania, rozsądku: lecz rozum, rozwaga chłodna nie stworzy nigdy dzieła sztuki, z głowy saméj nie zrodzi się nigdy piękność; takowe dzieło nie będzie żywym kwiatem, ale kwiatem trupim, robionym. Przypatrz się dobrze tym poezyom, romansom tak zwanym «tendencyjnym», a zgodzisz się zemną, że prace takowe, mimo ogromnego talentu pisarzy, nie będą przecież dziełem prawdziwie estetyczném, artystyczném. Bo dwóm panom służyć nie można. Kto jest kapłanem piękności, niechaj się już nie kłania obcym jéj bogom. Połowiczność zawsze i w tém odnosi karę, że takowe dzieła wnet idą w niepamięć: świat zwróci się do innéj dążności i odrzuci precz od siebie dzieła, które niedawno uwielbiał. Piękność artystyczna w całym majestacie swoim zasiadła na stolicy; garnijcie się do niéj i od-

dajcie jéj hołdy; ale biada jéj i wam, gdy ona, zapomniawszy godność a zacność swoją, zestąpi z swojego tronu i, mizdrząc się do lada zachętki swojego czasu, ofiaruje się każdemu co jéj przysługi po swojemu użyć zechce.

Rozumiem że mi nie zarzucisz tutaj, iż najwyższe arcydzieła sztuki, że pieśni wielkich mistrzów, porywając, zagrzewając serc tysiące, wlewają w dusze dążności wielkie, szlachetne, olbrzymie i unoszą widza, słuchacza nad siebie samego; nie spodziewam się zarzutu takowego, bo rzecz jasna, że gdy każde dzieło sztuki, każda pieśń ma pewną treść swoją, już tém samém obudza w sercu ludzi dźwięki pokrewne, wskrzesza uczucia a tém samém i dążności, które wtórować będą tonami swojemi téj treści, tym uczuciom mistrza samego. Tego przecież nikt zaprzeczyć nie zdoła. Nie mniéj jest rzeczą pewną, że ta duchowładna tajemna potęga mistrza właśnie w tém tkwi, że on te uczucia, te zapały w sercach ludzi zbudził sztuką ale nie sztucznością; że tych dzieł nie robił jakoby na obstalunek, że sam mistrz-wieszcz był przeniknięony wskróś jakąś prawdą wielką, prawdą głęboką, która przeszła jakby w krew jego duszy, w tętno jego serca, wrzała w nim i kipiała i parła do dzieła; i on wyśpiewał tę prawdę w swojéj pieśni, odział ją w postać dzieła swojego, a ta pieśń, to dzieło uderzyło gromem widzów, słuchaczy i rozpaliło ich ogniem zacnym i szlachetnym. Prawda, która się stała panią wieszcza i duszą jego duszy, sama przez się z własnéj mocy swojej żyć będzie w dziele jego, i nie będzie bynajmniéj potrzeba aby mistrz założył ją sobie z góry za cel swojego dzieła; w tém dziele będzie dążność, ale

ona sama się w nim zrodzi bez umyślnego powziętego zamiaru. Lecz właśnie dla tego głównie chodzi o to, aby treść, przejmująca duszę mistrza, była rzeczywiście prawdą, bo wtedy i natchnienie jego będzie iście prawdziwém, wtedy to zachwycenie twórcze nie tylko z imienia ale z istoty swojéj będzie aniołem wiekuistości, zesłanym od bożego tronu, wtedy jedynie to zachwycenie nie będzie kłamliwém, zawodnym demonem, co się zrodzi z próżności osobistéj i zachcianki drobnéj ciasnego serca.

Ale rzekną nam, że smak jest zaiste najwyższym krytykiem dzieł sztuk pięknych; aleć, proszę, czémże jest smak, jeżeli nie uczuciem piękności? Co tedy powyżéj o uczuciach w ogólności powiedziałem zupełnie stosuje się i do uczucia piękności, do smaku. Lecz co więcéj, ze wszystkich uczuć właśnie uczucie piękności, ów smak jest najniestalszy, najrozmaitszy; każdy wiek, każdy człowiek ma inny, każdy rok inne smaki rodzi. Myślę iż nasze damy za wszystkie skarby świata nie ustroiłyby się w mody, będące najwyższym dowodem wykwintnego smaku lat temu 30; ba, i tak dawnego czasu nie potrzeba wcale. Byłoby szczérym zbytkiem dowodzić tego, a nie ma téż oklepańszego i prawdziwszego przysłowia: *de gustibus non est disputandum.*

Powiadają, smaku dorobić się można wpatrywaniem się pilném w dzieła sztuk pięknych, zostawionych nam w puściźnie po wielkich mistrzach przeszłości. Wołają zewsząd: czytaj tylko pilnie dzieła wzorowe, odznaczające się wytwornością, nabywaj uczucia piękności w galeryach obrazów, rozbiéraj celujące pomniki architektury, zrozumiéj czarodziejstwo muzyki po koncertach,

operach, kościołach, utop się myślą w posągach świécących po glyptotekach europejskich, a widząc i słysząc te skarby sztuki, wyprawisz smak swój i będziesz już mógł sądzić o wartości dzieł.

Gdyby samo widzenie zgoła miało być dostatecznem, więc nie wiedzieć czém się dzieje, że pomimo onych gęstych a częstych podróży, znajdziesz owo dziwaczenie się, zwłaszcza pod względem architektury. Spójrzysz na browar, rzekłbyś, że to kościół; na owczarnią, że to ratusz; obaczysz karczmę podobną do galeryi obrazów, a dwór do obory. Lada gdzie usadzą pękatą basztę, wlepią ci drzwi i okienka śpiczaste, i powiadają że to styl gotycki. I takie to całe wyobrażenie o smaku i piękności. Bo już nikt nie żąda, by kto innemi sprawami życia zatrudniony znał się na sztuce, ale chodzi o to, aby wiedział na co go stać, a na co nie. A zkądże to wszystko się bierze?— zaiste ztąd, że choć owa rada nabiérania smaku przez przypatrywanie się rzeczom prawdziwie pięknym ma wiele prawdy, przecież w niéj jest jedna niedogodność: trzeba bowiem już naprzód i z góry wiedzieć, co jest pięknem i czemu się przypatrywać potrzeba, by smaku nabyć; lecz kto to wié, już ma smak i już go nabywać przypatrywaniem się nie potrzebuje wcale; już taki ma to uczucie piękności, o które właśnie mu chodzi. A jeżeli go nie ma w sobie, jakże poznać zdoła, co piękne a co niepiękne w dziełach sztuki? a jakim sposobem ma znaleźć tę piękność, czyli za pomocą przewodnika, coby mu wskazał te piękności wszystkie?— Zapewne. Ale zkądże znów ta pewność, że ten sam przewodnik ma smak dostateczny— i zkądże znowu ów przewodnik nauczył się tego smaku?

zapewne także musiał mieć przewodnika swojego, a ten znów innego; a tak niewiedzieć gdzie się ten łańcuch przewodników kończy. Ale może sława Rafaela, Correggia, Thorwaldsena, Homera, Praxytelesa wystarczy, by wiedzieć, iż ich dzieła są wzorami piękności i że się im przypatrzyć należy. Zaiste, jest to zawsze czémś: pytam się jednak, cóż im tę sławę sprawiło, czyli smak współczesnych i potomnych? a ci znów zkąd tego smaku nabyli, jako też prawa ustalenia sławy mistrzów onych?

Mamy więc podziwiać Zbawiciela w katedrze naszéj nie dla tego, że jest dziełem najwyższéj piękności, ale dla tego że jest dziełem Thorwaldsena, który jest *bardzo sławnym rzeźbiarzem?* więc tedy nie mistrz ma brać sławę z dzieł swoich, lecz dzieła z mistrza?

Dziwna rzecz iż po tylu pracach, po tylowiecznych trudach jeszcze się nie upowszechniła jasna i przeźroczysta wiedza o wiekuistéj istocie piękności, gdy tymczasem Plato przed dwoma tysiącami lat uchwycił ją z najwyższego szczytu geniuszu swojego. Skracam słowa jego dając im zakrój zbliżony nieco do naszego pojmowania rzeczy. «Gdy dusza — mówi Plato — ujrzy piękność na Ziemi, przejmuje się dreszczem tajemniczym, bo przypomina sobie własnego żywota dzieje przed lat tysiącem upłynione, gdy jeszcze mieszkała na gwiaździstéj nieba stolicy, i nim spadła w zimne padole doczesnego życia. Gdy bowiem tutaj w tych poniżach ziemskich piękność przed duszą stanie, wtedy dusza rozgoreje pamięcią zapomnianéj szczęśliwości: rozwija się przed nią jasny obraz onéj chwili wielkiéj, gdyśmy wszyscy, jedni w orszaku Jowisza króla Olimpu, inni chorem idąc za innymi bogami, obchodzili uroczystość

najwyższéj Piękności, oddając wraz z niebianami téj wspólnéj wszystkim pani pokłon i cześć. Dusza tym widokiem jasnym rozpływała się w morzu wesela bez granic, bo ona była jeszcze bez skazy, pełna czystéj roskoszy, niedotknięta jeszcze biédami, które na ziemi na nią czekały, ani obleczona jeszcze ciałem cisnącém ją jak skorupa ślimacza. Dla tego dusza tak do niéj tęsknotą drga, gdy ją tu pełną blasku, świecącą, w postaci ciężkiéj materyi obaczy; a jéj téż urok jasny oczyma, owym jasnym zmysłem, do duszy płynie.»

«Wzrokiem zaiste piękność oglądać człowiek zdoła, ale mądrości nie ujrzy oczyma; bo gdyby dusza obaczyła mądrość zmysłami swojemi, tak silną ku niéj rozgorzałaby miłością, iżby już nie podołała téj tęsknocie swojéj; dla tego wzrokiem człowiekowi samą tylko piękność oglądać dozwolono jest.»

«Kto już zatracił w sobie przypomnienie onéj piękności wiekuistéj, w niebie widzianéj, lub kto zepsuty spróchniał w sobie, to i kochania prawdziwego téj piękności nie pojmie; w dzikości swéj natury rozkołysze się ku niéj zmysłową namiętnością i grubych zapragnie roskoszy. Kto zaś w piersiach dochował świętość pamięci onéj niebianki, już na widok materyi, uduchownionéj pięknością, zadrży w sobie jakąś trwogą wewnętrzną, a lęk z onych czasów spłynie na niego uwielbieniem; upadnie przed nią, będzie się modlił do niéj i patrzał na nią niby na Boga, lub na kochankę swoją; radby jéj poświęcić wszystko i palić ofiary, jak się to bogom najwyższym czyni, gdyby znów nie bojaźń, żeby go ludzie za obłąkanego nie mieli. A gdy się w tę piękność dusza wpatrywać będzie, roskosz tęskna ja-

kiémś ciepłem rozleje się po całéj jéj istocie, i ona poczuje jakąś boleść po sobie; bo wśród ciepła i tych bolów wykluwają jéj się dawne niebiańskie pióra, dawne skrzydła; a dusza, jak niegdyś w niebie, rozwinie te swoje pióra, te loty i skrzydła, i znów się wzniesie do górnego Olimpu, ojczyzny swéj. (Phaedrus).»

Powiedz, czyli może być głębsza filozofia jak ta poezya, i czyli może być wyższa poezya jak ta filozofia Platona? I jak przy tym sposobie zapatrywania się jego wydaje się zdanie, iż smak jest najwyższym sędzią sztuk, iż to one ku niemu się mają i że wszystko jest piękne, co trafia w smak spółczesny?

Ośmielam się twierdzić, iż może korzystniejsza jest całość, teorya zbudowana choćby na mylnych zasadach, niż gołe odwoływanie się do smaku choćby najwyborniejszego; albowiem smak nigdy ogólnéj teoryi nie złoży, bo jest uczuciem, a zatém nie rozumuje wcale; do teoryi zaś rozumowania potrzeba. Objawić się tedy smak może li we formie recenzyi, krytyki jakiegoś już utworzonego dzieła sztuki.

Powiadają iż dzieła, które są najwyższą pięknością dla jednego wieku lub narodu, są szpetne i obrzydliwe dla innego czasu lub kraju; zatém nic stałego, nic trwałego o piękności i sztuce powiedzieć nie można, zatém téż żadna teorya sztuki utworzyć się nie da. Zkądże urosło takie wyobrażenie o rzeczy? Właśnie ztąd, iż w sztukach li samego smaku się trzymają, a właśnie smak jest zmienny, więc się zdaje, że i piękność sama jest zmienna i że każda teorya sztuki jest pustym zachodem. Rozumowanie takowe krąży kółkiem; bo gdy sztuki są niby dziełem smaku, — więc smak o nich są-

dzić powinien — a smak o nich sądzi, bo one są dziełem smaku i t. d. I smak ma swoje dzielnice, w których jest samowładnym choć zmiennym panem. Do niego należy ubrać pokoje, wybrać sprzęty, ustawić je, zarządzić obiadem, balem, zastawić stół, — kreślić nowe rysunki na obicia pokojowe, stwarzać kardynałki, burnusy, wymyślać nowe mantylki, kryspinki, wiktorynki, bibi i t. d. i t. d. Radbym atoli abyśmy się dobrze zrozumieli. Powyżéj mówiłem o smaku w znaczeniu przyjętém zwykle w życiu powszedniém; nie przeczę jednak bynajmniéj, że gdy się znajdzie człowiek z duszą estetycznie wykształconą i tkliwą na to wszystko, co szlachetne i zacne na świecie, gdy do uczucia piękności, wziętego z natury a wyrobionego zapatrywaniem się na arcydzieła sztuki, przystąpi jeszcze umiejętność wyrozumowana prawideł artystycznych, wtedy zaiste takie uczucie, taki smak może być sędzią niezawodnym dzieł piękności.

Zrozumiesz, że gdy tu mówię o umiejętności prawideł estetycznych, nie obstaję bynajmniéj za pedanckiém szkolnictwem; mniemam jedynie, iż jak mistrz nie obejdzie się bez wiadomości o prawidłach swojéj sztuki, tak téż i sędzia dzieł jego znać je powinien; ta teorya będzie dla niego samego nawet rękojmią, że zdanie jego nie płynie li z osobistego usposobienia, ale wynika zarazem i ze saméj istoty rzeczy. Zważ równie, iż tu wcale nie chodzi o to, aby, dając zdanie o dziełach sztuki z całym rozsądkiem chłodnym, sobie obecnym, przymierzał do dzieł takowych prawidła estetyczne; bo im więcéj on sam przejmie się temi prawidłami, im więcéj je zleje z własną istotą swoją, im

ściśléj je sobie przyswoi, tém one też ściśléj przejdą w uczucie jego, staną się, że tak powiem, jego estetyczném sumieniem i instynktem, przejdą w jego smak i uczynią go właśnie smakiem prawdziwym. Mówiłem w téj chwili o sumieniu estetyczném. Widzisz, ów smak osobisty, przypadkowy, niepewny, zawodny, słowem ów smak w znaczeniu, jak go zwykle w życiu codzienném bierzemy, tak się ma do smaku prawdziwie estetycznego, o którymeśmy tutaj dopiero mówili, jak sumienie w znaczeniu nieprawdziwém do sumienia istotnego, rozświeconego prawidłami wiary i nauki moralnéj.

Czyliż się to nam rzadko zdarza, że ten lub ów najgorszy człowiek o miedzianém czole, uważa to być sumieniem swojém, co zaiste jest tylko żądzą poziomą, namiętnością nikczemną, która mu wciekła w duszę jego. Kto zaś nauczył się mierzyć sumienie swoje wedle prawd religii i etyki, kto stanął własnemu sumieniu na straży, ten odgarnął od sumienia prawdziwego, od tego głosu bożego, demoniczne i złe uczucia, ten już bez chyby a zawodu, gdy do działania przyjdzie, postąpi sobie zacnie i uczciwie, nie przypominając nawet sobie prawideł i ustaw moralnych. Te prawidła staną się już same przez się, jak powyżéj rzekłem, krwią jego duszy, tętnem jego serca. Podobnie np. kto nauczył się wedle prawideł wyrozumowanych układu palców, już grając zachowa te prawidła w dotykaniu klawiszów, i nie pomyśli nawet w téj chwili o prawidłach owych.

Zważ atoli jeszcze, że gdy smak ów, w zwyczajném znaczeniu wzięty, trzyma się w wykonywaniu dzieł

sztuki raczéj osobistego zapatrywania swojego niż istoty rzeczy, niż istoty przedmiotu i zasad ogólnych piękności, wynika ztąd, że smak taki wyradza się najczęściéj w wypaczenia, które zwykle »manierą« zowią, ale manierą w złém znaczeniu. Ona to jest wykonywaniem dzieł sztuki niby na pamięć, wedle pewnych formułek raz na zawsze przyjętych, wedle pewnych sposobków, których się wrzekomy mistrz na pamięć nauczył. Maniera też bardzo często chwyta się ucznia miernych talentów, chcącego naśladować wielkiego mistrza. Co innego jest styl. Styl jest skutkiem przejęcia wskróś istoty samego przedmiotu, wypływa tedy nie z osobistéj dążności ani z własnych kaprysów, ale raczéj z rzeczy saméj i z zasad sztuki. Buffon niegdyś rzekł: le style c'est l'homme; trudnoby nam przyszło zgodzić się z tém orzeczeniem, gdybyśmy je brać mieli co do litery; zdaje mi się atoli, że słowa wielkiego pisarza powinny być wzięte w tém znaczeniu, że ze stylu poznać można o ile mistrz zdołał ująć całą głębię przedmiotu swojego, a tém samém o ile przedstawienie jego artystyczne odpowiada przedmiotowi temu. W tém znaczeniu iście powiedziećby można, że styl jest człowiekiem. Duch mistrza nurkiem zgłębia topiele myśli Bożych, zamkniętych w przedmiocie, i wynosi je na świat przedstawiając je ludziom w szacie właściwéj, we właściwym stylu. Atoli wielu arcy-mistrzów z równą genijalnością mogą przeniknąć jeden i ten sam przedmiot; każdy przedstawi go w prawdzie wiekuistéj jego, w sposób właściwy przedmiotowi, a każdy przecież przedstawi go po swojemu, w sposób jemu tylko właściwy; tak tedy każdy z nich będzie miał styl

sobie właściwy. W tém znaczeniu możemy mówić o stylu Michała Anioła, Rafaela, Overbeeka i t. d.— z których każdy, choć się zabierze do tego samego przedmiotu, odda go po swojemu. Lecz o stylu i manierze wypadnie mi może jeszcze i na inném miejscu pomówić.

Przecież widzę, iż list mój niepohamowanie rośnie, bo postrzegam, iż zaledwie do połowy wyczerpałem przedmiot dla niego przeznaczony. Wypadałoby mi może ukończyć teraźniejszy list mój zachowując sobie na raz następny ciąg dalszy jego: ale znów z drugiéj strony nie radbym na dwa listy rozwlekać téj saméj treści; dla tego przebacz, iż rzecz moją za jednym zawodem do końca poprowadzę, i tak téż na przyszłość czynić będę.

Zechcesz sobie przypomnieć, iż dopiéro co przytoczyłem ci zdanie, jakoby uczucia były główną i jedyną nawet podstawą sztuk pięknych, i że zdanie to rozumiane być powinno pod dwojakim względem: raz, iż sztuki na uczucia widza lub słuchacza działać mają, drugi raz, iż sam mistrz, jako twórca dzieła pięknego, li samego uczucia słuchać powinien. Tak dawniéj, bo w liście trzecim, wspominałem choć zdaleka, iż samo uczucie, i samo nawet natchnienie w mistrzu, nie jest dostatecznym środkiem do stworzenia dzieła sztuki. Tutaj więc kilku słowami reszty dopowiem.

Będziesz zaiste dość często w tych listach spostrzegał, iż niektóre przedmioty za dwoma lub więcéj jeszcze zawodami rozbiéram; nie zechcesz zaiste postę-

powania tego przypisywać niebacznemu powtarzaniu się lub błędnemu rozkładowi osnowy, czynię ja to z umysłu, albowiem jestem zdania, iż jasność rzeczy i wzajemne zrozumienie się na tém zyskuje, jeżeli ważniejsze rzeczy przy różnych sposobnościach i z różnéj strony swojéj wyjaśniane bywają; upraszam cię, żebyś to usprawiedliwienie się moje raz na zawsze miał na oku.

Jeżeli mistrz samém jedynie uczuciem powodować się będzie, toć nie zdoła wyjawić, co się wewnątrz serca jego dzieje. Wiemy wszyscy, iż w chwilach, w których uczucie zupełnie nad nami górę bierze, zdobyć się jedynie możemy na wykrzykniki nie mające żadnego znaczenia, nie zawiérające żadnéj myśli w sobie:— są to puste głosy i dźwięki urwane. Im zaś duch więcéj ochłonie, stanie się przytomnym sobie i nawraca do siebie, tém już jaśniéj zaczynają się wiązać z sobą słowa, tém mocniéj łączą się w zdania; a gdy myśl zupełnie przyjdzie do siebie i sama już jasno siebie obejmie, wtedy mowa płynie jasna i przejrzysta z duszy wnętrza jakby potok czysty, wypadający ze skalistéj Tatrów piersi: bo afekt gwałtowny, bo rozhukane fale uczuć głuszą ducha przytomność, a on w téj burzy serca i własnego nie dosłyszy głosu.

Co powyżéj rzekłem stosuje się prawie do każdego z nas ludzi zwyczajnych; w innych listach zaś będziemy szeroko rozprawiali o usposobieniu właściwém, które znów mistrze mieć winni; obaczymy że lubo uczucie gorące, tkliwe, jest głównym warunkiem wszelkiéj twórczości, tedy, z drugiéj strony, to samo uczucie, choćby najgłębsze, nie uczyni jeszcze nikogo mistrzem. Oba-

czymy, że chwila natchnienia, więc chwila mistrzowych zrodzeń jest właśnie stanem, w któréj dwie moce pasują się z sobą o władztwo nad duchem jego; bo on, jakby oczyniony obcą potęgą, porwany gieniuszem traci siebie i świat otaczający go w koło, a zarazem znów nad tym zmrokiem ciemnym ducha dnieje świtem przytomność siebie, świadomość rozumowa, tak iż myśl prawie już zupełnie trzeźwa zdoła wybrać w pośród tych obrazów zrodzonych w natchnieniu właśnie te, które się najwięcéj nadają, zdoła je uporządkować i uszykować. Lecz o tém wszystkiém, jak rzekłem, pomówimy jeszcze na inném miejscu. Tutaj tylko zważ, że uczucia gwałtowne, bijące na serce człowieka, nie stworzą nigdy dzieła sztuki, i że zasada Horacyusza *si vis me flere, dolendum est primum ipsi tibi*, winna być brana w zupełnie innym sensie. Czyliby malarz, poeta, rzeźbiarz, muzyk, mógł stworzyć dzieło swoje, gdyby sam w chwili tworzenia był miotany namiętnościami i falą tych uczuć, które chce uzmysłowić w dziele swojém?—czyliby artysta dramatyczny, sam będąc przejęty afektem, który na scenie wydać zechce, mógł wywiązać się ze swéj roli? Bynajmniéj:— bo gdzie afekt, tam nie ma przytomności umysłu, nie ma wtedy sztuki wcale. W sztuce właśnie chodzi, aby nie uczucie ogarnęło myśl, ale aby przeciwnie myśl była panią namiętności, a wtedy ona wypłynie mową pełną patetyczności. Myśl przytomna i ciepłe uczucie, razem wzięte, są tém najwyższém Pathos sztuki.

Jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną, iż wszystko co w człowieku żyje, i co jedno go obchodzić może, co ducha i jego serce napełnia treścią, zdoła być przedmio-

tem dla sztuki, więc autor ma słuszność, gdy w dramacie, romansie lub innėm dziele, rozwinie ten cały świat nierozdziergniony serca, ciemny i zagadkowy; lecz niechaj téż maluje, jak uczucia ogarnąwszy ducha człowieka, porywają go do czynów, do walki, do pasowania ze światem, i jak nareszcie, uchwycony burzą namiętności własnych, rozbija się i tonie, rzucony o opoki rzeczywistości i towarzyskiego porządku: toć to iście będzie przedmiotem dla sztuki. Ale mistrz niechaj sam nie będzie pod panowaniem tego uczucia, niechaj sam mu nie przyznaje słuszności, niechaj nie staje w obronie jego; bo uczucia te szczegółowe nie są prawdami, one do pomyłki wiodą, a człek płaci za tę swoją pomyłkę utratą spokojności, szczęściem żywota całego, lub śmiercią. Bo nie uczucie, co goreje w piersiach jego, ma wagę i znaczenie, ale ten porządek powszechnego obyczaju, to ogólne przekonanie spoczywające, jakby na podwalinie swéj, na woli wszystkich i prawdzie wiekuistéj; — ona to jest tą opoką, o którą się nie tylko gruchocze, jak powiedziałem, słaba łódź uczuć miotana namiętności burzą, lecz gruchotać się koniecznie powinna, bo one li są osobiste, a tu prawda powszechna jedynie ma wagę.

Pani Sand w przedmowie do *Indyany*, tłumacząc się z ducha téj książki, powiada: »Le narrateur espère »qu'après avoir écouté son conte jusqu'au bout, peu »d'auditeurs nieront la moralité, qui ressort de ses faits »et qui triomphe là, comme dans toutes les choses »humaines.» Ale już wyżéj powiedzieliśmy, iż jak z dzieła doskonałego sztuki nie wypłynie niemoralność, tak zaiste moralność nie może znów być uważana za cel je-

go. Jeżeli zaś autorka istotnie wzięła sobie w swém dziele moralność do serca, nie wystarcza znów, jak myślę, jéj sposób widzenia rzeczy, wyrażony w następujących słowach: »Indiana, c'est la femme, l'être faible, »chargé de représenter les passions opprimées, ou, si vous »l'aimez mieux, réprimées par les lois; c'est la volonté »aux prises avec la nécessité, c'est l'amour heurtant »son front aveugle à tous les obstacles de la civilisa»tion. — Mais le serpent use et brise ses dents à vouloir »ronger une lime, les forces de l'ame s'épuisent à vou»loir lutter contre le positif de la vie." Te słowa są prawdy pełne, ale nie obejmują sobą całéj prawdy, bo wypadało dodać: iż nie tylko tak bywa, jak autorka powiada, ale że tak koniecznie być powinno. Można nie rzucać kamieniem na kobiétę taką jak Indyana, wiedzmy atoli, iż cios, który przez jéj postępowanie na jéj głowę spada, jest koniecznością, jest to z grobu wstały Komtur w Don Juanie, mszczący się uściśnieniem śmiertelném marmurowém za znieważenie praw i poczciwego obyczaju.

Ta konieczność, ta ustawa, ta proza życia, co dławi i zabija uczucia, ma słuszność, ona jest w prawie swém, ona to wymierza wieczną sprawiedliwość, ona jest wiekuistym rozumem, któremu nie o osoby, ale o rzeczy chodzi. Kto się nie zgadza z obyczajem ogólnym, sam sobie pisze wyrok swój; kto zrywa z zakonem powszechnie uznanym, z tym i zakon zrywa. Gwiazdy, one piérworodne stworzenia córy, idą po niebie grzmiącym szlakiem swym, który im Bóg od wieczności na przestrzeni bez końca zakreślił, a żadna nie zbacza z swéj jasnéj drogi, żadna nie buntuje się wie-

cznéj harmonii. Jak atoli uczucia mocne, głębokie nie są zakonem w porządku świata moralnego, jak one bynajmniéj nie są wyłącznym warunkiem twórczości mistrza, tak téż mistrz chybi powołaniu swojemu, jeżeli mniema, że rozkołysanie do najwyższéj potęgi uczuć w duszy czytelnika lub widza jest najwyższym sztuki jego tryumfem. Temu mniemaniu przypisać należy pojawienie się w czasach naszych owych romansów tak wprawdzie effektowych, które atoli są jawnym dowodem gwałtów dokonanych przez mistrza na własnych talentach. Czytając te sceny okropności pełne, zdaje się że one są złym snem, co cię trapi na jawie; wszystkie uczucia, wszystkie, że tak powiem, nerwy duszy są poszarpane, zbolałe jakby przecierpiały męki katowskie, a w tych utworach występują szatany z błota zrodzone, popisujące się wykwintem łotrowstwa.

Czyliż tedy dziwno, że gdy młodzież obczyta się w takich dziełach, już osobliwszych nabierze pretensyi do życia i świata, że rościć sobie będzie niestworzone prawa do przyszłości swojéj, że to życie ciche i poczciwe, że dopełnienie powinności codziennych wyda mu się dobrodusznością mdłą i pogardliwą, że nakoniec w najszczęśliwszym razie zbankrutuje na uczuciach prawdziwych, a serce zestarzeje się za młodu (*).

(*) W pierwszém wydaniu tych listów, mówiąc w tém miejscu o romansach mających ówcześnie ogromną przewagę, wyraziliśmy się w sposób następujący:

„Panowie autorzy we Francyi zapewne uważają sobie za zaszczyt doskonałości, aby czytelników swoich od piérwszéj do ostatniéj karty puszczać niby przez rózgi. Jeden pokazuje ci panią rozkochaną do szaleństwa w prostym złodzieju, wierutnym oszuście, w bezczelnym zbrodnia-

Przecież z drugiéj strony i to jest prawdą, iżby świat nie był obaczył tych romansów, gdyby nie był chciwy podobnych książek. Bo jeżeli prawda, że literatura tworzy sobie publiczność swoją, toć z większém

---

rzu, co jéj poświęcenie i miłość płaci zdradą, głodem, biciem, a nakoniec za pieniądze sprzedaje podobnemu sobie przyjacielowi; — a ona? ona, rzecz jasna, kocha go za to stale, ciągle i tém goręcéj jeszcze. To wszystko znajdziesz cudnym językiem odmalowane w *Leon-Leoni*, pani Sand, będącéj nieochybnie jednym z najświetniejszych talentów dzisiejszéj Europy. Chcesz może rozrzewnić się, być sentymentalnym, czytaj pana *E. Sue:* przez siedm długich tomów każe on swéj heroinie tańcować jakby na linie, na powinnościach swoich; niekiedy dla rozrzewnienia publiczności serce *Matyldy* odprawia jakieś sztuki łamane, lub popisuje się z jakiémś salto mortale, a to wszystko ku zbudowaniu i użytkowi dusz i zachęceniu do cnoty. Jest to ten sam pan *Eugène Sue*, co wprowadza w jeden z późniejszych romansów scenę, w któréj córka staréj obłąkanéj matki woła w nocy na męża: „Mon Dieu! tu sais bien que tu n'en finiras pas avec elle (t. j. avec ma mère), si tu ne lui fais pas peur avec le fouet — il n'y a que ce moyen là de la faire rester tranquille." Lubisz oryginalność pomysłu, i tém się możesz uraczyć, czytaj tylko powieści o onéj pannie, czyli o dwóch pannach zrosłych z sobą, z których jedna prześliczna brunetka, — druga prześliczna blondynka, a składają jedną osobę, czyli dwie, gdyż tego z pewnością wiedzieć nie można, bo nawet mają i uczucia te same, a przecież uczucia różne. Najpewniéj, są to dwie panny w jednéj pannie, albo jedna panna w dwóch pannach — słowem, jak zapewnia autor, jestto cudnéj piękności całość. — Świécą one na piérwszych salonach paryzkich, ubrane zawsze z wielką elegancyą, wedle *le petit courrier des Dames* — zawracają wszystkim głowy: jedni szalenie się kochają w brunetce, a drudzy w blondynce. Wszystko to jasno wyłożone znajdziesz w powieści: *Un coeur pour deux amours.* Jeżeliś przyjacielem wielkiéj energii, hartu duszy, tęgości charakteru, i tém ci służyć mogę. Znajdziesz ojcobójstwo, kazirodztwo, mordy, synobójstwo i wszeteczność wszelką w *Tour de Nesle*, pana *A. Dumas.* Lubisz komedye, czytaj Repertorium teatru francuskiego: obaczysz, jak tam autorowie umieją zjednać sympatyą publiczności dla swych bohaterów, ludzi tego rodzaju, iż gdyby jeden z nich w rzeczywistości u nas się pojawił, żaden poczciwy człowiek rękiby mu nie podał i nie przepuścił przez próg domu swojego. Jesteś mniéj czuły, twardego serca i nie łatwy do poruszenia, czytaj romanse i trajedye prawdziwie genialnego *Victora Hugo.* Olbrzymi talent ten napisał kilka dzieł, które za-

jeszcze prawem powiedzieć można, że publiczność tworzy sobie literaturę odpowiedną; bo przecież, prócz piśmiennictwa, inne jeszcze a również potężne moce wyrabiają duszę narodową np. Historya, Religia i t. d.

---

iste staną się bogactwem literatury, i nie utoną w téj gawiedzi współczesnych im książek; ale on trafił na czas kłamstwa, na czas apoteozy okropności, i oszargał się czasem. *Victor Hugo* na pamięć zna anatomią i fizyologią serca ludzkiego, zna każdy nerw jego, wszystkie miejsca bolejące, wié jak i kiedy się dotknąć i zranić; aby zranić do żywego duszę, wydobywa wszystkie tony boleści i serce czytelnika w koło wplata.

Po przeczytaniu dzieł tego rodzaju gdy spojrzysz w siebie, rzekłbyś, iż dusza podobną się stała do świątnicy zrabowanéj i znieważonéj od hordy złodziejów: ołtarze obdarte, świécznik duszy wywrócony, naczynia święte porozrzucane, rozszarpane obrazy, co drogie sercu, to albo skradzione albo zdeptane i sponiewiérane. A jak niepodobna zaprzeczyć tym autorom świetnych zdolności, dziwnego powabu stylu, mistrzowskiego władania piórem, tak znów wyznać należy, iż to wszystko razem jest kałużą krwi i błota, co wylewając się na Europę, szérokim téż upływem do nas się przewala, by miały w czém kąpać się i walać umysły młodych pań naszych.

Nie rozumiéj atoli, że we Francyi na tę literaturę nie powstają i nią się nie gorszą? We wszystkich prawie Feuilletonach sam pan *Jules Janin* wygaduje na nią, utyskuje na niemoralność i bezrozum tych romansów, i powiedział nawet raz, i bardzo trafnie, iż najstosowniejszém rozwiązaniem węzłu takiego rodzaju dramatów lub romansów byłby kommissarz policyi, aresztujący tych bohatérów i te heroiny. Ale szkoda tylko, że on sam nie lepszy, bo owe *le Coeur pour deux amours* jest jego własnoręcznéj roboty. Przypomina on koncept urwisa, co uciekając sam woła: chwytajcie złodzieja! by tém samém gładko umknął i gdzieś się schował."

Ten ustęp cały był w pierwszém wydaniu umieszczony w ciągu samego listu, bo odnosił się do piśmiennictwa, które przed 10 laty jeszcze całą potęgą uderzało umysł publiczności. Dziś atoli ta hałaśna sława tych romansów przebrzmiała, więc téż ten ustęp cały dotyczący się rzeczy przedawnionych, nie byłby już na swojém miejscu, gdybym go zostawił w liście, z drugiéj strony zaś właśnie to skonanie owéj literatury jest dla nas wielce uczącém, i może być nielada poparciem naszego powyższego rozumowania i dla tego umieściłem ustęp rzeczony w odsyłaczu.

Kto dziś jeszcze weźmie do ręki np. Tajemnice Paryża lub Żyda Tułacza? te romanse jako liść zżółkły spadły z drzewa literatury — one po-

Cóż tedy dziwnego, że ci autorowie starali się trafić w rym tym czytelnikom swoim, stosując się ile mogą do nich, a wiedząc, że to są po większéj części ludzie wielce realni a praktyczni, zaczynają wszystkie prawie powieści i romanse od budżetu swoich bohatérów i bohatérek, jak gdyby jaki pisarz prowentowy; wyszczególniają sumiennie ile tysięcy franków wzięli po rodzicach, ile po wuju, ile się jeszcze spodziewać mogą po ciotce; ile już stracili, ile tysięcy franków rocznego dochodu im pozostało, i gdzie te dochody są ulokowane, słowem, wszystko przerachowane jak najdokładniéj. A co do uczuć swéj publiczności, jęli się postępowania lekarzy z ciałem na poły umarłém; szli stopniowo sobie: naprzód pochlustywali swoich czytelników zimną wodą, daléj cucili anodyną, octem, wódką kolońską, eterem, amonią — potém wzięli się do synapizmów, wezykatoryi, palili bawełnę i spirytusy na sercu, a w końcu już piekli rozpaloném żelazem;—coby już daléj robili— nie wiém.

Wyznaj, że nam wcale nie do twarzy z tą literaturą i trudnoby powiedzieć, co ona u nas ma za sprawę? Czyliż my także gwałtownych poruszeń szukamy? Skądże u nas to upodobanie przebierania w cudzych śmieciach i brudach? Dla tego dzięki niechaj będą tym wysokim a zacnym talentom, które, pojawiwszy się u nas jakby na jutrznią nowéj epoki, owocami własnéj ziemi zastąpili exotyczne wymysły nie dla nas stworzone; dzięki niechaj będą Kraszewskiemu, który prawie

szły w zapomnienie mimo prawdziwie olbrzymiego talentu autorów. Dla czego? Bo stały na fałszywéj zasadzie, bo były obrachowane na efekt, na rozkołysanie uczuć, bo miały uboczne, z góry powzięte, dążności i cele.

piérwszy dał hasło do własnéj i swojskiéj powieści, dzięki Korzeniowskiemu, M. Grabowskiemu, dziełom: jak *Pamiątki starego szlachcica;* wszak te prace były wołaniem nowego czasu,—a wnet szereg świetnych i młodszych talentów wstąpił w literaturę. Jakoż te zjawiska tak radośne dla literatury polskiéj są właśnie dowodem, że byle mistrz dosięgnął warunków piękności, byleby pisał do czego go prze własne uczucie, już z pracy ducha jego spłynie błogosławieństwem korzyść nieskończona, spłynie, choć jéj sobie autor nie zakładał jako cel poświęceń swoich.

Ale wróćmy do naszego przedmiotu i kończmy rzecz kilku słowami.

Gdyby sztuki piękne miały za cel jedyny rozkołysanie uczucia naszego, jużby się i bez nich wcale obeszło, obeszłoby się bez dramatów tych i romansów; każdy w domu swoim ma te biédy, a ma je taniéj i wyraźniéj: a zresztą mocnych poruszeń szukać nie potrzeba po książkach, znajdziesz je w tych chatach obdartych, dymnych, samotnych, po naszych tu przedmieściach Krakowa, tu widzieć można moralną i fizyczną nędzę, poniżenie i sromotę; każda nizka izba mogłaby podać osnowę do powieści tęsknéj, pełnéj łez i boleści: a komu to nie wystarcza do wzniecenia uczuć, toć niechaj odwiédza inkwizycye kryminalne, szpitale i sale amputacyjne. Jeżeli autor tylko w same uczucia mierzy, mając jedynie samo czytelnika serce za cel swój, cóż dziwnego, iż napłodzi mnóstwo charakterów nieprawdziwych, kłamliwych, będących i w złém i dobrém karykaturą rzeczywistości; są to upiory fantastyczne, bez serca i duszy, automaty po-

ruszające się wedle kaprysu autora, nie umiejące ani radować się po ludzku, ani cierpieć z godnością, żyjąc albo umiérając zawsze pogardy warte. Właśnie atoli powołaniem sztuki jest, ażeby wskazać wyższą naturę człowieka, nieginącą choć w najgłębszém i najsromotniejszém poniżeniu jego; duch człowieka, jak płomień gorejący, choć w brudnych i ciężkich dymach doczesności, zawsze wzgórę się ma. I piękność jest niebios córą, ją tylko z wiérzchu dotknąć mogą cierpienia doczesnego żywota, ale jéj istoty wiekuistéj skazić nie zdołają; i sztuki piękne płaczą, ale po przez łzy boleści ich uśmiécha się nieśmiertelne ducha wesele. Uczmy się od Greków, wpatrzmy się w ten majestat Nioby, w tę otchłań boleści Laokoona, w patetyczność bohatérów Sofoklesa — ba, niechaj się figury autorów onych uczą umiérać od prostych Gladiatorów rzymskich, co z raną śmiertelną w piersiach konali na krwawéj arenie: gdy w gasnącéj źrenicy zakołysało się niebo, i amfiteatr z tysiącami widzów obracał się niby wirem zawrotnym, wtedy wzgardzony ten Gladiator przypomina sobie, iż to lud rzymski na niego patrzy; z ogromnym mozołem i z pełnym boleści trudem układa ciało swoje, nadaje mu postawę godną, estetyczną, by w obecności tego ludu, co był świata królem, legnąć z zacnością zdołał. A tak żywota swojego poniżenie kończył, równając się z Cezarem, boć i ten hardy olbrzym starożytności, upadając w krwi swojéj, zakrywa togą swoje oblicze, by świat nie obaczył rysów, znieważonych może ostatnim wyrazem fizycznéj boleści. Rzymianie w ogólności nie wiele umieli, ale umiérania sztukę znali, jak żaden naród.

Sztuka, kędy się dotknie, uzacnia przedmiot, uszlachetnia go i podnosi do wzniosłości ideału.—W nizkie nasze życie, w oną chatkę ziemską, spada promień wiekuistéj piękności i oświéca ją jasnością niebiańską. Pod ręką wielkiego mistrza i treść, nawet mniéj nadająca się do piękności, odziéwa się nadziemskim urokiem.— Odwiédź np., jak będziesz w Krakowie, kościoł Ś. Floryana na Kleparzu, zobaczysz tam obrazy wielkiéj wartości, pochodzące, jak się zdaje, z końca XV wieku; połączona w nich rzewna prostota staréj szkoły niemieckiéj z powabem czarodziejskim Włochów. Jeden z nich wystawia chwilę męczeństwa Ś. Jana w Oleju: zda się myśl niby pospolita, przedmiot nie estetyczny, ale zważ co z niego uczynił mistrz. Ta cała scena ułożeniem uszlachetniona, uzacniona:— Ś. Jan duchem w niebie utkwiony, wśród mąk ciała swojego słucha słodkich pieśni niebiańskich zastępów, a nadziemska piękność wylana na całą postać jego.

Zaprawdę, Bóg nie daremnie wlał w duszę naszą uczuć potęgę, ocieplającą swym płomieniem chłodne życie rozumu i rzeczywistości. Uczucie i myśl, czyli, jak to zwyczajnie mówią, serce i głowa, są to iście dwa przeciwniki działające ciągle na siebie, a często nawet stające w otwartym z sobą boju; jest to pełna cierpień wojna domowa w piersiach człowieka, a w niéj zwycięztwo nie zawsze przy prawdzie i słuszności. Ta niezgoda i waśń w umyśle, jakby dźwiękiem fałszywym, wdziéra się w harmonią naszego jestestwa, burzy spokojność i zatruwa dni nasze. Dla tego téż najwyższym celem życia człowieka, ostatnim końcem wychowania, jest właśnie pogodzenie tych dwóch sił, co jakby dwa

wrogie sobie bliźnięta z nami się rodzą, żyją i umiérają. Ale chodzi o pogodzenie, a bynajmniéj nie przytłumienie jednéj z tych potęg; bo jak poniewiéranie rozumem i oddanie go na oślep pod przemoc uczuć do zguby wiedzie, tak przygnębienie uczuć i samowładztwo rozumu odejmuje treść duszy, gasi ciepło i barwy świata, i czyni życie nasze podobném do owéj pełnéj wspaniałości natury podbiegunowych mrozów, co wiecznie dziewicza, i wiecznie martwa, i samotna i głucha, bez ciepła i głosu, bez radości i smutku, bez uczuć i serca, zasiadła w szacie wiecznych śniegów jakby na stolicy śmierci, na hardym majestacie grodów lodowych, co zuchwałe, fantastyczne, jakby nieme i głuche upiory natury, świécą nad tym niemym i głuchym światem, co zawsze jeden, zawsze ten sam. Od czasu do czasu tylko zapala się pod gwiazdą biegunową ognistym blaskiem pierścień zorzy północnéj, onéj córy mrozów bez końca, co sycząc strzela promieniem niewypowiedzianéj jasności po sklepieniu niebieskiém, ale, w sobie mroźna, jest tylko światłem bez ciepła, pokrywa świat lodów purpurową ale zimną łuną.

I jak dotychczas starałem się dowieść, iż uczucia przez się wzięte nie zdołają same stworzyć mistrza, i że do samego uczucia widza lub słuchacza mierzyć nie powinny, tak jest rzeczą niemniéj pewną, iż bez uczuć nie byłoby ani mistrza, ani sędziego, ani sztuki pięknéj; a dzieło, nierozgrzéwające sobą serc ludzkich umiejących czuć, zaiste nie będzie dziełem sztuki. Człowiek z rozumem bez uczuć jest już za życia zmarłym upiorem bez serca. Jak ze światem materyalnym przez zmysły jesteśmy w związku, tak ogniwa, łączące myśl na-

szą ze światem duchowym, są uczucia; one to podają rozumowi treść, by ją w sobie strawił, uporządkował, przecedził, ocenił, a tak zamienił ją na pojęcia rozumowe, na myśli. Najczęściéj prawdy wielkie wprzód nam okazują się w postaci uczuć, niż myślą zostaną. Nim prawodawca popisał ustaw księgi, uczucie sprawiedliwości i prawa zjawiło się w sercu człowieka, przemawiając do niego, jak Bóg w krzaku gorejącym. Nim matka w swéj młodości uroku wytłumaczy sobie miłość swoją dla dziecięcia z porządku fizycznego i moralnego świata, wprzód ta jéj miłość dla niemowlęcia żyła w jéj marzeniach nocnych, i we śnie rumieńcem cichego szczęścia zapłonęła na licu. Nim człowiek głęboką myślą zanurzył się w tajnikach świata i ze stworzeń wszechnicy wypatrzył mądrość Bożą, wprzód o Bogu rozmawiał z gwiazdami na niebie, i z robaczkiem świécącym na listku, i słyszał bytność jego w huku oceanu i pieśniach ptaków. Z uczuć rodzą się myśli, jak z kwiatów żyjących barwy, woń i owoce; gdy myśl się rodzi, więdnieją uczucia, gdy owoc zaświéci, już pomarły kwiaty. Cokolwiek w nas jest jako myśl, po większéj części było dawniéj uczuciem; ztąd uczucia, o ile są prawdziwe, wytłumaczone być mogą drogą rozumową. Tak instyktowe garnienie się ludzi pod spólną praw obronę, choć pochodzi z uczucia słuszności, pojęte być przecie może z saméj istoty człowieka. Podobnie macierzyńska miłość, będąca uczuciem mimowolném, ma potwierdzenie swoje w obliczu mądrości, i pojęta rozumem okazuje się nam jako święty ołtarz cnoty domowéj i podwalina rodzinnego życia, będącego znów podstawą życia towarzyskiego i cnót obywatelskich. Po-

dobnie głos, przemawiający w sercu o Bogu, jest początkiem mądrości człowieka i prowadzi do poznania rozumowego najwyższego jestestwa, będącego Alfą i Omegą wieczności i tego wszystkiego, co jest. Tak uczucia ciągle dostarczają osnowy rozumowi: on ją sądzi, rozbiéra, czyści, i przyswaja sobie jéj treść. Na tém też stoi potęga człowieka, by uczucia na myśl przemieniał, by tę poezyą uczuć przetłumaczył sobie na prozę rozumu, by ją zamienił na prawdy rozumowe, zgodne z całością świata, a uznał każde uczucie za mylne i za złe, które przeciwne będąc ogólnéj harmonii trwającéj w świecie, nie zgadza się z rozumem.

Lecz rzekniesz może, że i rozum podlega błędom, i odwołując się do prostego przysłowia powiész: co głowa, to rozum; niechaj nam atoli nie chodzi o słowa. Ja tutaj nie biorę rozumu w znaczeniu potoczném, ale właśnie za promień onéj wiekuistéj mądrości, którym Bóg oświécił ducha naszego w téj życia ciemnicy; promień ten łączy nas z Bogiem i wiecznością: ten zawsze jest jeden i ten sam we wszystkich ludziach, w każdym wieku i godzinie.

Rozumiem, że nie będziesz wymagał obszernego dowodu téj prawdy, należałby on do systematu filozofii, a nie do szczupłego obrębu listów tych. Zaiste — nikt nie zaprzeczy, iż rozum jest środkiem poznania prawdy, kto jeno wierzy w zacność natury ludzkiéj, kto wié, że Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje dając mu rozum, by poznał dzieła jego i w nich doczytał się jego wszechmocności, wiekuistéj mądrości i uszlachetnienia własnéj istoty człowieczéj.

Dla tego też rozum jest piérwszym warunkiem wia-

ry: niemowlęta, obłąkani i zwierzęta nie mają wiary, bo nie mają rozumu. Co myli nasze zdanie o rzeczach, bynajmniéj nie jest rozum, ale uczucia, ale zmysły, ale inne potęgi, które nas łudzą. Uczucia działają na serce nasze, i nim rozum się upamięta, już serce sąd swój wyrzekło, a sąd osobisty — zdanie. Zkądże matematyka zawiéra w sobie prawdy ogólne i dla wszystkich prawdą będące? — Odpowiedź łatwa, bo jéj liczby, jéj linie i bryły nie działają ani na zmysły, ani na uczucia; tu sam rozum na placu zostaje, więc sam bez mieszania się zmysłów i uczuć o prawdzie orzeka, a orzeka niemylnie.

Jak przyznać powinniśmy, iż z jednej strony uczucia przed potęgą rozumu korzyć się winny, tak téż z drugiéj niemniéj prawdą jest, iż bez uczuć nie byłoby i cnoty prawdziwéj. Bo gdy człowiek serce swoje ma na baczności, gdy się uczucia nałożą chodzić drogami rozumu, gdy téj dojdzie doskonałości, iż uczucia jego nigdy nie będą sprzeczne z rozumem, a gdy nawzajem wszystko, co jest prawdą, rozumne znajdzie potwierdzenie w sercu człowieka,—wtedy téż sam człowiek będzie z sobą w zgodzie, i śmiało w swojém postępowaniu i w żądzach swoich będzie się mógł uczuć swych radzić, a nim rozum przez rozbiór, myślenie, zastanowienie swoje pokaże mu drogę i sprostuje postępowanie, już ją uczucia instynktem zgadną, a zgadną bez zwłoki, bez długiego rozbioru; nauczą w téj chwili, co jest w moralności zacne, co poczciwe, i co w sztukach piękne i prawdziwie estetyczne. Rzecz tak się zupełnie mieć będzie, jak z mechaniczną wprawą; kto już wyćwiczonym pianistą, już grając nie myśli o ukła-

dzie palców, ani szukać już będzie klawiszów oczami; palce mechanicznie pójdą za jego wolą, gdzie uderzy, uderzy zawsze trafnie i bez pomyłki. Tak téż kto zkądinąd pojął, co prawdziwie piękném i zastosował uczucia do tego pojmowania swojego, już radząc się uczuć swoich dorazu piękność spostrzeże; ale sąd ten będzie mógł usprawiedliwić z zasad ogólnych sztuki pięknéj, zdoła tedy nim i drugich przekonać; dla tego téż sąd takowy choć z uczuć wypłynie, tém się różni od onych sądów ze samego uczucia pochodzących, o których wyżéj wspomnieliśmy, iż tamte nie mają ogólnéj wartości rozumowéj, i dla téj przyczyny nikomu do przekonania nie przypadną.

Ze zléwu w jedność rozumu i uczuć, z téj zgody świata rzeczywistego i serca, rodzi się najwyższa myśl szczęśliwości człowieczéj. Uczucia im szlachetniejsze, tém mniéj są osobiste, i występują z ciasnego przybytku serca, i obejmują sobą wielkie jestestw koło.— Tak szczytem wszystkich uczuć jest miłość. Miłość ogólna, powszechna, podobna do mądrości, bo, jak i ona, w innych siebie widzi i wyléwa się na świat cały. Ta miłość ogólna nie jest córą z ziemi zrodzoną, jest posłannicą innych światów, wstępująca w serca wszystkich wieków i narodów.— Słuchaj np. pieśni mądrości pełnych, co nam jakby woń przyniosły powiewy z dalekiego Wschodu:

Ucz się od komara miłości, co rozkochany
W świetle płomienia, w niém przepada i ginie.

A znów w innéм miejscu:

Ja ci powiadam, jak z ziemi człowiek stworzon jest;
Bo Bóg tchnął w ziemię miłości dech.

Ja ci powiadam, czemu wiecznym kołowrotem bieżą nieba;
Bieżą one wiecznie, bo je napełnia miłości blaskiem Boży tron.

Ja ci powiadam, dokąd tchną zarania powiewy;
Tchną one w miłości gaj, by roztulić liście róż.

Ja ci powiadam, dla czego noc pokrywa świat oponą;
Obsłania ona świat, by go uświęcić na miłości namiot.

Ja ci rozwiążę zagadnienia wszech stworzeń wszystkie;
Bo zagadnień wszystkich rozwiązaniem, miłość jest.

Albo miejsce następujące:

Kończy zaprawdę skon życia trudy,
Jednak dreszczem trwogi dla życia jest skon,
A dla serca trwogą jest miłości dreszcz,
Trwoży się serce miłością, jak gdyby groził mu skon.

Bo gdy miłość w sercu się budzi,
Umiéra w tobie samolub, ciemiężca ponury;
Niechaj ci zamrze w nocném państwie swém,
A ty odetchniéj swobodą w zarania łunie!



LIST VII.

Istota sztuki.— Różne rodzaje piękności.

Wielki piątek. 25 Marca 1842 r.

Oniemiały dzwony krakowskie, — całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnąwszy, wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, — by po staremu cześć dał w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje, i jasném spojrzeniem rozpłynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię a w serce ludzi nadzieją świécąc.

Bóg umarł — a potęga przyrodzenia uśpiona jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali, a nad światem pieśń skowronka, niby dzwonek poranny natury, ogłosi mu przebudzenie i świt. Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go cięźéj od kamienia grobo-

wego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie—póki też na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w któréj i jemu anioł w bieli ciemnicę otworzy, a w tedy spadną z niego i uciechy téj ziemi, i jéj biédy, i jéj płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onéj wielkiéj zmartwychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem drogim z dawnych czasów, odwiédzają każdy rok naszego żywota, i jakby Bożém imieniem pukają rokrocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niém tęskne obrazy upłynionéj młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnéj naszéj istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiéj pielgrzymki człowieka; wzywają go, by się policzył z życiem, ze światem i z sobą, by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnéj życia ścieżce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile ułud złocistych zgasło. Ale im samotniéj, im smętniéj i ciszéj w duszy, im więcéj traci wagi doczesność, tém jaśniéj wiekuistość zaziéra we wnętrze człowieka i rozświéca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki, jakby harmonią niebiańską, wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiéchy i boleści milkną—a w sercu świątecznie, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niém płomień nieskończonéj miłości, i jakby organy zagrzmi samotne duszy nabożeństwo. W takich chwilach świat zewnętrzny i rozkosze jego, i trudy, i wszystkie nocne widziadła doczesności naszéj, ulatują niby ptaków płoche stada, a uczucia ziemskie, i cała część człowiecza do grobu się kładzie. Jakby na zesłanie ducha Bożego, jakieś jasnowidzenie rozświéca myśl; wtedy już świat jego, i pstry jego orszak, i dzieje człowieczego

rodu, i własne serca bicie nie ma więcéj dla nas tajemnicy, — rozwiązują się zagadki wszystkie. W takich chwilach świętych duch występuje z cielesności grobu, wstaje z martwych, rośnie z siebie, dźwiga się olbrzymem, ogarnia nieskończoność swém objęciem, zna że wiekuistość bez granic, czasu i przestrzeni, jest ojcowizną jego, a nieśmiertelność domem.

Ta istota nieśmiertelna a wiekuista, którą Bóg tchnął w człowieka od początku, jest właśnie tą potęgą, co jak złota nić jest wpleciona w całą tkaninę historyi rodu ludzkiego, i we wszystkie stosunki i czynności każdego człowieka, a choć ona rzadko widzialna, wszędzie przecież jest obecną, nie zerwana nigdy, i sama zostaje i trwa; choć cała owa tkanina doczesna się pada, i wszystkie inne jéj nitki pruchnieją, właśnie wtedy ona sama nietknięta zostaje i wystąpi na jaw jaśniejąc swém złotem.

Patrz na wszystkie człowiecze sprawy od kolébki aż do ostatka żywota, na jego wszystką robotę, i na trudy jego, marzenia, sny, troski i uciechy, a wszędzie obaczysz, iż siła, co nawet jemu bezwiadomie w nim prze i w nim robi, rodzi się z nieśmiertelności ducha jego. Potocz okiem na pasowanie się całéj historyi człowieka, zacząwszy od owéj wielkiéj chwili, gdy się dotknął poznania owocu tracąc niewinności raj, podsłuchaj tajemną robotę stóleciów, co jak uderzenie pulsu, wybijają światu ulatujący do wieczności żywot jego, a wszędzie, i zawsze i ciągle, znajdziesz pod oponą przypadkową i marną, pod postaciami wielkich wydarzeń historyi, nieskończoność istoty człowieka. Bez niéj ród nasz nie miałby dziejów, ni postępu, byłby zawsze je-

den i zawsze ten sam, należałby do poziomego zwiérząt koła, dzieje jego przekazaneby były historyi przyrodzenia. Jak w różnobarwnym tłumie wypływają na widok figury latarni magicznéj, przesuwają się po nieruchoméj ścianie, przemykają się coraz inne a inne, a prześwieca je wszystkie lampy płomień, co w ciemnym pokoju gore niewidomie, tak przemykają się lat tysiące, i narody, i wielkie imiona w historyi na nieruchomém wieczności tle; ale lampa, co je przeświéca, jest zawsze jedna i taż sama, jestto płomień nieśmiertelnego ducha, co wiecznie goreje, choć ukryty w ciemnościach doczesnego życia i niedojrzany cielesnemi oczyma człowieka. Ta nieskończoność, którą Bóg człowieka uposażył, by miał godnego sługę i towarzysza wiekuistości swéj, jest ową wielką sprężyną, co ród nasz porusza i do działania porywa. Ona jest światłem i słońcem wywołującém, jakby z kwiatu pączków, wielkie epoki i wielkie czyny w historyi, i wszystko co w życiu ludzi na jaw występuje, i co jest treścią jego; ona mu gra w duszy, i na jawie i we śnie, ona wznosi się w paciérzu dziécięcia i w himnach narodów, ona dźwiga mu piramidy, śle go po śmierć na bitew pole, uczy go biegu gwiazd i tajemnic własnego ducha, odkrywa mu nowe światy i roztwiéra tajemnicze ziemi łono, waży słońc i planet brzemię, roztwiéra księgę przeszłości i przemawia wyroczni ustami.

Człowiek jest nieśmiertelną istotą i nieskończoną, bo jest rozumną istotą. Tu szukaj źródła onych najgłówniejszych praw jego, bo Religii, Filozofii i Sztuki pięknéj. Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieczego, i już nie pytaj, zkąd się one biorą. Czło-

wiek z nieskończonością zarazem odebrał i sztuki piękne, i mądrość i Religią; nie utyskuj tedy nad znikomością rzeczy ziemskich. Wszak Bóg sam umarł dla prawdy, która nie ginie na wieki; robak w przód zasklepia się w swym grobie, nim przerodzony w lekkiego motyla uniesie się, złotém jaśniejąc skrzydłem: a przekonanie o nieskończoności istoty naszéj wykwita z uważania skończoności. Bo zważ — dęby długo-wieczne tak przemijają jak ich liście, a skały granitowe tak się rozpływają w powietrzu, jak przejrzyste obłoki koczujące po niebie. Jak ciągle przeléwające się fale oceanu błyszczą znikomie iskrami w słońca promieniu, tak przelewa się falami wieczny ocean rzeczy zmysłowych; a kędy nań spójrzy jasne Opatrzności oko, zapalają się iskrami jestestw miliony, a za każdą nową falą inne a inne zabłysną jestestwa i giną — zamigocą się i gasną. Więcéj jeszcze cierpu ma ta marność i znikomość rzeczy ziemskich, skoro staniesz nad ową ogromną rzeką historyi rodu człowieczego, co płynie gdzieś tam z górnych nieznanych światów zamglonéj przeszłości; płynie ona rzeka całe stulecia, płynie przez lat tysiące, i spławia nam kości nieznanych zwiérząt ze starych lat, toczy jakieś gruzy dawnych świątnic, pomników ułomy, i, jakby liście pobrzeżnych krzewów, niesie imiona królestw, świato-władnych państw i zgruchotane włócznie ludoburzców krwawych — a gdzieniegdzie unoszą się na jéj falach, jakby kwiaty, jakieś pieśni stare, strzaskanéj lutni reszty i laurowe wieńce; a przecież po obu stronach onego biegu historyi, a z daleka od jéj brzegów, rozlegały się zaiste ludy liczne jak piasek pustyni, i grody, i miasta potężne i państwa;

o nich historya milczy, nawet ich imion nie doniosła naszym czasom. Utonęły te narody i państwa w wiecznéj otchłani zapomnienia, jak tonie rozbitek na otwartém i głuchém morzu; gwiazdy tylko widzą śmiertelny trud jego, a Bóg tylko sam słyszy ostatnie wołania jego skonu. Lecz dokądże płynie owa rzéka, w jakąż nieznaną dal przebiérają się jéj wody? by znów z kolei późniejszym lat tysiącom zanieść, jakby bajeczną wieść, prace i trudy naszych stuleciów; kędyż jest ujście téj rzeki? gdzie jest on ocean wiekuisty, co ją w swoje objęcia pochłonie sobą?

A jeżeli już rzeczy zmysłowe, jeżeli dzieje historyi są znikomości obrazem, témci więcéj wnętrze istoty naszéj jest piętnem ciągłego tworzenia i niweczenia się uczuć i myśli; wszak o tém wspominaliśmy już wyżéj. Lecz nie utyskuj nad tą skończonością rzeczy ziemskich, boć właśnie jéj poznanie prowadzi do pojęcia nieskończonosci istoty naszéj. Bo zważ — czylibyśmy utyskiwali nad skończonością wszystkiego, co doczesne, gdybyśmy zarazem w sobie nie mieli wyobrażenia o nieskończoności? zkądżeby się rodziło w nas poznanie znikomości tego, co nas otacza, gdybyśmy zarazem przy tém nie myślili o jakiémś istnieniu, co nie ginie nigdy? zkądżeby nam przychodziła owa tęsknota patrząc się na przemienność, gdyby nam się przed myśl nie stawiało jakieś istnienie, co trwa na wieki? Zawsze, gdy o skończoności pomyślimy, nasuwa się duchowi naszemu nieskończoność. Te dwa pojęcia, odwrotne sobie, zawsze razem chodzą; jak ten nie zna okropności ślepoty, kto sam dnia jasnego nie widział, jak kto wié, co linia krzywa, musi wiedzieć co linia prosta, tak też wiado-

mość skończoności dowodzi poznania nieskończoności. Nieskończoność tedy iście w naszéj myśli mieszka.— Prawda ta jest prawdą wszystkich prawd, bo właśnie dla tego, iż człowiek o nieskończoności myśléć może, jest dowodem, iż sam jest nieskończonym. Bo co jest skończoném, nie obejmie sobą nieskończoności; co jest bez granic, tam tylko pomieścić się może, gdzie także granic nie ma; bo większe w mniejszém objęte być nie może. Tak jak potrzeba być samemu uczuć tkliwych, by zrozumieć obcego serca drganie i te wszystkie tony ciche szepcące we wnętrzu duszy, jak potrzeba samemu być rozumnym, by pojąć rozumu potęgę, jak ten jedynie ocenić zdoła cnoty majestat, kto sam pełen jest zacności, tak też tylko jestestwo nieskończone pojąć zdoła nieskończoność i do niéj tęsknić. Posłuchaj treści staréj perskiéj pieśni:

Słowik zakochał się w róży; rzewną miłością płynęła pieśń jego, brzmiały po gajach tęskne drżące śpiéwy skrzydlatego kochanka, brzmiały boleśnie, samotno i radośnie przez noce całe, wieczory i ranki; a gdy słońce zaświéciło nad ziemią ciepłem pieszcząc naturę, ustawały słowicze pieśni, i wieszcz maluchny milcząc ginął pod liści splotem;—skoro atoli dzień jasny z gajów ulatywał, zapalając kagańce na niebie, znów z drgających piersi zakochanego śpiéwaka rozpływały się harmonie pełne miłości i żalu. Słuchały tych pieśni i krzewy, i gaje, i strumienie i dąbrowy, przecie nikt tego kochania słowika dla róży zrozumieć nie zdołał. Lecz znał kochanie swoje słowik, bo nie różę on miłował, nie do jéj rumieńca, nie do jéj woni on tęsknił, bo — na różę spadała co wieczór, co ranek, rosy kry-

ształowa kropelka, i w niéj to, jakby w jasném z nieba spłynioném zwierciedle, siebie widywał słowik, i sam pokochał siebie —zakochał się. Atoli obraz, który widywał, który miłował, nie był tylko samym wizerunkiem doczesnéj jego postaci; widywał tę postać rozjaśnioną, promieniejącą światłem niebiańskiém słońca, i do niéj to słowik tak tęsknił sobie. Nie dziw już tedy, iż gdy skwarem dziennym owa rosy kropelka rozpłynęła i uleciała, i obraz ten, owo niebiańskie widziadło, znikł, a słowik tęskny w boleści oniemiał.

Rozumiemy tedy już tęsknotę naszą ku nieskończoności; wszak i ona jest tylko obrazem naszéj własnéj istoty, rozjaśnionéj wiekuistém światłem.

Jeżeli tedy nieskończoność stanowi konieczną istotę człowieka, więc zradza się pytanie, jakim trybem objawia się w nim ta nieskończoność, jaki ona wpływ widomy na niego wywiéra? Piérwszym i koniecznym wypadkiem nieskończoności, którą Bóg człowieka wyposażył, jest instynktowa tęsknota, by wszędzie upatrzył nieskończoność, radby ją znaleść we wszystkiém, co jeno być może przedmiotem myśli jego, radby widzieć i znaleść wszędzie jéj wizerunek i obraz. Ta dążność jest koniecznym skutkiem jego natury: bo zważ pilnie, iż cokolwiek jest prawdą, to nie tylko bywa w nas, w duchu naszym, ale również znaleść się winno i na zewnątrz ducha naszego, bo inaczéj nie byłoby prawdą. Bo wszystko, co mieszka we wnętrzu ducha naszego, byłoby tylko ułudą, a nie prawdą, jeżeliby nie znalazło i w świecie potwierdzenia swojego. Otóż dla porozumienia się łatwiejszego podam ci kilka przykładów.

Czyliż dosyć jest aby moralność, aby cnota w ser-

cu tylko mieszkała? czyliż nie potrzeba, aby wystąpiła na jaw i okazała się czynami w rzeczywistości? Moralność we wnętrzu li naszém przemieszkująca nie jest moralnością; aby nią była, potrzeba aby koniecznie okupiła się walką własną, wyjawiła się czynem; albo— czyliż mogłaby powstać w duszy człowieka miłość, gdyby nie było zarazem w świecie rzeczywistym przedmiotu będącego celem téj miłości? Czyliż każda teorya prawa jest czém więcéj niż ułudą, jeżeli nie może być wprowadzona w świat? Otóż zważ, iż dla wewnętrznéj naszéj istoty, ten świat zewnętrzny, rzeczywisty, jest zawsze z początku czémś obcém, czémś jéj przeciwném, i póty my wewnętrznych prawd naszych nie uważamy za zupełne, póki ich w rzeczywistość nie wprowadzimy, albo ich już tam nie znajdziemy. I dla tego to właśnie, mając przekonanie o czém silne, gruntowne, czujemy w sobie niepokój, póki nie obaczymy, iż prawda, którą przejęci jesteśmy, i od świata przyjętą nie zostanie. Bo świat nasz wewnętrzny, one prawdy, które w duchu naszym żyją, i świat zewnętrzny, rzeczywisty — czyli teorya i praktyka, do siebie należą i jedną składają całość, i nawzajem na sobie się opiérają, choć zdają się czémś zupełnie różném od siebie, a nawet przeciwném sobie. Są to dwa bieguny igiełki magnesowéj, które, choć różne, przecież do siebie należą, tak jak znak minus (—) i plus (+) w matematyce, choć niby zupełnie sobie odwrotne, przecież do siebie się ściągają, i tak dalece jedną składają całość, iż żaden z nich, z osobna uważany, nie będzie miał znaczenia, ani zrozumiany być nie może. Tak i światło dopiéro światłem jest, gdy je z ciemnością razem weźmiemy.

Tak się téż rzecz ma z nieskończonością, która wewnątrz nas tkwi; nią to party człowiek tęskni, by ją koniecznie ujrzał i w zewnętrznym świecie, pragnie, jak słowik ów, obaczyć w nim własny swój obraz. Rozważmy atoli, czyli pragnienie to swoje zadowolić zdoła; czyli on znaleść zdoła wizerunek i odblask téj nieskończoności, która w nim tkwi.

Naprzód natura fizyczna, rzeczy zmysłowe, uderzają umysł nasz, bo on je najłatwiéj pojmuje, gdyż one są zmysłowe; a człowiek sam, mając stronę zmysłową, rychléj rozumié, co oczyma, słuchem, dotykaniem i innemi zmysłami dostrzega, niż to, czego dopiéro rozumem dochodzić powinien; więc téż natura jest pierwszém polem jego poznania. W niéj tedy przedewszystkiém pragnie dostrzedz nieskończoności; — ale zjawiska natury są jedynie ułomkami wielkiéj całości, pojedynczemi tonami wiekuistéj harmonii, którą Bóg wlał w wszechnicę stworzeń. Żadne atoli pojedyncze jestestwo natury samo z siebie, i wzięte z osobna, nie wyraża całkowitéj myśli, ale jest jedynie ułomkiem myśli; a co jest ułomkiem czegoś, należy do czegoś i zależy od czegoś; jest ograniczoném w sobie, nie może być tedy nieskończoném.

Wznieś oczy ku niebu, patrz—planety, słońca, księżyce, są rozosobnionemi jednostkami; każde ciało niebieskie, choć należy do swego systematu słonecznego i z nim składa całość, wszakże, samo wzięte, jest tylko jednostką osobną, a system słoneczny nie jest jednėm jestestwem, ale składa się z mnóstwa jestestw, bo z mnóstwa gwiazd osobnych. Widzisz tedy, iż całość tutaj rozbita jest na wiele rozpojedynczonych szczegółów, na

wiele ciał niebieskich. Możesz wprawdzie gwiazdy należące do systematu uważać za jedność, ale to połączenie ich jest robotą twojéj myśli, twojego przyłożenia się; to połączenie jest li rozumowe, świat fizyczny nie okazuje téj jedności zmysłom, ale przedstawia rozosobnione gwiazdy, z których każda jest tylko kawałkiem osobnym jedności systematu. Podobny każdy system słoneczny z całém gronem planet, księżyców do niego należących, zaiste znów jest cząstką drobną innego ogromnego systematu. A tak myśl Boża, myśl nieskończona, wlana w ciała niebieskie, rozstrzeliła się oceanem rozpojedynczonych gwiazd, z których atoli żadna, z osobna wzięta, nie jest obrazem onéj myśli nieskończonéj, a co jest ułomkiem, jest czémś skończoném i przemijającém. Spójrzyj teraz w około siebie, w te zjawiska, które ci rzeczy, otaczające nas, przedstawiają, i tu spostrzeżesz iż zjawiska są jedynie ułomkami całości, i nigdzie nie znajdziesz jestestwa będącego wizerunkiem nieskończoności. W zjawiskach mechanicznych, naprzykład, potrzeba zawsze najmniéj dwóch ciał na siebie działających. Jedno z najprostszych zjawisk, które tu widzimy, ciężkość, okazująca się w spadaniu ciał, wymaga przedewszystkiém dwóch jestestw: bo ciała, które spada, i ziemi, na którą spada. Póki ciało spada, to jest, póki się to zjawisko okazuje, póty téż i ciało spadające i ziemia są w rozłączeniu; skoro zaś rozłączenie ustaje, i ciało i ziemia się dotyka, przez to już staje się jednością, już i zjawisko spadania samo ustaje. Widzisz tedy, iż tutaj każde jestestwo z osobna wzięte jest jedynie ułomkiem.

Podobnież w fenomenach magnetycznych, elektry-

cznych, galwanicznych i t. d. potrzeba dwóch biegunów, z których jeden jest dodatny a drugi ujemny. W zjawiskach optycznych, znów najmniéj dwóch ciał potrzeba, bo promienia światła, i ciała oświéconego; tak i tu obaczysz, iż jedno jestestwo w naturze nie jest czémś zupełném, potrzeba najmniéj dwóch lub więcéj, by złożyć całość. Tak się rzecz ma i ze zjawiskami chemicznemi i z powinowactwem ciał. Ale powiész mi może, iż w jestestwach organicznych dzieje się inaczéj, bo ciało zwiérzęce a zwłaszcza człowiecze jest całością w sobie, a zatém już wizerunkiem doskonałości; ręce, głowa, nogi i wszystkie członki, tak różne od siebie, składają jedną całość doskonałą, wszystkie one do siebie należą, jedną składają harmonią. Prawda, ale dla tego téż właśnie ciało ludzkie jest szczytem wszystkich dzieł natury, najwyższym wieńcem rzeczy stworzonych, i dla tego właśnie jest stolicą nieśmiertelnego ducha.

Zważ przecież, iż i tutaj jeszcze niedoskonałość jestestw natury uczuć się daje. Człowiek właśnie w życiu swém ziemskiém do dwoch światów należy: jest naprożnikiem między państwem wiekuistém, duchowém, a państwem rzeczy materyalnych, bo on w sobie mieści i duszę i ciało — i właśnie dla tego, że należy do cielesnego świata, do natury, nie jest sam przez się całością w sobie skończoną, zupełną, bo się sam przez się ostać nie może. Naprzód jest bowiem w stosunku do innego jestestwa podobnego, ale płci odwrotnéj. Mąż i kobiéta z osobna wzięte nie stanowią całości. Następnie téż człowiek obejść się nie może bez natury otaczającéj go; bierze od niéj pokarm swój, oddycha jéj atmosferą i z nią dopiéro stanowi całość, a właśnie ten

związek i stosunek ciała do natury jest przyczyną śmierci jego, bo natura zewnętrzna, onych ślepych żywiołów potęga, bez ustanku działa na organizacyą ciała jego, i psuje je, i niszczy, i trawi; a gdy się ciało w końcu oprzéć nie zdoła tym wpływom, wtedy ginie i śmierć następuje.

Widzisz, iż nawet najwyższe dzieło przyrody, bo ciało człowiecze nie jest całością w sobie i ginie, i dla tego nie może być dla nas wizerunkiem nieskończoności, którą człowiek śledzi mimowiednie w rzeczywistym świecie, choć nie wié, co go tak prze i co w nim działa. Cała natura tedy pokazuje nam jestestwa, które same wzięte są tylko ułomkami jednéj myśli, ale całéj myśli nie stanowią, a tém samém mają swój początek i koniec, nie mogą być tedy nieskończoności obrazem. To już wyżéj choć innemi słowami powiedziałem. Ale może właśnie wizerunek ten znaleść zdołasz w obrębie nie natury cielesnéj, lecz w sferze czynności człowieka? może naprzykład moralność, cnota, obejmująca jakby sercem miłości pełném świat cały, będzie doskonałym nieskończoności obrazem? Zważ atoli, moralność, cnota jest jedna i zawsze taż sama, ona jest całością ogólną, póki zamknięta jest w duchu, póki trwa we wnętrzu naszém; ale ona jako całość nie może się zjawić w świecie, bo w rzeczywistém życiu moralność się tylko w czynach pojedynczych okazać może. Utulisz boleść, łzę nieszczęścia, zapomnisz krzywdy złowrogiéj nienawiści, gdy zacność gorejąca w piersiach twoich wystąpi na jaw poświęceniem dla dobra drugich, toć wszystko zależéć będzie od podanéj sposobności, okaże się przy szczególnych okolicznościach, które mogą być

tak różne, tak przypadkowe i rozmaite, jak rozmaite są życia przygody. Słowem, moralność zamknięta w duszy jako całość, występując na świat, rozbija się na pojedyncze osobne czyny moralne. Co się wyjawia w świecie rzeczywistym, są to tylko ułomki téj moralności, nie mogące być moralności saméj, a tém bardziej nieskończoności obrazem. A prawa, a ustawy spajające węzłem towarzyskim ludzi, zakładające miasta i garnące wszystkich pod sprawiedliwości paiże? może tutaj dostrzeżesz wizerunku nieskończoności? Przecież tak sprawiedliwość jak i moralność zawsze jest jedna, wiecznie ta sama, i całością w sobie; ale ona, jako taka, nie wstępuje w rzeczywistość i wystąpić nie może, bo jest również jak moralność, jak cnota, myślą, ideą; w rzeczywistym świecie zjawić się tylko ona może w prawach, w księgach ustaw. Każdy jednak naród, każdy wiek ma inne swoje kodexa. Sprawiedliwość tedy jest tylko gruntem ogólnym, na którym wzrastają księgi praw, są to jedynie ułomki całości, ale nie całością. Co więcéj, księga praw, obowiązująca w pewnym kraju a będąca przeto uwidomieniem wyobrażeń tegoż narodu i wieku o prawie, także nie występuje w całości w rzeczywistym świecie, lecz tylko ułomkami. Wszak prawo np. broni własności, jakże atoli ono chroni np. własności twojéj i kiedy? oto wtedy tylko, jeżeli twój dom, twoja wieś, albo jakaś summa pieniędzy, będąca w twojéj własności, jest zagrożoną: wówczas udajesz się pod obronę ustaw, a one oddalają napastnika. Widzisz tedy, iż praw wykonanie broni własności, lecz nie własności jako ogólnéj myśli, ale rzeczy szczegółowych, jako wsi, domu, summy pieniędzy, a to wtedy tylko, jeżeli one

są zagrożone; czyli zaś są zagrożone lub nie, toć znów od przypadku zawisło, od szczególnych okoliczności, więc własność rzeczy szczegółowych okazuje się w ułomkach. Jest tedy niewątpliwą prawdą, iż i sprawiedliwość w téj formie, jak się w rzeczywistym świecie okazuje, nie może być wyrażeniem nieskończoności.

Ale rzekniesz mi może, iż przecie historya powszechna, będąc najwyższém dziełem wieków i pracownią nieskończoną ducha człowieczego, wyraża nam myśl nieskończoną odzianą w szaty ludów, w postaciach bohatérów historycznych? W tym liście moim już dwa razy wprowadziłem ci historyą świata: raz, wskazując ci znikomość rzeczy doczesnych i przemijającą robotę ludzkiego rodu, drugi raz przedstawiłem ci dzieje człowiecze i jego sprawy, jako przeświecane płomieniem nieskończoności. Zaiste nieskończoność jest dnem wszystkich wydarzeń. Teraz jednak zjawia się inne pytanie; chciéj ze mną zważyć, czyli wydarzenia w historyi, tak jak nam je historya wystawić może, są zwierciadłem same przez się téj nieskończoności? Bóg w nieograniczonéj łasce swéj natchnął człowieka rozumem, rozumną téż drogą prowadzi ród cały za rękę przez stulecia i lat tysiące do udoskonalenia najwyższego. Choć jednak krew biegnie w żyłach, choć życiodawczą potęgą tętni w ciele człowieka, przecież nie jest widzialną dla zmysłów, ale drganiem serca, iskrą w oku i rumieńca kwiatem na widok występuje. Tak podobnie duch żyjący w historyi nie występuje na jaw w zupełności swéj, lecz w wielkich wydarzeniach, w epokach przemieniających świat, niewidomie tli i żyje, i jest krwią, co bije w pulsach narodów, a wieki całe, a stu-

lecia, są oddechami wiekuistéj myśli przebywającéj w dziejach ludzkich. By ujrzéć potęgę poruszającą narody i wielkich ludzi historycznych, trzeba zajrzéć za kulisy teatru świata, i tam widzieć, jak owa myśl wiekuista, kierująca tym dramatem, wysyła kiedy pora, jakby aktorów, wielkie figury historyczne na scenę czasów. Za jéj skinieniem występuje to Alexander, to Cezar, to Kolumb, lub Arystoteles; znów Cyrus, to Dżingishan, to Filip II. lub Piotr Pustelnik, Grzegorz VII. lub Napoleon; każdy z kolei się zjawia, by odegrał rolę swoją z dramatu, którą wiekuisty autor ułożył, i, wedle uiszczenia się z gry swojéj, zyskiwał oklaski lub wyświsty potomności. Boć iście nie ślepego trafu lub fatalizmu jest historya, ale Opatrzności dziełem; a ten Bóg, bez którego woli ani pyłek z kwiatu, ani włos z głowy nie spada, ten sam Bóg jest i dziejów ludzkich ojcem; i gdy mądrość Jego uzna potrzebę, roztwiéra ciepłą dłoń swoją i z niéj wypuszcza, niby pisklęta, uskrzydlone młode stulecia, i gwiazd gromady i wielkich ludzi. Ależ my tego w saméj historyi nie widzimy jeszcze, bo myśl Boża, co żyje i działa na dnie wydarzeń, nie występuje w swéj całości w wypadkach historycznych, rozpryskuje się na narody, na wieki, na figury szczegółowe, na kraje pojedyncze. Każdy naród a każdy wiek zradza nową jedną myśl, wprowadza ją w świat i z kolei ustępuje z widowni; a ustąpić musi, bo nie będąc całością, lecz jedynie ułomkiem i cząstką, jest również skończonym jak gwiazda, jak zjawisko mechaniczne, jak jestestwo organiczne, jak czyn moralny, jak ustawa prawna i t. d. i dla tego przeminąć musi. Historya taka, jak nam się ukazuje, podaje nam dzieje rozerwane na tysiące szcze-

gółów osobnych, na milionowe wypadki, ale nam nie wskazuje téj jednéj ogólnéj myśli, żyjącéj i pracującéj we wnętrzu tych dziejów. Jest i tutaj nieskończoność zaiste, ale zakryta; historya jest jedynie jéj widzialną łupiną ułomkową. Widzisz tedy, iż jak w naturze, tak i w moralności, prawie, historyi i we wszystkich czynnościach podobnych, duch nieskończony ujrzéć nie może własnego wizerunku a zwierciadło, które mu się tu przedstawia, jest stłuczone na sztuk tysiące, z których każda wskazuje jedną część oblicza wiekuistego, które w posagu od Boga na dziedzictwo odebrał. Aby w téj całéj świata wszechnicy nieskończoność obaczyć, trzeba nam innego szczebla ducha, innéj jego umiejętności, jak to obaczymy w liście następującym.

Duch człowieczy ciśniony tym niedostatkiem, party by to szczupłe koło istoty swéj rozszérzył, by nieskończoność obaczył i znalazł siebie samego w rzeczywistości, przerzuca się w inną wyższą sferę własnéj swéj istoty, nabywa jaśniéj wiedzy o téj nieskończoności, a nie mogąc jéj znaleść w rzeczywistości, zaczyna od tego, iż sam sobie *jéj obraz tworzy.* Tworzy go używając do tego właśnie téj osnowy, która mu jest najbliższą, najłatwiejszą dla niego; jest to ten świat dostępny dla oczu i słuchu jego, ten świat zmysłowy, i staje się mistrzem, tworzy dzieła sztuki. I to jest sztuk pięknych zaród tajemny i powód ich najwyższy. Świat materyalny, natura, pożycza mu swoich postaci, swoich kształtów, daje mu na osnowę swoje marmury, drzewa, kruszce, barwy, tony, głos, a człowiek, uchwyciwszy je, wléwa w nich duszę swoją, przyciska gorejącém objęciem do serca, wlewa w nich nieskończone życie swoje,

swego ducha, a tak staje się twórcą, *mistrzem*. Co żyło na bezdnach ducha, o czém jakby przez sen marzył, teraz dla niego zjawia się widome. On siebie w dziele swém widzi, a trud cały, jaki ponosił pasując się z sobą, wlał w piękności dzieła, niby w naczynie boleści swéj. Niedziw tedy, iż zjawienie się dzieła sztuki jest pieśnią wtorującą nieskończoności człowieka; bo gdy on stanie przed obrazem, rzeźbą lub świątnicą, albo gdy mu zabrzmią w duszy tony muzyki, melodyi, lub święty urok myśli poezyą odziany, już rozumié, że go głos z dziecięcych lat wita, że się nań patrzy święte oblicze znane z dawnych lat, widziane gdzieś, niegdyś, czyli we śnie, czyli nad kolébką swoją, czylito może anioł stróż jego, co mu niewidomie przez życie towarzyszył. Widzi obraz malowany w kamieniu, w postaci, słyszy potok muzyki; ale cóż mu z kamienia tego, z tych obrazów, z tych muzyki tonów; tęskni i płacze, coś go porywa i na niego woła. Zda się, iż jakby w długiéj niebytności w kraju rodzinnym, nagle gdzieś niespodzianie w cudzoziemskiéj stronie zabrzmiał mu mowy ojczystéj dźwięk, niby dawna własna pieśń jego. Tysiące głosów dotychczas drzémiących budzi się w piersiach, i gromadami, jakby orły Boże, zrywają się i giną w ostatnich błękitnych nieba przepaściach.

A teraz jak myślę zrozumiész, dla czego w listach poprzednich dowodziłem, iż ani zmysły, ani samo zachwycenie, ani uczucia, ani myśl, ani serce, ani rozum, same z osobna wzięte, nie mogą być sztuk pięknych podstawą. Bo jeżeli iście sztuka piękna jest nieskończoności córą, jeżeli wiekuistość tu jest odzianą w cielesności szaty, jeżeli sztuki istotę ziemską i niebiańską

człowieka, jakby dwa bieguny sobie obce i przeciwne, ku sobie naginają, jeżeli one biją we dwa światy tak odwrotne sobie, jak są zmysły ciała jego i duch wiekuisty, nie dziw tedy, iż godzą téż wszystkie inne sprzeczności istoty naszéj, iż uderzają na całą treść człowieka, chwytają wszystkie struny jego jestestwa, i całą istotę człowieczą budzą pełnym akkordem. Zmysły i rozum, uczucia i myśl, duch i serce, ciało i dusza, wszystkie te potęgi zarazem są tknięte piękności dziełem, żadna tedy z osobna, ale wszystkie razem jakby w chór grzmiącym psalmem witają Wiekuistość, która na Ziemię zstąpiła. Tak piękność godzi wszystkie sprzeczności duszy naszéj i pokojem niebiańskim ucisza wieczny w piersiach naszych bój. Przecież pokój ten nie jest głuchém przytłumieniem tych potęg, ale podniesieniem ich wyższém i uduchownieniem, on je uszlachetnia, wylewa na nie powódź światłości niebiańskiéj, uwalnia od ziemskiéj ciężkości, dodając cherubinowych skrzydeł. Gdy piękność się zjawi, wszystkie radości i boleści, tęsknoty i nadzieje, odwagi potęga, lęki i miłość, żale i wesele, i co jéno w duszy naszéj jest, rozgoreje ogniem nadziemskim i łączy się wspólnym płomieniem. Niebo i ziemia obejmują się uściśnieniem miłości. Gdy piękność się zjawi, cały ocean jestestwa naszego rozkołysze się do dna swego piorunną falą, i znów się jednoczy, znów zléwa się z sobą niby w zwierciadło, w którém niebo i Bóstwo się przegląda. Wpatruj się w obraz Syxtyńskiéj Madonny; tutaj zmysłów naszych powaby i myśli potęga, duch i uczucia, wiara i miłość, mrozy i ciepło duszy naszéj, słowem, cała nasza treść, roztopiona jakby pieśnią niebiańską, wciela

się w tę postać nadziemską Boga-Rodzicy. Podobnie, słuchając muzyki wielkich mistrzów, widzisz jak nieba podwoje na rościéż są otwarte, i widzisz, jakby po szczeblach Jakóba na obłokach spartych, wchodzące i zstępujące anioły, skinieniem drogę nam do wiekuistéj ojczyzny pokazując. I zaiste, połączenie w jedną harmonią rozpromienionych tonów duszy, pogodzenie rozdwojenia w piersiach naszych, jest najwyższym sztuki wieńcem.

Myślę tedy, że już zgodzisz się na to ze mną, że wiekuistość ducha a świat doczesny, że niebo i ziemia nawzajem są zaślubione sobie w piękności dziele; słowem, że nieskończoność i skończoność są dwoma pierwiastkami przebywającemi w dziele sztuki, że powiązanie ich w jedność jest wszelkiéj piękności warunkiem.

Zważ jednak, że piękność świeci się tak przeróżnym rodzajem: ona zawsze będzie jedną i tą samą, ale występuje coraz to w innéj postaci. W saméj naturze nawet piękność jest tak różna. Ona jest inną gdy morskie zwierciadła, ciche i milczące, przezierają się w błękitach niebiańskich, a inną, gdy grzmotną burzą rozkołysane fale, wzdymając się i przepadając w otchłani, powstają i giną na nieskończonéj przestrzeni, i znów dźwigają się w zuchwałém rozjątrzeniu, i znów strącają się w rozwarte topiele. Inna piękność, gdy dech uroczystego wieczora roznosi ciche szepty kwiatów, a w mroku świętym natura obchodzi zrękowiny ze sercem człowieka; inna piękność orła, co, oparłszy skrzydła na słonecznych promieniach, mierzy okiem rozłożone pod nim w głębi kraje, inna znowu piękność taje-

mniczego państwa, co w głębiach podziemnych zbudowało czarnoksiężkie pałace swoje, przystrajając je w sople świeciste, w zwoje i gałęzie błyszczących kryształów, wysadzając je bogato w smaragdy i rubiny; inną pięknością przemawia pierwiosnek, co wykwita na grobowéj mogile, co tak rzewny, milczący, tęskny i zadumany, iżbyś rzekł, że go posiała łza, co tu padła milcząca, rzewna, i teraz na pierwiosnku błyszczy rosy kropelką jakby oczko niebiańskie, a motyl różnobarwny, strojniś zalotny, oblatuje kwiatek płaczący. Tak jest, i natura roztacza się całym światem piękności przeróżnych; kędy spójrzysz, kędy zwrócisz duszy twojéj słuch, już ta przyroda zaśpiéwa ci to hymny wzniosłe, to tęsknéj słodyczy elegije, to zanóci piosenkę radosną, weselną. A cóż dopiéro się dzieje w państwie sztuki, kędy już piękność ma właściwą ojcowiznę swoją! kędy ona żyje w całéj swobodzie a wolności swojéj! Bo sztuka piękna jest zaślubieniem skończoności doczesnéj z nieskończonością wiekuistą ducha. Ale gdy duch człowieka jest duchem stworzonym, gdy on sam jest ochuchany tchem ziemskiego żywota, więc on sam wypowiada treść swoją w różnych akkordach, w różnych postaciach. Cóż dziwnego że sztuka to przemawia do nas *wzniosłością*, to znów zradza piękność *naiwną*, *prostoty pełną*, to ubiera się w przepychy fantazyi, to staje przed tobą w *uroczystéj* postaci, to jest pięknością *szlachetną*, to znów strachem przejmuje, gdy rozwija losy *tragiczne* figur swoich; a tak sztuka coraz inną a inną formą piękności zadziwia, pociesza, zachwyca widza i słuchacza swojego. Trudnoby mi było wyliczać wszystkie te formy piękności, więc też tém mniéj będziesz wymagał, bym

ci się wdawał w różne ich definicye. Zdaje mi się téż, że jak to zwykłe definiowanie wyobrażeń jest wielce nudne, tak téż najczęściéj nie dotrzyma placu, gdy mu się bliżéj przypatrzysz; takie definicye, choćby położone rzędem po sobie, będą niby ułamkami łóżnemi niepowiązanemi z sobą, a zatém téż żadna z nich nie będzie miała udowodnienia swojego w drugiéj, bo nie będzie się rodziła z poprzedzającéj. Niema się tedy czego gniewać na czytelnika, gdy nie dowierza tym definicyom, gdy tu i ówdzie je doprawia, uzupełnia i prostuje.

Widzisz przeto, że chcąc te różne postaci piękności bliżéj i trafniéj oznaczyć, trzebaby je rozwinąć genetycznie, wypadłoby jéj zrodzenia wskazać w zarodzie, należałoby tedy wysnuć je z owych dwóch pierwiastków, będących żywiołami piękności wszelkiéj; takowy wywód okazałby, że, wedle różnego wzajemnego zachowania się tych dwóch pierwiastków, różne téż będą pojawy piękności. Przecież, gdy te listy moje bynajmniéj nie mają na celu rozwicia systematycznego Estetyki, gdy moim, jak wiesz, zamiarem jest, aby jedynie pobieżnie potrącić myśl twoją, zatém wystarczy, gdy, wspomniawszy już o tych różnych postaciach, jeszcze naprzykład rozwinę choć z lekka i z wierzchu niektóre z tych szczegółowych form piękności, nadając im znaczenie mniéj więcéj przyjęte dziś już przez Estetyków. Prawda, że lubo sposób, którym ci podaję, nie będzie ani ścisłym ani wyczerpującym rzecz, wystarczy atoli, jak się zdaje, do okazania, że te wszystkie kształty piękności możnaby wysnuć rzeczywiście ładem systematycznym.

Jakoż baczmy np. co rozumiemy przez wyraz »wznio-

słość«. Sama nazwa okazuje, że tutaj zachodzą dwa czynniki: jeden, który się wznosi nad czémś, a drugi właśnie ten, nad którym tamten piérwszy się wznosi; jestto przeto porównanie, które tutaj się objawia. Uważ teraz, że te dwa czynniki wyrażają właśnie owe dwa pierwiastki, które są dwoma warunkami wszelkiéj piękności, ale one są tutaj rozdzielone od siebie dualizmem. Bo ów pierwszy czynnik, który się wznosi nad drugi, wyobraża tutaj nieskończoność, wiekuistość; a czynnik drugi, nad który się wznosi ta nieskończoność, ta wiekuistość, jest właśnie wyobraźnikiem doczesności tutecznéj. Ten czynnik drugi istnieje tutaj li dla tego, aby wyświecił moc, potęgę, nieskończoność; on się w obec niéj kurczy, on ją mierzy ale zmierzyć jéj nie zdoła.

Chciéj atoli mieć na oku wielce ważną okoliczność. Oba te czynniki występują w Estetyce jako zamknięte w dziele piękności, które samo przez się i w całości jest wiekuistości i nieskończoności wyrazem; wynika ztąd, że i ten drugi czynnik, który w dziele sztuki wyobraża skończoność, sam nie może być czémś codziennym, drobném, a choć sam nie jest jeszcze nieskończonością prawdziwą, rzetelną, winien być jakby owiany tą nieskończonością, bo tak jedynie zdoła wyświecić nieskończoność wiekuistą, która obok niego staje w postaci olbrzymiéj, niezmierzonéj. Z drugiéj strony baczyć nam należy, że i ten pierwszy czynnik, który wyobrażą nieskończoność, właśnie dla tego że się pojawia w dziele sztuki, a zatem w postaci uzmysłowionéj, będzie miał przecież granice swoje; lecz sztuka, że tak powiem, na tém zależeć będzie, aby to ograniczenie jego zasłonić, aby tych

kończyn a granic nie było widać. Może jednak całe to przedstawienie moje niedość jasne, więc unaocznimy sobie rzecz na przykładzie. Gdy w człowieku wzniosą się burzą namiętności, a serce jego wzdęte będzie falą uczuć olbrzymich — otoż, jeżeli wśród téj burzy i boleści wewnętrznych, człowiek zdoła zakląć własne serce swoje, co pęka z boleści, jeżeli zdoła przytłumić namiętności, i wykonać wbrew uczuciom swoim powinności, które mu idea wiekuista nakazujc — wtedy taki człowiek będzie wzniosłości wyrazem. Ta idea, przemagająca w duchu jego, będzie owym czynnikiem pierwszym wyobrażającym nieskończoność, wznoszącym się nad namiętności i uczucia, które przeto tutaj mają znaczenie owego drugiego czynnika. Uważ zatém, że te uczucia i namiętności winny być ogromne, bo tym sposobem jedynie moc duchowa, zdołająca je pokonać, wyświeca się w całéj potędze majestatu pełnéj. Atoli z drugiéj strony taż sama moc, działająca w imieniu nieskończoności w sercu człowieka, ta idea wznosząca się nad głosy serca, nad uczucia, sama jest tylko jedną z wielu idei, z wielu prawd szczegółowych rządzących światem. Człowiek, choćby najzacniejszego, ogromnego oddechu, nie zdoła działać w imieniu najwyższéj prawdy, która jest prawdą wszystkich prawd, która je wszystkie sobą obejmuje; człowiek śmiertelny, jako duch stworzony, staje się wyobraźnikiem tylko jednéj szczegółowéj idei i tę przeprowadza w życiu i w świecie; ta prawda, którą on wyznaje, z osobna wzięta, nie jest jeszcze prawdą bezwzględną, i ona w sztuce saméj, która żąda z istoty swojéj uzmysłowienia, uosobienia téj prawdy w człowieku, sama występuje jako ograniczona; prze-

cież, gdy ma być nieskończoności wyrazem, dla tego to jéj ograniczenie jest osłonione, zakryte.

Jak atoli w tym naszym powyższym przykładzie mieliśmy głównie na oku wzniosłość, objawiającą się w postępowaniu człowieka, tak podobnie przypisać możemy przedmiotom bezdusznym wzniosłość, a to wtedy gdy one w duszy naszéj odpowiednie budzą uczucia. Tak widok morza jest wzniosły, fale dźwigają się i przepadają z kolei na przestrzeni morza, ta przestrzeń morza rozkłada się w nieskończoność, bo jéj granice zakryte więc osłonione, a fale mierzą tę nieskończoność oceanów; ale, choć ogromne i olbrzymie, przecież jéj zmierzyć nie zdołają; one nieprzemożonym, niedowidzianym rozłogiem topieli oceanów. Albo spójrzyj na wiekuistą przestrzeń niebiańską; toczą się i słońca i planety i księżyce, a pochodem odwiecznym kołują, wirują, ruszają się systematy słoneczne, i srebrzą się mleczne drogi; ale ani planety, ani księżyce, ani systematy słoneczne, ani mleczne drogi, nie zdołają zmierzyć Bożego Państwa, bo za niemi znów nowe zjawią się systematy, nowe słońca, nowe mleczne drogi, i tak w nieskończoność.

Powiadasz, że ten tum obejmuje cię wzniosłością i że w nim powiewa nieskończoność tchem swoim? Gdy mu się bliżéj przypatrzysz, postrzeżesz tłumy nabożnych i ołtarze, i pietrzące się w nim kolumny, łuki, gzymse, co, choć wielkie i potężne, giną w obec ogromu olbrzymiego całości budowania i wysokości sklepień. Ozdoby, dziergania wieży, choć same w sobie potężnych wymiarów, maleją i nikną w obec wysokości zawrotnéj, podobłocznéj, któréj sięga szczytem swojego krzyża.

Wystarczy może tych przykładów wzniosłości, zwracam tylko uwagę, że ona zdolna zamienić się na pokrewne sobie formy estetyczne. Tak np. jeżeli człowiek całą duszą, całém sercem objął jedną z idei, jedną ze szczegółowych prawd, i takową, z całém poświęceniem siebie, za nic sobie ważąc wszystko inne, chce przeprowadzić w życiu, a tak walczy z losem, walczy z ideą nieskończoną, mierzy się z prawdą wszelkich prawd i ginie pod brzemieniem jéj wiekuistéj potęgi; w takim razie ten człowiek stanie się figurą tragiczną, a los jego i upadek będzie tragicznością, która jest znowu nową formą piękności. Przecież o téj formie, jak i o konieczności, mówić będziemy często jeszcze na innych miejscach.

Zgodzisz się może również, że gdy ta nieskończoność, ta idea przeważna i wzniosła, ubiera się, jakby w szaty, w wielkie zjawiska natury, wtedy rodzi się to, co zwykle estetycznym przepychem zowiemy; taki przepych spotykamy często bardzo w świętych pieśniach hebrajskich, przedstawiających Boga »którego potęga zbliża się na skrzydłach wichrowych,« który wodzi wóz niebiański z gwiazdami jego« a skinął na świtania i okazał kędy wschodzić mają zorza!» W tych obrazach pieśni świętych widzimy przepych, ale pełen najwyższéj wzniosłości; bo ogrom stworzenia ma w nich to jedynie znaczenie, aby okazać nieskończone wywyższenie Boże nad wszelkie wielkości natury; gwiazdy i świtania, skon i życie są tu jedynie haftem na rąbku szaty Bożéj. Tutaj obok przepychu najwyższego, znajdziesz najwyraźniéj wszystkie te cechy, którem powyżéj oznaczył jako znamiona wzniosłości. Bo z jednéj strony rze-

czy stworzone, doczesne przybrały ogromne nieskończone rozmiary, a z drugiéj strony wznosząca się nad te rozmiary nieskończoność przybiera formy zmysłowe, fizyczne bo uzmysłowionéj idei Bożéj, odzianéj nawet »w szaty, kładącéj stopy na gwiazdach, wodzącéj wóz oriona, skinieniem rozkazującéj świtaniu.»

Jeżeli do potęgi ogromnéj, nieskończonéj, łączy się spokój wewnętrzny, beznamiętny, wtedy występuje na jaw Majestat. Jeżeli zaś ta potęga spokojna w sobie uznaje wyższą nieskończoną nad sobą potęgę, wtedy staje się uroczystą. Gdy bohatér zsiwiały, czując zbliżenie się śmierci, modląc się oddaje cześć Panu na wysokościach, wtedy zradza się uroczystość. Jeżeli ów pierwiastek nieskończoności objawi się w sztuce wyrzeczeniem prawdy głębokiéj, bez wiedzy własnéj, wtedy zradza się piękność prostoty pełna — jeżeli zaś odwrotnie człowiek postępuje wedle téj prawdy z całą pełną wiedzą, że wykonywa zakon wiekuisty, jeżeli przytém wypełnienie téj idei nie jest dla niego trudem, z którymby mu walczyć przychodziło, ale jest właśnie dogodzeniem zacnéj istocie ducha i harmonią z własną naturą swoją, wtedy pojawia się piękność szlachetności pełna.

Tak widzisz iżbyśmy mogli prawie z jednego i tego samego stanowiska określić bliżéj znaczenie i innych tym podobnych pojęć estetycznych,— dla naszego dość żeśmy je choć z lekka wspomnieli. Przecież już widać, iż w jakimkolwiekbądź kształcie wystąpi z za obłocznéj opony piękność, zawsze ona będzie córą niebiańskiéj ojczyzny, czyli zaświeci jako bogini piękności z koroną różaną na skroniach, czyli jako Niobe, co skamie-

niała w posąg cudny macierzyńską boleścią, czyli jako Jowisz Phidiasa, co skinieniem wstrząsa Nieba i ziemi posadami, czyli w postaci Herkulesa idącego przez swiat walcząc i łamiąc się z trudem, by wybawił świat, by uwolnił Prometeusa, co uniosł z nieba płomień światłodawczy; zawsze i zawsze piękność sztuki przebudzi śpiący Olymp w sercu człowieka. Miéj serce, oczy, duszę otwarte dla piękności, ona wstąpi radośniéj do piersi twoich i będzie ci uroczysto, świąteczno w duszy i wśród niebiańskiego wesela, wszystkie ducha twojego tony się odezwą i zestroją się z sobą i zagrają jakby hymnem i psalmem, i przestanie ci w duszy płakać i kwilić, a zapomnisz boleści, przebaczysz krzywdy i urazy, świat cały i ludzi wszystkich obejmiesz z miłością, przeszłe i przyszłe wieki będą ci braćmi we wiekuistości. Odetchniesz szeroko, wesoło, swobodnie, jakbyś był po uniknieniu wielkiego nieszczęścia, od którego właśnie Boża ręka cię zachowała, odetchniesz wolno, swobodnie, jakbyś sprawił coś wielce zacnego, jakbyś uratował nieprzyjaciela swojego od biedy i zaguby — uczujesz się mocny na duszy, spotęgowany w sobie, jakby ci Anioł Pański podał wzmocnienia puhar.



LIST VIII.

Sztuka — Wiara — Filozofia.

Stosunek sztuki do Religii — do Filozofii. — Zwyczajne zdanie o Filozofii. — Uwłaczanie rozumowi jest bluźnierstwem. — Zapatrywanie się mylne na filozofią. — Jaroński i inni. — Rzut oka na treść listów poprzednich. — Badanie początku sztuk jest równie mylną jak niepotrzebną pracą.

Dotychczas zatrzymywałem cię w przysionku sztuki pięknéj, rozprawiając dopiéro w ogólności nad jéj naturą; wnet zaiste roztworzy się nam wnętrzne téj świątnicy, co, jakby stara wspaniałości pełna katedra, postawiona jest wedle pomysłu wiekuistego budownika, a dźwigniona pracą i sileniem się wszystkich wieków. Każdy naród, mający jakąś wartość swoją, przyczynił się do téj świętéj budowy pracą żywota swojego; dawał jakby testamentem co miał najdroższego ku jéj czci a ozdobie; o każdym téż tutaj świadczy kamień grobowy, wspominając z poczciwością o imieniu i obliczu zmarłego. Ludy jedynie bez wagi, ślepe oka nie liczące w grze dziejów świata, przeżyły czas swój bez śladu, przemknęły się milczkiem po ziemi; ich stopy, wyciśnięte jakby na lotnym piasku pustyni, zawiane są od dawna tchem czasów, pomarły one w barbarzyństwie, a anioł piękności

nie pobłogosławił im na ich samotnéj i ciemnéj pielgrzymce; świątnica sztuki milczy téż o głuchém ich życiu. A one zaś wielkie mistrze: Michał Anioł i Dante, Praxiteles i Petrarka, Shakspeare i Hayden, lub Stoss, Mozart i Sanzio, Horatius i Göthe, Cerwantes i Molière, goreją jakby jasne świéce na wielkim ołtarzu piękności, a pokolenia późne stroją je w kwiaty swéj czci i uwielbienia, a przy ich płomieniu nie jeden już zapalił się geniusz, tysiące rozwidniało serc. Tutaj téż po wszystkie czasy, narody przychodziły odświéżyć siły do uiszczenia się z powołania, jakie każdemu z nich Bóg przeznaczył, i wzmocnić się duchem i ufnością ku sobie. Sztuki piękne podnosiły zawsze człowieka i nadawały mu zacność. Zaiste — spojrzyj wstecz na dzieje ludzkie, a obaczysz, iż zawsze w epokach czarnych i smętnych, pełnych biédy i krwawéj roboty, gdy niebo szare, bezbarwne, zaćmiło się nad światem, a w Historyi jakby serce zamarło; gdy człowiek rozpaczając upadał pod brzemieniem własnego życia, wtedy, gdy wszystkie inne pociechy, nadzieje jego w koło zasnęły, gdy sam z sobą w głuchéj nocy pozostał, Piękność w postaci jasności Anioła podawała mu kielich wzmocnienia. Ród człowieczy, patrząc na dzieło piękności, przypominał w niém sobie potęgę swoją nieumierającą nigdy, i niczém niezatartą zacność swéj natury; obojętniéj patrzéć mógł na pohańbienia swego szaty, a skronie jego uwieńczył obłok złocisty z nieba spłyniony.

Sztuki piękne w historyi zawsze się znalazły w parze z Religią; i niedziw, bo Wiara jest piérwszą nieskończoności ksienią; dla tego Wiara i sztuka w ciągłym są związku z sobą. Z téj przyczyny zechciejmy

zrozumieć stosunek sztuki do Religii. Obie z nieskończoności człowieka płyną, obie nam nieskończoność przed duszę stawiają, ale każda w innéj formie, każda w swoim sposobie. Nieskończoność, rodząca się ze sztuki pięknéj, gaśnie obok onéj, która świéci w majestacie Wiary. Bo gdy w sztuce nieskończoność istoty naszéj wyjawia się we formie zmysłowéj, a zatém we formie zewnętrznéj, odwrotnie—Religia porzuca fizyczność i cały świat zewnętrzny, a zwraca się do wewnętrznych głębin człowieka, uderza w bezcielesną jego istotę i w najskrytszych duszy tajnicach zapala nieskończoności ogień. Ale ona nie tylko o własnéj nieskończoności człowieka przemawia, lecz za oponą najświętszéj świątnicy okazuje inną nieskończoność, która nie tylko nie ma końca, ale która i początku nie zaznała nigdy: bo ducha człowieczego stawia przed Panem, »który oblókł się w możność, utwierdził okrąg świata, by się nie poruszył, odział się chmurą i ciemnością, którego stolicy gruntem jest sprawiedliwość i sąd, którego błyskawice oświécają światów przestrzenie, a na ich widok ziemia drga w sobie, albowiem przed oczyma Pana tysiąc lat są jako dzień wczorajszy, który przeminął, i jako straż nocna, a porywa je Pan powodzią jako sen i jako trawę, która z poranku rośnie.» (Psalm).

Lubo i zaród sztuki w duchu się znajduje, i lubo piérwéj, nim dzieło piękności w świecie zewnętrznym stanie, winno się zrodzić w wewnętrznym człowieku pracą ducha jego, przecież ta praca ma za cel dzieło fizyczne. Posąg wprzód był w duszy rzeźbiarza, nim on myśl swoją wcielił w marmur — przecież ten pomysł, to zrodzenie się duchowe miało za cel posąg, który

w świecie zewnętrznym widzialny jest dla zmysłów naszych. Aby sztuka piękna była zupełną, powinna wystąpić z duszy mistrza i okazać się na jawie w dziele jego, bo inaczéj nie miałaby rzeczywistości. Odwrotnie, rzeczywistość Wiary, jéj prawda stoi na duchowości wewnętrznéj człowieka: ona mierzy w ducha jego i tu ma ostatni cel swój. W sztuce świat wewnętrzny jest środkiem, wyjawienie się zaś zewnętrzne jéj celem i przeznaczeniem. Nawzajem w Religii, świat zewnętrzny widzialny jest jedynie widomym znakiem nadziemskiéj łaski dla naszego poświęcenia wewnętrznego; jej przeznaczeniem jest duch człowieka, »bo duch ci jest Bóg, a ci, którzy Go chwalą, powinni Go chwalić w duchu i w prawdzie.» (S. Jan. IV. 24).

Te są główne podwaliny stosunku Religii do sztuki, a posłużą one nam na przyszłość za podstawę do rozróżnienia sztuki klassycznéj, to jest greckiéj, od sztuki chrześcijańskiéj. Tutaj tyle jedynie powiem, iż skoro, jak mówiłem, w sztuce duch objawia nieskończoność swoją wcielając się w zewnętrzne zmysłowe formy, a w Religii zaś duch ze zewnętrznego świata cofa się w siebie i w sobie obchodzi nabożeństwo i uroczystość nieskończonéj swéj istoty; więc też świat zewnętrzny, zmysłowy sztuki nie potrafi wydać całkowicie onéj świętości spływającéj z Religii w serce człowieka; prawdy Wiary nie zdołają się pomieścić w szczupłe obręby, jakich im sztuka dostarczyć może, bo pojęcie chrześcijańskie Boga jest zupełnie duchowe; formy tedy sztuki, jako zmysłowe i zewnętrzne, nie zdołają sobą zamknąć pojęcia Bóstwa niemającego końca ani początku. Dla tego przyznasz, iż obrazy religijne nie wszystkie podają

jedną trudność do zwalczenia: im więcéj w nich pierwiastek Boży przeważa, tém i zadanie trudniejsze. Bóg Ojciec przedwieczny jest przedmiotem dościgłym ledwie przez najwyższy geniusz artystyczny, bo jest Bogiem wiekuistym, nadziemskim, tymczasem Chrystus Pan, Bóg-Człowiek, Bóg, co przybrał na się postać ludzką, zmysłową, zbliża się do świata materyalnego i do świata sztuki; a gdy znów dwojaka jest w nim natura, bo Boska i człowiecza, więc też te chwile jego żywota, w których w nim natura ludzka przeważa, są łatwiejsze do uchwycenia dla artysty, a niżeli chwile, gdy Chrystus Pan jako Bóg występuje. Tak łatwiejszym jest obraz wystawiający Chrystusa w latach jego dziecięcych, lub w chwilach jego męki, upadającego pod krzyżem, albo w rękach najgrawającego się żołnierstwa, niż w chwili zmartwychwstania, lub sądu ostatecznego, bo tu jego Boża Natura zjawia się w całym swym majestacie. Toż samo powiedziéć można o innych sztukach. Jeżeli jeden tylko *Hayden* harmonią tonów odmalował *Stworzenie*, *Stabat Mater* znalazło dotychczas już trzech wielkich mistrzów.

Gdy zaś obrazy, rzeźby święte, są jedynie słabém i cichém echem téj żywéj wszechmocnéj potęgi, jaką Religia nas przejmuje, jeżeli ich zewnętrzne formy sprostać nie zdołają prawdzie, która nam jakby rosa niebiańska z góry przyszła, więc też dla pobożności religijnéj wyższa lub mniejsza piękność estetyczna obrazu czy rzeźby mniéj ma wagi, bo już tutaj rzecz nie tak na tém stoi, czém dzieło jest, jak raczéj na tém, co ono wystawia. Nie raz, wracając z przechadzki wieczornéj, zatrzymywałeś się przed samym wstępem do mia-

sta patrząc jakby po przez ramy przez ostrołuką bramę główněj baszty Floryańskiéj na widok pełny poezyi i godny pęzla wielkiego artysty. Ulica Floryańska strzałą bieży długim szeregiem swych domów, i ginie w szarém oddaleniu wieczora; w jéj końcu dźwiga się w olbrzyma kościół Panny Maryi niby widmo starych wieków, co dumając nad miastem rysuje okazałe kontury na zamroczoném niebie, a na koronie jéj wieży pali się jeszcze iskrami ostatnie spójrzenie konającego słońca, które już dla miasta zapadło. Ale gdy cienie nadchodzącéj nocy rozwlokły się już po ziemi, a księżyc z tą wiecznie niezmienną, obojętną twarzą patrzy na świat, zaléwając niebo i ziemię mlécznym blaskiem, co dziwnie się miesza ze żółtém światłem skromnych lampek i świéczek, które lud teraz zapala w ostréj bramie Ś. Floryana przed wizerunkiem Matki Przenajświętszéj; lud się modli do Boga-Rodzicy, a co w duszy zakipi, brzmi w pieśni pełnéj rzewności i szczeréj prostoty, a piersi napełnia serca mądrością. A zaiste, mniéj temu ludowi zależy na wyższéj lub mniejszéj piękności onego zewnętrznego wizerunku Najświętszéj Panny, obojętna mu téż i piękność poetyczna pieśni jego, i wartość muzykalna melodyi, i głosów harmonia, bo on w prostocie pełnéj pobożności wizerunek Najświętszéj Panny widzi w tajnicach duszy swojéj, widzi go wewnątrz siebie, a serce śpiéwa mu psalmy i rozpływa nadziemską muzyką; bo nad tém cichém pobożném zgromadzeniem Duch pocieszyciel rozpiął skrzydła swoje. Tak więc w duchu, świętością Religii przejętym, zawsze uczucia zastępują dzieła sztuki; serce samo buduje się w przepych świątnicy, stroi się tęsknotą jakby rzeźbą

i malowaniem, i płacze tonami muzyki, która z Nieba mu płynie. Jeżeli nieskończoność objawia się w sztuce postaciami zewnętrznemi, a w Religii nabożeństwem ducha, więc téż nieskończoność we Wierze objawiona o tyle jest wyższa, świętsza, od nieskończoności wyrażonéj w dziełach sztuki, o ile świat wewnętrzy wzniesiony jest nad zewnętrzny, materyalny. Na wstępie do Włoch, w Bononii, wita cię obraz Rafaela; widzisz Świętą Cecylią w rękach trzymającą organy, które smutnie już się rozstępują, u stóp jéj na ziemi porzucone narzędzia muzyczne w części złamane, ich harmonie ziemskie już oniemiały, umarły, bo na obłokach widać wieniec anielskich chorów, co śpiéwają chwałę Panu na wysokości; Święta dziewica obliczem ku niebu zwrócona tonie w oceanie tych niebiańskich hymnów, zapominając o muzyce doczesnego świata. To jest stosunek sztuki do Wiary!

Jest atoli jeszcze jedna, trzecia i ostatnia droga, którą nieskończoność staje przed duchem człowieka, droga będąca twardym dorobkiem długiéj pracy wieków i trudem rozumu jego: jest to droga mądrości ludzkiéj — *filozofia.*

Nie radbym tu wcale występować w szranki, broniąc niepotrzebnie rozumu powagi, bo już teraz świat cały w rozum uwierzył i poznał potęgę jego, a każdy z nas jeszcze dzieckiem będąc uczył się na pamięć zacnego Kopczyńskiego, i odpowiadał głosem rozlegającym się po klassie: *„Różnimy się ludzie od źwierząt rozumem i mową: przez rozum poznajemy rzeczy i o nich rozmyślamy, przez mowę wyjawiamy drugim myśli nasze;"* — gdy zaś mimo tego po książkach i pi-

smach czasowych pełno jest jakichś zdań podających wartosć rozumu pod wątpliwość jeszcze, więc też nie weźmiesz mi za złe, iż choć kilku wyrazami dotknę się całéj téj rzeczy.

Nikt nie zaprzeczy, iż najwyższym, najświętszym darem nieba jest rozum: bo rozumem człowiek wywyższony został nad wszystkie jestestwa stworzone. Jedynie przez rozum i myślenie człowiek zdolny jest do przyjęcia świętych prawd Wiary, bo ani zacność, ani moralność, ani cnota nie miałyby miejsca, gdyby człowiek nie był istotą myślącą; aniby on znał, ani dopełniał powinności swoich, gdyby nie był obdarzony rozumem. Jeżeli tedy ktoś uwłacza rozumowi, toć zaiste w tém zachodzić musi nieporozumienie jakoweś, któremu bezwątpienia nie tak filozofia, jak panowie wrzkomi filozofowie dali w części początek, zwłaszcza filozofowie wieku zeszłego. Pokazała się wtedy ta niby-filozofia w tak obrzydliwym i cynicznym kształcie, i tak wierutna, wszeteczna, iż tchem swym zatruwała i duszę i zdrowie wieku całego. Nie dziw tedy, iż każdy człek poczciwy i prawy stronił od téj wrzkomej mądrości nadzianéj dowcipami Mefistofelesa, zawracającemi snadno wszystkie słabe głowy i wciskającemi się w nadgniłe serca. Może jednak i czas dzisiejszy nie jest zupełnie bez winy. Bo gdy np. u sąsiadów naszych filozofowie hałaśny prowadzą bój o systemata swoje, ich czeladź cechowa zakasawszy rękawy, pod katedrami swych nauczycieli staje do boksów, obrzucając się na dobitkę błotem ulicznėm, i znieważając grób zmarłego przeciwnika. W pismach nienaukowych, w pismach politycznych nawet, roztrząsają pytania tyczące się naj-

wyższych prawd człowieka, bo wieczności, Boga. Patrząc się na tę prostytucyą rzeczy drogich i pełnych dla człowieka wagi, podobne oburzenie każdego przenika, jak gdyby po długiéj niebytności w mieście rodzinném obaczył nagle wizerunek ojca i matki swojéj, sponiewierane na tandencie żydowskiéj. Z postępowaniem tém łączy się osobliwa pycha i pomiatanie prawdami od wieków uświęconemi, a zbudowanemi iście na opoce przedwiecznéj. Ale pycha ludzka tu wcale nie na swojém miejscu, bo choć filozofia mocą rozumu dobija się prawdy, niechaj atoli jéj zwolennicy raczą mieć na pamięci, że przecie ten rozum tak jest promieniem z góry pochodzącym i tak wypłynął z łaski przedwiecznéj, jak i prawdy Religią objawione, i że wypadek ostateczny rozumu, właśnie dla tego spólnego pochodzenia jego z Wiarą, nie może być od niéj różny. Niechaj zechcą ci panowie zważyć, iż łatwiéj téż już było w świecie chrześcijańskim dójść drogą rozumowania najwyższych prawd, skoro duch ludzki już był piérwéj zkądinąd oświecony; bo nim filozofia trafiła do rezultatów swoich, już one dawno w sercu każdego żyły, we formie uczuć Wiary i Religii; tak jak ludzie dawno patrzyli swojemi oczyma, nim nauką doszli teoryi optycznéj widzenia, i wprzód umieli chodzić i stać, nim pojęli mechanikę ciała swojego. Rozumiem tedy, iż nadużycie i zła wiara filozofujących przyczyniła się do krzywego i niesłusznego mniemania o saméj filozofii. Przewinienie zaś jednéj strony nie nadaje bynajmniéj prawa drugiéj, by i ona dopuściła się niesprawiedliwości, bo targnienie się jéj na powagę rozumu jest także bluźnierstwem i bezbożnością, tylko bluźnierstwem i bezbożnością innego rodzaju.

Najszlachetniejszy popęd człowieka, chęć wiadomości, nauczanie się, pragnienie rozszérzania granic ducha swojego, ma źródło swoje w rozumie. Co w rzeczach ludzkich jest, a czego przecie nie rozumiemy, o tém wiemy — ale rozumiéć, jest to umieć, mieć u siebie. Cośmy zrozumieli, toć jest naszą własnością duchową. Cała historya ludzka przez lat tysiące właśnie pracuje tylko nad tém, aby zrozumieć zjawiska natury, towarzystwa, zrozumieć własną istotę człowieka i t. d. Pragniemy zrozumieć mowę zjawisk, przetłumaczyć je sobie na język naszego rozumu. Wiemy bowiem, iż wszystko, co jest, powinno przystać do naszego rozumu, nadać się do niego. A choć nie tylko w świecie umysłowym, ale w naturze jest wiele rzeczy, których my sobie wytłumaczyć nie możemy, toć wiemy, iż tych rzeczy nie dla tego nie rozumiemy, jakoby były przeciwne rozumowi, ale dla tego, iż nie mamy wiele jeszcze faktów, to jest wiele ogniw potrzebnych do rozumowania, które, gdyby nam były wiadome, bez wątpienia posłużyłyby nam do pojmowania tego, co było zagadką. Słowem, szukamy wszędzie i we wszystkiém prawideł rozumu, bo w nas jest wrodzony instynkt, iż wszystko się odbywa rozumnie, i że wszystko do naszego rozumu przystać powinno. Ten instynkt, od Boga wlany w ducha naszego, łatwo téż pojęty być może: bo źródłem wszystkiego jest Bóg, Najwyższy Wiekuisty Rozum. On stwarzając świat i wszystko co na nim jest, stworzył rozumnie, tak równie i nas stwarzając wlał w nas myśl rozumną. Otóż więc rozum, będący ustawą świata, i ten nasz rozum, który żyje w myśleniu naszém, o ile ten ostatni nie jest źle użyty, nie mogą być różne od siebie,

bo mają to samo pochodzenie. Dla tego sarkanie na rozum jest istotnie, jakem powiedział, bluźnierstwem i bezbożnością. Rozum więc z nieskończoności człowieka pochodzi. A teraz wyjaśnia ci się już i w zupełności usprawiedliwia się zasada wyrzeczona w liście poprzedzającym, iż człowiek party jest instynktem, by nieskończoność, która w nim żyje, znalazł i zewnątrz siebie upatrzył, by wszędzie wizerunek własnéj nieskończoności obaczył, i że tedy co tylko jest prawdą w duchu naszym, winno się znaleść i na zewnątrz ducha naszego. Ta tęsknota, ten instynkt, ta zgoda wewnętrzna prawd z ustawami a światem zewnętrznym wypływa z tego, iż wszechnica świata i duch człowieczy rządzi się prawami najwyższemi od Boga nadanemi. Człowiek dochodzi rozumu Boskiego wiekuistego, żyjącego na dnie każdéj rzeczy, obiera je z łupiny zmysłowéj lub ze skorupy, w którą je przyodziały nasze uczucia, bierze rzeczy nie za to, za co się dają, czém się zdają, ale za to, czém one w istocie swojéj są. Widzi zatém ich wewnętrzne połączenie, ich związek, i spostrzega myśl Bożą, na którą, mówiąc językiem Indów, wszech rzeczy są nawleczone jak perły na nici; widzi połączenie rzeczy fizycznych i duchowych, a co uczuciom naszym i zmysłom zdaje się być rozosobnione, okazuje się teraz jak część jednéj ogromnéj całości: a umiejętność mająca na celu wypatrzenie we wszech rzeczach onego nieskończonego piérwiastku, jest — *Filozofia.* Tak tedy i droga filozofii, droga myslenia, prowadzi człowieka do poznania nieskończoności.

A jeżeli, jakeśmy wyżéj powiedzieli, *(List VII.)* ani świat fizyczny, ani moralny nie wystarczy, by był

wizerunkiem nieskończonéj naszéj istoty, jeżeli wszystkie szczegółowe nauki i umysłowości, a nawet historya okazuje nam tylko części ogromnéj całości, którą jest nieskończoność, tedy filozofia, łącząc te wszystkie części w jedność, okazując nam wszech rzeczy wiekuiste powiązanie z sobą, pokazuje nam jakby w odbiciu nieskończoną istotę własnego ducha naszego.

Jeżeli więc w sztuce duch człowieka wléwa się w dzieła piękności jakby w godne siebie naczynie, uduchownia je sobą i tworzy wizerunek swéj własnéj istoty nieskończonéj, tedy we filozofii duch dochodzi nieskończoności myśleniem. W Religii zaś samą łaską Bożą, bez zasługi a pracy naszéj, nieskończoność zstępuje z Nieba w świętéj objawienia postaci, i mieszka Wiarą w nieskażoném sercu człowieka, jako w przybytku i arce swojéj: »bo Zbawiciel tchnął na wiernych swoich, i rzekł: weźmijcie Ducha Świętego« (Ś. Jan, XX, 22).

Gdy w sztukach pięknych nieskończoność okazuje się w postaci dzieła sztuki, to jest cielesnym sposobem, we filozofii ta nieskończoność objawia się w postaci i we formie nieskończonéj myśli Bożéj, ukrytéj na wszech rzeczy dnie; a do téj myśli Bożéj prowadzi nas praca ducha naszego, myślenie. Tak do celu najwyższego wiedzie środek najzacniejszy, a oba z jednego źródła płyną.

Chciéj mi wybaczyć, że się tak o filozofii rozpisuję: oznaczywszy atoli stosunek sztuki do Religii, radbym także wykazać stosunek sztuki do filozofii, a do tego przedewszystkiém potrzeba, byśmy się porozumieli jasno względem znaczenia prawdziwego téj umiejętności. Nadto filozofia stała się właśnie teraz przedmiotem powszechnéj uwagi w literaturze naszéj, i więcéj niż kie-

dykolwiek publiczność u nas zajmuje. Niektóre nawet damy nasze, łącząc muzy z gracyami, porzucają ciepłe kwieciste doliny rzeczywistego ich życia, i spinają się na szczyty szorstkie, samotne, zawrotne, zimnéj abstrakcyi. Prawda, iż kto tam stanie, bliżéj jest Nieba, daléj Ziemi, i widzi świat, naturę i wszystkie rzeczy ludzkie rozłożone jakby na otwartéj dłoni Bożéj! Jest czego podejmować się tych prac jałowych. Nasza publiczność czytająca iście spoważniała, obrzydziła sobie słodkie pianki literackie, i już nie na żarty się na życie patrzy, a nawet coraz to więcéj pozbywa się uprzedzeń spróchniałych o filozofii. Atoli tu i ówdzie pozostały nam z dawnych lat niektóre tradycyjne a często sprzeczne z sobą mniemania o filozofii, które jakby zwiędniały bukiet z prababki wesela na nas spadły. Bo tu znajdziesz jeszcze ludzi, którzy pod szatą białą Pitagoresa i w trzewiku Kanta widzą krogulcze pazurki, którym każda książka filozoficzna siarką trąci, i słysząc o filozofii już palcami sięgają do wody święconéj, bo wedle ich zdania filozofia dla porządnego człowieka jest tém, czém dla wilka koń zatruty; jak się zaje, to na swoją zgubę i koniec mizerny. Ówdzie znów jakieś Francuzy z Kleparza, których dusze spudrowane, chodzą jeszcze w jedwabnych w kwiatki frakach, i ciągle marzą o onéj filozofii Rokoko, więc z lamusu przeszłości, z pośród zapomnianych rupieci literackich wyciągają perukę Woltera i w najlepsze paradują sobie z nią po świecie. Są tacy znów, u których zdania Śniadeckiego stereotypem stwardniały; oni całą filozofią uważają za niepotrzebny wymysł niemiecki, utkany w pajęczynę misterną z piany piwnéj i dymów fajczanych. Lubo ile mi

wiadomo, ani Plato ani Arystoteles nie miał takich materyałów pod ręką; a mają przecież ich niby za filozofów. Ludzie, którzy się nigdy o filozofią nie troszczyli, wprost i bez ceremonii o niéj sądzą, dając o niéj wyroki stanowcze. Wedle ich zdania nie potrzeba się wcale obeznać z umiejętnością tą, by z góry już wiedzieć, jak się rzeczy z nią mają i czego ona warta. Gdy mowa o matematyce, geologii, astronomii, prawnictwie, chemii, lub o jakiéjkolwiek bądź umiejętności lub nauce, żaden się z tych panów nie odezwie, jeżeli nie zapoznał się z nią piérwéj; ale o filozofii radzić, o niéj széroko rozprawiać i oceniać jéj wartość; ba! to każdy potrafi, choćby bez żadnego poprzedzającego przygotowania. Zdrowy rozsądek i poczciwość serca wystarcza, jak powiadają, do sądzenia o filozofii; aleć przy najzdrowszym rozsądku i największéj poczciwości nikt skiby nie zaorze, nikt na koń nie wsiądzie, jeżeli nie ma wprawy, a témci mniéj filozofii znać nie będzie bez cichéj pracy i sumiennéj usilności. Onym panom się zaiste zdaje, iż każdéj nauki, iż każdego rzemiosła nawet uczyć się potrzeba, filozofować tylko i trawić można bez żadnéj poprzedniéj nauki. Każdy człowiek wedle mniemania ich filozofem się rodzi. Żaden z nich nie ma pretensyi zrozumienia książki matematycznéj, prawnéj, geologicznéj i t. d. jeżeli się tych umiejętności wprzód nie uczył, ale każdy ma pretensyą zrozumienia i osądzenia książki filozoficznéj; a jeżeli jéj nie zrozumié, to nie jego wina, ale książka niedorzeczna, a autor musi mieć jakieś zajączki.

Zdanie ich niby ztąd się bierze, iż oni nie wierząc, czyli raczéj nie wiedząc, iż myślenie filozoficzne różni się od tak zwyczajnego codziennego myślenia, powia-

dają sobie: »iż skoro filozofia ma być podług wyznania »samych filozofów umiejętnością rozumu i myślenia, »zatém dość jest mieć rozum, dość myśléć, aby sobie »filozofować;« przepraszam, bo można mieć nogi bardzo zdrowe i bóty skrzypiące z ostrogami i z żółtemi kutasami, a nie umieć węgierskiego zatańcować.

Inni radziby filozofować, niechajby tylko filozofia nie była tak trudna; radziby mieć inną, któréj można nabyć tanim kosztem, bez wielkich zachodów i dla wszystkich przystępną, do któréjby wszyscy siadać mogli jak do omnibusu jakiego, puszczając się w wycieczkę za małe piéniądze to w tę, to w ową stronę krainy mądrości. Niechaj atoli zważą, iż jeśli każda nauka ma swoje trudności, témci więcéj filozofia nie może być umiejętnością łatwą, bo przedmiotem jéj nie są rzeczy dotykalne, ale myślenie samo, a myślenie abstrakcyjne. Nikt nie zaprzeczy, iż matematyka dla tego jest uważana za umiejętność trudną, bo jest abstrakcyjną, a przecież jéj liczby i rozmiary są mniéj abstrakcyjne niż pojęcia filozoficzne. Z tém zdaniem w blizkiém sąsiedztwie mieszka drugie jemu spokrewnione, jest to mniemanie tych, co uważają, że nam potrzeba zupełnie innéj filozofii swego chowu i na swoją potrzebę. Na tę szczęśliwą myśl wpadł już przed laty poczciwy Jaroński i napisał książkę: »Jakiéj filozofii Polacy potrzebują« (Kraków 1810, in 4to). I zaiste, coby to była za ładna rzecz, gdyby każdy naród miał swoją własną filozofią, jak każda dobra gospodyni ma swoją apteczkę domową. Takich zdań nie brakło jeszcze; znajdziesz ich pełno, często gęsto podnoszą głosy ze serdeczném życzeniem aby u nas każda prowincya nawet i każde

miasto miało swoją filozofią, własnych swoich filozofów, tak jak to niby każdy domek na przedmieściu ma swoje grządki, a na tych grządkach własne kapuściane główki. Ale zkądże to zdanie tak osobliwe się bierze? Właśnie jak myślę z tego, iż pospolicie utrzymuje się mniemanie, jakoby filozofia była owocem zwyczajnego rozmyślania, dumania i t. d. że zatém ona podobnie jak każde rozmyślanie i dumanie zostaje pod wpływem uczuć, chęci, dążności, i tych wszystkich okoliczności stanowiących piętno jakiego narodu, a więc że filozofiia także koniecznie musi mieć piętno narodowe — jak naprzykład poezya i cały orszak sztuki pięknéj. Uważmy jednak, że skoro filozofia więcéj niż inna jaka bądź umiejętność jest czysto rozumowa, i mniéj jak którakolwiek podlega wpływom uczuć, temperamentu i całéj potędze miejscowości, więc téż ona mniéj niż inne może mieć piętno narodu.

Zaiste wtedy tylko będziemy się mogli spodziéwać osobnéj dla każdego narodu filozofii, gdy każdy naród wymyśli sobie osobną dla siebie matematykę, fizykę, chemią i t. d. Powiadają: iż człowiek za pomocą samego rozumu nie zdoła dobić się żadnych prawd bezwzględnych, to jest niezależnych od żadnego miejsca i czasu, będących zawsze i wszędzie prawdą. Więc jeżeli jedni powiadają, że dwa razy dwa = cztéry, to u innych dwa razy dwa = pięć; jeżeli się dla innych ludzi ziemia obraca koło słońca, toć słońce, księżyc i gwiazdy, obracają się około niego jako około środka swojego; — a co jedni ludzie za pomocą rozumowego przekonania nazywają zacném, poczciwém, szlachetném, to u innych jest niedorzeczne, złe — i nawzajem.

Wcale tedy niepotrzebna jest taktyka onych, którzy, chcąc zaprzeczyć wartości rozumowi, zaczynają od oddania czci prawdom z Wiary płynącym. Bo nie wypada nam mieszać prawd objawionych z zasadami rozumowemi. Wszyscy przekonani jesteśmy, iż żadna jakakolwiek bądź nauka nie ma zasady pod sobą, jeżeli nie stoi na fundamentach Religii. Bo wszystkie nauki, w gruncie swoim pojęte, okazują nam jedynie dobroć, wszechmocność i wszechbytność Boga w różnych kształtach i postaciach jego; dla tego też wiadomość i uczoność, nieosadzone na wierze objawionéj, są tylko zlépkami rapsodycznemi nie mającémi spólnego tła, którém jest Bóg. O tém wszyscy wiemy; wiemy także i o tém, iż wiadomości i nauki jeszcze się różnią od rozumu: bo gdy obaczysz człowieka nie gruntującego rozumu swojego na Bogu, o takim możesz być z góry przekonanym, iż i rozum ten jego szwankuje. O tém wszyscy wiemy; lecz wiedzmy również, że potęga myślenia nie jest darmo dana człowiekowi od Boga; winien tedy zacnie użyć tego daru, którym Ojciec niebiański uposażył ludzkość, wyprawiając ją w życie doczesne i świat. A jeżeli nikt nie zaprzecza, że w żadnym kierunku życia, że w żadnych sprawach nie obejdzie się bez namysłu i myślenia, więc wiedzmy, że téż winna istnieć umiejętność, która ma właśnie samo myślenie za przedmiot swój i że taką umiejętnością jest Filozofia.

Może filozofia dla tego nie ma kredytu i coraz to inne filozofie nastają, że zawsze system powyższy stawia się i buduje na gruzach poprzedzających. Przecież właśnie ten ruch jest dowodem życia téj umiejętności i jéj chwałą. Te odmiany nie są migotaniem się fan-

tastycznėm bez celu, ale są postępem, wzrostem i szczeblem dalszym do udoskonalenia. Co się nie odmienia, co trwa ciągle w jednėm, jest martwėm i umarłėm. Wszystkie umiejętności mające w sobie zarod życia, w których jakby krew płynie, przeobrażać się ciągle winny, i w tėm podobne są do historyi rodu człowieczego. I tu ciągła odmiana, tu ciągła walka, bo wieczny bój na myśli i krew, a walka i bój ten pełen zgrozy i okropności. Zaiste, w historyi lata nie mlėkiem i miodem płyną, ona nie jest sielanką. Piérwszy syn piérwszego człowieka był mordercą, zabił brata. Każda odmiana, każdy krok, który czyni historya w swéj drodze po przez-stulecia, opłacany bywa niesłychaną boleścią i zgruchotaniem milionów ludzi; a przeszłość iście w dziejach świata tchnie na nas jakby wielki grób, w którym pochowane zabite pokolenia bez końca, kości ludów pomarłych wśród mąk strasznego skonu.

Iście historya ludzka jest krwią i łzami pisana: a czyliż owi sędziowie filozofii i w historyą nie wierzą, i nie wierzą w postęp rodu człowieka? a czyliż również dla tego, iż się ona ciągle odmienia, że w niéj niéma nic stałego, historya ma być jedynie igraszką i zbiorem krwawych anekdot? czyliż oni rozumieją, że ród człowieczy stworzony jest na pomiotłę lada zachcenia ślepego losu i na drwiny bezmozgłego przypadku? Zaiste, — wartożby było, aby historya taka żyła na świecie i ród ludzki istniał! Więc gdy w każdym człowieku instynktu głos przemawia, a potwierdzony Religią, że jest Ojciec na niebie będący mu tarczą ode złego, do którego mu się modlić wolno, przed którym

wypłakać się może, i że biédy, jakie go w tutejszém życiu spotykają, są nawiedzeniem nieba uświęcającém go do przyszłego nieskończonégo szczęścia; a jeżeli wierzymy, że historya naturalna, ta historya bydląt, krzewów i kamieni, spoczywa na podwalinie najwyższego rozumu i wiekuistych jego prawach, czyliż tak trudno im uwierzyć, że ten krwawy trud ludzkiego rodu nie jest daremny, że opatrzne oko Boże świéci nad historyą i drogami jéj, i że owe wielkie przemiany i przeobrażenia umysłowego świata są jedynie okupieniem wyższéj doskonałości, uwolnieniem ducha z zuzelic, i stopniami do tronu własnéj jego godności? Kto ma sam zacność w sobie, ten iście i szanuje zacność człowieczego rodu, i wierzy w udoskonalenie jego ciągłe, wierzy więc w jego postęp bez końca. Kto zaś życie swoje trawi jako ślepy ślimak w ciemności błota morskiego, ten nie dosłyszy wołania burzy grzmiącéj, jak Bóg od czasu do czasu zatrzęsie światem; a gdy rozkołysana fala dziejów ludzkich wyrzuci na brzeg ślimaka, on się dziwi, że jest jakieś słońce i jakiś dzień na świecie.

Tak jak historya, jak każda wyższa umiejętność, filozofia jest dziełem umysłowéj potęgi a nie dowolnéj fantazyi człowieczéj. Bo nie tylko w łomocie i rodzeniu się państw, w padaniu się fundamentów ich, lub na pobojowisku wojen, duch żyjący i rosnący w historyi znać o sobie daje, ale on pulsem bije i w cichéj robocie umiejętności i w tajemniczéj pracy rozumu. Gdyby ci, którzy tak na filozofią powstają z powodu, iż ciągle nowe filozofie się rodzą, rozpatrzyli się nieco w umiejętności téj, o któréj tak skorze sądzą, już by

byli obaczyli, iż co innego są filozofie, a co innego filozofia. Wszystkie filozofie razem wzięte stanowią dopiéro filozofią, będącą prawdą i gruntem wszystkich systematów pojedyńczych; mają się one do niéj, jako części do swéj całości. A jako w życiu człowieka żadna godzina i dzień, jako w życiu ludów ani rok ani stulecie nie jest straconém, ale gra w swéj przyszłości jako pierwiastek życia, tak i przeszłe filozofie zawsze znajdują się w téj, która jest ostatnią; i co w nich było wypływem czasu, wieku, lub piętnem jakiego narodu, albo co było marzeniem pojedyńczego człowieka, odwiane jest z nich jako pléwy, a co w nich jest prawdą ogólną, zostało. Bądź pewien, że gdy dwa systemata przeciwne sobie występują z sobą do walki, ten proces rozstrzyga późniejszy trzeci i przyznaje, komu się należy słuszność, albo łączy oba w jedno, okazując, iż oba miały słuszność, ale się zapatrywały na rzeczy z dwóch stron przeciwnych. Dla tego zawsze system ten, który jest właśnie ostatnim, zawiéra w sobie wszystkie poprzedzające. Historya filozofów jest księgą i systematem filozofii, w któréj oddziałami są wieki i narody, w któréj Confucius i Thales napisali piérwsze stronnice, a Kant i Schelling ostatnie.

A jeżeli iście tak się rzeczy mają, jakiémże prawem się dzieje, że tak często spotykamy w świecie ludzi, tak mało sobie ważących prace, myśli i rozum wieków, iż mniemać mogą, że to jest wierutną bajką, czemu się poswięcał lub za co życie dawał duch, jak Sokrates, Plato, Arystoteles, Leibnitz lub Newton? I jakiém czołem można lekką mową lub hajdamackim obyczajem poniewierać trudem ludzi potężnego umysłu

i wielkiego serca, co, zrzekając się samochcąc roskoszy życia, porzucali chętnie wszystko, co świat ma powabnego, zamykali się sam na sam z Bogiem i z trudem swoim, by myśléć i pracować za innych; a tak obierając sobie dobrowolnie niedostatek fizyczny i niosąc siły ciała i czerstwość wieku, i ochotę roskoszy, miłości prawdy w ofierze, życie swoje kroplami jéj poświęcali, gdy tymczasem tak łatwo znaleźć ludzi, którzy sami o sobie tylko myśląc, siebie tylko kochając, gonią za zyskiem pieniężnym, lub za płochemi życia uciechami.

I u nas, lubo coraz rzadziéj, znajdziesz niekiedy zdania o rzeczach, o najważniejszéj w życiu treści z ust i od pióra ludzi, o którychbyś rzekł, że się upili za króla Sasa i dotychczas się nie wytrzeźwili, i takie to ich zdanie o filozofii. Filozofia zdaje im się być karczmą żydowską, do któréj lada kto wpadnie, burdę zrobi, okna powybija, zelży arendarza i wyjeżdża drugą bramą.

Teraz, gdym ci już oznaczył i istotę sztuki pięknéj i stosunek jéj do filozofii i Religii, proszę cię, chciéj się na chwilę zatrzymać myślą na téj drodze, i rzucić oczyma wstecz na treść wszystkich listów poprzednich. Myślę, że usprawiedliwisz wszystko, com w nich powiédział. Zwracam zatém tylko uwagę na niektóre najgłówniejsze rzeczy, będące podstawą wywodu naszego. I tak: w drugim liście rzekłem, iż obudzone upodobania w sztukach pięknych uważam za oznakę uduchownienia się czasu; boć gdy się zrodzi upodobanie dla sztuk pięknych, już duch tchnie na materyą i życie zmysłowe i uszlachetnia je sobą, wprowa-

dzając pierwiastek wiekuisty w przemijające chęci ludzkie. Również tam znajdziesz wyrażenie, iż istotą sztuki jest prawda we formach zmysłowych, bo prawda i nieskończoność jedno znaczą: — co skończone ma swój początek w czémś innném; bytność jego zależy tedy od czegoś innego, może być lub nie, o prawdzie zaś nie można powiedzieć, iż może być lub nie, bo jéj bytność jest konieczną. Nadto, co jest skończone ma koniec swój, nie istnieje tedy dla siebie, ale dla czego innego, które się z niego rodzi, a zatém téż co skończone nie może być prawdą, bo prawda sama w sobie stoi, i sama sobie jest celem. Nieskończoność, ta prawda żyjąca w sztukach, jest nieśmiertelny duch człowieka, duch od Boga wlany, który w nim żyje, będący ze wszech rzeczy stworzonych sam jeden prawdą. Jeżeli zaś sztuki mają źródło w nieskończoności człowieka, i objawiają mu istotę jego nieśmiertelną, więc płyną wprost z istoty jego, są tedy czémś dla niego koniecznèm, są bo są, i być muszą celem siebie samych, i krom siebie nie mają celu *(List II)*. Już bez dalszego wywodu zgodzisz się teraz na to, iż piękność składa się z dwóch pierwiastków, z dwóch stron do siebie należących: bo z formy zmysłowéj i z ducha, czyli nieskończoności objawiającéj się w materyalnéj formie sztuki. Istota takowa sztuki jest zawsze jedna, zawsze taż sama i nie zmienia się nigdy. Ale gdy każdy naród i wiek o tyle tylko nieskończoność wyjawić może, o ile ją pojmuje, i wyjawia ją tak, jak ją pojmuje, i w tych formach, na jakie go stać, więc téż formy piękności bywają rozmaite, i co do narodu i co do wieku, a ta rozmaitość stanowi *Historyą sztuki*. Jest tedy

jeden pierwiastek w sztuce wieczny, zawsze jeden i ten sam, a drugim jest ta forma przemienna i przeobrażająca się ciągle. Przecież ta forma powinna być zawsze godną onéj niezmiennéj swéj istoty, zatém nie każda forma może być stosowną dla wyrażenia piękności.

Umiejętność, teorya, lubo sama jedna nikogo mistrzem nie utworzy, wyjaśnia nam istotę sztuki i rozwija rozmaite wyjawienie się jéj w czasie i u różnych ludów.

Widzieliśmy wyżéj, iż sposób wyjawienia się nieskończoności przez sztuki gaśnie i ginie obok nieskończoności, którą nas objawiona Religia oświeca; więc téż nie dziw, iż od chwili, gdy Wiara zajaśniała nad światem, sztuki straciły wagę swoją. Grecy byli właśnie ludem najwięcéj uduchownionym w czasach przedchrześciańskich: gdy atoli jeszcze na nich nie spadł promień Religii Zbawienia, pojmowali Bóstwo jedynie sposobem zmysłowym; te formy zmysłowe uduchownili, połączyli ducha i materyą, i tak stworzyli piękność. Piękność była dla nich bóstwem. Bogowie zapełniający Olimp mieli naturę ludzką z całą krewkością jéj; gdy atoli ona miała być nieskończonością zarazem, więc duch uroku piękności nadziemskich wylał się na ich formy, a estetyczność odziała ich szatą pełną poezyi. Ale gdy na Golgocie wielka tajemnica się spełniła, Panteon stanął w płomieniach, Bogi jego marmurowe, będące tylko pięknością samą, spadły z podnożów swoich, bo już nieskończoność nie w postaci zmysłowéj rozosobnionych Bogów, ale w przybytkach wnętrznych ducha znać o sobie dawała; sztuka nie wystarczała téj prawdzie, któréj się człowiek dorobił.

Duch ludzki wyrósł ze sztuki, przerósł ją, a na miejsce ubóstwiania piękności nastąpił sąd o niéj — a ten sąd stworzył teoryą sztuki, któréj powołanie dopiero co skréśliłem *(List II)*.

Jeżelim powyżéj *(List IV)* dowodami zkądinąd wziętemi dowiódł, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, teraz prawda ta wypłynie nam już ze saméj istoty sztuki. Bo gdy sztuka jest wyrażeniem nieskończoności ducha, a gdy nieskończoność ta nie wyraża się w jestestwach natury, więc się téż nie wyrazi w ich kopijach przez sztukę utworzonych. Ze stosunku sztuki do Religii i filozofii, wyłożonego w liście niniejszym, przyznasz mi, iż miałem słuszność, gdym nazwał sztukę piękną piérwszą nauczycielką ludów *(List II)*; bo gdy człowiek naprzód jest zmysłowym, nim duchowym się staje, więc téż łatwiéj mu ujrzéć nieskończoność we formach zmysłowych sztuki, niż we formie duchowéj wiary jak w Religii, lub we formie duchowéj myślenia jak we filozofii.

Jeżeli tedy jest pewną i niezaprzeczoną prawdą, iż sztuki piękne są koniecznym wypływem nieskończonéj istoty człowieczéj, więc téż już widzisz całą płytkość i zbyteczność onych zachodów pragnących koniecznie zgadnąć, jakim sposobem sztuki były wynalezione. Powiadają np. postać luba kochanki rysowała się cieniem po ziemi, oblubieniec obwiódł go krechą i malarstwo się zjawiło. Tam na skorupie żółwia naciągnione struny miały zrodzić lutnią, ówdzie znów ludzie zaczęli mieszkać w jamach wygrzebanych w górach, późniéj na dwóch żerdziach widłowatych zaczepili trzecią, a tak niby wynaleźli architekturę.

Tak wielu buduje fantastyczne domysły, serdecznie żałując, iż sposobność minęła podpatrzenia sztuki w zarodzie jéj piérwotnym, w chwilach, gdy puszczała blade kiełki swéj przyszłéj okazałości. Lecz na Wschodzie i w Helladzie czas ten zapadł niepowrotnie we ćmie odległéj przeszłości. Europa nowożytna, dziś tak harda swoją mądrością i bogactwem, zasiadłszy na świata całego stolicy, zapomniała on czas twardy swojego dorobku, i z góry już się patrzy na chwile, gdy jeszcze okryta czarną puszczą, ze zwiérzem i własném barbarzyństwem o życie walczyła, gdy każdy, sam sobie artystą będąc, zastępował bóstwa posąg źle struganym pniakiem; ku ozdobie swojéj twarz i piersi malował różnobarwnemi kréchami, i chodził do bobra uczyć się architektury. Ameryka jedna bliżéj była dziecięctwa swojego, gdy do niéj Europa zawinęła: mądrze badana byłaby może dziwne rzeczy o sobie wypowiedziała, a kto wié, może nawet w jakiéj rozochoconéj i rzewnéj chwili byłaby zanuciła dawną piosenkę kolébki swojéj. Ale Europa za piérwszém się z nią poznaniem, rabując złoto jéj, wycinała żelazem, jak teraz dobijając morduje ją wódką swoją. Życie tych ludów-bohatérów świetniéj jeszcze może płynęło niż onym pod Troją mężom, lecz skonało jak długa Epopeja, która nie znalazła Homera, któréj nikt nie dosłyszał, nad którą nikt nie zapłakał. Ludy te, umierając w głuchych lasach swéj ojczyzny, jednemu Bogu przekazały księgi żywota, pieśni i cierpień swoich, i złożyły je nad gwiazdami u podnoża tronu jego. Garstka pozostała tych ludów wlecze dziś to spodlone życie, goniąc za zwiérzem jako za monetą, dającą im w zamian trunek, je-

dyny dar, jaki im cywilizacya europejska w upominku przyniosła; u nich już i własnego ich imienia się nie dopytasz. Tam w głębokim zachodzie, na zatyłkach Ameryki, ukrywają się wprawdzie szczątki dawnéj świetności, ród staréj daty, ale i te rozsypańcy przeminą ustami niememi i znikną, nim się Europa do nich przebierze. Mamy się przecież czém pocieszyć i wynagrodzić straty, bo stary planeta nasz, jakby zbiór różnych osobliwości, przechowuje nam wszystkiego po kawałku: znajdziesz na nim zawsze każdy stopień cywilizacyi, każdy gatunek biédy i nędzy ludzkiéj w jednym najmniéj exemplarzu. Chcąc chwycić naturę na gorącym uczynku i obaczyć jak sobie ludzie wynajdują sztuki piękne, estetycy nie mają czego koniecznie udawać się do Azyi, co w zgrzybiałości swojéj już zdziecinniała i przebajała żywot swój, ani do czerwonych Amerykanów, ani potrzeba im gawędzić z Tacytem lub Cezarem o młodéj barbarzyńskiéj Europie i jéj sztukach. Mamy tuż niedaleko, bo pod okiem Egiptu, naród będący jeszcze zupełnie w rękach natury, a nadający nam się dziwnie dobrze na przykład; bo gdy rozprawiacze o wynalazku sztuk pięknych najczęściéj o architekturze i początkach jéj wspominają, naród ten od lat tysiąców zachował tę biédną pierwiastkową architekturę swoją. A godzi się tu byśmy się całemu teatrowi żywota jego przypatrzyli.

Jakoż pożegnawszy ostatnie śnieżne turnie Abissynii, onéj Szwajcaryi afrykańskiéj, usłyszawszy, i po raz już ostatni, śpiéwy jéj rzeskich górali, gdy wędrowiec spuszcza się stokiem zachodnio-północnym ku poniżom zapadłéj Afryki, widzi pod sobą rozwleczone nie-

zmierzone borów szmaty; ku nim przewalają się wody abissyńskich Alp i w nich przepadają: ale skwarne bory wyziéwają je na powrót wilgotną strzeżągą, co mglistą płachtą wiecznie nad knieją zawieszona, jakby tajemnicą pokrywa ten świat, którego przebyć nikt jeszcze się nie ważył. Jest to kraj, czyli raczéj bezmierna puszcza Kolla. Zaledwie zstąpisz do onéj kniei, a już jéj pomroka nocna, niby ciężkie marzenie, otacza cię strachami w koło. Ciżba pogmatwana drzew ogromnych i krzaków zasłoniła niebo i ziemię; tu promyk słońca nie zabłądzi. Zielska, ciernie i trzciny olbrzymie pchają się od ziemi, chwytając i dławiąc się nawzajem. Strop lasu, uwity w gęste sklepienie, jakby wiekiem ciężkiém przywala naturę, a powietrze, jak w szklarni gęste, duszne, gorące, zatyka dech i niby kamieniem cięży na duszy. Wśród cieniów głębokich kałuże i bagna zepsutéj wody, najeżone plugawém zaroślem, odziane zielonym kożuchem, dyszą jadowitą parą, zgniłą gorączką, zarazą i febrą. Często na tych wodach coś pluśnie, strzeli; są to igraszki kąpiących się krokodylów, lub wąż ogromny, co dęba staje i na zwiady modremi oczkami świat w około przegląda. Tam znów jaszczurka sążnista muśnie po wodzie, lub kłęby szkorpionów się zagmérzą, gdy tymczasem po drzewach swawolą hordy małp złośliwych, i swarzą się roje nieprzeliczone leśnego ptastwa. Przez gęstwinę sunie się to jeleń, to dzik, to szakal zaświéci krwawém okiem w ciemnych krzewach, to znow usłyszysz jakieś szlochy, niby kwilenie płaczącego dziecka, jest to zgłodniała hyena, trupów chciwa: ale w dali gdzieś lew zagrzmiał wołając na lwicę — i wszystko ucichło. Niekiedy zna-

gła słyszéć trzaski i łomot roztrąconych i łamanych konarów wywracających się drzew; stado słoniów lub rozhukanych nosorożców toruje sobie gościniec przez puszczę. Indziéj znów hurma dzikich bawołów rozjuszonych cwałem na oślep rzuca się gęstwiną, a za niemi suwa w pogoń wściekły ród lampartów, lub skoczna tygrysów zgraja. Ze strachem piérzchają szakale i hyeny, oniemiały małpy i ptaki, bo w głębi kniei już słychać niby grzmot głuchy, wycie i ryk i charkanie; — złowrogie drapieżcy dopędziły łupu swojego, a bój i mord się rozpoczął. A zdala szarzą się kłęby dymów, rozigrał się wicher, w puszczy gore; trzciny, drzewa i zarośle objęte ogniem, płomień syczy, wije się po ziemi wężem, lub słupcem stawa. Słychać i głos niby ludzki. Niebawem zoczysz jakby mrowisko krzątających się Szangallów, płaskonosych Negrów o zapuchłych wargach, o kędzierzawych szorstkich włosach; oni gotują sobie plac na budowle swoje, wypalając w koło zarośla i trzciny. Zwinnością małpią zawieszają się na drzewach, przechylają ich konary, wiążą je z sobą, splatają, i w chwili złożą strzechę potężną i nieprzebytą; tu i ówdzie podpiérają ją ściętém drzewem młodém, niby kolumną, i na nich rozwiészają, jakby pokrowce i makaty, skóry zabitych zwiérząt, a tak strop i ściany domu gotowe; w każdym roje ich mieszka. Wnet tak całe miasto staje. Toć jest ich architektura letnia. Dzień i noc bije płomieniem ogień na odstrach zwiérzowi dzikiemu. Rybołowczy i myśliwczy ród nie zna rolnictwa, ani pasterstwa nawet. Gdy zaś dészcze zwrotnikowe na puszcze spadną, gdy niemi wzdęte potoki z gór Abissyńskich las zaleją, gdy całe puszcze zamienią się na

bagno niezmierne, Szangalle opuszczają to miastó swoje i chronią się do samotnych gór, kędy stérczą strome ściany skał niedosięgłych. Tu inny budownictwa rodzaj.—Bo z dołu na ledwie okiem dościgłych wysoczyznach nieprzeliczone rzędy jam, jakby ulice wykute z wielkim mozołem w skałach piaskowca. Te jaskinie, wedle większéj lub mniejszéj liczby członków rodziny, są szczuplejsze lub obszerniejsze. Do tych mieszkań ciągną Szangallowie na zimę, jakby do stolicy swojéj; tam żywią się tém, co przez lato zebrali: jedzą ryby, jaszczurki suszone, mięso z krokodylów i strusiów, i koni rzecznych, dla tego téż nazywają się Hylo-elephanto-struthio-phagi, a to od najdawniejszych czasów, albo téż od onych jaskiń swoich Troglodytami; tak ich nazywali starożytni, tak nowocześni. Gdy pora deszczowa przeminie, znów wracają do puszczy, znów po staremu wypalają trzcinę i zielsko, i zabiérają się do budowania letniego swojego. Ta jednak letnia pora jest dla nich pełna trwogi i niepokoju; właśnie wtedy schodzą pograniczni im Abissynczykowie z gór, wydając im wojnę na zabój; bo oni królom swym podatek ludźmi płacą; polują tedy na Szangallów, a ci bronią tych biédnych chat swoich i dzieci i żon, jak zwiérz broni strzelcom legowisko swoje i młode. Zaboje krwawe szérzą się po puszczy; kogo nie warto jeńcem w niewolę uprowadzić, bywa mordowany, czy to dziécię, czy kobiéta, czy starzec.— Czasem Szangalla, cichaczem podszedłszy wojska abissyńskie, do nogi wycina wrogów kąpiąc się we krwi ich; a częściéj zaraza okropna, typhus, wystąpiwszy z onych bagien, czepia się najezdców, dławi ich i zabija w powrocie, a niekiedy odprowadza do sa-

mych chat góralskich i w nich rzuca śmierć i rozpacz. Odwróćmy się od tych obrazów pełnych ohydy, będących niby paszkwilem na naturę ludzką, i ogarniających myśl jakby czarnym złowrogim snem. Przecież jest to wiernym wizerunkiem człowieka drzémiącego w objęciu natury. Wielkie jednak światło rzuca ten stan pełen nieszczęścia na przedmiot nasz. Chciéj baczyć, iż ci Szangallowie od dwóch tysięcy lat żyją w onéj Kolli lesistéj—od dwóch tysięcy lat toczą się te tak krwawe, tak łzawe żywota ich koleje — i od tyluż lat taką mają architekturę; ona nie zmieniła się na jotę. Położenie ich i żywot zaiste nie nadają się, by były sztuk pięknych kolébką, ani téż te ich chaty z gałęzi i skór, ani ich jaskinie i jamy nie są zarodem architektury; bo gdyby nim były, byłyby się przecież przeobraziły w długim ciągu dwudziestu wieków; bo gdzie się sztuki piękne zjawiły, tam duch ożył, tam i on postępuje, rośnie z siebie i przeobraża się ciągle — a nie tkwi w miejscu.

Budowanie więc dla ochrony z prostéj potrzeby fizycznéj jest tylko rzeczą rzemiosła, techniczności, nie zaś sztuk pięknych, jest tekturą a nie architekturą, a zatém téż w niém nie znajdziemy piękności zarodu. Architektura jako sztuka wtedy się dopiéro zaczyna, gdy człowiek, krom użytku budowli, rad nią wyrażać jakąś myśl, nadać jéj formę przemawiającą o duchu jego. Dla tego budowla, dziełem sztuki będąc, zawsze składa się z dwóch stron: jedna jest techniczna, mająca na celu jéj dogodność, moc, ochronę i t. d., a drugą stanowi artystyczność dzieła. Sztuka używa onéj techniczności za kanwę, na któréj rozsnuwa myśl swoją. Gdyby jamne Szangalle zdobiły czémś owe nory swoje, gdyby im na-

dawały jakiś kształt, nie koniecznie wypływający ze saméj potrzeby materyalnéj, lecz z upodobania, z fantazyi, jużby tém wyrażały jakąś wewnętrzną potrzebę duchową, obok potrzeby ciała swojego, i wtedy téż moglibyśmy słusznie powiedzieć, iż one jamy, jaskinie, są zarodem choć słabym sztuki. Budowanie jakiekolwiek, mające li potrzebę fizyczną na celu, nie jest architekturą, ani początkiem jéj, jak pociąganie kolorem drzwi, okien lub bryczek, nie jest malarstwem. Mała dziewczynka, przymierzająca przed źwierciadłem, to tak, to owak, chusteczkę swoją, lub wieńcząca się kwiatami—albo parobek krakowski, przypinający pawie piórko do czapki, bliżéj są sztuki pięknéj, niż one budowania urosłe ze saméj potrzeby cielesnéj.

Śledzenie tym trybem początku sztuki jest zupełnie zbyteczną pracą, i najczęściéj pochodzi z mniemania, iż sztuki zostały wynalezione tak, jak to wynaleziono proch, sztukę drukarską i koleje żelazne; — ale bez prochu, sztuki drukarskiéj i kolei żelaznych ród ludzki obstałby się wcale; jakoż długi czas żył nie znając tych tak wielkiéj wagi wynalazków. Bez sztuki jednak ród człowieczy nie byłby sobą samym, bo one są wypływem jego wewnętrznéj koniecznéj istoty. Sztuki pięknéj, tak jak i miłości i mowy, nikt nie wynalazł. Ludzie się kochali, nie czekając, póki im psychologowie z katedr wyłożyli definicyą miłości. A pamiętam, iż bawiąc w Berlinie, spotykałem się często z młodym cudzoziemcem, który tam także na nauki przyjechał; miał jednak nie mało trudności z językiem niemieckim; nie mógł sobie zwłaszcza dać rady z artykułami, i ciągle na nie narzekał; w końcu nalegał na mnie pytaniem,

czyli ja przypadkiem nie wiem jak się zwał ów Niemiec, co jakby na jego biédę *der*, *die*, *das* wymyślił, a mówił z doprawdy.— Factum historyczne. Nie jest dowcipniejszy, kto mówi o wynalezieniu sztuki.

Czas atoli bym ten list ukończył. Pomówiwszy tedy w liście przeszłym o istocie sztuki, a w niniejszym o jéj stosunku do Religii i Filozofii, tudzież dotknąwszy, o ile słusznie o początku sztuk mówić można, pozwolisz mi bym w liście przyszłym kilka słów powiedział o stosunku sztuki do rzeczywistości i wyłożył istotę ideału.

Obaczysz jak teraz, opierając się na istocie sztuki wyłożonéj w liście przeszłym, a wstępując w coraz ściślejsze szczegóły, znajdziemy potwierdzenie sposobu pojmowania rzeczy, wyłożonego w ogólności w listach dawniejszych; a będę téż mógł, założywszy sobie fundamenta ogólnego rozumowania, pisać już zwięzléj, krócéj i treściwiéj, gdyż bez wątpienia już z łatwością mnie zrozumiész.



LIST IX.

O Ideale.

Stosunek rzeczywistości do sztuki.— Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki.— Istota ideału — Stosunek ideału do natury fizycznéj.— Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury.— Jestestwa pojedyncze, żyjące — Okolica i pejzaże.— Pomniki historyczne.

Szata i draperya — Figury dramatyczne — Obrazy hollenderskiéj szkoły — Adryan Brauwer i Jan Steen.— Stachowicz.— Paweł Kock — Kraszewski — Boz — W wyższéj sferze ideału rzeczywistość mniéj jeszcze wystarczyć może — Słowa Rafaela.— Zdanie Cycerona o Phidiasie.— Boleść bez granic nie ma miejsca w ideale.— Oedipus w Kolonos Sofoklesa.— Romeo.— Dwa obrazy Girodeta — zastosowanie rzeczy téj do komiczności.— Don Quishot — Damy i Huzary, Poeta i Odludki Fredry.— Trzy sfery ideału.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czyli wpatrywałeś się kiedy w ten obraz, pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste, w swych szatach niedzielnych, przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak jéj téż dobrze i ładnie w tych sukniach, świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze. Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się spla-

tają powaby rozmaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry, czarnym borem poważne, i wzgórza łagodne urosłe w kształty pulchne i miękkie, i wytężone rozłogiem niezmierzonym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równiach porozrzucane, kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łanów. Rusza się i migoce rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wiérzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów.— Osiadły téż tu ciżbą, wioski i pałace, klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełném sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię darami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile osobnych obrazów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jedną jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki, potoki i zwiérzęta, góry, ludzie i dzwony śpiéwają weselem; ale już primadonną téj wielkiéj opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swojemi nuci nam tę samą, jéj niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją. Ona téż jest królową obrazu; długim, posuwistym tanem zwija się poważnie, uroczysto, a ucałowawszy Wawelu stopy, narzeczona Baltyku, pośpiesza w objęcie kochanka. W dali, kędy już Niebo schyla się ku Ziemi, srébrzą się niby obłoczne twierdze, Tatrów grody, stojące na straży u chmurnych wrót, i wedle łaski swéj wypuszczają na nas to pogody i słoty, to burze i powodź, susze i grady; atoli zdradza je własne ich dziecko; bo gdy nam jakie biédy gotują, już zeskakuje w równie z kosą i kozą suchy i chybki gó-

ral, i wszystko na te Tatry swoje wygada, i wróży, i przestrzega, i straszy — a rzadko mu się zmyśli.

Otóż wczoraj, właśnie pod sam wieczór, znów zaszedłem przechadzką na ulubione miejsce moje; tą razą zupełnie było głuche, samotne.— Bo téż dzień cały był pochmurny, posępny, i od rana już płakał dészczykiem gęstym, drobnym. Obraz cały, zwyczajnie tak przejrzysty, jasny, teraz zachmurzony, tęskny, szary. I niebo, jakieś nie rade, rozwlekło po sobie jednostajną siwą płachtę. Wisła dziś smutna płynęła od niechcenia, a ziemia, w nudach swych oddychając mokrą parą, wiązała ją w kłęby, w potworne straszydła, co goniąc się po równinie błoni i polnych obszarów niekiedy przebiegały Wisłę i mieszały się z ciężkim, brudnym węglanym dymem ognisk palących się na galarach. Cała Natura, Ziemia i Niebo zakopcone. Co bliższe, było jednostajne, jakieś zaspane i krzywe jakby chore dziécię; co dalsze, zachuchane, a odległość ostatnia zlewała się w niepewnych zarysach. Cały ten obraz, tak cudny, oślepł. Widok, zwyczajnie tak széroki, rozłożysty, podzielił się mgłą na drobne części, z których każda zosobna siebie tylko widząc, w sobie się kurczyła, na sobie przestawała samolubnie, i wolała być ułomkiem biédnym, niż częścią wielkiéj całości. Dwie osiki pode mną potrząsając obwisłém liściem, ciągle czegoś kiwając głowami ku sobie, szumiały i gaworzyły z sobą niby dwie kwaśne kumy o kłopotach domowych — a tam ku biskupiemu pałacowi, ona cała linia topoli, niby jakieś wojsko zaczarowane stoi jednostajnie sprzykrzone i ckliwe. Niekiedy, gdy zkądsiś powiéw cwałem przyleciał i szepnął coś piérwszéj, ta szumiąc obruszyła się i pochyliła ku

drugiéj i szepnęła, a ta następnéj, a tak daléj i daléj w okamgnieniu cały ich szereg jakby podziwieniem zadygotał, zaszumiał, kropnął, pochylił się, szepnął i zamruczał, i znów umilkł, i znów wyprostowany nudził się i ziéwał; byłyby się pewnie wszystkie te topole zabrały i poszły, gdyby miały jako i gdzie.

Nie daleko ode mnie stały trzy zaszargane wrony; strój ich szary, sponiewiérany, zmiętoszony; ogonami zwrócone do siebie, dąsając się milczały w najgorszym humorze. Nakoniec zegar z wieży zamkowéj srebrnym głosem zadrżał w sobie tęsknie, przeciągło, wywołał konającą godzinę. Zerwały się skrzydlate tony, niby duchy umarłego czasu, i rozleciały się po mokrém powietrzu na wsze strony; lecz ociężałém i zamoczoném piórem jedne spadły i utonęły w wilgotnym grobie Wisły, inne zapewne musiały dolecieć nad miasto i przebudzić drzémiące tam zégary i dzwony; bo przecież po chwili wieża ratuszna ocknęła się, ziéwła, odstękała godziny swoje, a głos jéj tak płaczliwy, przewlokły i chrapiący, iż znać, że jéj w dwójnasób ckliwo przy tym słotnym czasie, bez onego ratusza swojego, wiernego małżonka, a towarzysza z dawnych lat, co go zabił wandalizm czasów naszych, a ciągle téż ona do dziś dnia wiernie strzeże tych z niego kamieni, co jakby kości jego złożone są u stóp jéj. Wtém dzwonnica maryacka, kompana jéj z przeszłego żywota, jakby głosem świątnicy przemówiła potężnym dzwonem pocieszając wdowę; raz jeszcze odpowiedziała szlochami Ratuszowa, raz jeszcze Maryacka — i znów wszystko ucichło. Od dziecka nasłuchałem się dniem i nocą tych wież rozmowy,

nigdy atoli ich wyrazy nie zdawały mi się tak jękliwe, rzewne i tęskne, jak właśnie w téj chwili.

Gdy wszystko około mnie tak było zaspane, dąsające się, osowiałe i krzywe, nie dziw, iż mnie samemu ciężko coś a ckliwo na duszę padło, rad byłem wrócić do domu. Zstępowałem zwolna z góry, w ziemię się patrząc; podobno myślałem, coby ci w tym liście napisać i jakby wedle przyrzeczenia mojego najwyraźniéj wyłożyć stosunek sztuki do rzeczywistości, gdy nagły blask uderzył oczy moje. Spójrzałem około siebie, a tu mury zamkowe, kopuły kościołów i domy miejskie oblane rumianą łuną. Coś osobliwego się święciło, spojrzałem nad siebie, a niebo gore! Wróciłem co tchu na miejsce moje ulubione. Gdybyś to był ze mną był i widział, co się teraz działo! Jeżeli mały chłopczyna coś zbroi, a matka w udanym gniewie nie przymili się do niego zwykłym uśmiechem, dziécię smutne i ciche; lecz gdy wieczorem chłopczyna do paciérza i snu się zabiéra, a matka żegnając ulubieńca przytuli do serca, pobłogosławi i ucałuje, dziécię zapłonie radością na twarzy i w sercu uszczęśliwione usypia marząc o aniołkach, o kwiatkach i raju; tak słońce cały dzień zachmurzone, niewidzialne, teraz przed nocą, gdy ziemia do snu i pacierza się miała, spójrzało na ziemię i, odziane wszystkim majestatem, tonęło zwolna z nieba zstępując jakby jaki świat w płomieniach. Opłynęły je wielkiém półkolem obłoków drobnych głowy, jaśniejące żarem rozpalonego złota, niebiańskiéj stolicy dworzanie. Nad niemi piętrami kipiały fantastyczne budowania, jakby twierdze, pałace i miasta napowietrzne, zajęte ponurym ogniem i palące się wszystkiemi tęczy bar-

wami; a z dala ciekawie przypływały, niby okręta z wzdętym żaglem lub niezmierne orły śnieżne, olbrzymie obłoki ze złotym rąbkiem, a z drugiéj strony zalane głębokim cieniem miedzianym, ciągnąc za sobą długie, wązkie, chmur smugi. Tu i ówdzie, poprzez rozstąpione obłoki, na najwyższym nieba stropie zatliły się już bladém światłem gwiazdy.

Gdy tak niebo, całym przepychem swoim strojne, obchodziło uroczyste nabożeństwo wieczora, ziemia, wtórując jéj chorem, zaświeciła weselem swych błoń, lasów, gór i wodnych zwierciadeł. W naturę wstąpił odmłodnionego żywota dech: przebudzone jéj barwy roztuliły oczy, patrząc się jasném, czystém spójrzeniem; postacie wszystkie wyskoczyły z zamglonéj opony rysując wyrazisto, ostro i śmiało kontury swoje; znikła mgła, co je rozdzielała na samolubne części; cały obraz przejrzał i jedną wielką złożył całość. A poświata wszystka czarodziejskiém stopniowaniem rozprysła się po przestrzeni bezmiernéj; światło odegrywało tu całą gammę swych tonów, bo zaczynając w najbliższych miejscach uderzało z razu w silne światła i nizkie a potężne cienie, a oddalając się przechodziło w tony wyższe gasnąc zwolna, a ostatnie tło obrazu oblćwało drżącym łagodnym promieniem. Wpatrując się teraz w Wisłę świetną, żarzącą się nieba ogniami, rzekłbyś, że ona jest széroką ziemi szczeliną, że ziemia na wylot pękła, żeś ją wskróś przejrzał i w zawrotnéj głębi przeciwnożne niebo w ogniu obaczył. Cała natura zadrgała życiem; odetchnęły radośnie zwierzęta, ptastwo, ludzie i rośliny.

Stanąłem zadumany porównywając czarodziejstwo téj natury z tém, czém ona była przed kilku chwilami.

Co za różnica! te dwa obrazy miały się do siebie, jak doczesność do wieczności, jak biédny nasz żywot do rajskich roskoszy, jak uboga mowa ludzi do śpiéwów anielskich,— jak chłodna proza do poezyi cudów, jak *rzeczywistość* do *sztuki!*

Zaiste — tém słońcem, co spojrzeniem swém budzi żywota potęgą świat, co wyléwa czarodziejstwa urok na ziemskie padoły, a płosząc mgły doczesne, rozszérza ciasne rzeczywistości szranki, okazując nam wszech światów cuda w ogromie majestatu swojego; — tém słońcem, co spojrzeniem swojem ziemię na niebo przemienia, jest sztuki piękność i mistrza wszechmocne tchnienie. Nie darmo to na Hellenów Olimpie Phoebus, sztuki pięknéj Bóg, prowadził słońca wóz jasnym, wiekuistym po niebie gościńcem.

Rzeczywistość traci ziemską i ułomną swoją istotę, gdy na nią spłynie niebiańska łuna sztuki. Ale do rzeczywistości należy także natura, czyli ten świat wszech stworzeń, który nas otacza, jak i te całe dzieje, co biją falą codziennych wydarzeń, owe stosunki społeczne i moralne, nieodstępne towarzysze człowieka na drodze doczesnego życia. Człowiek samém urodzeniem swojem oddany jest rzeczywistości potędze, co go ciśnie, jakby oczynieniem, władzą swoją. Lecz gdy sztuka zaświeci jasném okiem, oczynienie owo znika, a ducha swoboda się zbudzi i wzmoże się uznaniem własnéj zacności.

Stosunek rzeczywistości do sztuki wypływa sam przez się z całego powyższego wywodu naszego. Bo już w jedném miejscu starałem się okazać, iż sztuka, będąc wolną ducha córą, nie jest natury naśladowaniem

(List IV), późniéj zaś *(List VII)* wyświeciłem, iż jak natura, tak też wszystkie stosunki towarzyskie, prawa, moralności, obyczaju i t. p. nie mogą być nieskończoności ducha wizerunkiem, i że nie mogą tedy być żywcem w sztukę przeniesione. Z tego już widzimy, iż rzeczywistość pod żadnym względem nie może być dla sztuki pięknéj wzorem. Wypada nam więc oznaczyć jedynie jeszcze w bliższych szczegółach mienie się sztuki do rzeczywistości.

Jeżeli duch ma oglądać, jak w zwierciedle, nieskończoność istoty swojéj w dziele sztuki, w postaci zmysłowéj, więc téż postać ta, choć z rzeczywistości pożyczona, winna być uwolnioną od skazy doczesności wszelkiéj, i z pyłu ułomności ziemskiéj, winna być przejrzana ducha poświatą; bo rzeczywistość, postawiona na wysokościach obłocznych sztuki, już nie istnieje dla siebie ale dla ducha, jest tylko dla niego środkiem, aby on się zmysłowo wyjawił; ona jest dla ducha świécznikiem i lampą, w któréj wiekuistość jego goreje. Prawda ta jest pełna wagi, dla tego chciejmy dokładnie ją zrozumieć, bo z niej wypłynie, jakby ze źródliska swojego, cały wątek następnéj osnowy naszéj.

Uważ dobrze, co się dzieje z przedmiotem rzeczywistego świata, gdy go do sztuki przeniesiemy. Wszak każdy przedmiot takowy, rzeczywisty — czyli to on będzie jestestwem natury, jako np. postać człowieka, zwierzęcia, okolica i t. p. czyli to będzie przedmiot wzięty ze stosunków społecznych i obyczajowych, a przeniesiony w obraz, lub tragedyą, komedyą, powieść i t. d., zawsze on będąc cząstką rzeczywistości, z którą jest ściśle połączony, jest jakby tylko jedną nicią

wplecioną w całą tkanicę natury i społeczeństwa. — Tysiące stosunków i węzłów łączą go z ogółem, z tą rzeczywistością, do któréj należy, i dla tego téż on na sobie nosi cechę swéj istoty ułomkowéj, znać po nim, iż on sam nie jest całością, ale jedynie cząstką jakiéjś całości, i ta to cecha jest piętném doczesności jego. Taka jest istota przedmiotu w rzeczywistym świecie. Jeżeli zaś ten przedmiot przeniesiony będzie w świat sztuki, wtedy się téż wskróś przeobrazić winien; bo skoro on, jakem powiedział, nie istnieje już wtedy dla siebie, ale istnieje dla objawienia się ducha, więc ta jedynie strona jego istoty będzie miała znaczenie, co temu objawieniu się ducha służy, wszystko zaś inne, jako już nie mające wartości, z niego spada i ulatuje. Znikają tedy z przedmiotu wszystkie przypadkowe znamiona, wszystkie drobne i bezważne cechy, będące skutkiem związku jego z rzeczywistością, a gdy jego przeznaczeniem jest, by nie rzeczywistości téj służył, ale ducha był wyrazem, więc téż zrywa te wszystkie nitki łączące go ze światem rzeczywistym, odłącza się przedmiot od niego, staje się niezawisłym — uosabnia się, zakończa w sobie. A lubo zachowuje istotę swoją indywidualną, przecież przestaje być częścią i ułomkiem rzeczywistości, i sam przeobraża się na całość duchową, na jedność zupełną. Przedmiot tak przeobrażony, postać tak uświęcona jest *ideałem*.

Ideał tedy, wyobraźnikiem ducha będąc, tyle zaiste tylko w sobie zawiérać winien, ile potrzeba do objawienia ducha; winien być tak całością, jednością osobną, jak duch, który o sobie w nim znać daje. W ideale właśnie jest pogodzenie rzeczywistości i ducha: te

dwa bieguny spotykają się z sobą na pół drogi i zléwają się w jedno, oba się równoważą.

Rzeczywistość zmysłowa nie przechodzi bynajmniéj żywcem w świat piękności, bo w takim razie dzieło sztuki nie byłoby całością, jaką jest duch, ale jedynie ułomkiem biednym, niedostatecznym, jakim jest każdy przedmiot rzeczywisty, a sztuka byłaby wprost kopijowaniem szczeréj rzeczywistości, co być nie może, jako już wyżéj rzekłem.

Znać tedy, że ta rzeczywistość, mając się stać ideałem, winna być przerobioną, przetopioną przez ducha.

Z drugiéj strony piérwiastek duchowy winien naprawdę przybrać na się ciało zmysłowe; bo zważ, że bez tego ciała sprawa ducha naszego byłaby-li myśleniem, byłaby mową prozaiczną, bo w takiéj mowie duch objawia się bez ciała, bez szaty.

I dla tegoż to ciało, które ma być objawem ducha w ideale, nie może być czémś tak ogólném jak myśl, jak mowa prozaiczna. Zważ, kiedy mówimy: człowiek, drzewo, dąb i t. d., toć zaiste nie mówimy o żadnym człowieku w szczególności, o żadnym dębie, drzewie w szczególności, ale mówimy ogólnie, więc wyrażamy rodzaj człowieka, dębu i t. d., ale rodzaj to jest ogólnik, jest abstrakcyą, jest myślą. W rzeczywistości zaś nie widzisz (zmysłowo) nigdzie rodzaju, lecz widzisz jedynie szczegółowe, pojedyńcze jestestwa, które do tego rodzaju należą, a rodzaj istnieje w głowie naszéj; istnieje on wprawdzie i w świecie, ale nie dla zmysłów naszych, bo go trzeba dopiéro dochodzić *myślą*. Wynika ztąd, że jeżeli w sztu-

ce zechcemy wyrazić tylko takie ogólne, rozsądkowe myśli, już sztuka takowa nie będzie sztuką prawdziwą, lecz będzie abstrakcyą, będzie dopiéro symbolem, godłem, hieroglifem, jak naprzykład dwoje skrzydeł oznaczają modlitwę, wąż skręcony w pierścień oznacza wieczność, trójkąt trójcę, krzyż mękę Chrystusa Pana, łódź kościół, jabłoń grzéch piérworodny, i inne podobne znaki, które atoli przez zgodność ogólną wyrażają zwykle jakieś myśli i uczucia. Aleśmy już przy innéj sposobności trącili w tę samą osnowę, mówiąc o sztuce w ogólności *(List V)*. Widzisz tedy, że gdy uzmysłowienie myśli, wyrozumowanych pojęć, nie jest już sztuką, więc w sztuce prawdziwéj, w ideale prawdziwym, to jest warunkiem aby nie wyrażać pojęcia ogólnego rodzaju, ale pojedyncze, jedno pewne jestestwo, tak aby się zdawało jakoby ono było postacią z rzeczywistego świata wziętą, aby się zdawało, że dzieło sztuki jest niby wizerunkiem rzeczywistego jestestwa. Mówię *niby*, bo powinien być pozór, jakoby w ideale występowała rzeczywistość, ale ta rzeczywistość nie powinna być, że tak powiem, rzeczywistą; ta rzeczywistość winna być złudzeniem, t. j. pozorem; ona będzie owiana tchem innych światów; ona chociaż będzie indywidualną, żywą, będzie przecież odziana najwyższym nadświatnym urokiem. Tak tedy ideałowi właśnie chodzi nie o ogólną naturę ludzką, lecz o to, aby ta postać w rzeźbie, lub obrazie, albo poezyi, oznaczała pewnego jakiego człowieka, lub jakieś pewne bóstwo, mające swój właściwy charakter, swoje własne piętno i indywidualność, różniące go od wszystkich innych, i aby się ten człowiek uwidomił, stał się cie-

leśnie obecny czyli to w posągu, czyli malowany będzie pęzlem i farbami, czyli wyrazami jak w poezyi.

Tak tedy z jednéj strony w ideale rzeczywistość przechodzi w świat duchowy, uniesiona jest do nieba piękności, a z drugiéj strony duch zastępuje rzeczywistość, *niby* pożyczając od niéj szat swoich. Ideał, jak widzisz, pozostaje przeto w środku między czystą duchowością a szczérą rzeczywistością, łączy te dwie sprzeczności w jedność. Chciéj dobrze zatrzymać w pamięci tę zasadę naszą; co tu jeszcze o ideale powiem, będzie jedynie jéj dalszym wątkiem i wyjaśnieniem tego pojmowania naszego rzeczy.

Patrz, na posąg marmurowy, co z podnóża swojego, jakby nadziemskich światów zesłaniec, na nas się patrzy; wszak to niby postać rzeczywistego człowieka, rzekniesz może nawet, iż w naturze znajdziemy wiele kształtów ludzi podobnéj prawie piękności i powabu. Wszelako posąg ten w swym uroku jest innéj urody niż koło ludzi stworzonych, bo jest wolnym od przypadłości wszelkich, obojętnych dla niebiańskiéj piękności jego, a będących skutkiem ich natury cielesnéj i doczesnosci przemijającéj, któréj ulegają ludzie w padołach rzeczywistego życia zrodzeni. On od głowy do stóp jest duchem — uzmysłowionym, żywym; a gdy w rzeczywistych ludziach, choćby najwyższéj urody, duch jedynie w obliczu się wyraża i w oczach ma stolicę swoją, w posągu tym duch wszędzie jest obecny, z każdéj części patrzy tysiącami oczu, rozlany po całéj postaci, drga i w kędziorach włosów i w rzemyku sandałów, a co doczesne, nieznaczące, spadło z téj postaci, niby głuche zwłoki, a co wiekuiste, wystąpiło

na jaw, — więc téż i ta postać wywinęła się z objęcia znikoméj doczesności, odosobniła się, zerwała związki z rzeczywistością, cała jakby ochrzczona w oceanie ducha. Podobnie gdy postać droga z dawnych czasów, przed wielu laty zmarła, w senném marzeniu staje nocném nawiédzeniem z innego świata przed duszą naszą, choć zarysy drogiego oblicza i postaci żywo wskrzeszone, tak prawdy pełne, iż żadne przypomnienie na jawie wyrównać jéj nie zdoła, przecież wskróś przejęta jest przeobrażającą odmianą, bo z niéj znikły cisnące żywota biédy, i troska ziemska, co tłumi i więzi ducha swobodę, a przez całe zjawienie goreje i świéci zorza wyższego świata i nieznany dawniéj nieśmiertelności uśmiéch. Postać stała się nieskazitelnym duchem, nie należącym więcéj do doczesnego świata, duch atoli zjawił się w postaci oznaczonéj i pewnéj drogiéj nam osoby. Przybrał na siebie ciało rzeczywistości uduchownionéj.

Otoż dwa te konieczne pierwiastki, bo wzniesienie nad doczesność, to jest zerwanie stosunków z rzeczywistością, a zachowanie przecież indywidualności pewnéj oznaczonéj osoby, są dwiema koniecznemi stronami ideału. Powiedziałbym, iż w ideale przedmiot rzeczywistości wprzód musi tracić ułomność doczesną, zerwać z rzeczywistością, umrzéć ziemską śmiercią, przejść niby przez czyściec duszy mistrza, zmartwychwstać bez skazy w piękności świecie, a tak odrodzić się ideałem. *(obacz str. 65)*.

Niedziw tedy, iż wizerunki, portrety osób rzeczywistych, malowane nawet ręką celujących mistrzów, wydają się pospolicie jakby zbyt pochlebne, wszakże,

jeżeli dzieło takowe jest godnym sztuki tworem, więc już mistrz nie pochlebiał wprost naturze. Bo upięknienie takowe nie wypłynęło z udania kłamliwéj urody na obrazie, któréj w rzeczywistości nie było, ani z poprawienia spaczonych rysów twarzy, lecz raczéj ztąd, iż mistrz przepuścił wszystkim onym drobnym szczegółom (np. włoskom, plamkom, marszczkom drobnym, piegom) będącym nieodstępném znamieniem natury, a uchwycił właśnie tę stronę fizyognomii, którą duch o sobie świadectwo daje, że ujął jedynie stronę duchową oblicza i niemą jego mowę. Tak więc, gdy wizerunek stracił oznaki przypadkowe i szczegółowe z doczesności człowieka pochodzące, już téż zerwał stosunki z rzeczywistością, a duch, uwolniony od pyłu tego fizycznego świata, zajaśniał wiekuistą istotą swoją, wypiękniał w sobie i rozgorzał niezwykłym urokiem. A przecież ten wizerunek zachował podobieństwo całe swojego żywego wzoru.

Prawda że właśnie to zaślubienie niżyn rzeczywistych, doczesnych, ze światem nadziemskim, duchowym, niebiańskim, które się odbywa w ideale, zdaje się nam być zrazu sprzecznością; zważ atoli, że sztuka jest właśnie zestrojeniem wszelkich sprzeczności, pogodzeniem wszelkiéj dysharmonii. Sprzeczność, dysharmonia, jest udziałem rzeczy ułomkowych, doczesnych i biédnych; ale w sztuce żyje duch, więc żyje wiekuistość unosząca się nad ułomność i niedostatki wszelkie. Prawda że zestrojenie sprzeczności w ideale nie jest sprawą lada człowieka, lada chwili; aby dokazać tego najwyższego pogodzenia trzeba *fantazyi artystycznéj.* Fantazya artystyczna w chwili wieszczego

natchnienia zradza z siebie ideał, zradza z siebie formy rzeczywiste a przecież niebiańskie. W tych świętych chwilach twórczych duch z innych światów, niby gość nadniebny, zamieszkuje w duchu mistrza, prze go i niewoli do zrodzenia ideału piękności. Są to chwile boleści i najwyższéj roskoszy. Atoli o fantazyi artystycznéj mówić będziemy na inném miejscu obszerniéj; myślę téj osnowie poświęcić ze dwa listy osobne. Teraz przypatrzmy się jeszcze z innéj strony istocie ideału.

Chciejmy naprzód zważyć bliżéj stosunek, którym się ma ideał okréślony powyżéj do natury fizycznéj. Natura nie żyje życiem estetycznéj piękności, lecz życiem piękności wszechmocnéj wiekuistego rozumu. Nie tak przemawia tedy do wyobraźni naszéj, jak raczéj do myśli, do rozumu, a mądrość, świécąca na dnie zjawisk przyrody, jest treścią saméj umiejętności, dla sztuki zaś nie jest dościgłą. Bo sztuka, wstępując w królestwo natury, przyswajać sobie jedynie może stronę powiérzchowną jestestw przyrodzonych, nie zdoła jednak przeniknąć do rdzeni myśli stwórczéj, któréj owa powiérzchowność jest jedynie łupiną. Postawa pełna wielmożności lwa, lśniąca grzywa i sierć jego, złotopióry strój mieniącego się barwą ptastwa, rozłożysta potęga hardego dębu, jest wprawdzie sztuki dzielnicą, atoli sztuka nie zdoła się zapuścić w wewnętrzną budowę lwa, ptaka, dębu, w ten tajemniczy świat ich składu, w zégar ich wewnętrznych organów. Sala anatomiczna nie może być pracownią dla sztuki pięknéj. A przecież fizyologia roślin i zwiérząt jest dopiéro najpotężniejszą stroną jestestw żyjących, i, językiem

nauki i rozumu zimnego mówiąc, jest prawdziwą natury pięknością, dla sztuki zaś nie jest przedmiotem.

Podobnie téż w kole stworzeń napotykamy mnóstwo jestestw, których nawet i powiérzchowność jest obrzydliwa, szpetna. Cóż brzydszego jak wiele gadów, owadów, nieschludnych ryb i robactw ohydnych, a przecież ta ich szpetność istnieje tylko w wyobraźni naszéj, i znika skoro na nie patrzeć się będziemy oczyma umiejętności. Bo zkądże się rodzi w nas uczucie o brzydocie tych jestestw, jeżeli nie z tego, iż je pospolicie bierzemy bez związku z całym ogromem natury, do którego one istotnie należą, i z tego, że je uważamy z osobna. Doznajemy tedy wstrętu nie znajdując harmonii w ich postaci, ani proporcyonalności powiérzchownéj członków, do których nawykli jesteśmy; widzimy w nich bezecne i niezwykłe potwory, i bezwiadomie porównywamy je z kształtem innych jestestw. — Przecież takie zapatrywanie się jest błędne, bo te jestestwa wszystkie są jedynie przejściem z jednego ogniwa stworzeń w drugie, są naprożnikiem dwóch rodzajów jestestw całkowicie różnych, a dla tego nie będąc zupełnie ani jednym, ani drugim, czyli raczéj będąc zarazem i jednym i drugim rodzajem, stają się potworami w zwyczajném zapatrywaniu się na rzeczy. Tak np. grzyby są przejściem między martwém państwem natury nieorganicznéj a roślinami, polipy są ogniwem pośredniém roślin i zwiérząt, a znów między robactwem i rybami w środku stoją kształty niesforne ślimaków i mięczaków, a między rybami znów i gadami ogniwem łączącém są ryby chrząstkowe i t. d.

Jeżeli zaś wedle tego, cośmy wyżéj powiedzieli,

każdy choć najdoskonalszy przedmiot natury jest ułomkiem całości przyrodzenia, a zatém nie może być pięknym w znaczeniu estetycznèm, jakże dopiéro mają uchodzić w oczach naszych za piękne twory natury, które już w porównaniu z samemi jestestwami są ułomkami — są to ułomki ułomków. Atoli szpetność ta znika nietylko gdy się przypatrzymy pełnemu mądrości ich składowi, lecz nawet skoro je uważać będziemy we związku całém natury państwem. Gdy ludzie zuchwałą i niebaczną ręką zgruchotali wielki wszechmocności obraz, złożony jak w mozaikę ze szczegółowych jestestw natury, cóż dziwnego, iż przypatrując się z osobna tym okruchom różnobarwnym i kawałkom stłuczonym bez znaczenia, nikt nie zdoła odgadnąć oblicza przedwiecznéj mądrości, któréj ten obraz jest wizerunkiem. Cześć tedy niechaj będzie wiekowi naszemu, że go stać było na ludzi, jakim był Cuvier, który potęgą swéj anatomii porównawczéj znów złożył tę potrzaskaną starą mozajkę, a wyuczywszy się z jednéj kostki całe zwiérzę odgadywać, jął się uporządkowania ogromu natury żyjącéj, rozkładając ją po różnych szczeblach wedle ich różnéj w porównaniu doskonałości. Bo umiejętność tegoczesna doszedłszy, iż zjawienie się serca, nerwów, muskułów, oddechu, oczu, słuchu, krążenia soków i podobnych organów i czynności, stanowi wzmagającą się doskonałość u zwiérząt, uważała że jedne jestestwa żyjące nie mają wcale tych organów, lub tylko niektóre z nich, inne znów, mają je w zarodku, inne zupełnie zaś rozwinięte. Ułożyła je tedy w miarę ich stopniowego ukształcenia w łańcuch po sobie następujących ogniw. Tak zaczynając od onych

żyjątek, będących pęcherzykiem, drgającém sercem obracającém się jakby planety wirem około siebie samych, przeszła do zoofitów, robaków, bezgłowych muszli, a daléj, coraz wyżéj a wyżéj się spinając, umiejętność stanęła na człowieku jako najwyższém dziele natury, zbiérającém wszystkie stworzenia promienie jakby w spólném ognisku a niosącém w sobie świat duchowy, wiekuisty. A tak wykazała wcieloną logikę najwyższą w wątku wszech stworzeń. Budując jestestwa jednego rodzaju na organizmie wszystkich poniższych, wykazała jak natura, z siebie się rozwijając, kształci się, rośnie z siebie. Ale tu i ówdzie okazała się przerwa w ogniwach; trzeba było obok siebie postawić dwa rodzaje zwiérząt tak różne udoskonaleniem od siebie, iż one nie mogły być dwóma stykającemi się ogniwami; wyjawiło się tedy jasno, iż brakowało ogniwa pośredniego. Z tryumfem jednak wiadomości i na chwałę rozumu ludzkiego spostrzeżono, iż czego naturze żywéj brakowało, dostarczyła umarła, czego nie znaleziono w świecie z nami wespół żyjącym, znaleziono w onym świecie starym, który przedpotopowym nazwano. W głębokiém łonie ziemi naszéj, jakby w kruchcie siwéj, dokopano się skamieniałości jestestw dziś już nie znanych, żyjących niegdyś, a będących właśnie ogniwami brakującemi w owym łańcuchu stworzeń dzisiejszych. Idea i myśl Boża się uzupełniła, a cała natura jedną więc stanowi całość, a każde jéj jestestwo jest koniecznym szczeblem, jedném słowem w onym wielkim psałterzu natury. Jestestwa są mniéj lub więcéj doskonałe, wszystkie atoli są jedynie bledsze lub jaśniejsze gwiazdy tlejące firmamentem roztoczonym

po niższych lub wyższych stopniach Bożego tronu. Tu nie ma szpetności ani brzydoty.

Jest zaiste jeszcze druga przyczyna, dla któréj jestestwa natury nie mogą być żywcem ideałem. Powód bardzo prosty, bo jestestwa te do państwa materyi, do doczesności należą, a materya i doczesność paczy wszelkie formy duchowe. Patrz na dąb okryty strojem swym niepoliczonych liści, a każdy z tych liści jest inny a inny, nie ma dwóch do siebie podobnych, a przecież jedna tylko jest, ściśle mówiąc, forma liścia dębowego, jedna forma jest prawdziwa i wzorem jego. Ten atoli wzór pierwotny nie zdoła się wyrazić, w swéj zupełności, w rzeczywistym świecie, nie zdoła przemódz niesforności materyi. Ten wzór jest zawsze jeden i ten sam, jest wieczny, bo jest myślą, a wszystkie liście rzeczywiste są inne a inne, bo są materyą, bo są doczesne, a tém samém podlegają w wzroście swoim tysiącznym przypadkom i wpływom, które je paczą i psują. Bo myśl i materya, duch i rzeczywistość, są dwa przeciwne sobie bieguny, dwa wrogi. Patrz na bezmierne mnóstwo koni żyjących po świecie, wszystkie są od siebie różne, żaden nie jest doskonałością idealną, żaden nie dosięga piękności idealnego konia, która tylko myślą być może, dla tego téż one mają piękność względną, wedle tego czyli się więcéj lub mniéj zbliżają do onego wzoru idealnego, do onéj myśli pierwotnéj, która dla nich wszystkich jest modłą. Piękność tego wzoru rozstrzeliła się na mnóstwo koni i poobdzielała je nierówną miarą zalet i przymiotów. Zresztą zważ, iż w życiu nawet mnóstwo wpływów przypadkowych działa na formę koni rzeczywistych: klima, choroby, karm’

niewłaściwa, i inne przypadłości, więc przyznasz, iż piękność pierwotnego wzoru ginie w rzeczywistości. Ale ideał rehabilituje ten wzór pierwotny, tę myśl, oną czystą formę, wciela ten wzór w dzieła swoje, odradza go. Koni, jakie Vernet lub Suchodolski maluje, nie ma na świecie. Przecież rehabilitacya nie zależy bynajmniéj nie na kompilacyi, nie na tém, aby, chcąc np. konia malować, zbiérać zalety, które się rozsypane znajdują w tłumie koni rzeczywistych, a tak złatać on wzór umysłowy; bo sztuka nie powinna się mieć biernie do rzeczywistości, ale czynnie. Ona jest twórcą, a ideał nie jest zlepkiem pozbiéranych piękności, ale jakby odléwem duchowym z jednéj sztuki. Mistrz winien do głębi ducha swojego sięgnąć, i ztamtąd wydobyć postać ideału swojego. Wzór w innym świecie poczęty jest mu ideałem i modłą, jak to jeszcze później obaczymy.

Jestestwa żyjące mają atoli przecież od Wszechmocności dodaną jakąś duszę, choć senną, mglistą i głuchą, dającą atoli o sobie znać w kształcie, ruchach i formach ciała, które już tém samém pod pewnym względem się uduchownia. Inaczéj zaś rzecz się ma ze światem roślinnym, a co więcéj z oném niemém i martwém państwem kamieni, gór, potoków i chmur, i z tym całym światem bezokich żywiołów, będących osnową pejzażów. Tu mistrz, jak niegdyś ów Pigmalion król-rzeźbiarz, winien w zimny marmurowy posąg wlać życie, objąć je ramionami ducha swojego, rozgrzać je ciepłem serca i tchem miłości swojéj. I w téj duchowości spoczywa cała tajemnica poezyi, krajobrazów, czy to w pieśni objętych, czyli w malowanym obrazie, a tak dopiéro z rzeczywistości martwéj utworzy się ideał ducho-

wy. Bo czémże jest w rzeczywistości okolica, choćby pełna najwyższych uroków? oto jedynie drobniuchną, nic nie znaczącą częścią powierzchni kuli, z któréj idą jéj góry, potoki, doliny, obłoki, wiatrów powiéwy, zostaje w ścisłém powiązaniu z krajem sąsiednim swoim; a przytém narażona jest na skutek całego gospodarstwa ogólnéj natury. Wody, powietrze i ląd, ciągle na siebie działające i oddziaływające, stanowią ową troistą potęgę co rządzi kraju naturą, a łącząc się z położeniem jeograficzném stwarzają klimat, malują barwą właściwą strop niebieski i wywołują roślin fizyonomią. A co te potęgi sejmujące między sobą uradzą, co w swéj wywarzą pracy, już spada urokiem na okolicę, co poddana wszechmocnemu ich prawu, ulega jéj biédna, skrępowana, oddana na oślep ich łasce. Jakiego kształtu w niéj czernią się góry, jakiéj formy i głosu są jéj srébrne rzeki, jakie do niéj zaglądają obłoki, lub w jaki strój roślinny się ona odziéwa, słowem, jak się tu siły natury zbiegły, toć zależy od przypadku, od tego, jaką właśnie cząstką całości jest ta okolica. Tysiące przejdzie tędy wędrowców, a ta natura zamkniętemi ustami milczéć będzie, i głucha nie zawtóruje uczuciom, nie odezwie się. Gdy zaś w jéj kole stanie człek z talizmanem w oczach i z poezyą w sercu, wtedy natura pozna pomazańca piękności i jakby ze snu magnetycznego do kochanka przemówi: góry, lasy, skały, jeziora, drzewa i obłoki rozebrawszy pieśń na głosy, zaśpiéwają mu chórem rzewną melodyą, wspólną orkiestrą, wspólnemi akkordy. Cały kraj w około zaludni się duchami; poszepty i gawory leśne, pomruki potoków złożą się w jasną mowę, powiedzą o głębokich tajemnicach życia na-

tury; roztworzą mu duszę swoją, wypowiedzą cierpienia, miłości swoje, i te swe dzieje pełne dziwów i uroku. A mistrz chwyta te mowy i tęskność okolicy, złoży je w rymy, wyleje muzyką, lub wcieli w barwy pejzażu — słowem, uniesie je w świat ideału. Bo gdy w rzeczywistości okolica ta jest jedynie drobnym ułomkiem całéj powierzchni kuli, w oczach fantazyi te góry, skały, potoki, drzewa, krzewy i niebo do siebie należą, składają jedną całość, jedną harmonią, są jednością osobną; wyłączają się tedy od ogółu natury, zrywają swój związek z resztą świata, i stają się od niego niezawisłe, odosobniają się od rzeczywistości. A owa tajemnicza świętość okolicy pokryje się własną barwą i rumieńcem, gdy w niéj jakby czarem zaklęte przemieszkiwać będzie wspomnienie historyczne z dawnych lat, gdy w niéj staje domek, co obtulał kolébkę człowieka jasnéj chwały, lub gdy imie ze starych czasów pokrywa się mogiłą, drzémiąc pod ziemią, gdy ją zalegną pobojowisk lub okopów reszty, albo gdy jaka stara świątnica lub rozwalony gród wpląta swoje wspomnienia pełne grozy w głosy natury. Przez okna rozpadłe i szczeliny rozstąpione, widma i duchy naddziadowych lat patrzą w okolicę i spojrzeniem rzucają na nią urok. Bo co wiek zapracuje, przekazuje swym następcom, a najszlachetniejszy pierwiastek jego żywota wykwita w dziełach sztuki.

Jak matka konająca zostawia z błogosławieństwem dzieciom pierścień z wizerunkiem Najświętszéj Panny, by je strzegł od złego, tak przeszłość, w grobie zapadła, puścizną po sobie zostawia budowania swoje, stare kościoły i groby; są to kléjnoty familijne każdego na-

rodu, co, idąc od pokolenia do pokolenia, stroi one czcią, boleścią i tęsknotą swoją. A gdy téj świętéj puścizny ludzie we czci nie mają i płochą duszą jéj odbiegną, natura bierze je w opiekę, niby opuszczone sieroty, i przyjmuje w objęcie nieskończonéj. swéj miłości, przeobrażając je na własne dzieci; — nadaje im kształt swych skał, ckliwość ostrych linii, dzierzgając po swojemu ściany we fantastyczne formy, odziéwa je suknią swych bluszczów i mchów, a wieńczy wierzchołek starych murów drzewem, jakby kwiatem wplecionym we włosy zmarłéj dziewicy. Wtedy rozwaliny wychodzą z własności ludzi, stają się natury dziedziną, jak te jéj skały, te góry, obłoki i strumienie, a kto się ich teraz jeszcze dotknie świętokradzką ręką, grzészy przeszłości zarazem i przyszłości, i staje się swych współczesnych hańbą. Gdy Lord Elgin rabował rozwaliny Partenonu w Atenach, Minerwa-Athene, bóstwo opiekuńcze znieważonéj świątnicy, wywołana lutnią Byrona, rzuciła klątwę na łupieżcę. U nas dość spójrzéć na klasztory gotyckie potynkowane, na obielone stare świątnice, na znieważone grody niedowcipnemi pomysłami dzisiejszych dziedziców, aby przewidzieć, iż gdyby się jaki Byron zjawił, przekleństwo nie na jednąby winną głowę spadło.

Tak, aby pojąć naturę, aby posłyszéć jéj westchnienia, trzeba ją widziéć i słyszéć oczyma i słuchem duszy; wtedy dopiéro rzeczywistość przybierze na się duchowość ideału, odosobni się od codziennego życia, stanie się całością w sobie.

Teraz atoli chciejmy postąpić szczeblem wyżéj, i obaczmy, jak się stosuje pojmowanie nasze ideału do

wyższych przedmiotów rzeczywistości, do świata umysłowego. Pójdźmy sobie od niższych do coraz wyższych stopni.

O ile oblicze i postać człowieka zmienia się przechodząc z rzeczywistości w ideał, powiedzielismy wyżéj. Ale jeżeli już, jakem rzekł, ciało samo i postawa jego jest ducha wyrazem, więc téż szaty pokrywające postać winny znów wyrażać postawę i uduchowienie jéj. Gdy bowiem bezduchowa natura pejzażu zalana jest zorzą wyższego świata, więc téż nieżywa istota szat samych ma być przeświecona duchem gorejącym w postaci człowieczéj. Aby zaś postawa i ciało mogło się wyrażać w szatach, wypada, aby one nic miały własnéj formy, ale były zawisłemi od formy ciała, co tylko dwojakim sposobem dziać się może: albo, aby suknie były opięte, to jest miały formy ciała samego, jak to np. suknie średniowiekowe zachodniéj Europy — albo téż, aby szaty nie miały żadnéj formy i były płaszczyzną bezkształtną, jak to osobliwie widzimy w stroju rzeźb greckich. Tu szaty spadają własnym ciężarem bijąc fałdzistą draperyą, i stosują się do każdego poruszenia ciała. Tegoczesne suknie nasze, zwłaszcza męzkie, środek trzymające między strojem przylegającym a draperyą antyku, są dla sztuki najniesforniejszemi, bo mają niby formę swoją a przecież różną od formy ciała, więc ani wyrażają kształtu ciała, ani się układają w draperye. Przypatrz się np. rękawowi naszemu; — stosuje się on niby do ramienia i ręki, a gdy się przecież zarazem i fałduje, więc téż ręka w nim przybiera kształt napuchłego potworu; — rękaw taki nie jest ani naturą, ani draperyą. A posągi przebrane w dzisiejsze nasze

surduty z klapami i całym przyrządem, fraki i t. p. są śmiésznością, dowodzą braku uczucia estetycznego. Do malarstwa, tworzącego swe dzieła na płaszczyznie, podobne formy więcéj się nadają, w rzeźbie zaś są nieznośne. Przecież nawet i na obrazach te suknie, mianowicie nowożytne, ulegające wszelkim wymysłom kapryśnym mody, choćby malowane były przed niedawnemi laty, wypaczają wizerunki osób w osobliwe dziwaki.

Jeżeli atoli już suknie same, ono materyalne otoczenie osoby, winny być idealizowane, cóż rzec o całém zmysłowém zjawieniu się figur, czyli to w sztukach, w malarstwie lub rzeźbie, czyli w poezyi. A jak oddanie pęzlem wszystkich szczegółów figury, np. każdéj zmarszczki, włoska i t. d. jest chybieniem celu sztuki, a nawet nigdy osiągnione być nie może, tak też w poezyi opisanie wyrazami wszystkich drobnostkowych szczegółów żadnego nie ma znaczenia: bo w sztuce to jedynie miejsce mieć może, co służy do wyjawienia ducha; te zaś drobnostki o tyle mogą wchodzić do sztuki, o ile są środkiem pomocniczym do oddania wewnętrznéj muzyki duchowéj. Tak np. figury, odmalowane mistrzowską ręką Walter-Skota, unaoczniają nam ducha ich; a zarzuty, czynione mu iż zanadto tonie w tych drobnostkach, o tyle tylko słuszne być mogą, o ile te szczegóły stają się zupełnie obojętne i nie służą więcéj do uwidomienia nam duchowéj strony człowieka. Góral szkocki Walter-Skota staje przed duszą czytelnika niby żyw: jest to człowiek, którego dusza i ciało, kraj i suknie, z jednéj sztuki odlane i do siebie należą. Podobną drobną rzeczywistością, odbywającą się powszednią koleją, są codzienne sprawy człowieka: spanie, jedzenie,

picie, ubieranie się. Patrząc na dramat, żądamy czynów i postępowania do wątku dramatu należącego, ale nie pragniemy bynajmniéj, by figury dramatyczne oddawały się przytém sprawom powszednim, wszystkim ludziom spólnym. A jak do teatru nikt nie chodzi, by np. w scenie wiejskiéj widział wystawione nawozy przed chatą i kałużkę z kaczkami, tak téż nie pragnie tam widzieć rzeczywistości naśladowanéj w rubasznych obyczajach, brudnéj odzieży, plugawych piosnkach, ułożeniu i giestach godnych kordegardy, choćby to wszystko było jak najnaturalniéj udawane. Nawzajem, również jest przewinieniem pojmowanie odwrótne: jeżeli np. wieśniacy na scenie mówić i ruszać się będą, jak dworzanie Ludwika XV. Powinno być uduchowienie ideału, zarówno jednak ma prawo indywidualność i prawda.

Jeżeli zaś poezya lub obraz wprowadza codzienne czynności ludzi, toć iście nie dla tego, iż one są rzeczywiste, lecz dla tego właśnie, iż nadać mogą barwę i charakter figurom, oraz wyświécić indywidualność ich ducha. A co nie służy ku temu celowi jest w sztuce płaskiém, jałowém i nizkiém. Słyszę w myśli, iż pomijając obrazy obyczajowe wyższego rodzaju, przypominasz mi w téj chwili onych Hollendrów, co to będąc arcymistrzami swéj sztuki, wprowadzają nas w najniższe, ba, w najplugawsze sceny plugawego życia.— Ta sztuka tutaj zrzuciła pychę z serca, i awanturuje się po szynkowniach, kordegardach, karczmach, wśród dymów fajek gipsowych, wyziewów piwnych, hucznych opilców, rubasznych śpiewów, bijatyk, kart, dzbanów, kijów, krzyków, a przecież te obrazki jasnéj sławy są klejnotami nieoszacowanemi każdéj galeryi.

Patrząc się na te bamboccyady pełne fantazyi ochoczéj i kipiącéj swawoli mistrza, przyznaję ci z serca, iż nie zasługują na to, by przejść około nich pogardliwie i z góry się patrzéć zadziérając nosa. Albowiem pod ową swawolą a gburowatością wierutną ukrywa się inny duch prawdziwego geniuszu. Rzekłbyś, że to najniższa rzeczywistość,—jednak przekonamy się, iż właśnie ich istotą jest oderwanie się od rzeczywistości i wzniesienie nad świat doczesny; zobaczysz, iż te ich obrazy i figury, przy całém zachowaniu prawdy i indywidualności, pomimo że są ścisłą rzeczywistością a nie kłamliwym wymysłem fantazyi, są jednak istotnie ideałem. Bo téż trzeba zrozumieć i lud ten, i ochotę jego i mistrza, co zawtórował pęzlem życiu temu. Ba, nie jest to rzeczywistość goła, lecz poezya, śpiéw radośny, śpiéw, co z serc wykipia; jest to tryumf z odniesionych zwycięztw. Bo widzisz, ten ich kraj, co tak świeci schludnemi domkami ze szlifowanych cegieł, ślniących mosiądzów i jasnych szyb, i miasta ich, co tak rześko pracują, handlują i myją się, zamiatają i płuczą od rana do wieczora, i siéć onę kanałów rozciągnioną po ich ziemi całéj, i te majowe łąki, i lasy i gościńce; otóż to wszystko stworzyli ci sami Holendrzy, i syny ich, one proste gbury, co tak na obrazku hałasują, biją się, i piją i wrzeszczą. Oni kraj swój wydarli morzu, bo fale szturmujące ich ziemię złamały się o twierdze holenderskiéj tamy; piędź po piędzi ci ludzie zdobywali na oceanie ojczyznę swoją, i wzięli nad nim górę, i już się go nie boją i są panami jego. Gdzie było morze, tam stoją te karczmy ich, więc mają prawo do hulatyki w tych szynkowniach swoich. Aleć zaiste i ta wojna z Hiszpa-

nią, tak szczęśliwie skończona, dała powód do radości téj. Więc się téż ochotniéj radują i swawolą: a któż im tedy za złe weźmie, że niekiedy i miarę przebiorą i skrewią dobremu smakowi.

A i te mistrze, co te obrazki malowali, otóż i oni tak czuli, tak się radowali i śpiéwali. Masz np. *Adryana Brauwer*, którego obrazy, będąc w Dreznie, spotkać po kilka razy mogłeś. Otóż on, młodym chłopcem będąc, zaczął karyerę swoją od tego, iż uciekł swojemu mistrzowi i przystał w służbę do szynkarza w Amsterdamie; a wolał koleżeństwo z hulakami i opilcami, niż ofiarowany sobie dom świetnego Rubensa: więc pił, fajkę palił, malował, grał, bił się i hultaił, i znów malował, a malował w karczmie i karczmę; a znać, gdy spójrzysz na jego obrazy, iż ta grubijańska opiła hołota jest jego przyjacielem od serca, że ona jest sobie z nim brat za brat. Ale w końcu zachorował z rozpusty i umarł w 32 roku życia w szpitalu w Antwerpii, gdzie został pogrzebiony na cmentarzu zmarłych na dżumę. Rubens poszedł na grób niewdzięcznego ale drogiego ucznia, zapłakał rzewnie nad tym grobem, i biédną trumnę jego z ziemi dostawszy sprawił mu pogrzeb uczciwy i pochował w klasztorze OO. Karmelitów.

Krótszą drogę obrał sobie *Jan Steen*, bo nie potrzebował kojarzyć się z karczmarzami, gdyż sam został szynkarzem;— ale nie ubliżaj mu, nie dla zysku pieniężnego on to uczynił, boby się to sprzeciwiało geniuszowi prawdziwego artysty, tylko tak sobie ze smaku obrał to powołanie. Lubił wesołe towarzystwo, kompanią ochotną, więc z nią pił, częstował się, a wypijał sam więcéj niż goście: więc zysku nie szukał. A gdy zabrakło

i w beczkach wina, i w mieszku gotówki, wnet sobie poradził: bo namalował co tchu kilka obrazków, sprzedał i znów hulał sobie. A podobno tak przehulał życie swoje całe, i tak z kuflem je wychylił.

Z grobu atoli tych hulaczów wyrosły nieśmiertelne kwiaty: ich sława i imie. Przecież tak ten jak i tamten drwili sobie z rzeczywistości i z siebie: byli to poeci i filozofowie, ale poeci i filozofowie osobnego rodzaju. Dla nich życie i rzeczywistość były Ostatnim Wtorkiem, maskaradą huczną, combrem tłustoczwartkowym, na to dobre, by je przehasać, z dymem lulek puścić i przepić. A że oni właśnie chwycili to życie karczemne z taką wysoką ironią, z taką kipiącą fantazyą, że oni ten nizki świat tak genialnie pojęli, że uchwycili poetyczność wśród onych pijackich dymów fajczanych, wśród téj hołoty, toć dowodzi, że oni byli wyżsi od tego świata, który malowali, że górowali nad nim geniuszem swoim, i to właśnie ich czyni artystami, i to właśnie czyni te obrazki prawdziwemi dziełami sztuki. Patrz na te twarze, na te postacie na ich obrazkach: one zerwały z rzeczywistością, wesołość ich tak jest serdeczna, iż niby po za tą karczmą utonął cały świat z kłopotami swojemi. Wszystkie ziemskie wielkości i co tam się świeci, wszystko za izbą tą brudną przepadło; kufel i bójka, to dla nich perpendykuł świata, a fajka i śmiechy, to wszech rzeczy grunt. Dla tego téż oni tak huczni, tak weseli, tak niezawiśli, żebyś rzekł, iż to bogowie światowładni Olimpu, zebrani w szynku na piwie. A największe złe, które te bogi sprawują i na co się narażają, są kułaki i guzy: a cóż to u nich złego? to frachy i roskosze! Wszak i Homerowi bogo-

wie mieszają się do bitew ludzkich, nawet ciskają na się kamieniami, a choć trochę zajęczą, toć znów w zgodzie zbiérają się w pałacu złotym Jowisza, piją sobie na zgodę nektar i jedzą ambrozyą.

Otóż te prostaki holenderskie nieokrzesane, pełne grubasznych dowcipów, przyćmione wódką i piwem, stosowniejszym są przedmiotem dla sztuki i bliższym ideału, niż te wierutne a eleganckie urwisze, z gruntu serca przegniłe łotry, błyszczące świetnością w romansach francuzkich.

W Monachium, w pinakotece masz podobnie owych sławnych uliczników hiszpańskich *Murilla,* słusznie bardzo stawianych w tym względzie za przykład. Na jednym obrazie dwóch gra w kości, trzeci bawi się z pieskiem; na drugim dwóch się zebrało, jeden zajada smacznie winne grona, drugi melon; a taka na tych twarzach wesołość, takie zadowolenie z siebie i świata, żebyś rzekł, iż oni tego całego świata króle, albo najmniéj jakie sułtany, istoty z jednéj sztuki, całe, niezależne od nikogo; nic ich nie obchodzi; a kłopot, a bogactwa, i świetność i dostojności, to bajką u nich. Żadna troska nie łączy ich z rzeczywistością, a dusze ich pełne swobody, radości, występują rumieńcem na lica: a po przez łachmany świeci wartka życia roskosz i poetyczne poniewieranie światem realnym. A *Stachowicz?* tu już nie mówmy o fizyonomii, bo téj nie ma w obrazach Stachowicza. Kilka krések, na przypadek i śmiéch rzuconych, stanowi jego twarze; patrz zaś na kontury i zarysy jego figur, tu życie, tu prawda. Widzisz to krakowskie wesele, słyszysz głos cymbałów i dudy, i skrzypka, co sobie rznie od ucha, i krzesanie podkó-

wek, i brzęk kółek u pasa; słyszysz, jak pan młody i drużby krzykają, a tak téż tym parobkom i dziéwczętom do serca, iż widać, że wierzą, iż nie ma jak oni na całéj kuli ziemskiéj, że oni nie tam lada *jacy tacy*, lecz istotnie *chłopcy Krakowiacy*, że to są ludzie do wszystkiego; zapomnieli i te znoje swoje i te troski, a z głębi duszy swéj wykrzykują i bawią się: i oni z rzeczywistego koła świata wyniesieni w świat poezyi, w świat ideału. Ale bo téż potrzeba było znać Stachowicza. My, będąc dziećmi, widywaliśmy go jeszcze, jak sobie chodził w sutéj sukmanie, z rogatą kipiastą w tył się mającą czapką, i z wysoką trzciną w ręku; a dopiéroż gdy na processyi niosąc baldakim w całym swym blasku występował, patrząc się na ten świat tak jasném, tak miłującém okiem, że znać, iż nim się radością poił. A śmigał téż pęzlem hożym i nagłym, a wszędzie téż z równą ochotą, z równą pilnością malował: czyli to przyszło Woroniczowi ustroić ściany biskupiéj stolicy, czyli salę Jagiellonów, czyli téż na przedmieściu ubrać zewnętrzną ścianę karczmy figurami, choć wiedział, że wnet słoty i śniegi tę pracę jego spłókać miały: bo nie znał swéj wagi, ani swéj wartości; co mu w sercu zagrało, to i wymalował. Nie znał Rzymu ni Drezna, Bóg sam był jego mistrzem i nauczył jak pęzlem kréślić duszy obrazy, tak jak nauczył Drużbackę wiersze składać. Za to téż żadne słoty, żadne dészcze nie spłókają poczciwego imienia Stachowicza ze serca i pamięci ludzi. I w Album pana *Piwarskiego* wiele pięknych rzeczy pod tym względem obaczysz. A co do poezyi, któż nie zabawił się temi obrazami prawdziwie flamandzkiéj szkoły, jak je skréśla w romansach swych np. Di-

kens, którego pióro i figury tak jędrne i pożywne, jak ta ojczysta jego kuchnia angielska; albo Kock lub Kraszewski w pierwszéj epoce autorstwa swojego. Prawda że i w Kocku, i w początkowych powieściach Kraszewskiego, znajdziemy obrazki »wielce« flamandzkie, toć przecież nie ma czego z pedancka moralizować nad niemi, bo lekkość pióra, żart, dowcip, humor, którym ci autorowie traktują przedmioty lekkoduche, paraliżują wszelki lekkoduchy ich wpływ. A byle czytelnik roześmiał się nad temi ich obrazkami, już wtedy komiczność w duszy jego przeważy i zobojętni wrażenia, któreby te płoche scenki mogły sprawić na umysłach młodszych czytelników. Wierzaj, że wiele zależy od sposobu wystawienia rzeczy i że ułomność ludzka, szczerze bez ogródki lecz ze śmiechem zrysowana, przejdzie bez śladu po niezepsutych umysłach, gdy nawet dwójznaczność okazana przez magiczną oponę, oświecona całym bengalskim ogniem fantazyi, omami, odurzy i wzbudzi żyjące w sercu młodém demony. Lecz nawróćmy do naszego przedmiotu.

Otóż i w malarzach hollenderskich i w Murillu i w Stachowiczu, w całéj sztuce tu należącéj natura jest żywcem schwytana; jednak nie ta natura powszednia, mdła, codzienna, ułomkowa, lecz ujęta w swéj poetyczności stanowi istotę tych dzieł. Niezawisłość tych figur od rzeczywistego świata tworzy z nich istoty osobne, całkowite; nie są to zatém ułomki życia, lecz całości.— I tém właśnie te figury różnią się od rzeczywistych, pijących Holendrów, uliczników i parobków krakowskich, iż patrząc się na tych w rzeczywistym świecie, znać jak im życie cięży, że tam dolegliwości ziemskie z oczu im

patrzą, że tam na nich pozostało mnóstwo ułomności znamion, że życie ich jest powiązane i skrępowane niezliczonym tłumem stosunków, co jednoczą ich ze światem rzeczywistym, którego oni są okruchami tylko. Przecież i my wszyscy biédni rzeczywiści ludzie na chwilę zapominamy o naszych troskach, o tych jukach, z któremi się przez życie wleczemy, — atoli to jest wrzkoma swoboda, bo w tych chwilach niby szczęśliwych podobni jesteśmy do ptaka, którego rzeczywistość na długiéj trzyma nitce, a téj iście nigdy się nie wymkniemy. Mimo jednak téj strony poetycznéj w owych wspomnianych obrazach, są one żywą prawdą; nie są to bezuzdnéj fantazyi dzieła, lecz istotnie żywe Holendry, najrzetelniejsze uliczniki, istne Krakowiaki z całą indywidualnością i prawdą.

Widzisz więc w całym wątku listu tego, dotychczas przebieżonym, potwierdzenie pojmowania naszego o ideale. Powiedzieliśmy, iż ideał jest pogodzeniem ducha i rzeczywistości, iż on zrywa stosunki z doczesnością, że jest całością duchową w sobie, a przecież nie może być wymysłem samowolnym fantazyi, lecz zachować winien prawdę, indywidualność. Są to dwa główne pierwiastki ideału, dwa jego konieczne warunki. A widziałeś zastosowanie ich, gdyśmy wspominali powyżéj o portretach, jestestwach żyjących, okolicy, góralach szkockich, wystawie scenicznéj, mistrzach niderlandzkich, Murillu i Stachowiczu; a dalszy ciąg listu tego jeszcze więcéj nam tę istotę ideału unaoczni.

Jeżeli już w téj sztuce obyczajowéj, co w izbie czeladnéj u piękności przesiaduje, rzeczywistość dla ideału nie wystarcza, témci mniéj we wznioślejszych sfe-

rach sztuki. Jakoż opuszczając już obrazy i powieści obyczajowe wyższego rodzaju, zwracam uwagę na obrazy staréj szkoły niemieckiéj i niderlandzkiéj, na one arcydzieła, jakie nam zostawili upominkiem obaj *van Eycki*, *van der Goes*, *Messis*, *Schoreel*, *Dürer*, *Holbein* i tylu innych — i jakie znaleźć możesz w zakrystyi naszego kościoła Maryackiego. Otoż ze słusznością zaiste tym starym Niemcom i Niderlandczykom zarzucają zbytnie trzymanie się rzeczywistości. Za piérwszym rzutem oka na to koło apostołów i mężów świętych przez nich malowanych, znać, iż to żywe portrety; twarze ich jawnie niemieckie i wprost z życia wzięte, i w obraz postawione; ale również znać, iż to jakiś świat wyższy tchnął na te oblicza i zdmuchnął z nich prochy doczesne. A ten wyższy ich świat poznasz, gdy porównasz tych apostołów i świętych z fundatorem obrazu, z człekiem świeckim, umieszczonym także niekiedy obok nich na obrazie. Choć on klęczy i ręce pobożnie składa, i na twarzy pełen bogobojności, serdecznego nabożeństwa i ducha chrześciańskiego, toć przecież znać, iż to jest człowiek, co się z życiem ziemskiém zmierzył, a potykał się z niejednym trudem.

Bo któż zaprzeczy, iż wiele np. twarzy w rzeczywistości, albo prawie wszystkie, zdołają wyrazić skromność, bogobojność, skruchę: mogłyby się tedy nadać do obrazu religijnego; — ale coż z tego wszystkiego, kiedy oprócz téj skromności, skruchy, bogobojności, te twarze wyrażają wiele innych jeszcze uczuć, pochodzących z ich rzeczywistego życia, z passowania się ze światem — nie mogą być tedy żywcem przeniesione w ideał; bo w nim to jedynie być powinno, co jest

ducha wyrażeniem; co nadto, jest niepotrzebne, a zatém psujące całość. Trzeba tedy wynieść te figury z rzeczywistości, poprzerywać ich stosunki ze światem rzeczywistym, uczynić je niezawisłemi od niego.

Co tu o obrazie i rzeźbie mówimy, stosuje się i do poezyi. Znajdziesz w historyi ludzi zdolnych być bohatérami w epopei lub tragedyi, a w życiu zwyczajném spotykasz ludzi mogących być wybornie przedmiotem romansu lub komedyi: ale rzecz jasna, że przenosić ich w sztukę zupełnie nie można w téj formie właśnie, jak ci się w rzeczywistości podobają. W sztuce wyświécisz ich charakter poetyczny, podniesiesz ich do potęgi, a obierzesz ze wszystkich czczych drobnostek, rozpalisz ich barwę właściwą, czyniącą ich dla sztuki osnową. Anibym się ważył przeczyć, iż wiele jest dam, nawet z tych, które mamy szczęście znać, mogących być z piękności swojéj śmiało przeniesionemi w obraz, służyć za modłę jakiéj Minerwy, Junony, Wenus: ale cóż, gdy na twarzy tych rzeczywistych dam wiele jest jeszcze wyrazu, nie mającego najmniejszéj styczności z błogim Olimpem. Cóż dopiéro mówić o sztuce chrześciańskiéj, gdy przyjdzie stworzyć figury świętych postaci? Czyliż w obrazie np. Najświętszéj Panny, tylko o samą piękność cielesną chodzi? a nie raczéj o ducha, który oblicze Matki dziewicy przeświéca, co gore najczystszą miłością macierzyńską ku dziecięciu swemu, tudzież przejęta jest grozą uszanowania dla Boga swojego; a uczucie niegodnéj służebnicy i szczęśliwość niebiańska Boga-Rodzicielki waży się w tém obliczu nadziemskiém. Ta ducha niepokalanego wysokość jest wzniesiona ponad gwiazdy i serce człowiecze i nie może się wyja-

wiać na twarzy niewiasty rzeczywistéj, choćby najwyższych uroków, bo w téj, oprócz piękności, świeckie i światowe stosunki, cierpienia i roskosze, żale i nadzieje ziemskie ciężkiém przeleciały skrzydłem.

Widzisz tedy, iż ideał mistrza nie przebywa w tém pstrém a zmienném kole zewnętrznego świata, on go z głębi swojéj fantazyi dobyć powinien. Czuł tę prawdę ów kochanek a namaszczeniec najwyższéj piękności, Rafael, co w liście do hr. Castiglione przy sposobności Galatei swéj tak się wyraża: »Io mi servo di certa idea che mi viene al mente.« — Zaprawdę, ta to idea jego niebiańska, w tajnikach jego istoty świécąc, zjawiła mu się przed oczyma duszy w postaci Boga-Rodzicy, odzianéj całym cudem niebiańskiego uroku, w postaci lekkiéj, powietrznéj, zrodzonéj z woni rajskich kwiatów i westchnień aniołów: a tak stworzone są Madonny jego. Uważ, iż po wszystkie wieki ideał wypływa z toni ducha mistrza, bo zrodzony jest z głębi jego fantazyi: tak było i w świecie pogańskim, w sztuce greckiéj; patrz na on złoty piękności wiek Hellady, gdy Peryklesa, jakby gwiazdy jasne, otaczał wieniec wielkich ludzi. Jedną z tych gwiazd był Phidias, którego duch, na olbrzymią miarę stworzony, ogarniał sobą cały piękności świat. Cycero, ów Rzymianin, co pochylony nieszczęściem kraju swojego, w szaréj godzinie życia i ojczyzny, lubił marzyć o Grecyi i tęsknie obziérać się na lata tam spędzone w młodości swéj, temi słowami wyraża się o ideale i Phidiasu: »Już ja tego »nie jestem zdania, iż w żadnym rodzaju nie ma nic »tak pięknego, nad coby nie można pomyśléć wyższéj »jeszcze piękności, któréj tamto jest tylko niby odbi-

»ciem i wizerunkiem. Ale téj wyższéj piękności, ani »oczami, ani słuchem, ani żadnym zmysłem dostrzedz »nie podobna: zdołamy ją tylko pojąć myślą i duszą. »Tak lubo zaiste nic doskonalszego widzieć nie można, »jak posągi Phidiasa i obrazy wyżéj przeze mnie wspo»mniane, ale przecież w duszy jeszcze piękniejsze wy»obrazić sobie można. Ani téż Phidias, gdy tworzył »Jowisza lub Minerwę, nie zapatrywał się na nikogo, »biorąc sobie go za wzór do naśladowania: lecz w du»szy jego tkwiła najwyższéj piękności modła jakowaś, »w którą się wpatrując, w któréj tonąc mistrz, ku niéj »kierował rękę i sztukę swoją.« (*) Wyznaj, iż ustęp ten jest arcy ważny, i dla tego ci go w całości przytoczyłem. Widzimy wyraźnie, iż owa »certa idea che mi viene al mente« Rafaela, i ta Cyceronowa czyli Phidiasowa »mente insidens species pulchritudinis quaedam«, są zupełnie jedno i to samo, są ideałem. Przypominam ci tutaj owo wzniosłe stanowisko Platona, pojmującego ideał jak przypomnienie duszy z olimpijskiego żywota *(ob. List VI)*. A Phidias, Rafael i Plato są zaiste powagą w państwie sztuki. Widzisz tedy, iż ideał nie jest zbiorem piękności porozrzucanéj po wielkiéj liczbie postaci rzeczywistych, ale że w całości

(*) Sed ego sic statuo, nihil esse in ullo genere tam pulchrum, quo non pulchrius id sit, unde illud, ut ex ore aliquo, quasi imago, exprimatur, quod neque oculis, neque auribus, neque ullo sensu percipi potest: cogitatione tantum et mente complectimur. Itaque et Phidiae simulacris, quibus nihil in illo genere perfectius videmus, et his picturis, quas nominavi, cogitare tamen possumus pulchriora. Nec vero ille artifex, cum faceret Jovis formam aut Minervae, contemplabatur aliquem, e quo similitudinem duceret: sed ipsius in mente insidebat species pulchritudinis eximia quaedam, quam intuens, in eaque defixus, ad illius similitudinem artem et manum dirigebat. (Cic. Orator.)

z ducha wyrasta, że jest zrodzeniem fantazyi natchnionéj, że jest w zachwyceniu jéj poczętym.

Lecz jeżeli istotnie ideał jest rzeczywistością uprowadzoną przez fantazyą mistrza w nadziemskie ducha krainy, jeżeli iście z téj rzeczywistości spadają okowy ciężkie rzeczy tutecznych, jeżeli ustaje i rozrywa się wszelkie pokrewieństwo z doczesnością, jeżeli ideał się staje osobną niezawisłą całością: więc niedziw, iż téż do tych wysokości nie dochodzą westchnienia ziemskie, że tam nie zagości rospacz bez nadziei, ani boleść bezdenna. Dzieła sztuki, mówi Schiller, ideały, są to cienie i duchy tamtego świata, mieszkańce niecierpiętliwe pól elizejskich. Więc już rozumiesz, iż wszelkie boleści rozdziérające serce, wszelka rozpacz i wszelkie cierpienia bez granic, nie mają miejsca w sztuce. Ideał ma swoje cierpienia, i boleści i łzy: bo jest z rzeczywistości wzięty, ale one łagodzone są ducha poświatą; a duch jest nieskończony, a duch jest nieśmiertelny, więc téż i cierpienia i boleści zniweczyć go nie mogą. W życiu rzeczywistém człek upada pod brzemieniem swych nieszczęść, wije się w prochu poniżenia swojego, sęp boleści wbija w duszę rany nieskończonego żalu, serce pęka, i śmierć pełna rozpaczy kończy niekiedy żywot nasz. Lecz w ideale poprzez łzy i cierpienia świéci nieśmiertelna ducha szczęśliwość. Bo ideał jest rzeczywistością i duchem zarazem; w nim styka się doczesność i świat tameczny, znikomość i wiekuistosć; on nie podlega tedy boleści i nieszczęściu bez granic.

Jak muzyka nie wyraża boleści krzykami, jękami szorstkiemi i przeraźliwym rażącym dźwiękiem, ale

boleść ciężka, twarda, topniejąc tonami pełnemi ciepłéj harmonii, rozpływa się rzéką melodyi tęsknéj, rzewnéj; podobnie harmonia i piękność ideału uświęca boleść w innych sztukach wyrażoną, jako w malarstwie, rzeźbie i poezyi: jest to wielko-środowe kwilenie się płaczących aniołów nad śmiercią Syna Bożego w kaplicy syxtyńskiéj w Rzymie, gdy z każdym psalmem jedna z trzynastu świéc na ołtarzu gaśnie, niby gasnące gwiazdy w przebitém sercu Matki Bolesnéj. Spójrzyj na rzeźby greckie, a wszędzie znajdziesz, iż rozpacz, skon i całe okropności, rozdzierające dusze rzeczywistych ludzi, w ideale miejsca nie mają. Nawet bardzo wątpliwą jest rzeczą, czyli usta otwarte samego Laookona otoczonego wężami znaczą krzyk mniéj szlachetnéj rozpaczy. A w tragedyach onych starych wieszczów greckich masz tego cudnéj piękności przykłady; we wszystkich powiéwa duch pociechy, a nieśmiertelny wieniec spuszcza się z obłoków na skronie umierających bohatérów. Rozumiem, że nic tak nie maluje pojmowania Greków w téj mierze, jak *Oedipus w Kolonos* Sofoklesa. Oedipus bez wiadomości obciążył się podwójnym grzechem, bo kazirodztwa i ojcobójstwa zbrodnią. Gdy prawda ta w całéj okropności swojéj stanęła przed duszą jego, gdy wejrzał w całą otchłań nieszczęścia, gdy od srogich synów z tronu wyzuty, własną ręką dotknął się oczu swoich, wydarłszy je z ich stolicy, wypuścił z duszy jasny wzroku zdrój, i samowolnéj ślepocie się poświęciwszy, wiekiem i okropnością zsiwiały starzec, o kiju idzie w świat daleki, obcy, szukać przytułku. Początek naszéj tragedyi zaczyna się właśnie od chwili, gdy Oedipus, na córce swéj Anty-

gonie wsparty, doszedł świętego gaju poświęconego Eumenidom, onym boginiom pełnym zgrozy. Wątek jéj zupełnie prosty, ale najwyższéj piękności. W cieniach nocnych gaju tego jest wstęp do podziemnego państwa, kędy już nie ma boleści, a oddech tamtego świata chłodzi cierpienia. Tu czekają go bogowie, by się z nimi i z sobą pojednał, i uprowadzają ze skwaru doczesnego żywota w państwo nieznające łez. A gdy córki rozpaczają, iż w samotności na świecie zostać muszą, pociesza je chór, mówiąc: »Gdy łaską rozwiązały się kończyny żywota jego, uciszcie więc boleści głos. Wszak każdy tak snadnie w nieszczęście wpada!« — A Tezeus późniéj dodaje: »Utulcie wołanie żalu! ani dzieci ubolewajcie nad ojcem, bo łaskawość świętą obtuliła go ziemią, a bezbożnością byłyby skargi i płacze.« Iście, śmierć bez cierpień i boleści, gdy człek pod skrzydłem bóstwa w inny świat się przenosi, jest najwyższém szczęściem, które człowieka na tej ziemi spotkać może.

Tak w starożytnéj literaturze, zwłaszcza w Sofoklesie, znajdziesz nieprzebrane skarby téj wysokiéj poezyi. A radbym téż kiedy mieć sposobność porównania w tych listach moich Sofoklesa, największego wieszcza świata dawnego, z Shakspearem, największym poetą literatury chrześciańskiéj. Tu atoli, nie zbaczając z osnowy mojéj, przypominam, jak Shakspeare, mając w tętnie i we krwi uczucie najwznioślejsze ideału, duchem swoim, jakby instynktem, odgadł i zrozumiał ducha przeczystéj piękności, rzucającéj kwiaty czarodziejskie na cierpienia okropności pełne. Tak w *Romeo i Julia,* w końcu, gdy już — już cała czynność śpieszy do rozwiązania swojego, Romeo widząc Juliettę swoją w gro-

bowcu martwą i bez życia — powiada: »Bo tu spoczy- »wa Julia, a piękność jéj napełnia ten nocny śmierci »przybytek jasnością promienną. Czyliż ludzie, sta- »nąwszy nad śmierci progiem, raz jeszcze rozweselą »się radością? Świadkowie umiérających powiadają, »że to jest niby ostatnia błyskawica w śmierci obliczu. »Och, jabym wesele to moje nazwał błyskawicą taką! »żono moja! Śmierć, co wyssała słodycze tchu twoje- »go, nie wywarła swéj potęgi na cuda uroków twych. »Ona nie odniosła jeszcze nad tobą zwycięztwa; ozna- »ki piękności purpurem powiéwają jeszcze na ustach »i na licach twoich. Tu nie posunęła się skonu chorą- »giew blada.... Tutaj ja zostanę i już nie opuszczę »tych ciemności pałaców, tu złożę ciężkie zwłók brze- »mię, i strącę jarzmo nienawistnych gwiazd z ciała »znękanego światem. Wy oczy, spojrzyjcie ostatniém »spojrzeniem! wy ramiona, weźcie uścisnienie ostatnie! »i wy usta, oddechu wrota, ucałowania waszego pie- »częcią potwierdźcie wieczny zapis lichwiącéj śmier- »ci!« A w końcu dwaj ojcowie wrogich sobie rodzin, Capuletów i Monteków, nad ciałem dzieci podają sobie ręce; ich nienawiść spaliła rozpacz. *Capulet:* »Bracie, podaj mi rękę bratnią« i t. d.

A w *Hamlecie*, gdy Hamlet umiéra, Horatio powiada: »Teraz pęka szlachetne serce — dobra noc królewiczu drogi!« W tych kilku a prostych wyrazach zebraną jest cała treść życia i skonu. Tak, gdy opona zapadnie na ostatnią scenę tragedyi, każdy rzeknie: *wykonało się*, i położy kwiat na trumnie ofiary doczesności.

Przypatrzmy się wszystkim wielkim mistrzom, a wszędzie obaczym boleść uszlachetnioną, uzacnioną; bo

chmury, słoty i pioruny ciągną nad dolinami ziemskiego żywota; do jasnych zaś szczytów ideału nie dochodzą ani słoty, ani chmury czarne, ani gromy piorunów, a ze suchego drewna krzyża cierpień doczesnych wyrastają wonne niebios uciechy. Ale poezya, już dla saméj istoty swojéj, może rozedrzéć tajnice uciech naszych, bo je znów następnie ukoić i ułagodzić zdoła, bo płynąc rzéką swych harmonii unosi nas, to przez czarne i pełne zgrozy przepaści skalne, to znów wyprowadza w promieniste szérokie doliny, lub przypływa w cienie gajów świętych, gdzie rozbolałe serce nasze, jakby Edyp, jedna się z Bóstwa majestatem, co przebywa w toniach serca naszego. Rzeźba jednak i malarstwo, mogące jedną tylko chwilę uchwycić i tę już na zawsze w dzieło wcielić, trudniejsze mają powołanie. Żołdactwo i siepacze, otaczający Chrystusa Pana, we formie jak ich widzimy na dawnych obrazach niemieckich, są jakby dźwięki przeraźliwe fałszywéj struny wdziérające się w harmonią ideału. Najwyższy geniusz tu jedynie poradzić przedmiotowi tego rodzaju zdoła.

W téj chwili przypominam sobie dwa obrazy jednego i tego samego mistrza; oba są arcydziełami *Girodeta*, oba po dziśdzień jeszcze zbiérają w Paryżu tłumy czcicieli około siebie, oba nam się za przykład nadadzą. Jeden wystawia scenę z potopu, drugi scenę z Atali. W piérwszym wody zalały świat; na przodzie trup, kołysany igrą rozhukanych bałwanów;— samotna stroma skała stérczy wśród oceanu — na niej wyrasta drzewo. Mąż w sile wieku, dźwigając na barkach swoich ojca strętwiałego starca, jedną ręką trzyma się

onego drzewa, drugą podaje młodéj i pięknéj małżonce, przytulającéj niemowlę do piersi swoich. Lecz syn starszy, chwyciwszy z przestrachu włosy matki, przechyla ją wstecz; — ona traci równowagę; małżonek z wyrazem okropności, natężając ostatnich sił, zatrzymuje przepadającą żonę: wtém drzewo ciężarem nagięte łamie się,— i cała ta gruppa osób już, już spada w otchłań przewalających się fali. Jest to scena wstrząsająca sercem do dna, i, mimo mistrzowstwa swojego, rani duszę dźwiękiem przeraźliwym i pełnym okropności. Wręcz przeciwne wrażenie sprawia drugi obraz *Girodeta,* wystawujący pogrzeb Atali. Widz postawiony niby w jaskini ciemnéj, obliczem do jéj wchodu obrócony; na przedniém tle, pod jaskini sklepieniem, wykopany grób. Chaktas i pustelnik, spuszczają ciało dziewicy w łono ziemi. Młodzieniec, roztopiony cichym wewnętrznym płaczem, przytula twarz swoją do kolan umarłéj kochanki, a starzec w niemej boleści cofnął w głębie duszy serca smutek. A w dali, na jasności lasem obrosłego pagórza, świéci krzyż,— koniec boleści wszelkiéj.

Znasz zapewne »zaśnięcie Najświętszéj Panny«, tak pełne słodyczy arcydzieło Schoreela; tu we figurach naokoło stojących nie ma rozpaczy; albo się wpatruj pilnie w ołtarz wielki Maryackiego kościoła i podziwiaj tę świętość i błogość figur otaczających Boga-Rodzicę, co, chyląc się ku ziemi snem znękana i tonąc w marzeniu anielskiém, porzuca życie doczesne. Radbym iście mieć jeszcze sposobność pomówienia z tobą széroko o tém niedościgłém dziele sztuki.

Sztuka oddycha na wysokościach, kędy nie docho-

dzi okropność ziemskiego żywota: tu nie dosłyszysz krzyku rozpaczy bez końca. W komedyi nawet, kędy przecież jedynie o żarty chodzi, rzecz nie powinna się rozwięzywać zponiewiéraniem zupełném figur. Tu komiczność, a wcale nie obracanie w śmiészność, nie szyderstwo, drwiące sobie kosztem drugich, miejsce mieć może; bo komiczność, lubo wykazuje obłąd ludzi, przecież unika zniweczenia zupełnego figur swoich. Potrzeba, żeby figury komedyi, choć się przekonają o swéj pomyłce, ostać się jeszcze w sobie mogły, żeby zdołały przenieść na sobie i przetrwać przeciwny im obrót rzeczy. Ztąd wynika, iż ludzie z gruntu źli i ladaco nie mogą być nawet i w komedyą wprowadzeni. Komiczność bynajmniéj nie na tém stoi, by zgnębić, zetrzéć złośliwość i brudy moralne, lecz raczéj na tém, by wykryć sprzeczność w jakiéj się niekiedy stawia indywidualność człowieka z prawdą ogólną lub rzeczywistością. Najwyższym przykładem komiczności jest *Don Quischot;* tu ciągle występują te sprzeczności: wszelako, wśród zawrotów umysłu i mgły obłąkania, strzela błyskawicą światło szlachetnéj i zacnéj duszy. A dopiéro ów nieporównany *Sancho*, co jakby odwrotnym biegunem pana swojego i wręcz jemu przeciwny będąc, jest najgenialniejszém dopełnieniem, bo stroną odwrotną jego.

Nie tu miejsce, bym rozbierał istotę komedyi i komiczności; podam tylko dwa przykłady z naszego Fredry. Któż nie podziwiał arcydzieła jego *Damy i Huzary?* Otóż pan Major, pan Rotmistrz i Grzegórz, wygadują naprzód na małżeństwo i kobiéty, pod niebiosy wynosząc stan wolny i roskosze jego: niebawem zjazd panny Zofii, panny Anieli i Fruzi, miesza szyki Huzarom.

Każdy z tych panów staje w sprzeczności ze sobą samym i widzi śmiészność swoją i błąd, iż nastawał na małżeństwo jako prawdę ogólną, bo huzary kochają się, chcą się żenić, i w tém druga pomyłka: bo w ich znów wieku małżeństwo staje się niedorzecznością. Komiczny zbieg okoliczności, wyrazy starego Remby, stawiają ich w końcu powtórnie w położeniu komiczném względem siebie samych; jakoż poznają znów sprzeczność między postanowieniem swojém a rozsądkiem. Wracają więc do rozumu, widzą pomyłkę swoją i pobłądzenie: ale choć ich prawda zwyciężyła, nie zabolała ich do żywego; znoszą ją wesoło i z lekkiém sercem żartują sami z siebie. Tak gdy pełni radości cieszą się z sobą i śmieją, a pani Orgonowa wchodząc pyta się: »Cóż tu za wiwaty?« Rotmistrz wesoło odpowiada: »Obchodzimy powrót rozumu!« A zacny Major kończy rzecz całą zarysem pełnym szlachetności. Przeciwnie w komedyi *Odludki i Poeta* rzecz inaczéj ułożona: bo rozwięzuje się na tém, iż Czesław z twarzą zmartwychwstałego staje się dobroczyńcą młodych kochanków, a Astolf, drugi odludek, smętniejszy jeszcze, powiada:

„Sam, sam jestem na świecie, postrzegam w téj dobie,
Ten równie nieszczęśliwy pociechę otrzyma,
Dla mnie tylko natura i uśmiéchu nie ma.
...... Koni! bo sobie w łeb strzelę!„ (odchodzi).

W tém wszystkiém przeto nie ma nic komicznego, jak mi sam przyznasz; ten Astolf to człowiek moralnie zabity, wskróś zniweczony. Mniejsza atoli już o odludku. Im więcéj wpatrzysz się i wczytasz w dzieła Fredry, tém coraz nowych dostrzeżesz skarbów prawdziwéj komiczności; i zaiste nie wiedzieć co w nim więcéj podziwiać,

czyli tę jego głęboką znajomość świata, życia i serca ludzkiego, czyli téż mistrzowskie użycie tych nabytków i prawdziwie artystyczne ich powiązanie. Myślę że i najbogatsza z literatur europejskich jeszcze mogłaby się poszczycić pisarzem, jakim jest Fredro.

Otóż rzuciłem ci główne zarysy istoty ideału w ogólności uważanego. Ale ta istota jego winna być zastosowana do oznaczonego dzieła: wymaga tedy określenia w szczegółach.

Zradza się zatém tutaj przedewszystkiém pytanie, w jakich różnych sferach mistrz może znaleźć ideał swój? Jak stwórcza siła wiekuistego Ojca objawia się w błyskawicznych pomysłach wielkiego człowieka, i w drganiu proszku zawieszonego na słonecznym promieniu, tak twórczy duch mistrza uobecnia się równie na najwznioślejszych ducha jaśniach, jak na zapadłych poniżach natury; wszędzie zdobywa sobie swój przedmiot i wszędzie zatyka sztandary zwycięztwa i podbojów swoich. A ztąd powstają różne sztuki stopnie.

W świecie dawnym nie ma jeszcze wyraźnego stopniowania między sztuką; bo tu rzeczy Boskie i ludzkie zwinięte z sobą drzémią, a świat wiekuisty i doczesny jest nierozdziérzgniony z pierwotnéj swéj jedności; człowiek przez sen swych zmysłów marzy, a Bóstwo z łona ziemi przemawia wyroczni ustami; Olimp wesołą drużyną swych Bogów otacza młodzieńczą myśl świata. Tu człowiek nie doszedł jeszcze do rozróżnienia rzeczy niebieskich od ziemskich, nie doszedł do wyraźnego poznania różnicy między sztuką religijną a światową; ta różnica zrodziła się dopiéro, gdy umiérający Bóg spójrzał z wysokości krzyża na świat. Świat po-

ruszył się w swych posadach, a z objęcia sennego zmysłów wywinęła się swoboda ducha i sztuka Religijna. Bo jak na powiewy wchodzącego ciepła i światła zadygocą drzewa i gałęzie i wszystkie liście boru, tak myślą o Bogu zadygocą i drgają serca wszystkich ludzi, wszystkich narodów i wieków. Bóg słyszy i rozumié to serc drganie, i mowę wieków i wszech ludów westchnienia, a świat modli się Bogu najzacniejszemi swéj sztuki dziełami: bo sztuką Religijną, uzmysławiającą świętość. Ale Bóg-Ojciec, Bóg przedwieczny i bezcielesny króluje na wysokościach niedościgłych dla sztuki, a ideał poczęty w duchu człowieczym, choć nieśmiertelném skrzydłem wzgórę się ma, przyciśniony atoli postacią zmysłową ziemską daremnie pracuje, by się wzniósł do Bożéj stolicy na najwyższém niebie. Lecz Bóg-Syn, Bóg wcielony, Zbawiciel, zstąpił ze szczytów wieczności, przybrał ciało, a ideał sztuki stworzył wizerunek Boga-Człowieka. Na miejsce bogów, co rozpłynęły się obłokiem, zajaśniała wśród ludzi postać Królowéj niebiańskiéj, i koło mężów, niewiast duchem Bożym natchnionych, i postacie świętych, apostołów, uczniów, męczenników pańskich; a na miejscu oniemiałéj już wyroczni zabrzmiały jasne proroków usta i rzewnością zapłakały hymny i psalmy swięte.

Chceszli wiedzieć i czuć, czém jest sztuki świętéj, religijnéj majestat?—wstąp do przybytku katedr naszych katolickich, ale wstąp z sercem pełném wiary. Tu w jedno ognisko zebrane, na co tylko sztuka najwyższa zdobyć się może. Jak niemowlę przejmuje się dreszczem radości, gdy głos matki usłyszy, tak dusza zadrży tęsknotą wiekuistości, gdy ją tutaj owieją tchy innych

światów. Tu słupce i kolumny śmiałym strzałem ulatują ku niebu, niby modlitw kamiennych oniemiałe nabożeństwa, a rozwijając się u szczytów jakby gałęzie palm pokoju, łączą się z sobą sklepienia łukami; a w przestrzeniach tych wysokich, rozległych, niby szepty liści gaju, unoszą się uskrzydlone westchnienia i ciche płacze ludu. Przez wyniosłe okna i malowane szyby, grą tysiącznych promieni wpływa światło niebios rozléwające się oceanem po świątnicy, i bije falami wszystkich tonów jasności i cieniów i szarą pomroką wieczora, a łamie się, świéci i cieniuje po gankach wysoko zawieszonych, dzierganych, fantastycznych kamiennych gzymsach..... Jest tu wizerunek rozmaitości i ładu, poetycznéj fantazyi i harmonii. Pokój pański zstąpił w ten przybytek i w serce ludu korzącego się Bogu. Rzekłbyś, żeś stanął w przysionku wieczności; uciechy, boleści i nadzieje doczesne, wszystko w duszy umilkło. A ważenie się uczuć naszych, co wiecznie się w nas kołysze, teraz się przechyla; szala rzeczy ziemskich tonie w zapomnieniu, a szala rzeczy niebiańskich wznosi się wiekuistości nadzieją.— Słuchaj: jęknął grzmiący organów głos; chór zabrzmiał hymnem i psalmem na chwałę Panu na wysokościach, a Pan przybywa na wichrów i piorunów wozie; toczy się muzyka i śpiew jakby bałwany rozkołysanéj powodzi świata, a napełnia przestrzenie wszystkie, odbijając się o sklepienia, łuki i słupce wzniosłe. Świątnica pełna głosów,—to wzdychają, sączą się, kwilą pieśnią tęskną, to znów rosną, wzdymają się i kołyszą burzą i gromem. A w tych głosach słyszysz modły, prośby natury całéj i miryadów ludzi, i tych co byli, i są, i co będą. Tu czas stracił pa-

nowanie, tu wieczność osadziła stolicę swoją. Z pod ostrołukich sklepień głowy słupców zadumane patrzą się na klęczący lud. Na wysokości ołtarza rozpięty Chrystus Pan, obliczem pełném miłosierdzia rozgrzéwa nadzieją i miłością duszę, roztapia najtwardszych serc mrozy strumieniem łez; z nisz i ze ścian świętych jaśnieją malowane obrazy i wymowne postaci niemych posągów, co marmurowemi ustami przemawiają o tajnicach wiary, o głębinach niezbadanych ducha człowieczego i przeznaczenia świata. Tu na téj ziemi żyjesz a widzisz postaci niebiańskie, zaglądasz w życie nieśmiertelne, widzisz je cielesnemi oczyma swojemi i słyszysz słuchem twojego ciała.

Zaiste, tać jest wszechmocna potęga sztuki religijnéj, bo ona jest szczytem sztuki wszelkiéj. Gdy bowiem w sztuce wyraża się nieskończoność i bezwzględna prawda pod postacią zmysłową, więc téż sztuka religijna uzmysławiając najwyższą nieskończoność, to jest Boga samego, staje się zarazem najwyższym sztuki szczeblem. Ideał tu jest w najwznioślejszéj swojéj sferze. Lecz sztuka religijna, jedynie na gruncie wiary serdecznéj urość i rozkwitnąć może; gdzie téj nie ma, nie ma téż sztuki religijnéj. Protestantyzm zrodzić jedynie sztukę historyczną zdoła; a gdy we Francyi lampa wiary się wywróciła, sztuka zajęła się ubóstwianiem, apoteozą człowieka wieku: piastą jéj stał się Napoleon.

Jak słońce jasność swoją nie po samém tylko niebie rozléwa, i na niém zapala gwiazdy niby świéce w przybytku bożym, lecz i na ziemię spływając, gore na szczytach alpejskich, a ztamtąd tonąc w zapadliny ziemskie, zaziéra ciasném okienkiem pod nizką strzechę człowie-

ka; tak i ideał zstępuje na ziemię i stwarza sztukę światową. Czém są w sztuce religijnéj męże święte, duchem bożym natchnione, tém w sztuce ziemskiéj są wielcy ludzie, wielkie figury historyczne, mające już jasną wiedzę tego, co w reszcie świata spoczywa jeszcze bezwiadomie na dnie serc wszystkich, jakby ziarno przyszłéj historyi. Takie figury w dziejach świata wyobrażają w swéj osobie narody całe i całe wieki: a co w innych ludziach jest dopiéro boleścią, nadzieją mglistą, uczuciem, mdłym instynktem, u nich staje się myślą, potęgą zgadującą czasy, co idą, pojmującą pulsa wieku i będącą wyrocznią świata, tudzież wolą silną, działającą. Albo też ideał chwyta ludzi wielkich charakterów, w których potęgą się wzmogła jedna z ciężkiéj wagi prawd, jako: chęć sławy, przywiązanie rodzicielskie, synowskie, cześć dla prawdy i słuszności, miłość, przyjaźń, i tym podobne prawdy poruszające serce człowiecze, a którym się owe wielkie charaktery poświęcają i życie za nie dają. Tak psalmy, hymny kościelne, obrazy i rzeźby święte, zamieniają się na dzieła sztuki światowéj, na ody wzniosłe, na epopeje, tragedye, na posągi i popiersia czczące pamięć ludzi jasnéj chwały. Tu należy także malarstwo historyczne, będące apoteozą wielkich mężów i wielkich czynów. Podobnie muzyka kościelna, święte oratorya, w sztuce światowéj stają się arcydziełem muzyki scenicznéj i opery, lub pieśnią poruszającą państwa całe i ludy, (jak *Rule Britania*, — *Gode save the king)*. A architektura katedr i świątnic zamienia się tutaj na budownictwo świeckie, dźwigające grody, pałace rządowe, gmachy publiczne, teatra, galerye, biblioteki, akademie, które kraj cały na chwałę swoją

stawia. Te są zjawienia ideału w sztuce światowéj. Lecz sztuka ta ma jeszcze inne poniższe szczeble, bo nawiedza poziomą sferę życia codziennego i prywatnego, w którém architektura stawia skromne dworki, domki sielskie, szałasze tatrzańskie, dzwoniące altanki chińskie, mosty ogrodowe, domy schludne po miastach. A malarstwo stwarza obrazy obyczajowe, bamboccyady niderlandzkie. Poezya zaś téj sfery staje przed nami w kształcie romansu, powieści, komedyi. Rzeźba stawia nagrobki, pomniki przyjaźni i t. d.; a Muzyka zawtóruje wesołym pieśniom i przygrywa tanom hożym.



LIST X.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacya, Kollizya, Działanie, Pathos—Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału.— Dzieje Polski. —Murdelion Kaczkowskiego—Świat sielankowy—Wiesław Brodzińskiego i starzy sielankarze polscy.—B. Zaleski, W. Pol.—Czasy bohatérskie Grecyi.—Wieki romantyczne. — Cooper— Walter-Skot.— Romanse morskie, powieści ukraińskie.

Działanie ideałów.— Sytuacya.— Panteony chrześcijańskie.— Indye i Egipt.— Figury ze sytuacyą spokojną.— Przykłady z rzeźby klassycznéj i nowoczesnéj.— Małgorzata we Fauście.— Julia Shakspeara.— Kollizya.— Powody które wywołują kollizyą.— Powody przyrodzone.— Iphigenia, Hiob, Prometheus, Quasimodo.—Rebeka Walter-Skota, Ofelia.—Kollizya wywołana czynem.— Potęgi porywające człowieka do działania — przykład na tragedyi: Romeo i Julia Shakspeara.

Złe.— Powody działania w sztuce.— Pathos.— Miłość.— Charakter.— Achilles — Romeo.— Wallenrod.— Mohort Pola, Ks. Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki — Kraszewski i Korzeniowski.

Pożegnanie czytelnika.

Pewnego razu, właśnie pod chwilę wieczorną, około kopalni Falunu w Szwecyi powstał znienacka ruch nadzwyczajny. Kobiéty, dzieci, górnicy, starcy, ożyli jakimś pośpiechem, zbiegając się zewsząd hałaśną ciżbą i rozprawiając z sobą — a wszyscy zbiérali się w jedno miejsce, jakby wspólne ognisko swéj ciekawości i trwogi.

Niesłychane jakieś dziwo przydarzyć się musiało! Bo zaledwie te głośne tłumy stanęły kołem, a już każdy, cofnąwszy głos w siebie, umilkł zgrozą i podziwieniem, i niemy wpatrywał się w osobliwe zjawienie. Wśród koła osłupiałych cichych widzów, spoczywał leżąc na murawie młodzieniec, niby głębokim snem uśpiony: odziany był obcym strojem, nieznanéj twarzy. Nikt nie zaznał tych rysów jego i téj młodocianéj postaci: odzież i bielizna świéża, nowa — a ciało było miękkie w dotykaniu. Znaleziono go na dnie trzysta stóp głębokiego szybu, gdzie wody siarkowo-metaliczne przesiąkły ciało jego i ochroniły od zepsucia. Z ciemnicy podziemnéj wyniesiony na jaśnią dnia, zadziwiał zjawieniem swojém; późne, jemu obce, pokolenie nie zasłyszało nawet podaniem o tém nieszczęściu biédnego górnika. On, co do imienia nawet wygasł w pamięci ludzi i umarł nawet w ich mowie; teraz leżał niepoznany, zimny, martwy, niezrozumiany wśród cudzego mu świata; postać jego w żadném sercu nie zbudziła już wtórujących dźwięków, w żadnéj duszy nie odezwał się współczucia głos. Sam jeden, spokojny i niemy wśród żywéj społeczności ludzi, co teraz głuchym i przytłumionym szmerem obstąpiła go ciekawą gromadą. On był zaiste towarzyszem młodości ich dziadów.—Ale gdy już cichym szeptem nawzajem się pytają, ktoby mógł być ten młodzieniec, kiedy daremnie badają wspomnień starców zgrzybiałych — patrz, jakaś matunia na kulach, złamana wiekiem, okryta bielą późnéj siwizny, chwiejąc się, drżąc, przydźwiga się wiedziona natchnieniem niewypowiedzianego przeczucia. Z lękiem w sercu, z nadzieją i boleścią w oczach, już przecisnęła się

przez widzów grono — topi wzrok przygasły i duszę w bladem obliczu martwego młodzieńca. Znagła te jéj omdlałe oczy zatliły się błyskawicznym ogniem, z najgłębszego duszy dna wystrzelił rumieniec na twarz, i z jękiem, w który się cała jéj przeszłość wcieliła, rzuca się na umarłego młodzieńca, pokrywa zimną twarz jego gorącém pocałowaniem i rzewnemi łzami bolesnéj radości.— To jest narzeczony jéj! to jéj kochanek! — On przed pół stuleciem był jéj zaślubiony, i właśnie przed samemi godami weselnemi zginął gdzieś z powierzchni ziemi. Nikt wtedy nie przeczuwał, iż młody górnik samotnie spuszczając się w otchłanie kopalni zapadł się w jéj głębiach. Cały świat go zapomniał, atoli pamięć jego gorzała jasnym płomieniem w sercu kochanki;— ona przez pół wieku dochowała mu wierność i miłość rzewną. Tak nadzwyczajna ta para kochanków, znów po latach pięćdziesięciu obchodziła złote wesele swoje. On młody i piękny, jakby w poraniu żywota swojego— lecz zimny, martwy, bez czucia i niemy;— ona zgrzybiała, nachylona ku ziemi, lecz z ciepłém i bijącém sercem, pełna życia, pełna jeszcze gorącéj miłości i tkliwego kochania.

Podobnie, drogi przyjacielu mój, jak ten górnik biédny, tak postać idealna będzie niezrozumiałą, martwą, umarłą, gdy się znajdzie w obcym i niestosownym dla siebie świecie. Ideał, poczęty w tajnikach fantazyi mistrza, i z tych świętych głębin wyniesiony w cudzy świat, w cudzy wiek i spółeczność obcą, wzbudzi jedynie nieme podziwienie, będzie gościem z innego świata; nikt go nie pojmie, nikt go po imieniu nazwać nie zdoła, nie wzbudzi w nikim współczucia, żadnego serca dźwięk nie

połączy go z tym światem obcym; będzie dla wszystkich umarłym, głuchym i niemym. Jednak dusza mistrza go pozna — on dla niéj nie będzie obcym; ona sama wśród ludzi dochowa oblubieńca zarysy i uświęci kochanie swoje uściśnieniem gorącém, bo on jéj zaślubiony z dawnych lat; ona dochowała mu wierność i miłość rzewną, i wśród obcego świata odprawi z nim złote wesele swoje (*).

Zważ — czyliż dość aby figura poetyczna, aby ideał wystąpił z ducha mistrza pełen piękności? Czyliż nie powinien mieć jeszcze za tło swoje, za grunt żywotny, świat dla siebie stosowny, świat idealny? A czyliż każdy wiek, każdy kraj i społeczność każda jest stosowném otoczeniem i ramą dla ideału? Rozwiązanie pytania tego bez trudności nam się wyświéci, skoro przypomnimy sobie z listu zeszłego istotę ideału. Wszak powiedzieliśmy tam sobie, iż do ideału głównie należy, aby był całością w sobie zupełną i odosobnioną, aby zatém nie był wiązany stosunkami do rzeczywistości, aby nitki zewnętrznego świata nie krępowały swobody jego duchowéj. Winien tedy być w takim osadzony świecie, w takim stanie towarzystwa, któryby nie wiązał stosunkami osobistéj swobody człowieka, któryby nie krępował zupełnego rozwinienia indywidualności pojedyńczych.—Potrzeba tedy dla ideału taką wynaleźć rzeczywistość otaczającą go w koło, aby był zupełnie niezawisłym, aby cokolwiek czyni, czynił przez siebie, bez

---

(*) Zdarzenie to już często wierszem i prozą opowiedziane zostało. Fr. Hoffman na jéj tle rozwinął jedną z najpiękniejszych powieści swoich. Leonhard w tomie III. swéj Geologii przytacza napis grobowy tego górnika. Ja poszedłem za Schubertem.

wpływu obcego, a nawzajem, żeby na siebie samego brał skutki swojego postępowania i odpowiedzialność za czyny swoje. Bo gdyby działał nie wedle siebie, ale wedle obcego natchnienia i okoliczności, jużby te czyny jego i skutki ich w części tylko od niego zależały, a on sam byłby tędy jedynie czémś cząstkowém, czémś ułomkowém, a nie jedną całością w sobie skończoną.— Widzisz tedy, iż ten świat tylko będzie poetycznym i stosowném otoczeniem dla ideału, w którym człowiek może ruszać się, żyć, działać i walczyć; i gdy wypadnie, legnąć nawet wedle woli a przekonania swojego. Atoli nie każdy naród ani wiek jest objawieniem takowego stanu.

Oto—weź naprzykład dzisiejszy prozaiczny stan Europy cywilizowanéj. Czyliż nawet pomyśléć można, aby mistrz stwarzając figurę pełną poezyi, a pełną poezyi w myślach, uczuciach i czynach, mógł ją postawić w stanie społecznym, w jakim żyją kraje oświeconéj Europy? Czyliż nawet przypuścić można, aby tutaj ktoś mógł postępować zupełnie wedle własnego natchnienia swojego, nie obzierając się w koło siebie i nie mając względu na żadne stosunki z rzeczami i ludźmi, i sam w czynach swych być całością w sobie zamkniętą i odosobnioną od rzeczywisości, w któréj żyje?— Jest to zgoła niepodobieństwem. Bo zważ, im kraj na silniejszych dźwigniony podwalinach, im ukształcenie ogólne jaśniejszym dniem zalało umysły wszystkie — tém téż silniéj ustalony ogólny porządek rzeczy, tém téż liczniejsze i mocniejsze są węzły łączące ogół i wszystkie indywidua z sobą — cały organizm kraju składa ścisłą całość. Tu nie tylko prawa, ustawy, przepisy, prawidła rządzą, lecz

również wielką, a może większą powagę jeszcze mają obyczaj, zwyczaj, zdanie ogólne, formy towarzyskie, a nawet moda. Tu wszystko, tak najważniejsze życia sprawy, jak rzeczy najdrobniejsze wzięte są w karby, w rubryki wiążące wszystkich nieprzebitą siecią. Tu zacząwszy od najwyższego szczytu towarzyskiego aż do najbiédniejszéj chatki, nikt z tych karbów, z tych ustaw, praw, obyczajów, opinii publicznéj wyłamać się nie może; każdemu sciśle przepisana droga i sposób postępowania; nie on rzecz prowadzi, ale rzecz jego. Gdyby kto sam chciał pójść własnym torem, a nie pytając się o wyobrażenia przez wszystkich innych przyjęte, zechciał wedle własnego osobistego przekonania postępować, zderzyłby się ze wszystkiemi, wystąpiłby w otwartą walkę, w któréjby bez zwłoki uległ ze stratą swoją. Wszak formy towarzyskie choćby drobiazgowe, strój nawet, są tak twardo krępującą normą, iż téż nikt nie waży się puścić własną fantazyą, a cóż dopiéro rzéc o ważnych życia sprawach; tu wszystko stereotypem się stało, bo nie ludzie, ale prawa, ale przepisy rządzą. Tu wszyscy nawzajem tak ściśle z sobą połączeni, iż nikt ruszyć sobą nie może bez ruszania zarazem wielkiéj liczby innych ludzi.

Jakoż w świecie takowym, zwłaszcza w jego życiu towarzyskiém, wszechwładnéj potęgi są zewnętrzne formy; formy te nawet równie potrzebne jak wewnętrzna treść, a formy żądają raczéj czém nie być, niżeli czém być. Stan taki jest stanem prozy i wbrew przeciwny wszelkiéj poezyi, bo węzły rzeczywistości i stosunki z otaczającym światem tak każdego wiążą i krępują, iż ani pomyśléć można, by się z tego świata wyosobnił, i

stał się całością w sobie zupełną i ukończoną. Jest to stan rozumowy, bo nie samowolność pojedyńczych myśli, ale prawo, ale przekonanie wszystkich ma wagę i znaczenie, i dla tego ma wyższość nad wszelkim stanem poetycznym, który jest stanem walki wszystkich ze wszystkiemi. Uważ, jak w stanie podobnym rozumowym i prozaicznym, jak dzisiejszy stan nasz, małe jest kółko, w którém ludzie pojedyńczo wedle woli swojéj działać i postępować mogą; jest to bowiem kółko samych spraw li osobiście nas dotykających, do niego téż więc należy miłość, przyjaźń, powaga rodzicielska, przywiązanie małżonków, dzieci, stosunki majątkowe i t. p. Tu mieści się cała ta ona wojna i walka na szpilki tak drobiazgowa, choć niekiedy tak boleśna. Patrz, ów się kłopoci, iż ma syna ladaco, ten ci się zawiódł na kupnie, tamten się zakochał i szczęśliw jak w niebie, że stanął u celu swych życzeń, tu matka biédzi się z dorosłą córką, ów nie może się ognać wierzycielom, na tego spadła bogata sukcessya, tamten znów trapi się, że go awans ominął, lub że mu się zaloty nie poszczęściły, ten tłumi się z ludźmi, ów rozwodzi się z żoną; wszystkie zaś tym podobne sprawy mogą być jedynie treścią dla powieści, romansu, komedyi, obrazu obyczajowego; ale epopei, ale tragedyi lub obrazu historycznego nikt z téj treści nie złoży, i właśnie téż dla tego sama komedya, powieść, romans, żyć i mieścić się może w tym świecie powszedniego życia. Czuł to dobrze Schiller, bo gdy zapragnął w życie towarzystwa już uorganizowanego wprowadzić figurę poetyczną, stworzył tę olbrzymią postać Karola Mohr, i uczynił go zbójcą. Utwor kolosalny — lecz złamany w sobie na dwoje: bo bierze

na się obronę tego, co wielkie jest na świecie i szlachetne, a sam jest złoczyńcą i zbrodniarzem — olbrzym zakrawający na karykaturę.— Ani téż nikt nie zaprzeczy, iż kalabryjskie bandyty i opryszki nasze karpackie, nie uznające ustaw i praw, i wodzące ze społecznością wojnę, są to zaiste figury pełne poezyi.

Nie ma tedy wątpliwości, iż stan, w którym społeczność ludzka wyrobiła z siebie niezachwiany porządek i ład, w którym wola ogólna i sposób pojmowania wszystkich jest niby ich atmosferą, którą oni oddychają, taki mówię skład społeczności nie jest dla poezyi stosownym. Dla tego mistrz, choć sam będzie członkiem społeczności takowéj, sięgnie duszą poza téj szczupłéj rzeczywistości szranki, inne stworzy kraje, inne dla siebie światy; a myśli jego i uczucia i ideały, te dzieci geniuszu, choć zrodzone w zimnym świecie prozy, roztulają skrzydła swoje, i niby ptaków wędrownych stado ulecą przed mrozami rzeczywistości ziemnéj, dążą poprzecz te jéj góry, skały, równiny, do krainy poezyi, do swéj ziemi obiecanéj, któréj nie zaznały nigdy, w któréj zima nie zapada, kędy chłody rozsądkowe nie zawieją, kędy wiecznie się uśmiécha do duszy wiosna, a przewodzi im do rajskich krain mistrza wszechmocne tchnienie.

Jeżeli tedy jasno nam się wykrywa, jaki to stan świata nie jest stosowném tłem dla ideałów, tém samém się już wykazuje, jaki jest istotnie właściwy stan dla nich. Rzecz jawna, iż takowym stanem może być tylko ten, w którym społeczność ludzka niezwiązana i nieustalona ścisłym organizmem, w którym stosunki wzajemne ludzi nie są złożone szczelnie z sobą, a zatém

stan taki, który albo *jeszcze* nie uorganizował się mocno w sobie, albo taki, który się *już* zdezorganizował, który się rozstępuje już ze spojów swoich i rozlatuje na części. Tak tutaj, jako i tam, ludzie wyżsi od tłumów poziomych świecą niby Tatrów głowy po nad ciemne doliny; na nich to najpiérwéj zapala się zorza nadchodzącego świtu, na nich najpóźniéj gaśnie dzień jasny, i gdy głębie pokryte już mgły namiotem, ich czoła jaśnieją jeszcze purpurą zapadającéj przeszłości. Bliżéj gwiazd, sąsiadują z niebem, ale bliżéj téż gromów niebiańskich; a gdy ziemia zadrży w swych posadach, one harde szczyty runą w sobie i przepadną, ogromem swym napełniając otchłanie. Patrz na ostatnie chwile skonania Grecyi lub Rzymu, na owo krwawe pasowanie się, co wyprzedzało upadek Syonu, a masz przykład jawny, jak ciężkiéj są wagi ludzie pojedyńczy w czasach, gdy się cała przeszłość zapada i w sobie się roztrąca. Takim téż stanem rozpadania się społeczności była Francya podczas wywrotów towarzyskich, przy końcu stulecia zeszłego. Dawne stosunki się rozwiązały, a indywidualności oddane własnéj sile swojéj, na sobie oparte, i swoje i obce dźwigały losy i mogłyby być treścią stosowną dla trajedyi lub historycznego obrazu. Podobnie téż dzieje Polski, poczynając od śmierci ostatniego z Jagiellonów, z téj saméj przyczyny są czasem i wiekiem obfitym w poezyą i we figury idealne. Rozumie się samo przez się, że w epokach przejścia, gdy stan dawny społeczeństwa się rozkłada a nowe zapatrywanie się na rzeczy jeszcze nie nastało, wtedy ze saméj istoty rzeczy wypływa, że zwyczajne charaktery czyli raczéj figury bez charakteru, jeszcze bardziéj spłowieją i stracą wy-

datność indywidualną konturów swoich; a ludzie o wyższéj, mocniejszéj potędze duchowéj, nie mając właściwego pola dla siebie, skręcą się w sobie i spaczą się we figury dziwaczne. Taki świat widzimy malowany z talentem znamienitym bardzo w Murdelionie Kaczkowskiego: świat bezbarwny otacza w koło główną figurę spaczoną, będącą koniecznym wypływem czasu swojego. W samym Murdelionie złamały się dwa światy, więc i on jest figurą złamaną w sobie.

Podobnych przykładów rozstrajającéj się społeczności mógłbym ci wiele przytoczyć z historyi, przecież stanem równie poetycznym, a może więcéj mającym uroku, jest stan społeczności, który się dopiéro rodzi, który nie oparł się jeszcze na silnych posadach swoich, w którym cała przyszłość dopiéro ziarnem zwinięta. Czyliż tedy dziwno, iż właśnie w chwilach przekipiałéj cywilizacyi, w epoce wbrew przeciwnéj wszelkiemu rozwinięciu się osobistemu, gdy oprócz koniecznych i potrzebnych ustaw, będących warunkiem każdego towarzystwa, wtłoczono na się ciężkie i niewolnicze jarzmo konweniencyi, ciężar krępujących uprzedzeń, śmiesznych wymagań, gdy ciało i umysł chodziły w szatach obcisłych, dusznych, gdy kał plugawy zepsucia znieważył zacność ludzi i zdrowy rozsądek, cóż dziwnego, mówię, iż w takim czasie umysł, obrzydziwszy sobie rzeczywistość i tknięty niewypowiedzianą tęsknotą, marzył snem dziecięcia o życiu bez zbytków, bez pragnień i pełném prostoty, bez zawisłości od tysiąca obmierzłych więzów ściskających niezawisłość osobistą, słowem, iż zamarzył o życiu pasterskiém niby o raju lśniącym wszystkiemi barwami wyobraźni, i że tak zrodziły się sielanki?

Swiat pasterski, świat sielankowy zdawał się być gruntem osobliwie nadającym się dla ideałów sztuki. Lecz stan ten niewinności i prostoty jest zarazem ziemią jałową i głuchą: tu niewyrośnie silna i potężna poezya, tu nie wzniosą się czyny ogromne, zajmujące umysł i serce swą potęgą, bo w życiu pasterskiém o zbyt małe rzeczy chodzi. Wszystkie chęci i trudy serca ograniczają się tutaj kilku owieczkami, kozką, a walką na fujarki i piosnki. Największém nieszczęściem jest stracona krówka i nieczułość lub niewierność jakiéj pasterki, a gdy się pasterz bardzo zatnie, to grożąc zaśpiewa: »Niechaj ten napis niesie wyniosła mogiła: Phyllis sro»ga Dafnisa zabiła.« A na téj groźbie się też wszystko kończy.

Małe pocholęta zwykły płakać czytając Gesnerową *Śmierć Abla*, i zaiste dobrze jest, że nad tém płaczą; mimo tego przecież trzeba przyznać, iż rzecz ta cała, jak wszystkie sielanki tego rodzaju, jest zupełnie bladą, mdłą i bez koloru. Budowanie chatki, ptaszek umarły, kwiat skonały, i tym podobne drobnostki, za zbyt małéj są wagi, by się niemi zajmować; a po zabójstwie samém płaczliwy Adam i sentymentalna Ewa tak są słodkawe, tak mdłe, iż budzą ckliwość a nie podziwienie, bo to są ludzie bez czynu. Inaczéj, lubo nie o wiele doskonaléj postąpił sobie znów *Voss*, wprowadzając sielankę w życie już ucywilizowanych Niemiec. Jakoż te obrazy sielskie jego są wbrew w sprzeczności z sobą: bo jego bohatéry sielanek chodzą sobie w szlafrokach w wielkie kwiaty, palą fajki, piją kawę, i dla scen sielskich wyjeżdżają sobie fiakrem na dzień jeden na wieś. Kto zaś kawę pije, fajkę pali, w szla-

froku chodzi i fiakrem jeździ, winien już tém samém koniecznie żyć w społeczności silnie uorganizowanéj, mogącéj dostarczać tych przedmiotów mocą rozwiniętego już i rzeskiego przemysłu: a tu przecież cały cel sielanki na tém właśnie zależy, aby wystawić świat nieuorganizowany jeszcze, społeczność pierwotną, w któréj człowiek szczegółowy jest zupełnie niezawisły i sam na sobie się opiéra. Poezye tego rodzaju mają sprzeczność w samym zarodzie swoim, a figury ich niby sielskie są tak czcze, tak beztreściwe, jak one Dafnisy, Tyrsysy, Damony i Phyllidy sielanek zwyczajnych.

Dla tego cześć niechaj będzie *Kazimierzowi Brodzińskiemu!* bo jeżeli słusznie estetycy niemieccy wielbią powieść *Herrman und Dorothea* z tego, iż *Göthe* kreśląc ją na tle ważnych wypadków, wstrząsających całą Europą, bo na tle rewolucyi francuzkiéj, podniósł tém samém znaczenie wątku całego téj powieści; my również prawo mamy wielbić Brodzińskiego, iż za dno obrazu rozwiniętego w *Wiesławie* wybrał wielkie wypadki świata, bo wojnę, co rozwinęła sztandary swoje po całym świecie spółczesnym. A tak na całéj téj jego powieści tak skromnéj, rzewnéj i prostoty pełnéj, rozlana jest łuna wielkiego zdarzenia, co świeciła nad światem i historyą jego. Brodziński w jednym liście nazwał się tylko skromnym dzwonkiem wiejskiego kościołka, mającym tę jedyną zasługę, iż najwcześniéj, z piérwszym świtem, przebudził literaturę do porannego nabożeństwa, a który zamilkł, gdy olbrzymie dzwony stolicy odezwały się potężnym głosem rozlegającéj się po kraju całym poezyi. Tak Brodziński o sobie mówi,

ale te pieśni jego i ta uczciwa o nim pamięć nie zamilknie, a będzie śpiewać i dzwonić w duszy ludzi, póki zacność będzie we czci na świecie. On to był rejem w nowéj epoce literatury, a tak zacnie jéj zaprzodkował.

A warto też tu z miłością wspomnieć o starych sielankarzach naszych z 16 i 17 wieku, i od serca im się pokłonić. Ich poezye po większéj części są jedynie sielankami z imienia, bo wyższa treść i głębsze znaczenie na dnie ich się ukrywa: czyli roztaczają krwawe ustępy ze spółczesnych dziejów, czyli rozwiną jakąś satyrę łzami pisaną o biedzie społeczeńskiéj, czyli się innego dotkną przedmiotu, zawsze znać, iż tam podłogą jest pełne grozy uważanie rzeczy i pojmowanie wyższe niż zwykle w sielankach bywa. Tutaj możeby było miejsce dla rozprawy bliższéj o romansach pasterskich, któremi między innemi celował Cervantes. Nie trudnoby nam było wykazać, skąd im się bierze ten dźwięk tak pełen uroku; przecież miléj jeszcze zaiste przyjmiesz, gdy zwrócę uwagę twoją na ów cudny obrazek B. Zaleskiego, w którym maluje nam rodzinę Przenajświętszą; jest to sielanka święta, owiana tchem świeżym, uroczym, jakby wiosenny pacierz natury, a szczegóły wszystkie z taką miłością obrobione, żebyś rzekł, że to dyjamenty świecą oprawne w złoto, gdybyś ich nie wolał porów[illegible] do rosy, co z nieba zrodzona spuściła się na kwiaty błyszcząc światłością niebiańską, promieniejąc tęczy barwami. Tak też i W. Pol całym urokiem wysokiego talentu skreślił owe poemaciki małe, co to niby sielanki tak są proste i naiwne i znów tak są rzewne jak pacierz dziecięcia; są to sielanki

podobne do onych obrazów mistrzów włoskich, przedstawiających to Najświętszą Pannę z dzieciątkiem Świętém, to rodzinę Świętą. Wśród cudnie pięknéj natury, widzisz Pana Jezusa i Śgo Jana bawiących się sobie to kwiatkiem, to ptaszkiem, to igrają z sobą; a w tych igrach i kwiatach taka lubość, taki wdzięk niewinności rozlany po tych malowaniach, żebyś rzekł, że one snem wdzięcznym anioła uśpionego w rajskich ogrodach, gdyby znów z oczu Matki Przenajświętszéj nie patrzało przeczucie o przeznaczeniu jéj dziecięcia, gdyby z oczu samych pacholątek nie promieniła wiekuistość.

A zaprawdę, stan społeczeństwa sielankowy, lubo zostawuje pojedynczym ludziom całą niezawisłość w działaniu, lubo nie matwa stosunkami wolnego ich ruchu, przecież ta niezawisłość, ani ten ruch wolny nie prowadzi do rezultatów ważnych, ztąd też poezya taka jest zupełnie ckliwa i mdła. Malarstwo tu snadniéj sobie poradzić zdoła, gdyż te figury pasterskie mogą mieć znaczenie obrazu obyczajowego, a nawet owce, kózki i inne zwierzęta należące do ich dworu mogą być przedmiotem mistrzowskiego pęzla, a nadewszystko urok otaczającéj w koło natury zamienić może rzecz całą na pejzaż wielkiéj wagi i wysokiéj wartości; przecież one wartości obrazów historycznych nie osiągną nigdy.

Nie samo atoli życie pasterskie jest stanem niezawisłości osobistéj indywiduów, znajdziesz ich wiele jeszcze, byle się historyi i jeografii poradzić. Owoż, ten stan Grecyi dawnéj, one czasy jéj na poły mitologiczne, zwyczajnie bohatérskiemi zwane, a którebym nazwał epoką romantyczną świata klassycznego, są to

czasy bohatérów Homerowych tak cudnemi barwami skréślone w Iliadzie i Odyssei. Tu znajdziesz ludzi całkowitych z jednego odlewu, od nikogo niezawisłych: królowie nawet w rzeczach potocznych sami sobie wystarczają, własnoręcznie biją i sprawiają sobie woły i pieką je; każdy sam sobie przyrządzić zdoła, co mu do życia potrzebne; lecz ten żywot nie na samych tych błahych sprawach im schodzi, bo to nie są głuche łupiny i słodkawe Tyrsyse; są to ludzie czynów wielkich, męże z pełném sercem a przeważną głową, niosące jakby na barkach swoich świat, do którego należą, a co który zdziała, zdziała sam przez siebie, nie oglądając się na nikogo wcale. Biorą też całe brzemię odpowiedzialności za czyny swoje na siebie, stawiając życie swoje na szańc. Żadne też względy ich nie wiążą. Ich stosunek np. do Agamemnona, onego króla królów, pochodzi z ich własnéj woli; słuchają go, póki takie ich upodobanie, a gdy im się to nie zdaje, idą za własnym popędem. Atoli czas ten nie tylko jest treścią Homerowych Epopei, jest on też przedmiotem tragedyi greckiéj. Tak Aeschylus jak Sophocles i Eurypides w tym czasie heroicznym osadzali tragedye swoje; jedna tylko tragedya *Persowie* Aeschylusa odbywa się w okresie późniejszym, bo w czasie wyprawy Xerxesa na Greków; ale za to odbywa się w Persyi, w kraju barbarzyńskim, dalekim od współcześnie wzrastającéj cywilizacyi greckiéj.

Oto i świat chrześciański ma wieki swoje idealne a pełne poetyczności; są to wieki bohatérskie nowoczesnéj Europy, epoki romantyczności, słowem, wieki średnie—rycerskie. Okres ten pełen cudów ułudy, trwał

blisko lat tysiąc, a poetyczność jego spoczywa w saméj istocie jego. Feudalizm podzielił kraje na drobne dzielnice, a każdą dzielnica była całością dla siebie; a kto ją posiadał, był na niéj udzielnym, niby królem u siebie, bo lekkiém tylko ogniwem wierności i honoru połączony z lennodawcą swoim; i o tyle mu obowiązan przybyć z chorągwią na posiłek, o ile się to zgadza z honorem; w pewnych razach mógł nawet *guerroyer le roi.* Przy téj nieuległości samego składu państwa, rozwija się najwyższa niezawisłość indywiduów. Rycerz, byleby miał zbroję i konia, jest panem siebie, rzuca się w świat daleki, niczyjéj nie potrzebując pomocy, sam sobie wystarcza: nocował, gdzie go noc zapadła, a w najgorszym razie upolował w borze królika, sprawił, i posypawszy solą zjadł na surowo; a tak posiliwszy się tą *nourriture des héros*, ruszył daléj na obronę sierot, wdów skrzywdzonych, i badał, czyli nie ma gdzie jakiéj cierpiącéj niewinności, potrzebującéj walecznego jego ramienia, a przy podanéj sposobności kruszył kopią za niezrównaną piękność damy serca swojego; niczém nie był wiązany, w sobie samym czerpał całą siłę swoją. Dziś takich rycerzy błędnych, chwała Bogu, nam już nie potrzeba, nie mieliby się czego fatygować ku obronie uciśnionéj niewinności; dziś jednym błędnym rycerzem jest— żandarm.

Wpatrując się w ten obraz tak bogaty w tych rycerzy i turnieje, pustelniki, i piękne damy, w te wojny krzyżowe, pielgrzymki do ziemi świętéj, w te zamki i mosty zwodzone, w tę galanteryą i męztwo, w tę wierność i miłość honoru, i w tę wiarę rzewną, widzisz, iż tak wszystko gra, promieni się, migoce, błyszczy

barwami, żebyś rzekł, iż duch młodzieńczy świata we śnie jeszcze, drzemie uśpiony na łące pełnéj poezyi kwiatów, któremi dech poranny powiewa, a młoda Europa marzy o miłości, sławie, bitwach i Bogu. A tak świat ten piękny drzemał, i marzył i śnił, póki go nie zbudził huk broni palnéj i silniejszy jeszcze głos mysli wcielonéj w drukowane księgi. Gdy bowiem proch i druk, dwojaka broń, bo materyalna jedna, duchowa druga, wystąpiły na jaw, już ród ludzki nagle podrósł, w okamgnieniu spoważniał i spójrzał się w około siebie i w siebie okiem pełném grozy, przestał być młodzieńcem i poznał, że na niego inne czekają szranki, inne nagrody, że mu wypadnie nie kopiją ale duchem na ostre pogonić. Atoli jak oczy umierającego przed samém skonaniem niby gasnąc raz jeszcze migną jasnością, tak też nim ten czas średniowiekowy skonał, nim go historya pochowała w wieczności grobie, raz jeszcze zaświecił potęgą, raz jeszcze w oku swém zebrał błyskawice całéj swéj istoty: temi oczami konającego średniowiekowego świata były sztuki piękne.

Patrz, on czas zapadający się w dziejach spójrzał na nas duchem Leonarda, Dürera, Ariosta, Michała Anioła, Raphaela, Correggia, Camoensa, Tassa, Cervantesa, Shakspeara. Cały ten wieniec gwiazd jaśniał prawie w jednym czasie; wielu z tych mężów znało się nawzajem z sobą, i nawzajem mieli się we czci i uszanowaniu. W nich, jakby w ognisku, zebrały się promienie całego romantycznego świata; stanęli oni na progu dwóch epok dziejowych, a obok nich męże, jak Kopernik, Baco, Galileus i Kolumb, co należąc już całą duszą do historyi nowoczesnéj, roztworzyli szeroko wrota

dla nadchodzącego nowego porządku rzeczy, który miał zająć stolicę świata moralnego po zgasłym wieku średnim.

Lecz nie tylko przeszłość nastręcza nam ziemię zdolną do rozwinięcia całego kwiatu ideałów poetycznych, ale przestrzeń kuli naszéj tak przeliczne, tak wielobarwne roztacza nam światy i stosunki, iż zawsze znajdziesz stan, kędy indywidualność pojedyncza ludzi rozwinąć się może w' swéj sile, i być panem własnego losu, i na siebie tylko liczyć, i na sobie tylko polegać, a tak stać się treścią dla ideałów. Widzisz, jak tam Cooper prowadzi czytelników swoich do dzikiéj i bezludnéj puszczy Ameryki północnéj, kędy osadnik w walkach ciągłych ze zwierzem, żywiołami i dziczą miejscową, sam sobie wszystko winien, sam wsród rodziny jest jéj ojcem, sędzią, wodzem, kapłanem, zdając sprawę tylko sobie samemu i Bogu. Patrz, jak Walter-Skot stawia cię nad zwierciadłem jeziór górskich, wśród Klanów szkockich, związanych li tylko stosunkiem dalekiego pokrewieństwa, a naczelnik Klanów jest ich ojcem, panem niezawisłym. Indziéj znów obaczysz powieść morską kołyszącą się w okręcie na falach oceanu; ta cała załoga trzymana wprawdzie pod ścisłym ładem karności, lecz ona, odsadzona daleko od reszty świata, jest jedynie wielogłowym bohatérem; w chwili atoli niebezpieczeństwa każdy w szczególności okazuje, czém jest, co wart, rozprzęga się całość rozpryskując się na indywidualności szczegółowe, grające o życie. Czyliż też dziwno, iż na kurhanach ukraińskich jak kwiaty wyrastają powieści? Rozłóg stepowy, niby morze suche, bije bałwanem zielonym kwiecistym swych traw, a wolny

jak sokół puszcza się tym stepem kozak. Tu nic go nie ciśnie; gwiazdy i słońce wskazują mu drogę, a ze stepem, i trawą, i kwiatami i rosą oddycha te szerokie i otwarte Boże powiewy. Sicz sama jest ledwie słabym zarodem towarzyskich związków; mieszkaniec jéj jest u niéj gościem, sam na sobie polega i w siebie samego tylko wierzy. Pan Grabowski między innemi wybrał sobie tamte strony w powieściach swoich, a w Stanicy Hulajpolskiéj umieścił nawet scenę, zwyczajnym sobie taktem, na granicy polskiéj, rossyjskiéj, tureckiéj, kędy tylko słabym odgłosem dochodzi potęga praw i przepisów towarzyskich, dając tedy jak największą swobodę do bujania swym figurom.

Pocóż nam jednak jeszcze więcéj wyliczać tych przykładów? Czyliż cała dzisiejsza Arabia, albo cały Wschód nie jest żywą poezyą? Czyliż tylko w Ameryce północnéj znajdziesz świat, jaki nam maluje Cooper? czyliż go nie spotykamy wszędzie, kędy tylko Europa zetknęła się ze światem pierwotnym, kędy ona postanowiła piérwsze swoje placówki i wydźwigła swéj oświaty samotne strażnice? Czyliż tu nie znajdziesz podścielisk dla wszystkich rodzajów poezyi?

Kończąc tedy już tę osnowę, tyle jeszcze powiem, że choć rzecz cała o świecie stosownym dla ideału najbliżéj poezyą obchodzi, przecież nieobojętny on jest dla rzeźby i malarstwa, a nawet dla muzyki; jeżeli muzyka ma być tłumaczem wewnętrznych uczuć duszy, jeżeli najgłębsza treść człowieka ma się wcielić w harmonią, już też przyznasz, iż piersi człowieka nie powinny być przytłumione światem zewnętrznym i sprawami jego; z całych piersi, z wolnych dopiéro tylko piersi wypada

jedynie swobodny śpiewu potok. Dla tego też słusznie w operach scena odbywa się po większéj części w świecie rycerskim, albo na Wschodzie, albo w sferze czarodziejstwa i uroków nadziemskich, albo w jakiémkolwiek bądź położeniu nie ściskającém działania figur. Dla tego rzadko widzimy wielkie opery, którychby scena odbywała się w świecie już uorganizowanym, bo takowy nadaje się nierównie lepiéj do małych operetek i wodewillów.

Jeżeli atoli już mistrz zrodzi z siebie ideał, jeżeli mu znajdzie tło właściwe, już też ideał ten winien czynem na jaw wystąpić; bo czynem, bo działaniem tylko, tak człowiek rzeczywisty, jak ideał sztuki, o wewnętrznéj swéj treści świadectwo daje. Wszak i ideału istotą jest, by działał; wszak tylko dla tego jedynie trzeba mu dobrać świat stosowny, by na nim mógł samego siebie rozwinąć czynem i dziełem. Treść człowieka, zwinięta w głębi duszy, ocknie się tylko, gdy ten świat zewnętrzny uderzy go w samo serce, ugodzi w same duszy tajniki; wtedy człowiek zerwie się uczuciem, błyśnie wolą, i uderzy czynem niby gromem. Widzisz to narzędzie muzyczne, jak nieme, głuche; w niém spi i marzy niemowlęciem harmonia, śpią milczące struny; lecz gdy mistrz, co świadom serca tajników i cudów harmonii, dotknie tych strun, wtedy całe chóry aniołów się zbudzą, napełnią świat niebiańską mową, rzekłbyś, że harmonia nowe zapaliła gwiazdy na niebie, z pączkow dziwnéj nowéj cudności wywołała kwiaty, 'że piętrząc obłoki na obłokach, złociste powiewne schody do nieba buduje — rozumiész, że słyszysz mowę ogromnéj

rzeki, co z pod Bożego wypływa tronu i zapada w wieczności łono. Tak i struny duchowe w ideale milczą, póki na nich nie zagra ręka mistrza. Nim zaś usłyszymy te tony jego, nim przebudzenie ideału i walkę jego obaczymy, wprzód jeszcze go uważać nam potrzeba w różnych jego postaciach, wyprzedzających tę walkę jego.

Postać idealna, figura poetyczna, postawiona jest tedy wśród świata, który ją otacza; stosunek, w jakim się ona do niego ma, jest jéj *sytuacyą;* zachowuję tę nazwę, choć nie swojska, otarła się bowiem w języku estetycznym Europy. Owoż ta sytuacya nie zawsze jest walką ze światem, a czasem ideał żadnéj jeszcze nie ma sytuacyi, bo w żadnym nie zostaje stosunku do świata, lecz zamknięty jest w sobie, w sobie tylko utopiony; świat zewnętrzny nie wywołał jeszcze czynności jego. Jeżeli poezya taki stan, taką sytuacyą kréśli, toć ona jest tylko epoką przechodnią, stopniem przygotowawczym. Malarstwo jednak i rzeźba, mogące chwycić jedną chwilę tylko ideału swojego, lubią mu nadawać postać nie mającą jeszcze żadnéj sytuacyi, nie będącéj w żadnym jeszcze stosunku ze światem zewnętrznym. Rzeźba zwłaszcza kocha się w przedmiotach téj treści, nadając im cały piękności urok. Tu z pod dłuta, z łona jasnego marmuru zradza się postać śpiącego Amora, tam Jowisza głowa lub innych niebian oblicza spozierają na świat czołem i okiem pełném spokojnego majestatu. Tam koło Cezarów, co niby bogowie spójrzeniem mierzą świat,— lub świeci się Wenus medycejska lub kapitolińska ufna w swą potęgę, Pallas welletryjska, Herkules farnezyjski, Bachus indyjski, Eskulapius, Ganimed,

lub inne posągi będące arcydziełem starożytności. A w nowéj sztuce widzisz Napoleona, co założywszy ręce z kolumny Vendôme duma nad światem, lub Mojżesza i Bachusa, dzieła nieśmiertelnego Buonarotti. A i w sztuce religijnéj mamy całe morze przykładów tu należących.

Oto, wstąp do katedr naszych, gdzie cię otoczy mnóstwo nagrobków, pełnych poważnego uroku. Bo gdy kraj powierza kamienną historyą swoją i sztuki swéj pomniki Boskiéj pajży i skrzydłu opiekuńczemu Religii, stwarza chrześciańskie panteony wielkich ludzi. Któż sobie nie przypomina z lubością kaplicy w Westminsterze londyńskim, nazwaną kaplicą poetów, kędy i Shakspeare w obliczu wieczności duma nad nieśmiertelnością swych dzieł i nad tém, co tu w głębi ziemskiéj porusza ducha ludzkiego, i co tam w górze po nad gwiazdami jest stałą, wieczną i niezmienną prawdą. Pomijając już inne tumy, dotknę tylko tu naszą katedrę krakowską; — one Piasty i Jagiellony i król Stefan, co legli marmurem na tych grobach, spokojni w sobie, bo rzecz skończyli ze światem zewnętrznym, skwitowali się z historyą; znać, że spoczęli wieczorem po robocie żywota swojego, oddech przeszłości i powiéw wiary stoi im na straży. Ich już nie dotyka sytuacya!

W malarstwie znajdziesz osobliwie ten stan bez sytuacyi w piérwszych okresach sztuki chrześciańskiéj,— zwłaszcza w tym, kilkakrotnie już przeze mnie wspomnianym, stylu bizantyńskim, który podziśdzień w cerkwiach greckich widujemy. Spójrzyj w oblicze tych świętych, co ciemną twarzą, pełną grozy, otoczoną tłem złocistém, patrząc w świat, nie doczesność lecz po-

zaświatne państwo widzą i w niém toną. Jakoż i w sztuce świętéj późniejszéj i najnówszéj często bardzo spotykamy obrazy, w których figury nie mają sytuacyi, np. Pan Jezus pacholę, Madonna syxtyńska, oblicze Chrystusa przez Holbeina, Annibala Caraccego, i wiele tym podobnych arcydzieł.

Atoli tak grecki jako i chrześcijański świat nie przestał na sztuce i ideałach nie mających sytuacyi, bo dotknął się poznania owocu dobrego i złego, opuścił swój niewinności raj, wstępując w walkę z życiem; a tak rozwinąwszy się sam z siebie, rozwinął także i ideały swoje, nadając im czynność i ruch. Jednak są ludy w dziejach świata, których umysł wiecznie w zarodzie spoczywał, a cała téż ich sztuka niemal wystawia ideały bez sytuacyi; bo duch ich jeszcze samego siebie nie uznał, ani położył piętna swéj potęgi na świecie. Patrz na dzieje starych Indyów, na ich myśl piérwotną, co jest sercem ich historyi, i na ich sztukę będącą odbiciem wierném téj ich myśli. Oto masz tę myśl główną Indyów, tę myśl ich żywotną zamkniętą w wierze o Wisznu. Wisznu, Bóg Stwórca, drzémie snem złożony na głębokim trzonie oceanu, spoczywając na samém dnie morskiém, lub na wężu wieczności, a z niego wyrasta długa, bardzo długa łodyga, sięgająca aż na sam wiérzch wody; na téj łodydze roztula się kwiat *lotos*, co pływa i unosi się na falach oceanu: póki ten kwiat był pączkiem, póty był światem przed stworzeniem — rozkwitniony, jest światem po stworzeniu; a cztéry rozpięte liście jego, są to cztéry części świata, niby półwyspy otoczone falą wiecznych wód, a pręciki i miodniki tego kwiatu, są najwyższych gór

przyczoła; z nich płyną główne rzéki Ziemi. Liście oderwane od kwiatu, płynące samopas około niego, stanowią wyspy oceanu. Z tego pojmowania rzeczy już poznać można ducha Indów. Nie roztaczam ci przeto już tutaj daléj obrazu jego, bo już z tego, co powiedziałem, widzisz jak ścisłe jest pomięszanie boskich i ludzkich rzeczy; tu zrasta się doczesność i wiekuistość, świat duchowy z fizycznym, bóstwo i świat w ścisłéj z sobą są jedności; bóstwo wciela się w materyą, a materya wyzwolona z swych więzów staje się duchem, bóstwem. Tu wiecznie trwa przeradzanie się jestestw w siebie: co było, odradza się w to, co będzie; koniec jest początkiem. Cały świat, tak duchowy jak i cielesny, bóstwo i stworzenie, są tutaj dziejami wiecznego przejścia i przeradzania się rzeczy zmysłowych i duchowych; świat, ze wszystkiém co jest, płynie party bez końca przez przeobrażenia wieczne. Wszechbytność jest wędrownikiem, co idzie drogą przez tysiące, miliony lat, przywdziewając na się różne kształty, to duchów, to rzeczy materyalnych; a gdy całą drogę odprawi, poczyna znów od początku, a tak wiecznie i wiecznie koniec jest i początkiem, cała droga jest kołem. To nierozdzierzgnienie, ta jedność echem przechodzi w całe życie Indów, w ich sztuki, w ich ideały.

Nie tu jeszcze miejsce, bym się zanurzał w ten świat czarów, i w puszcze indyjskie, będące siedliskiem i teatrem ich epopei, i badał Ramajanę i Mahabaratę, te dwie olbrzymie ich pieśni; słowem tu w téj poezyi człowiek i bóstwo, zwiérzę i niebo, gwiazdy i drzewa w ścisłym są z sobą związku. Bohaté-

rem w tych pieśniach jest pokutnik: on umartwieniem siebie dokazuje dziwów, pokutą może podnieść się nad siebie samego, zostać Brahmanem; a pokutując przez lat tysiąc, z kolei dostępuje światowładnéj mądrości, późniéj wstrząsa potęgą światy, wzdyma fale rozhukane morza, gasi słońca jasność, rzuca lęk na same bóstwa, słowem włada światem jakby własną osobą swoją; bo ta moc człowieka nad wszechnicą światów zmysłowych i umysłowych jedynie ztąd pochodzić może, iż on z niemi jedną składa całość i ściśle z nią jest złączony. Byleby więc umartwieniem ciała zrzucił z siebie część materyalną istoty swojéj, byleby ją starł i zniweczył, wtedy znów wraca do stoku piérwotnego wszechbytności, odłączenie jego od istności ogólnéj, sprawione ciałem jego, ginie, a duch niby kropla wlewa się w ocean wszechduchowy. Tu nie ma więc silnie odznaczonéj granicy między ideałem a światem jego zewnętrznym, nie ma tedy i *sytuacyi*, a przynajmniéj nie ma jéj w zwyczajném rozumieniu rzeczy.

A budowania i rzeźby indyjskie? W nich wyraźniéj jeszcze niż w poezyi pokazuje się ten brak sytuacyi; owa zaś jedność człowieka z naturą i bóstwem w całéj swéj sile występuje. Budowania ich, świątnice, grody postawione bogom, podobne do miast i pałaców, nie dźwigają się na jawie, na jasném słońcu, bo wykute w głębiach skalnych, w ciemnicach podziemnych, a budowania te olbrzymie bez końca ciągną się długiemi ulicami obok siebie, nad sobą, piętrzą się w krużganki, pałace sparte na całym lesie słupców i kolumn dziwnie rzeźbionych. Tu wieki całe i miliony ludzi złożyły swiadectwo swych trudów, twar-

déj pracy; tu pokolenia całe znoiły się robotą i tu zaiste razem z bogami swojemi mieszkały. A to wszystko ukryte w łonie ziemi: bo duch człowieczy z tą matką-ziemią jest w jedności jeszcze i nie wychylił się z jéj objęcia. Ich rzeźby i posągi, bóstwa, potwory, w których wzrosło mnóstwo głów, rąk, nóg, postaci ludzkie i zwierzęce, a całość wiąże się i gmatwa w głąb, w nierozdzierzgniony motek. Te rzeźby wyrażają wszech rzeczy jedność mglistą zlaną w sobie; tu nie ma sytuacyi.

Ten duch Indów, który, jakby ziarno cichemu łonu ziemi powierzone, spoczywał jeszcze w ciemnościach swéj architektury pod ziemią, w Egipcie zatęsknił niby ku światłu jasnemu, wyrósł kiełkiem na powierzchnią ziemi, dźwignął się na niéj oném budowaniem nadnilowém: architektura Egiptu nie stawia się już pod ziemią ale na ziemi. A dziwne téż jest to budowanie, a dziwniejszy jeszcze ten lud, co pielgrzymką przeszedł tym krajem pełnym tajemnic. Tylko jedna tutaj myśl pokryła nocném skrzydłem swém i lud ten i kraj: jest to myśl o śmierci, krom niéj nic nie ma wagi, a człek w swém dumaniu tonie w otchłani zamroczonéj własnéj istoty swéj, niby w bezdennym grobie. A historya jego jest długą, przeciągłą, jednostajną; wiecznie a wiecznie wybija ona tu jeden i ten sam akkord, a ten ton jednostajny i pełen grozy jest jakby wcielony, jakby skamieniały w te dwoiste szeregi sfinksów,— co w jednostajnych ustępach parami naprzeciw sobie ustawione, zawsze jedne i też same, jakby monotonnym dźwiękiem, prowadzą długą drogą do świątyni, niby do wieczności przybytku. Tu wszystko pokryte śmierci

oponą, a napis na świątnicy Izydy w Sais wiecznie przemawia do przepływających stóleciów: »Ja byłem — jestem — będę, nikt nie podniesie opony mojéj, ale Słońce jest moim synem.« Śmierć jest tutaj osią świata i bytności wszelkiéj; — domy doczesne są skromne, biédne, od niechcenia budowane, bo życie ziemskie jest tylko jednym noclegiem, przemienną gospodą niezasługującą na uwagę; groby zaś, te śmierci mieszkania, są olbrzymie, stawiane dla wieczności i przetrwały lat tysiące.

W Egipcie starym nie szukaj poezyi żywéj, ona obróciła się w granitów hart. Hymnu wzniosłego płomień strzelił obeliskiem ku niebu, modlitwa zbudowała się w piramidę obtulającą sobą królów grobowce, a dramat zagrał mową onych budowli tebańskich i lasem ich słupców monolitowych zdziwiających historyą; a pieśń tęskni i płacze w tych świątnicach, co od katarakt do Memphis nieprzerwanym szeregiem dumają nad Nilem toczącym poprzez głuche pustynie te fale swoje, niby stólecia uciekające do wieczności łona. Ich epopeją są groby tebańskie wykute w skałach Nubijskiego pasma, owe katakomby i podziemne miasta, co powikłane labiryntem nieskończonych pieczar są śmierci stolicą. Gdy odwiédzisz dziś to ciemne państwo wiecznego milczenia, gdzie jedyném życiem są roje nietoperzów i sów oblatujących pochodnie wędrówca piskliwym krzykiem i ociężałém skrzydłem — roztworzą się ci zewsząd ulice umarłych: bo od samego dna podłogi, aż do wysokich sklepień ułożone są warstwami trumny, piętrzące się na sobie, a bez końca ciągną się tych trumien ściany; a tak wszędzie i wszędzie towarzy-

szą ci tysiącami świadkowie śmierci. Stólecia wszystkie starego Egiptu złożyły tutaj zwłoki swoje; tu i ówdzie tylko swawolną ręką Arabów poderwane spodnie warstwy trumien zwaliły na ziemię całą ich budowę; cała ściana runęła, rozściełając mumje po podłodze pieczar; gdzie stąpisz, noga zapadnie przebijając się jakby przez próchno, przez stósy ciał, z których kurzawa i miał gruby, ciężki, wznosi się ciemnym kłębem, zatykając tchy i mrocząc światło pochodni. To jest epopeja i życie Egiptu, epopeja śmierci! W téj epopei umarli są bohatérami, a życie całe skurczyło się w brunatną mumią omalowaną hieroglifem, a duch skamieniał w Memnona; tu życie, śmierć, niebo i ziemia, człowiek i bóstwo okryło się zagadką. Życie doczesne jest czczym, martwym snem, z niém nie ma o co walczyć, a bój i pasowanie się z doczesnością jest tu bez wagi. Tu nie ma tedy i sytuacyi artystycznéj — tu człowiek się rodzi by umarł. Patrz! na wstępie do średniego Egiptu, jakby na straży, zasiadły dwa posągi Memnonów; zarysy ich ciemne czarnym wizerunkiem odrzynają się na wiecznie jasnych nieba błękitach; samotne, nieme, milczące. Wtedy tylko, gdy ze świtem piérwszym słońce na nie spójrzy, one zabrzmią dźwiękiem, niby jękiem długim; jest to głos rodzącego się i umiérającego Egiptu: ten jęk jest całą mową jego historyi. A te Memnony i sfinxy, i te bóstwa wszystkie, co pilnują wstępu do tajemnic świątyń, lub zdobią ich ściany, są suche, jałowe; nogi, ręce przyciśnione do siebie, wszędzie formy nie okrągłe, kończyste, postaci wyprostowane, twarde jakby duch ściśniony powiciem. Najdobitniejszym są one tedy przy-

kładem braku stosunku do świata, braku sytuacyi. Atoli oblicze i wzrok tych bóstw, Memnonów i sfinxów, patrzy w otchłań wiekuistą nieba, utopiony w gwiazdach; one pomijają ten świat i tę treść jego biédną, zapominają o rzeczywistości nie istniejącéj dla nich.

Podobnéj formy, choć barbarzyńskiéj, są stare słowiańskie i germańskie bożyszcza, tudzież początek rzeźby i sztuk u wszystkich narodów, jak to widzimy między innemi np. u Greków i Etrusków w pierwotnych ich czasach. Przecież — to ziarno duchowe sztuki, co się w Indyach kryło pod ziemią tuląc się do Natury, a w Egipcie wykluło się bladym kiełkiem ku słońcu, w Grecyi dopiéro jaśnieje bogatym kwiatem. Tu duch i sztuka usamowolniona, tu zaczyna się sytuacya; bo człowiek, uznawszy siebie, uznał téż stosunek swój do świata, i tu ideał zjawia się oswobodzony w sobie, wyzwolony; to związanie rąk i nóg i sztywność ciała, właściwe Egiptowi, ginie; duch się wzmaga, ciało nabiéra swobody i wolności — słowem, ideały nabiérają sytuacyi.

Sytuacya zaś nie staje się od razu walką, jest dopiéro przejściem do niéj, jest to sytuacya pełna jeszcze spokojności w sobie; figury już nie dumają więcéj, nie zapadają się już duchem w otchłaniach własnéj istoty, ale są oswobodzone i wolne, i zatrudniają się sobą. Stopień ten jest osobliwie dla rzeźby stosowny. Posągi w swéj cichéj a milczącéj wielkości spoglądają jakby z Olimpu w ten świat nasz śmiertelny.

Dokładniéj atoli niż tłumaczenia wszelkie wyjaśniają ten rodzaj sytuacyi przykłady z dzieł sztuki głośnéj i powszechnéj sławy. Zrozumiesz jednak, iż jak wszę-

dzie, tak i tutaj zastosowanie ogólnych pojęć do przykładów ma swoje trudności; bo gdy teorya rozdziela rzeczy dobitną granicą na klassy, stopnie, i tym podobne odcienia, w rzeczywistości tego silnego odgraniczenia nie znajdziesz, bo często spotkasz się z przedmiotami stojącemi właśnie na granicy dwóch różnych dzielnic, przechylając się to w jedną to w drugą stronę; tak też wiele jest dzieł sztuki, gdzie trudnoby przyszło orzec stanowczo, czyli stan ideałów jest już stanem bez sytuacyi, czyli też jest już początkiem téj sytuacyi spokojnéj w sobie, będącej cichym ducha żywotem, a którego czynność nie wypływa jeszcze z rozdwojenia ich ze światem, lecz raczéj z własnéj jego natury. Duch ideałów tu należących jest kryształową wodą źródła, co cichym ponikiem, począwszy się w sercu szczytów alpejskich, sączy się samotnie wśród kwiatów niedostępnéj polany; natura tylko słyszy cichą jego mowę, a niebo samo strzeże jego biegu; a płynie milcząc i w pokoju, nim się strąci urwistym spadkiem w głębie doliny, nim wzmogłszy się potęgą swéj wody grzmiąc i pieniąc się znajdzie się w padołach burzliwego żywota.

Starożytność zostawiła nam najcudniejsze wzory téj sytuacyi: Diana myśliwa zdobiąca bytnością swoją Paryż, Apollo lutnista, Amor i Psyche, Amor z łukiem, Apollin i Faun, obaj mieszkańce trybuny florenckiéj, młodzieniec wydobywający drzazgę ze skaleczonéj nogi, Faun grający na fujarce, i wiele tym podobnych dziwów świata greckiego; a obok nich śmiało postawić możesz wiele arcydzieł Canovy i Thorwaldsena: wspomnę tylko o ich grupie trzech gracyi. Cicha wielkość

duchowa, wyrażająca się tą sytuacyą w rzeźbie, jest najwyższym urokiem; rzekłbyś, iż duch tych figur śpiéwa w głębi swojéj pieśń nieśmiertelną, nie dochodzącą zewnętrznego świata — sam sobie jest wieszczem, sam słuchaczem. Gdy w posągach tu należących nie ma tego nadziemskiego duszy spokoju, gdy w téj sytuacyi figury okazują ruchy gwałtowne, nagłe, szamotające się, wtedy graniczą prawie z karykaturą. Tak np. patrząc na onych kolosalnych marszałków, których niedawno jeszcze można było widziéć na moście Ludwika XV w gestykulacyi nagłéj, w postaci szumnéj i nadętéj, powiedziałbyś, iż to truppa złych komedyantów, co nagle skamieniała. Turki, dźwigające w kościele zamkowym trumnę króla Jana i Michała, lub te anioły, dmące wzdętą twarzą w trąbę sławy, są jawnymi świadkami upadku uczucia piękności, który tak u nas jako i w całéj Europie się pojawił. W sztuce świętéj tu należy np. Pan Jezus, dzieckiem będąc, pieszczący się krzyżem albo bawiący się to kwiatem, to ptaszkiem lub owocami — albo igrający ze Świętym Janem;— Święta familia oblana spokojnością niebiańską, Chrystus zmartwychwstały, Najświętsza Panna wpatrująca się obliczem pełném miłości i czci Bożéj w postać śpiącego Zbawiciela. Podobne przedmioty są niewyczerpane, i byłoby daremną pracą chcieć wyliczyć choćby najdrobniejszą ich cząstkę. A lubo sytuacya ta osobliwie sprzyja rzeźbie i malarstwu, jednakże i w poezyi okazuje się często pełną cudownego uroku. Taką np. znajdujesz w niektórych miejscach Fausta Goetego. Faust, wszedłszy z Mefistofelesem cichaczem do komnaty Małgorzaty w nieobecności jéj, w zachwyceniu powiada:

Tu powiéwa skromnéj zaciszy tchnienie,
I rządu i spokojnéj szczęśliwości uczucie!
Wśród ubóstwa tego jakież bogactw skarby!
W tém więzieniu jakież niebiańskie wesele!
. . . .

(Podnosząc zasłonę łóżka.)

Porywa mnie dziwny roskoszy dreszcz!
Tu stojąc dawałbym godzinami życie moje!
O naturo! Tu lekkiém marzeniem sennych obrazów
Wypiastowałaś poczętego w duszy anioła!
Tu spoczywało lube to dziecię,
Pieszcząc w piersiach tkliwych ciepłego życia pączki!
Tutaj pod świętym, czystym oddechem
Roztuliła się jasnych Niebios postać!

Tak i Julia, nim poznała Romea, jest aniołem, spokojności pełna, potulna bez granic woli matki swojéj, rzuca się cała w objęcie jéj. Gdy jéj matka odkrywa zamysł rodziców, by ją zaślubić Parysowi, i prosi, by mu się przypatrzyła na balu, Julia odpowiada, że się będzie przypatrywała, ale że o tyle tylko o nim sądzić będzie, o ile matka jéj na to zezwoli. Poezya liryczna przemawiająca o wnętrzu duszy, wylewająca z gorących piersi dzieje tajemnicze uczuć naszych i myśli, najczęściéj objawia nam ten stan sytuacyi, — téj sytuacyi bez walki. Hymny i psalmy zwłaszcza tutaj należą.

Przecież spokojność ta duchowa ulatuje z serca ludzkiego, gdy człowiek, słuchając jedynie własnego natchnienia, zderzy się ze światem i potrąci ludzi odmiennych uczuć i woli. Wtedy zradza się kollizya wdzierająca się w cichą istotę człowieka, a kollizya prowadzi do czynów i walki. W różnych też postaciach i różnych kształtach snują się około nas przyczyny wywo-

łujące kollizyą. Naprzód człowiek, ciałem swojém do natury fizycznéj należąc, narażony jest na jéj działanie. Prawda, że z naturą samą niepodobna jest walka, lecz katastrofy natury mogą się stać przyczyną kollizyi z ludźmi. Tak piękne nam przykłady starożytność nastręcza. Grecy np. wybiérają się pod Troję, ale w Aulidzie brak sprzyjających powiéwów wiatrowych zatrzymuje drogę ich floty. Wróżby badane orzekają, iż natura nie będzie sprzyjała ich podróży, póki Iphigenia córka Agamemnona nie zostanie poświęconą na ofiarę Dianie. Tak Agamemnon i Iphigenia postawieni są w kollizyi z dobrem i wolą całéj floty greckiéj. A przyczyny piérwsze téj kollizyi są potęgi natury fizyczne, brak pomyślnego wiatru. Podobnie dżuma, powódź, głód, pożar i inne podobne wypadki przyrodzone stają się przyczyną zderzenia się z ludźmi. Wszelako klęski pochodzące od potęg natury straciły już wagę swoją; gdy Religia zaświeciła łuną Bożą, stały się one nawiédzeniem Opatrzności, wpływając pociechą w serce ludzi. Duch ten i wiara rumianém światłem otaczają postać Hioba i historyą jego, tak cudownie skréśloną w pismie świętém. »Ogień Boży spadł z nieba, i dobytek jego i majętność w niwecz obrócił; wiatr przypadł z pustyni, uderzył we cztéry węgły domu, a dom upadł i zgruchotał dzieci jego; a Hiob powstał, rozdarł płaszcz swój, i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. Niebawem choroby zaraziły ciało Hiobowe od stóp aż do wiérzchu głowy jego: a tak stał się pośmiewiskiem i poniewiérką ludzi najlichszych. Odstąpiły go dawne przyjacioły, a nawet żona jego, i zwróciły przeciw niemu mowę swoją dotykając ciérpkiemi

wyrzutami, i złorzeczyły mu gromiąc, że to grzéchy jego ściągnęły gniéwy Boże. Lecz Hiob korzy się Panu, wyznawa winę swoją, w końcu téż Bóg przyjął oblicze Hiobowe i błogosławił ostatnim czasom jego więcéj niż początkom. A Hiob żył długo i oglądał syny swe, i syny synów swoich, i umarł będąc starym i dni sytym.«

Inaczéj, i wbrew przeciwnie, rzecz się ma w świecie klassycznym pogańskim: tu inny stosunek jest człowieka do bogów swoich a wyraża siebie w swéj całości w Prometheusie Aeschylusa. On tajemnie uniósł zazdrościwym bogom ognia płomienie, co zradzają sztuki, umiejętności i wiedzę, najwyższe człowieka dobro. A Pan Olimpu w zemście swéj i zawiści uderza okropnością swéj kary. Prometheus, choć do skały przykuty, harde stawia czoło Jowiszowi, zuchwale wyzywając zemstę króla bogów, sromotą okrywa Hermesa wysłańca jego; a gdy już chwila ostatnia, pełna okropności, nad głową jego się zbiéra, Prometheus pełen pogardy, woła:

„Niechaj spada płomieni żar,
I śniegów uskrzydlonych mrozy!
Niech gromów, światem wstrząsających, potęga
Wsze jestestwa pomięsza zamętem!
Ja nie ukorzę méj głowy! — (w. 902).

A tak w ostatniej chwili, gdy cała natura się szaleństwem rozsrożyła, gdy zbuntowane żywioły wirem pełnym grozy oblatują go kołem, gdy ziemia drżąc w swych posadach pęka, a tartarus, roztwiérając się, chłonie go w swe przepaści, on trwa w potędze niezłamanéj woli, i tak przepada do piekieł: zacny sposób znoszenia krzywd natury.

Jest zaś inny rodzaj kollizyi również z natury pochodzący, lecz nie z natury zewnętrznéj otaczającéj człowieka, jak raczéj z wpływu, jaki z urodzeniem samém na człowieka wywiera. Zważ np. obraz mistrzowski, jaki nam skréślił *Victor Hugo* w *Notre-Dame de Paris*, obraz owego *Quasimodo*. Natura zrobiła go ohydnym potworem i prawie bezrozumnym zwiérzem, a tak rozdzieliła go przepaścią nieprzebytą od Esmeraldy, przedmiotu miłości jego. W kollizyi tego rodzaju postawiona jest Rebeka w *Ivanhoe* Walter-Skota: ona, żydówką będąc, kocha się w rycerzu chrześcijańskim. Także miłość bez nadziei jest uczucie Ophelii ku Hamletowi: ona dziewica skromnéj przyszłości, on następcą tronu; ta różnica urodzenia, mocą ustaw państwa, staje się powodem kollizyi. Lecz godniejsza dla sztuki i człowieka jest kollizya pochodząca nie tak od ślepego władztwa przyrody, jak z własnego czynu człowieka, to jest gdy człowiek własnym i od niego zależącym postępkiem stawia się w rozdwojeniu ze światem, gdy tu nie miesza się ślepy traf i przypadek, ale jasna wola i jawny czyn człowieka. Czémże atoli są te czyny? jakieżto są te potęgi, co prą człowieka, by działaniem się zjawił? To jest jeszcze jedno z zapytań ciężkiéj wagi, które teraz mi rozwiązać wypada. Chociaż rozbiór mój następny prawie do wszystkich sztuk się nadaje, przecież najbliższe ma zastosowanie w poezyi. Miéj tu zwłaszcza tragedyą na pamięci; bo jak poezya jest najwyższym szczeblem sztuki, tak znów tragedya jest najwyższym rodzajem poezyi; w tragedyi tedy, w ognisku sztuki, teorya znajduje zupełne i całkowite miejsce swoje.

Słońce, duch opatrzny natury, stanęło w ognisku zmysłowego świata i ociepla go i oświéca swym promieniem, i trzyma swą siłą na wodzy, by się nie zapadł w przestworzach bez końca; a koło niego toczą się gwiazd tłumy i ogrzéwają się przy tém świetle jego. A promień słońca jest przejrzysty, wiecznie jeden, wiecznie ten sam; gdy atoli spłynie na tę naszą ziemską doczesność, wtedy to traci swoją wiekuistą białość jasną i rozbija się w kolory powlekające rzeczy materyalne. Jakoż jestestwa ziemskie mają tylko barwy, a nie stać ich na jasność białą promieni słonecznych, bo barwy nawet świata materyalnego nie są w swéj czystości, lecz przyćmione doczesnością. Wszak w całém państwie rzeczy materyalnych, które widzimy na kuli ziemskiéj, żadna nie ma barwy w swéj czystości piérwotnéj, wszystko jest skalane, jakby kurzawą rzeczy ziemskich; i rumieniec róży, i zieloność dąbrowy i błękit niebios, noszą na sobie cechę pokalania materyalnego. Gdy zaś jeden z tych jasnych białych promieni wciśnie się w pokój ciemny szczeliną okienicy, niby słowo Boże w doliny ziemskiego żywota, i gdy go uchwycisz słupcem przejrzystym pryzmatu kryształowego, owa jasność biała rozszczépi się na płomyki różnobarwne, i płatami najświetniejszéj barwy zaświéci na ciemnéj ścianie pokoju, a każdy płomyk zapali się barwą czystą, jasną, przejrzystą, jakiéj natura materyalna zaznać nie zdoła. Lecz gdy znów nadstawisz tym różnobarwnym promieniom szkło wypukłe, soczewkę, zbiorą się te wszystkie promienie w jedność, zleją się z sobą, i znów złożą promień biały, znów wróci się jasność wiekuista, co nie zmienia się nigdy i trwa po wszystkie wieki, któ-

ra sama jest matką jedną i powszechną wszelkiéj przemijającéj barwy.

Tak, drogi przyjacielu mój, jest jedna prawda ogólna, powszechna, będąca okiem świata, ciągle jedna, wiecznie ta sama: jest to mądrość przedwieczna, co ociepla, oświéca i trzyma świat po przez stólecia i lat tysiące, co, jak planety, wirem ją obiegają, i biorą z niéj życie i światło i ciepło swoje. Lecz promień jéj jasnéj białości nie zjawia się w swéj czystości w sercach ludzi. W każdym człowieku, miasto onego jasnego promienia wiekuistéj mądrości, świéci tylko jedno przeważające uczucie, mające swoją własną barwę, swoją cechę osobną, różniącą go od innych. Przyjaźń, miłość, honor, przywiązanie rodzeństwa, rodziców, chęć sławy, odwaga, przywiązanie do kraju i t. p. uczucia, są to owe cechy nadające piętno ludziom, gdy jedna z nich wyłącznie w człowieku górę bierze. Uczucie to przeważające w człowieku jest zaiste prawdą, lecz tylko prawdą szczegółową, ztąd więc w tém niedostateczną i błędną, że jest prawdą przeważającą, że samo jedno siebie za prawdę uważa, że nie przyznaje innym prawdom szczegółowym téj saméj wagi, téj saméj wartości, że tém samém grzeszy *onéj prawdzie ogólnéj, powszechnéj i wiekuistéj,* świécącéj ożywczém ciepłem, wieczną jasnością przeczystą, która jest źródłem wszelkiéj barwy duchowéj i ogólnym początkiem wszelkiéj szczegółowéj prawdy, która je wszystkie zarówno w sobie zawiera. Przecież i te szczegółowe prawdy pojedyncze, rozdzielone w rzeczywistosci po sercach i umysłach ludzi nie świécą w nich czystą, niezmąconą barwą, bo są przyćmione pyłem rzeczywistości i zamroczone doczesności

tchem *(ob. List IX)*. Gdy atoli ten promień biały, jasny wiekuistéj prawdy uchwycisz kryształowym pryzmatem sztuki, już on rozszczepi się na różnobarwne promienie szczegółowych ideałów, figur poetycznych, z których każda świecić będzie jedną osobną prawdą, niby jedną barwą tęczy, a prawdy te już okażą się w swéj czystości, uwolnione od pyłów ziemskich; proch i ćma rzeczywistości z nich spadnie, bo będą wzniesione nad świat doczesny, powszedni. Tak w sztuce, zwłaszcza w tragedyi, prawda jedna wiekuista rozpromienia się na koło ideałów. Jednak mistrz, sztuka, ma za powołanie swoje uzmysłowienie nieskończoności téj prawdy wiekuistéj, która zawsze jest jedna, zawsze ta sama *(ob. List VII)*. Nie może tedy sztuka piękna poprzestać na prawdach szczegółowych, wyjawiających się w figurach pojedynczych, lecz winna okazać potęgę wiecznie trwałéj *prawdy nieskończonéj*, i na napowrót wrócić jéj światłość jasną, białą, bezbarwną, winna ją rehabilitować, winna znów zebrać te promienie różnobarwne swych figur w jedno ognisko, zlać je razem. Tak figury tragiczne, z których każda jest tylko wyobraźnikiem jednéj prawdy szczegółowéj, ją tylko uznając, stają w kollizyi, występują czynem i walką przeciw sobie, i grzészą prawdzie, która jest prawdą wszystkich prawd. Dla tego téż te figury tragiczne giną i ginąć muszą; śmierć ich jest zagubieniem prawd szczegółowych, zlaniem ich niby różnobarwnych promieni w jeden biały wiecznie jasny promień, jest zadość uczynieniem onéj prawdzie wiekuistéj i jéj krwawą rehabilitacyą. Do téj wiecznéj prawdy wszystkie prawdy wracają, tak jak z niéj wypływają — ona nie ginie nigdy. Tak się dzieje w sztuce, tak w tra-

gedyi świata. Tak pojmowali teoryą kollizyi tragicznéj wielcy mistrze. Pozwolisz, abym to, powyżéj roztoczone, pojmowanie wyjaśnił stosując je do jednego z arcydzieł sztuki.

Zgadujesz już, iż wybiorę najwyższego mistrza wszystkich wieków chrześcijańskich—Shakspeara. Z jego tragedyj najstosowniéj nadaje się za wzór *Romeo i Julia*, bo już i nie piérwszy raz o niéj wspominam, a nadaje się tém więcéj, iż to dzieło jego najgłębiéj rozebrane zostało przez estetyków, na których już opiérać nam się godzi. Nie mogę się wdawać tutaj jeszcze w sam rozkład czynności, w organizm jego wewnętrzny, bo nie tutaj miejsce, bym oznaczył istotę tragedyi; ograniczę się tylko skréśleniem barwy i cechą figur, z których każda jest uzmysłowieniem innéj prawdy szczegółowéj, i dla tego każda staje w kollizyi ze wszystkiemi. Piastą całéj tragedyi jest *miłość;* ona tu posiada wszechwładną potęgę, ale wyraża się w całéj swéj wszechmocnéj sile w *Romeo i Julii.* Choć ona w duszy gorącéj i gwałtownéj Romea innym świeci promieniem niż w sercu dziewiczém jego kochanki, przecież tak jego jak i ją zarówno niewstrzymaną przewagą prze i porywa do zguby: bo oni oboje wierzą tylko w *miłość,* w prawo własnego serca, ją tylko uznając za prawdę, a wszystkie inne lekce sobie ważąc.

Inna prawda szczegółowa wciela się w ich rodziców, będących głowami dwóch zawistnych sobie domów *Capulettów* i *Monteków;* ci wierzą jedynie w *prawo rodziny,* unoszą się prywatą i nie dbają o całość ojczyzny swéj upadającéj pod brzemieniem niezgody wewnętrznéj; a w téj waśni wrogich rodzin przepada bez na-

dziei miłość dwojga kochanków. Kierowany jedynie widokiem podniesienia świetności domu swojego i znaczenia rodziny, *Capulet*, ojciec Julii, przeznacza ją Parysowi, nie pytając się zgoła w tym wyborze serca swéj córki. Sam zaś *Parys*, możny młodzieniec, wysoko siebie ważący, kocha się w Julii, nie pyta jednak czyli uczucia jego znalazły odgłos w jéj duszy. Nie o jéj przywiązanie się stara, ale wprost do *rodziców* się udaje, w *ich tylko władzę wierząc;* i w tém się myli. Dla tego słusznie uważają za mistrzowstwo Shakspeara, iż Parys ginie z ręki Romeo, bo ten zaiste rzetelniejsze do niéj ma prawo. *Tybalt*, z domu Capuletów, jest wcieloną *odwagą i ślepą nienawiścią*, kocha bój dla boju samego.

Merkucyo, przyjaciel Romea, filozof, zważający wszystkie rzeczy ziemskie z ich strony *żartobliwéj*, *małoznaczącéj*, drwi sobie ze świata, ludzi i życia, satyrycznie na świat się patrząc. To stanowisko, jak z jednéj strony jest prawdą i dowodzi że Merkucyo uniósł się nad doczesność, tak z drugiéj strony jest mylne: życie ma swoją stronę wielkiéj wagi i pełną zgrozy. *Benvolio* i ojciec *Lorenzo* są pierwiastkiem zgody i rozumu zimnego, ale słowa ich i starania giną wśród huku rozigranych fali namiętności; bo tam, gdzie serce jest rozkołysane burzą rozumu, na mowy nie wystarcza.

Jakby na dopełnienie całości Shakspeare stworzył figurę, jaką jest *mamka Julii*, zapatrująca się na miłość jedynie ze stanowiska *wyłącznie zmysłowego*. Z początku jéj słowa nie są zrozumiane przez serce Julii, dziewicy pełnéj niebiańskiéj czystości, lecz gdy odgadła sposób widzenia swéj staréj przyjaciółki, już jéj nie ufa,

odwraca się precz od niéj z uczuciem obrzydzenia. Podobnie *służba* wchodząca do gry, *muzykanci* nie dzielą nieszczęścia, co gromem na cały dom spada i i. p. są pełni grubych dowcipów, ironią ciérpką życia, i służą w rękach naszego wielkiego mistrza za tło, na którém silniéj jeszcze koloryt całéj sprawy się maluje. Werona znów, będąca sceną tych dziejów tragicznych, właśnie wystawia nam ten świat uznany przez nas powyżéj jako tło właściwe dla figur poetycznych, to jest ów brak ścisłych stosunków towarzyskich dozwalający swobodne działanie indywidualności. Stan ten wątłego porządku publicznego i *dobra ogółu wstrząsanego roztérkami domów przemożnych* wyobrażone są w osobie *księcia Werony*. Jest on jedną z najważniejszych figur naszéj tragedyi. To groźbą, to ustawami, to środkami łagodzącemi radby ukoić waśnie dotykające boleśnie dobro publiczne. Wszakże usiłowania jego są daremne, nie zdołają uśmierzyć rozigranych niechęci i dumy prywatnéj.

Spojrzawszy na te wszystkie figury, na te ideały, które wchodzą do téj tragedyi, wyznasz zaiste, iż *miłość*, *związki rodzinne*, *powaga rodziców*, *męztwo*, *uważanie rzeczy ze stanowiska filozoficznego*, *zdrowy rozsądek i rozum*, *zmysłowość*, *rząd publiczny*, są prawdami pełnemi wagi, lecz każda z nich jest tylko prawdą szczegółową, prawdą pojedynczą, i póty tylko ma znaczenie, póki obok niéj inne prawdy szczegółowe ostać się mogą, bo one wszystkie są tylko rozpojedynczonemi promieniami téj wielkiéj a wiekuistéj prawdy, która je wszystkie w sobie zawiera. Jeżeli atoli one staną w kollizyi, a walkę i bój z sobą prowadzą nie uznając

siebie nawzajem, wtedy też one w tej walce giną i przepadają, jako to widzimy w naszéj tragedyi. Romeo, Julia, Parys, Tybalt, Merkucyo, giną, a katastrofa krwawa tak wstrząsa sercem pozostałych, iż się godzą i jednają zrzekając się swéj pomyłki: a tak panowanie prawdy wiekuistéj, któréj wszyscy ubliżyli, przywrócone, i znów opatrznie świéci nad światem. Wszyscy dotknięci nieszczęściem podają sobie ręce, a ostatnie słowa pełne prawdy najwyższéj wyrzeka *książę*, ów wcielony porządek społeczny.—Nie mówmy, iż w téj tragedyi ślepy traf sprowadził smutną katastrofę i krwawe rozwiązanie, bo w tragedyi i historyi nie ma trafu; co się stać winno, koniecznie się staje; przypadek ma tylko pozorną władzę, jest on tylko widomą przyczyną, lecz w głębi, na dnie wszech rzeczy, mieszkają potęgi co niecofnione piszą wyroki.

Kollizya i czynność pełna tragiczności wyraża się potężnie w malarstwie i rzeźbie. Ktokolwiek zna np. Niobę i dzieci jéj, Porwanie Sabinek, Dwóch Szermierzy, Laokoona; ktokolwiek zwłaszcza przypatrzył się sali Aegenitów w Glyptotece Monacheńskiéj, przyzna mi, iż to są wcielone myśli i ideały tragików greckich i uczuje iż wśród tych ożywionych marmurów wypadałoby czytać Sophoklesa, by się z nim duchem połączyć.

Jeżeli tedy już zaiste się zgodzisz na takowe zapatrywanie się na rzeczy, jeżeli przyznasz, iż figury poetyczne i ideały są wcielonemi prawdami, lecz prawdami szczegółowemi, i takowe prawdy mają za treść swoją, więc też wątpić już nie będziesz, iż *złe* samo przez się, złe

istniejące dla siebie samego, miejsca mieć nie może w sztukach pięknych. Bo co innego jest, jeżeli figura idealna, porwana przekonaniem wewnętrzném, popełnia zbrodnią gruchocąc i łamiąc wszelkie zawady, a co innego wykonywać zbrodnią dla zbrodni saméj.

Te ideały są więc, jakem powiedział, jedynie pojedynczemi promieniami jednéj wiekuistéj jasności, z któréj pochodzą i do któréj znów wracają, lecz złe samo przez się nie pochodzi zaiste od téj prawdy nieskończonéj, i dla tego téż do niéj wrócić nie zdoła. Czyliż z pomieszania cieniów, a cieniów nieczystych, utworzy się jasność? Czyli z dźwięków samych przez się fałszywych złoży się harmonia akkordu? Nie zaprzeczysz iż z tego, cośmy powiedzieli, ideały winny wyrażać jakąś prawdę, a zatém jakiś pierwiastek twierdzący, jakąś bytność uznaną w świecie duchowym. A czémże jest złe, jeżeli nie brakiem czegoś; jest ono czémś głuchém i pustém w sobie; każda zbrodnia ma za nicę swoją cnotę jéj odwrotną. Co jest niczém, co jest czczém i pustém, nigdy nie stworzy dzieła w świecie umysłowym. Co jest czcze, nie może być poetyczném, jest to najjałowsza proza. Jakaż piękność wzrośnie i złoży się z tego, co jest w sobie już ohydném, szpetném i obrzydliwém? Już nawet sam sposób mówienia oddawna tu orzekł, nazywając czyny niemoralne, złe, czynami szpetnemi, a nawzajem postępowanie szlachetne, zacne, poczciwe, uważane bywa za jednoznaczące z czynami pięknemi. Jakież tedy stworzyć dzieło piękności z figur i osnowy szpetnéj i obrzydliwéj ?

Już ze samego stanowiska, rozwiniętego w tych listach, zwłaszcza z tego, com wyrzekł w liście szóstym,

wiesz, że ja bynajmniéj nie uważam, jakoby moralność miała być celem sztuki pięknéj; bo jak z jednéj strony sztuka, uzmysławiając nieskończoność istoty człowieczéj, już tém samém uszlachetnia i uzacnia człowieka, tak z drugiéj zgadzasz się, iż ona tego uszlachetnienia nie ma za cel swój główny; ona, jakem powiedział, jest bo jest, bo wypływa koniecznie z istoty człowieka. A w końcu zważ, iż moralność a estetyczność inną piędzią mierzą. Słusznie mówi Schiller, iż czyny człowieka nie zawsze są w tym stopniu niemoralne, w jakim są nieestetyczne. Cóż bardziéj nie estetyczném, jak kradzież, kłamstwo, oszustwo, a przecież to wszystko w oczach moralności mniejszém jest przewinieniem jak morderstwo. I zabójstwo i zbrodnia pod pewnemi warunkami mogą być, i bywają bardzo często, wprowadzone w sztuki piękne, ale nikczemnosć, podłość jest wręcz wszelkiéj sztuce przeciwna. Dla tego zrozumiész, iż nam trudno przystać na wiele figur, które Pan Kraszewski w powieściach swoich skréślił — nie wspominam już o autorach innych literatur.

Zarzucisz mi może, iż wielkie imiona jako Dante, Milton, Byron, Goethe wprowadzają szatana w poezye swoje, a szatan jest przecież wyobraźnikiem *złego* samego przez się, istniejącego samo dla siebie. Prawda, ale téż u tych mistrzów szatan ma inne wcale znaczenie, jest on ową wewnętrzną pochopnością człowieka do złego, gnieżdżącą się na dnie serca, miotającą niém i porywającą do zguby. Sam Mefistofeles wyraźnie to potwierdza, bo gdy Faust porzuca umiejętność, nauki, wiadomości, będące dla człowieka właściwém polem nabywania wiedzy, a party nienasyconém i pełném py-

chy pragnieniem wzniesienia się nad tę sferę przeznaczoną dla człowieka ze szatanem zawiéra pakta, Mefistofeles rozbiesiwszy się w sobie powiada o nim: »Pogardzaj sobie umiejętnością i sztuką, najwyższemi nieba darami i najszlachetniejszą człowieka potęgą,—niechaj cię usidli kłamstwa duch czarem swych błyskotek i mamideł — a przepadniesz i djabła będziesz własnością, choćbyś mu się nawet i nie zapisał na własność.«

Lecz wracam już do wątku osnowy mojéj. Powiedzieliśmy wyżéj, iż każda tedy figura idealna jest wyobraźnikiem jednéj prawdy, która w niéj przemieszkuje, całą jéj istotę stanowi i do działania unosi. Rodzi się tedy pytanie, w jakichże kształtach te prawdy i te pobudzające potęgi zjawiają się człowiekowi? Pod jakąż one formą działają na umysł ludzki?—W głębiach zaiste własnych piersi naszych zradzają się te potęgi, co są władcami losu i żywota naszego; ani zaś zgadniesz, czyli to anioł—niemowlę drzémiące na różach, czyli hydra lęgnąca nieszczęścia, śmierć, zbrodnią i zgubę. Nim atoli człowiek zbadał te tajnie własnéj swéj istoty, zanim poznał, iż to w nim samym rodzą się potęgi, co go niewstrzymaną siłą osadzają na szczytach chwały lub wtrącają w otchłań ciemną, cóż dziwnego, iż mniemał, jakoby jestestwa nadprzyrodzone wiodły i parły nas do czynów, że bogowie schodzą z wysokiego Olimpu naglące człowieka do działań, którychby bez ich rozkazania nikt nie był dopełnił. W świecie chrześcijańskim bogów Olimpu zastąpiły czarownice, gnomy, rusałki, strachy, upiory i tym podobna gawiedź. Atoli w nowéj i najnowszéj literaturze widzimy tego przykłady. Lecz łatwo poznać, iż wprowadzanie tych jestestw do sztuk,

jako potęg działających, nie ma wiele wartości, jeśli te jestestwa nadprzyrodzone, pobudzające do czynu, będą jestestwami zupełnie obcemi dla ducha człowieka, jeśli zostaną zupełnie zewnętrznemi dla niego potęgami, na które on wpływać nie może i które wcale od nikogo nie zależą; bo już wtedy czyn jego nie jego będzie dziełem, lecz całkowicie, lub przynajmniéj w części do onych jestestw należéć będzie; człowiek stanie się tylko ułomkiem, niezdatnym do ideału. W epopei te zjawienia snadniéj jeszcze miejsce znaleźć mogą, bo w niéj wystawienie jest właśnie zewnętrzném, plastyczném; jest zaś wcale niewłaściwém w tragedyi, bo tu chodzi o to, abyśmy wejrzeli w tajnie ducha bohatéra, w jego wnętrze, i z niego zrozumieli postępowanie i czynności jego. Rzecz zupełnie inaczéj się ma, jeżeli te bogi, te zjawiska, które nam mistrz jako osobne figury maluje, są istotnie niczém więcéj jak potęgi i te prawdy szczegółowe żyjące we własném sercu człowieka. Każdy zrozumié figurę jaką jest np. Mars, Apollo, Wenus, Amor, Minerwa; wszak to są jedynie pierwiastki własnéj duszy naszéj, jakto widzimy w Homerze i w wielkich mistrzach starego świata. Bo człowiek bogami zrodzonemi we własnych piersiach napełniał Olimp i stwarzał sobie niebo na jakie go stać było. Niebo i mieszkańcy jego były zwierciadłem własnéj duszy człowieka. Tak i w literaturze chrześcijańskiéj czarownice są wcielonym głosem serca Makbeta, a cień ojca występuje iście, jakby z grobu, z posępnéj myśli Hamleta. Tak Wallenstein pragnąc czeskiéj korony widzi w gwiazdach i astrologicznych figurach przeznaczoną mu purpurę.

Któś powiedział, iż są chwile święte, co ciszą głęboką uroczystą pokrywają naturę i serce człowieka; gdy drzewa, skały, kwiaty, wody, liście milczą nieporuszone, gdy muszka nie zaszeleści, łąka nie przemówi, obłoki nawet złote zatrzymują się w swym polocie; wtedy, niby dzieci marzeń i ułudy, z własnych piersi unoszą się gromadami gieniusze, rusałki, świtezianki, co napełniają naturę całą, ziemię i niebo. Lecz myślę, iż silniéj jeszcze zradzają się te jestestwa duszy naszéj w godzinach wieczornych późnéj jesieni, gdy lasy zahuczą niby sejmem duchów natury, gdy drzewa, gdy gałęzie z sobą się swarzą, gdy wicher na niewidomych skrzydłach szaleje po żyjącéj naturze pędząc przed sobą słupce liści zdartych, zakręcając je wirem, gdy, wpadłszy do mieszkań ludzi, jęczy, stęka, skarży się i kwili jakby upiorów czereda, gdy mgły gmatwają się w utwory dziwaczne, w olbrzymy pląsające po równinach, a księżyc, jakby gnany przestrachem poprzez niebo rozdartych obłoków, to chowa się za chmur szmaty, to niekiedy przez szczeliny, jakby przez okna, na nas spoziéra, i znów się kryje; ba, wtedy sama się powieść złoży, i byle mieć trochę wyobraźni, świat napełni się w koło jestestwami dzikiéj fantastyczności i uniesie nas do innych nadrzeczywistych krain. Chwil takowych doświadczał każdy młodzieniec z duszą świéżą i ciepłą; doświadczała ich też literatura cała, póki i ona była młodszą, świéżą i ciepłą. Dość ci wspomnieć o jedénastym i dwunastym wieku, gdy świat, jakby ogrody na wiosnę kwiatami, ustroił się w romanse i powieści cudotworne; a one czasy złote, gdy z duszy Ariosta zrodził się Orland szalony, a z myśli potężnéj Shakspearą

wyskoczyły dzieła przedziwnych uroków i barwy, jak: *Burza* i *Sen nocy letniéj!*

Zawsze atoli te zjawienia i postaci nadprzyrodzone nabierają dopiéro wartości prawdziwéj i głębokiego znaczenia, jeżeli one wyrażają te uczucia, co w nas żyją i bez ustanku pracują, bo wtedy jedynie człowiek jest czynny przez się samego i działa przez siebie. Wszelkie zaś powieści fantastyczne, nie mające téj głównéj cechy, muszą być, mimo talentu autora, mimo imaginacyi, zawsze czémś czczém, powierzchowném i prozaiczném: bo cóż już może być więcéj prozaiczne, jak posłuszeństwo potęgom przyrodzonym i widziadłom, które lada gdzie, lada komu, lada kiedy, wedle upodobania autora, zjawiają się i przynoszą rozkazy dla bohatéra powieści, które znow tenże ślepo wykonywa. On sam jest jedynie ciemném i bezwolném narzędziem tych widziadeł, czyli raczéj autora samego. Nic łatwiejszego jak pisanie podobnych powieści, byleby samopas puścić imaginacyą, byleby ją rozpoić obrazami rozuzdanéj fantazyi.

Jest atoli jeszcze inna postać działająca na człowieka i wiodąca go do czynu: jest to potęga patetyczna, jest to ono *pathos* greckie. Nazwa ta również już przeszła w język estetyczny u innych ludów, dla tego ją też i my zachowujemy. Pathos znaczy co do słowa *cierpienie;* w języku Estetyki zaś nie wyraża zupełnie toż samo co *namiętność*, bo przez *namiętność* rozumiemy uczucie mniéj lub więcéj szlachetne albo nizkie i naganne, ale pathos wyraża porwanie serca uczuciem znajdującém także odgłos we wszystkich sercach. Są to one prawdy szczegółowe, nie zjawiające

się atoli już w kształtach figur i widmów, lecz wprost jako drganie wewnętrzne duszy i głos potężny, panujący w sercu i ogarniający całą istotę naszą, jak np. miłość, przyjaźń, przywiązanie rodzicielskie, honor, chęć sławy i inne tym podobne prawdy, których przykłady dopiéro co widzieliśmy, rozbierając figury w tragedyi: *Romeo i Julia.*

Jedna z najpotężniejszych potęg grających w sztuce świata chrześciańskiego i w całém życiu jego jest miłość. Ona nie była znaną w świecie klassycznym; Grecy i Rzymianie pojmowali ją z jednéj tylko strony, bo li ze strony zmysłowości, ztąd też zacność kobiéty była w poniewierce i nie uznana w swém znaczeniu głębokiém. Gdy atoli słowo zbawienia wstrząsło myślą ludzi, gdy wiara duchowa osiadła na stolicy nieba i ziemi, gdy człowiek silnie i niewątpliwie pojął życie w innym świecie, pojął też życie w innéj od siebie istocie, a miłość zrodziła się wśród ludzi. Miłość jest najpiękniejszym kwiatem, który rozwinął się na ziemi, gdy na nią spójrzało słońce wiary. Cześć dla kobiéty była głównym pierwiastkiem cywilizacyi Europy i wyprowadziła ją z grubéj nocy barbarzyństwa; bo rycerskie uwielbienie, łagodzące dzikosć, surowiznę uczuć, i hamujące rozkiełzane namiętności, uczyniła człowieka sposobnym do zrozumienia najwyższych prawd, na których oparta zacność rodu ludzkiego i szczęśliwość świata. Stan poniżenia niewiast jest najtrafniejszym dowodem barbarzyństwa narodu, bo dowodzi przewagi siły fizycznéj, onéj przewagi najwięcéj hańbiącéj, bo równającéj nas ze zwiérzem. Téj niewoli nie można przypisywać przewadze umysłu u mężczyzn, bo téj przewagi

nie ma. Bóg zarówno podzielił między dzieci swoje przymioty duszy, obie płci zarówno kochając; tu o wyższości jednéj płci nad drugą mówić nam nie można, obie są sobie pod względem umysłowości zupełnie równe, choć zupełnie sobie odwrótne, zupełnie odmienne; bo też ich powołanie również jest odwrótne i zupełnie różne. Mąż w swoim, kobiéta w swoim zakresie działając, zarówno są ważnym pierwiastkiem świata; a jak kobiéta nie zdoła działać w zakresie dla mężów przeznaczonym, tak zaiste mąż nie wydoła z całym swym rozumem zastąpić umysłowe działanie kobiéty; i pod względem cielesnym i umysłowym są wzajemném dopełnieniem siebie i najściślejszemi siebie połowami. Jeżeli tedy nie umysłowéj lecz fizycznéj przemocy trzeba przypisać stan poniżenia kobiét u ludów dzikich, z téj też przyczyny kobiéty odprawiają tam najcięższe roboty, gdy mężowie łowią, polują lub śpią. Czyliż dziwno, że Azya dotychczas w barbarzyństwie? ona iście nie wydźwignie się z dzikości i z otchłani nieszczęść publicznych i domowych, póki tam płci obie nie będą z prawa porównane z sobą, póki tam wielożeństwo nie upadnie. Co większa, gdy i u nas w obcowaniu towarzyskiém zdarzy ci się zobaczyć człowieka, co znieważa w czynach i lekkich słowach względy należące się kobiétom, już pewnym być możesz, iż to z gruntu barbarzyniec; jakoż, gdy mu się lepiéj przypatrzysz, wnet spostrzeżesz, że pod tą swoją, choćby najwięcéj ogładzoną i wymuskaną, łupiną kryje serce puste, ciasną głowę i strupiałą duszę.

Jakoż widzę, że uniosłem się poza przedmiot, nawracam tedy do dalszego wątku. Uważmy, że pathos,

ta potęga gorejąca w człowieku, będąca główną sprężyną działania jego, winna, jakem powiedział, być téj natury, aby znalazła odbicie i współczucie w sercach wszystkich. I tak zaiste zawsze się dziać będzie, jeżeli istotnie w sztukę te prawdy szczegółowe, wyżéj już obszerniéj rozebrane, wprowadzone będą; bo one są właśnie takowe, iż obudzą wtorujące dźwięki w sercach wszystkich widzów i słuchaczów. Czyliż prawdy wyobrażone przez figury w tragedyi *Romeo i Julia* nie są z tego rodzaju, iż je wszyscy dzielić będziemy, iż w nich samych siebie ujrzymy?

Z tego tedy już jasno wypływa, iż patetyczność nie powinna wypływać z uczuć, do którychby pewnego już przygotowania naukowego, pewnego ukształcenia rozumowego potrzeba było. Jakoż odkrycie nowe i ważne w chemii, matematyce, w historyi naturalnéj, zoologii i t. p. umiejętnościach, może nas wprawić w zachwycenie, można nawet dla niego życie swoje ważyć, lecz nie odbije się w sercach wszystkich ludzi, i zrozumiane tylko będzie przez ludzi z pewném ukształceniem; nie będzie tedy patetyczném, nie może być tedy wprowadzone do sztuki; bo sztuka jest przemową ducha do duchów wszystkich, jest własnością wszystkich jestestw czujących i myślących, bez względu na ich naukowość. Mniéj jeszcze patetycznemi bywają ochoty czcze, skłonności i bezważne i śmieszne; one nawet w komedyi są niestosowne: bo co w sztuce żyje i w ideale się święci, powinno być godne aby też przez innych zrozumianém być mogło. Zachcenia atoli czcze i dziecinne do nikogo nie przemówią.

Tak tedy pathos jest pierwiastkiem działającym

w ideale, we figurze poetycznéj; zważ jednak, iż ta patetyczność, ta prawda szczegółowa, która w nim gore, wcielić się winna we formę rzeczywistego człowieka. Mistrz, chcąc wprowadzić tę patetyczność w sztukę, winien sobie stworzyć człowieka, któryby ją sercem i czynami wyznawał, winien wynaleźć w duszy swojéj figurę właściwą do wyrażenia tego pathos, słowem, winien stworzyć *charakter*. W charakterze figury idealnéj masz tedy dwie strony: naprzód owo ogólne pathos, drugi raz prawdziwego człowieka nadającego temu pathos pewną barwę i cechę. Wszak nie ma patetyczności powszechniejszéj jak miłość, ona sama przez się wzięta w ogólności jest zawsze jedna i ta sama, a przecież nabiera różnéj cechy, różnéj barwy, wedle charakteru ludzi; myryady ludzi już się kochało, a każdy kochał innym sposobem, każdy po swojemu, w każdym ona inaczéj się objawiała, wedle charakteru a osobistego piętna jego. Tak istota Najświętszéj Panny przez wielkich mistrzów jednako pojmowaną była, a przecież jaka różnica jest w obrazach wielkich mistrzów! wszak Madonny Rafaela, choć jeden w nich żyje duch świętości najczystszéj, są różne a różne. Przypominasz sobie np. te głowy, które niekiedy dzieciom do przerysowania dają: jedna ma znaczyć rozpacz, druga gniéw, tamta trwogę, i t. d.— te głowy zwyczajnie nie mają charakteru, bo nie są wzięte z rzeczywistych ludzi rozpaczających, gniéwających lub trwożących się, lecz są zupełnie abstrakcyjne. We *Flecie czarnoksięzkim* występuje *Noc*, figura sama przez się zupełnie abstrakcyjna, a zatém zupełnie bez charakteru; trzeba było na to Mozarta, aby pokryć muzyką tę czczość figury

saméj. Widzimy też jak twardo się passuje Klopstock w *Messyadzie* wprowadzając aniołów; bo anioły są czystemi duchami, a jako takie do siebie podobne, nie mogą mieć tedy same przez się barwy i piętna charakterystycznego, różniącego ich od siebie.

Jeżeli zaś patetyczność żyjąca w człowieku powinna mieć na sobie charakter pewnéj barwy, więc też tę cechę właściwą okazać wypadnie; co tylko wtedy się stać będzie mogło, jeżeli okażemy charakter ten w różném położeniu, w różném stanowisku, w różnych stosunkach do rzeczy i ludzi. Nie sama tylko ta patetyczność winna na jaw wystąpić, lecz bogactwo, mnóstwo uczuć i myśli, okazujące jakim ten człowiek jest, i jakie jego zachowanie w różnych życia przygodach.— Patrz, Achilles w Iliadzie, ów bohatér twardego męztwa i zapamiętałego gniewu, wleczący zabitego Hektora około murów Troi, ma duszę bogatą i szlachetności pełną; pokazuje nam go Homer to jako tkliwego przyjaciela, to znów w chwili gdy ojciec Hektora, stary Pryamus, błaga o ciało zabitego syna, i klękając przed Achillesem zaklina młodzieńca na własnego ojca, i woła płacząc, że tę rękę całuje, co mu zabiła syna, a rycerz Grecki rozrzewniony ze łzami podnosi starca ze ziemi. Albo, aby nie szukać innnych przykładów, masz Romea; wszak on, oprócz miłości dla Julii, ma nieprzebraną treść w duszy; bo jest odważny i przywiązany do przyjaciół, i czy w chwili gdy jest tknięty ciężką obrazą przez Tybalta, czyli zraniony słowami Parysa, czyli zachowując się ze czcią dla ojca Lorenzo, czyli też konając, w każdém położeniu wyjawia charakter swój i nadaje barwę całéj swéj figurze; a we wszystkich tych

stosunkach, tak rozmaitych, zawsze to jest jeden i ten sam człowiek pełen szlachetności. Rzekłbyś, że charaktery takowe zyskują we wielkich katastrofach żywota swojego; burza, co miota falami ich duszy i do dna je porusza, wymiata z głębi jéj skarby ukryte i perły drogie.

Takie ideały są charakterami w całém znaczeniu, w nich nie jedno uczucie świéci samotnym płomieniem, ich istota spogląda na nas całém niebem gorejących gwiazd.— Charakterem w największém znaczeniu jest Mohort, jakim go stworzył Pol; Mohort zawsze jeden a ten sam, czyli na dworcu królewskim, czyli na kresach ukraińskich odsadzonych od świata, czyli nakoniec z szablą w ręku, czyli w klasztorze, czyli wtedy, gdy prawi o niegdyś młodéj miłości swojéj— on zawsze jeden i ten sam. Różne życia koleje, ciemne i jasne losy jego wygrywają jedynie, jakby na strunach, różne tony na sercu jego, ale te tony wszystkie, te akordy i pieśni zestrojone wszystkie do jednego kontra-punktu. Albo wspomnij na postać księcia Radziwiłła, skreśloną ręką mistrzowską Rzewuskiego, lub Chodźki — ona zaiste ze śpiżu ulana, z jednéj sztuki odlana. I Rzewuski i Chodźko przedstawili nam te figury tak plastycznie, jak posąg marmurowy greckiego mistrza, lecz w tym posągu żyją głębie uczuć, serdeczność gorąca, rodzima i niesfałszowana żadnym obcym tchem: możesz się ugrzać ciepłem téj postaci, odżyć jéj życiem; jeżeliś omdlał na sercu, a krew w duszy twojéj skrzepła, odmłodniejesz tą postacią. Jest to charakter, na który już nie stać świat obecny. Ta plastyczność klassyczna obok treści bogatéj wewnętrznéj, prawdziwie romanty-

cznéj, jest właśnie zestrojeniem romantycznego i klassycznego świata, jest tedy właśnie cechą najwyższą nowożytnéj sztuki, przebywającą w charakterze, jakim jest Mohort, jakim Radziwiłł Chodźki i Rzewuskiego, jaki znajdziesz tak często w powieściach Kraszewskiego i Korzeniowskiego.

Zebrawszy w krótkości cośmy wyżéj rzekli, widzimy, iż jeśli charakter winien być bogaty w sobie, tak również we wszystkich stosunkach życia, w których nam go mistrz rozwija, powinien być jednym i tym samym. Charakter winien być *jednością*, choć rozmaitości pełną: co działa, działa z siebie i jawnie; żadne potęgi ciemne, zagadkowe, nie powinny wpływać na niego, winien być w sobie jasny i przejrzysty, a bez długiego wahania się w czynach, bo wszelka niepewność dowodzi tylko rozdwojenia wewnętrznego i braku jedności duchowéj.

Tak tedy skończyłem treść przeznaczoną na tę piérwszą wiązkę listów moich; widzę, że mi przedmiot pod ręką urosł i żem skréślił prawie wszystkie, choć najogólniejsze zasady *Filozofii sztuki* wedle dzisiejszego jéj stanowiska.

Pragnąc dopełnić przyrzeczenia mojego, starałem się o formę mniéj ścisłą, mniéj surową, jakby może wymagała treść będąca tak ważną gałęzią *filozofii saméj*. Wybaczysz mi tedy, iż niekiedy wśród całego wątku wprowadzałem cię na ustronia nie będące wprawdzie wprost w stosunku z *Estetyką*, leżące atoli zawsze jakby na granicy jéj osnowy, a udzielające i nowego widoku i chłodu wśród drogi naszéj. W tym téż celu przy-

wodziłem ci dość liczne przykłady, wiedząc, iż za ich pomocą snadniéj się porozumiemy. Jeżelim tedy w polocie dotykał to téj, to owéj epoki historyi sztuki, i jeżelim wspomniał przy sposobności o różnych jéj rodzajach, jako o rzeźbie, architekturze, malarstwie, muzyce, a nawet o różnych gałęziach poezyi, np. o tragedyi, lirze, komedyi, sielance, powieści, czyniłem to jedynie, aby przykładami wyjaśnić teoretyczne pojęcia sztuki, w ogólności uważanéj, a nie miałem bynajmniéj myśli, ani rozebrać ze ścisłością szczegółów wszystkich, ani ci podać systematycznéj całości; pragnąłem głównie dotknąć w tych listach, choć powierzchownie, najważniejszych przedmiotów należących do estetyki, wedle dziś przyjętych wyobrażeń w téj umiejętności, aby się tém łatwiéj porozumieć z tobą względem ogólnego zapatrywania się na tę umiejętność.

Jakoż wypadałoby mi jeszcze wiele podobnych listów napisać, zwłaszcza radbym w drugim ich szeregu pomówić o fantazyi; boć to ona jest potęgą twórczą, rodzącą dzieła sztuki. Wspomniałem wprawdzie już dotychczas o téj potędze duchowéj, lecz jedynie przygodnie, pobieżnie; teraz wypadnie nam o niéj pomówić ściśléj i obszerniéj, a rozbiór jéj bliższy, jak myślę, rzuci nam jeszcze silniejsze światło w dziedzinę tajemniczą piękności.

Zrozumiesz, że wyobrażenie choćby powierzchowne o fantazyi już nam wskaże, że téj sile z wielorakich stron przypatrzyć się należy. Lecz zaiste dwa są najgłówniejsze względy, które się nam nasuwają, gdy mamy rozebrać istotę fantazyi. Bo naprzód możemy mieć na baczności fantazyą pojedyńczego człowieka,

powtóre fantazyą różnego ludu i różnego wieku. Pod względem piérwszym wypadnie nam bliżéj rozebrać tę potęgę wszechmożną, niewolącą mistrza do stwarzania dzieł piękności; — pod względem drugim przyjdzie wyświecić, jak to ona, różną będąc w różnych ludach i w różnych stuleciach, wykwita przeróżną sztuką dając świadectwo o różném usposobieniu ludów w historyi świata. Otoż widzisz, rozwój istoty fantazyi pod tym dwojakim względem będzie osnową następującego szeregu listów. Poczém wypadłoby mi napisać jeszcze trzeci szereg listów, w którymbym roztoczył dokładniéj istotę głównych *pięciu rodzajów sztuki*, zwłaszcza wszelkich gałęzi poezyi. Tym trybem będziemy mieli sposobność okazania, jak ogólne te zasady teoretyczne, choć zawsze jedne, zawsze te same, przyodziewają się w ciągu dziejów szatami różnych wieków i ludów i jakim sposobem one się stosują do każdego z osobna rodzaju sztuki.

Spodziéwam się, że może zamiaru tego dokonać zdołam, lecz tu wszystko głównie od tego zależy, czyli to, com już skréślił, do smaku ci przypadło, i czyli czytając te listy choć w cząstce doznałeś tego zadowolenia, które ja czułem pisząc je do ciebie. Przejrzyj niedostatkom, które bezwątpienia często w téj mojéj pracy spostrzegłeś, a wierzaj, że ci z całego serca wdzięczny jestem, żeś tak cierpliwie zechciał doczytać się końca i raczył tak życzliwie pójść za wątkiem osnowy całéj — *Vale et fave.*

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TREŚĆ LISTÓW

ZAWARTYCH W PIERWSZYM TOMIE.

LIST PIERWSZY str. 5.

Wstęp.

LIST DRUGI, str. 14.

Ogólny widok na sztukę.

LIST TRZECI, str. 39.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

LIST DZIESIĄTY, str. 287.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacya, Kollizya, Działanie, Pathos — Charakter.



